



THRILLER

MAŁE
SEKRETY

JENNIFER
HILLIER

Tę książkę nie tylko się czyta, nią się oddycha.

JENNIFER HILLIER



MUZA

Warszawskie Wydawnictwo Literackie

Dla Darrena i Moxa.

Wszystko, co mnie łąmało, przywiodło mnie tutaj i powtórzyłabym to jeszcze raz.

Oraz

dla Lori Cosetto

– nie przesłabym przez to bez Ciebie i jestem Ci do zgonnie wdzięczna.

1

Pike Place Market to lep na turystów w zwykły dzień. Jeśli dodać do tego świąteczne zakupy robione w ostatniej chwili w wyjątkowo ciepły słoneczny weekend – co niemal niespotykane w grudniu – otrzymujemy najbardziej zatłoczone dziewięć akrów w sobotnie popołudnie w Seattle.

Kurtka Sebastiana została wepchnięta do jednej z toreb Marin na zakupy, ale chłopczyk i tak jest spocony. Jego mała rączka wyslizguje się z jej dłoni za każdym razem, gdy zbyt mocno szarpie, usiłując pociągnąć mamę w upragnionym kierunku.

– Mamusiu, chcę lizaka – mówi po raz drugi. Jest zmęczony i robi się marudny, a tak naprawdę potrzebuje drzemki. Marin musi jednak kupić jeszcze ostatni prezent. Szczyci się tym, że daje przemyślane i osobiste upominki. Jej czteroletniego synka w ogóle nie obchodzą świąteczne zakupy. Sebastian wierzy, że to Mikołaj przyniesie wszystkie prezenty, więc w tej chwili interesuje go wyłącznie cukier.

– Bash, proszę, jeszcze pięć minut – odpowiada rozdrażniona. – A potem kupimy tego lizaka. Ale musisz być grzeczny. Umowa stoi?

To uczciwe negocjacje i chłopiec przestaje jęczeć. Na targu jest sklep ze słodyczami. Dobrze go znają, byli tam wiele razy. Jest bezwstydnie przerafinowany i chociaż sprzedają tam najrozmaitsze słodycze, słynie głównie z „ręcznie robionych francuskich truflí z surowej czekolady”. Fasada sklepu jest pomalowana na turkusowo, a pretensjonalna nazwa, naniesiona za pomocą szablonu na szybę elegancką złotą kursywą, brzmi: La Douceur Parisienne. Żaden produkt w środku nie kosztuje mniej niż cztery dolce, a za ogromnego lizaka, którego domaga się Sebastian – tego z tęczowymi zawijasami – trzeba wybulić aż pięć.

Tak, całe pięć dolarów za lizaka. Marin doskonale zdaje sobie sprawę z tego, że to obłęd. Na obronę Sebastiana musi przyznać, że chłopiec nie wiedziałby nawet, że takie cudo istnieje, gdyby podczas wcześniejszych wypraw na targ nie ciągała go do tego sklepu po czekoladki, które, szczerze mówiąc, są naprawdę przepyszne. Powtarza sobie, że nic się nie stanie, jeśli raz na jakiś czas pozwoli mu na małe szaleństwo. Zresztą wszystko

w La Douceur Parisienne jest zrobione z czystego organicznego cukru trzcinowego i miodu z lokalnej pasieki. Derek jednak nie kupuje takiego rozumowania żony. Jego zdaniem Marin stara się w ten sposób usprawiedliwić to, że robi z ich synka takiego samego grymaśnego smakosza jak ona.

Ale Dereka tu nie ma. Derek jest gdzieś na First Avenue, popija piwko w pubie sportowym i ogląda mecz Washington Huskies, podczas gdy Marin załatwia ostatnie zakupy z ich szybko się nudzącym czterolatkiem.

Jej kieszeń wibruje. Na targu jest zbyt głośno, by mogła usłyszeć telefon, czuje jednak wibrowanie i puszcza rączkę synka, by wyjąć iPhone'a. Może to Derek dzwoni, bo mecz już się skończył. Patrzy na wyświetlacz: to nie mąż. Ostatnie, na co ma teraz ochotę, to pogawędka przez telefon, ale to Sal. Nie może nie odebrać.

– Bash, pilnuj się mnie – przykazuje synkowi i klika „odbierz”. – No cześć.

Trzyma telefon między ramieniem a uchem, myśląc o tym, jak cudownie byłoby mieć w takich chwilach airpody, po czym przypomina sobie, że nie chce być jak te durne mamuśki paradujące wszędzie z takimi słuchawkami.

– Wszystko w porządku? Jak twoja matka? – Znowu bierze Sebastiana za rękę, słuchając, jak stary przyjaciel relacjonuje jej swój stresujący poranek. Matka Sala dochodzi do siebie po operacji biodra.

Ktoś wpada na Marin, strącając z jej ramienia torebkę i torbę na zakupy. Spogląda z urazą na plecy tych ludzi, gdy ją mijają, nie przeprosiwszy. Turyści!

– Mamusiu, już nie rozmawiaj. – Sebastian pociąga ją za rękę, znowu marudzi. – Mówiłaś, że mi kupisz lizaka. Dużego! Zawijanego!

– Bash, co ci powiedziałam? Musisz poczekać. Najpierw mamy do załatwienia inne sprawy. – A do telefonu mówi: – Wybacz, Sal, mogę oddzwonić trochę później? Jesteśmy na targu, dzisiaj to prawdziwy obłęd.

Chowa telefon z powrotem do kieszeni i raz jeszcze przypomina Sebastianowi o ich umowie. Te negocjacje to dla nich obojga w miarę nowa sprawa, a wprowadziła je, kiedy parę miesięcy temu zaczął się wzbraniać przed kąpielą. „Jeśli teraz ładnie się wykąpiesz, przeczytamy przed spaniem dodatkową książeczkę”, obiecała, co podziałało jak zaklęcie. Ostatecznie oboje na tym wygrali. Kąpanie idzie teraz gładko, a potem on opiera o jej policzek pachnącą słodko główkę, a ona czyta mu na głos ulubione książeczki ze swojego dzieciństwa, na zmianę Ciekawskiego

George'a i Dobranoc, księżycu. Marin uwielbia ten wieczorny rytuał i już teraz myśli o dniu, w którym przytulasy staną się obciachem, a jej syn będzie wolał sam sobie poczytać przed spaniem.

Na razie jednak Sebastian się uspokaja, słysząc, że jeśli nadal będzie jęczał, może wcale nie dostać lizaka. Marin jest tak samo zmęczona i zgrzana jak Bash, a do tego głodna i dramatycznie spragniona kofeiny. Cukier – i kawa – będą musiały poczekać. Mają się spotkać z Derekiem w najstarszym Starbucksie na świecie, tuż obok sklepu ze słodyczami, ale żadne z nich nie dostanie swoich smakołyków, dopóki nie dokonają ostatniego zakupu.

Ostatni prezent z listy jest dla Sadie, kierowniczkii salonu Marin w centrum. Sadie jest w szóstym miesiącu ciąży i zaczyna napomykać o tym, że może zrezygnuje z pracy i zostanie pełnoetatową mamą. Marin szanuje oczywiście wybór każdej kobiety, by robić to, co najlepsze dla niej i dla jej rodziny, ale bardzo nie chciałaby stracić Sadie. Ta wspominała, że w antykwariacie na dolnym poziomie targu widziała pierwsze wydanie Beniamina Trusia Beatrix Potter. Jeśli książeczka nadal tam będzie, Marin kupi ją dla niej. Przez dziesięć lat była wspaniałą pracownicą i zasłużyła na coś specjalnego. Poza tym może ten prezent uświadomi Sadie, jak bardzo kocha swoją szefową – i swoją pracę – i po urlopie macierzyńskim postanowi jednak wrócić.

Sebastian znowu ją szarpie, ale Marin mocno ściska jego rączkę i pociąga do antykwariatu, gdzie stwierdza z ulgą, że nadal mają pierwsze wydanie Potter. Przy płaceniu udaje jej się ukradkiem podsunąć sprzedawcy parę książeczek o zółwiu Franklinie. Kiedy wracają na górny poziom, jej telefon znowu wibruje. Tym razem esemes.

Koniec meczu. To Derek, dzięki Bogu. Przyda jej się dodatkowa para rąk. Zmierzam w Waszą stronę. Gdzie jesteście?

Czuje, że lepka rączka Sebastiana wyślizguje się z jej dłoni. To nic, i tak potrzebuje obu rąk, żeby odpowiedzieć na esemesa. Zresztą synek jest tuż obok, wyjątkowo dorównuje jej energicznym krokom, a gdy, jeszcze przyspieszając, wychodzą na ulicę i kierują się do sklepu ze słodyczami, przyciska łokieć do jej nogi. Obietnica to obietnica, choć Marin musi przyznać, że jej dotrzymanie znacznie ułatwia myśl o czekoladowej trufli z malinowym nadzieniem rozpływającym się w ustach.

Idziemy do tego luksusowego sklepu ze słodyczami, odpisuje. A potem do Starbucksa. Chcesz coś?

Tacosa, odpowiada jej mąż. Umieram z głodu. Może spotkajmy się raczej przy food truckach?

Marin się krzywi. Nie przepada za tacosami z food trucków ani za żadnym ulicznym żarciem. Kiedy ostatnim razem jadła tu tacosa, pochorowała się.

No bueno, odpisuje. Może w drodze powrotnej wstąpimy do Fenixa i kupimy kanapki z rwaną wieprzowiną? To dużo lepsze mięso.

Jestem głodny TERAZ, odpowiada Derek. Muszę coś przekąsić. I, kotuś, dzisiaj wieczorem dam Ci jeszcze lepszy kawał mięsa, jeśli będziesz grzeczna.

Marin przewraca oczami. Ma przyjaciółki, które skarżą się, że ich mężowie już w ogóle z nimi nie flirtują. Jej mąż robi to bez przerwy.

OK. Weź sobie tego tłustego tacosa, ale jesteś mi coś winien, twardzielu.

Dobrze się składa, bo już stoję w kolejce. Dodał do tego puszczając oko buźkę. Widzimy się za parę minut. Wezmę churrosa dla Basha.

Już ma zaprotestować przeciwko temu smażonemu smakołykowi, gdy uświadamia sobie, że nie czuje Sebastiana przy swojej nodze. Podnosi wzrok znad ekranu telefonu i poprawia torbę, która z każdą chwilą coraz bardziej jej ciąży. Następnie znów patrzy w dół i się rozgląda.

– Bash? Sebastian?

Nie ma go nigdzie w pobliżu. Marin zatrzymuje się, przez co ktoś idący z tyłu wpada na nią z impetem.

– Nie znoszę, kiedy ludzie zniecka stają – mamrocze mężczyzna do swojej towarzyszki i omija Marin, sapiąc głośniejszym głosem niż to konieczne.

Marin się tym nie przejmuje. Nigdzie nie widzi synka i zaczyna panikować. Wyciąga szyję, starając się coś zobaczyć przez tłumy miejscowych i turystów, którzy przemierzają się przez targ całymi stadami. Sebastian nie mógł odejść daleko. Marin wodzi oczami wszędzie, gdzie się da, wypatrując ciemnych włosów synka, tak podobnych w kolorze i gęstości do jej własnych. Miał na sobie zrobiony na drutach brązowo-biały sweter z reniferem, prezent od długoletniej klientki salonu, który Sebastian tak uwielbia, że w minionym tygodniu upierał się, by wkładać go niemal codziennie. Sweterek wygląda na nim uroczo, z tymi słodkimi uszkami ze sztucznego futerka sterczącymi nad guziczkami reniferowych oczu i nosa.

Nigdzie nie może go dojrzeć. Nie ma renifera. Nie ma Sebastiana.

Coraz bardziej agresywnie przeciska się przez tłum, obracając się na wszystkie strony, czując na ramieniu ciężar torebki i wypchanej torby na zakupy z kurteczką Sebastiana i jej płaszczem przewieszonym przez wierzch. Woła synka po imieniu:

– Sebastian! Sebastian!

Inni bywalcy targu zaczynają zwracać na nią uwagę, w większości jednak nie robią nic więcej, tylko rzucają okiem w jej stronę i idą dalej. Dzisiaj panuje tu wyjątkowy ścisk i taki gwar, że Marin nie słyszy własnych myśli. Nieświadomie przemieszcza się w stronę stoiska z owocami morza, gdzie trzech krzepkich rybaków w zaplamionych krwią fartuchach przekomarza się ku uciesze tłumu, który zebrał się, by patrzeć, jak tamci przerzucają się świeżym łososiem niczym piłką.

– Sebastian! – Teraz naprawdę wpada w panikę. W jej dłoni wibruje telefon. Kolejny esemes od Dereka, zaraz będzie zamawiał jedzenie i po raz ostatni chce się upewnić, czy Marin niczego nie chce. Wyjątkowo irytujące pytanie. Ona nie chce pieprzonego tacosa, chce swojego synka.

– Sebastian! – wrzeszczy na całe gardło. Teraz jej panika graniczy z histerią i Marin jest pewna, że zaczyna wyglądać jak wariatka, bo ludzie patrzą na nią z troską i strachem zarazem.

Podchodzi do niej starsza pani z ufryzowanymi srebrnymi włosami.

– Mogę pani jakoś pomóc? Zginęło pani dziecko?

– Tak, ma cztery lata, mniej więcej takiego wzrostu, brązowe włosy, ubrany w sweter z reniferem, ma na imię Sebastian. – Marin wyrzuca to z siebie jednym tchem i uświadamia sobie, że musi się uspokoić, oddychać głęboko, bo histeria nic tu nie pomoże. Pewnie jest niemądra, że w ogóle panikuje. Są na luksusowym, nastawionym na turystów targu pilnowanym przez strażników, w dodatku zbliżają się święta, a z pewnością nikt nie porywałby dziecka tuż przed Bożym Narodzeniem. Sebastian oddalił się tylko kawałeczek i za minutkę ktoś go do niej przyprowadzi, a ona podziękuje zmieszana, po czym gwałtownie przytuli synka. A potem ukucnie i pouczy go surowo, że „zawsze musi być w takim miejscu, z którego może ją zobaczyć, bo jeśli ona nie może go zobaczyć, to znaczy, że on jej też nie”, a wtedy jego małą okrągłą buźkę wykrzywi grymas, bo kiedy ona się denerwuje, nieważne z jakiego powodu, to on też. A później obsypie go pocałunkami i wyjaśni, że w miejscach publicznych musi zawsze trzymać się blisko niej, bo to ważne, żeby „był bezpieczny”. Raz jeszcze zapewni go, że już wszystko dobrze, a potem będą kolejne

pocałunki i oczywiście lizak, ponieważ obiecała. A jeszcze później, kiedy już wszyscy będą bezpieczni w domu, Sebastian będzie spał w swoim łóżeczku, a ona będzie opowiadać całą historię Derekowi, powie mu, jaka przerażona – potwornie, kurwa, przerażona – była przez kilka minut, kiedy nie wiedziała, gdzie zniknął ich syn. A wtedy przyjdzie kolej na jej męża, żeby ją uspokoić i przypomnieć, że wszystko dobrze się skończyło.

Bo wszystko będzie dobrze. Znajdą go. Oczywiście, że tak.

Przesuwa kciukiem po wyświetlaczu i dzwoni do Dereka. Gdy mąż odbiera, przestaje nad sobą panować.

– Nie ma Sebastiana. – Jej głos jest trzy razy bardziej donośny i o pół oktawy wyższy niż normalnie. – Zgubiłam go.

Derek zna wszystkie jej tony i natychmiast orientuje się, że to nie żarty.

– Co?!

– Nie mogę znaleźć Sebastiana!

– Gdzie jesteś? – pyta, a ona się rozgląda i stwierdza, że znów się przemieściła, odeszła spory kawał od rybaków. Stoi teraz przy głównym wejściu pod ikonicznym podświetlonym szyldem Public Market Center i zegarem.

– Jestem przy świni – oznajmia, wiedząc, że mąż zrozumie to odniesienie do popularnej rzeźby.

– Nie ruszaj się, zaraz tam będę.

Starsza pani, która zaoferowała pomoc, przemieniła się w trzy zatroskane panie w różnym wieku, wraz z panem – mężem jednej z nich – który został wysłany, by zawiadomić ochronę. Derek zjawia się parę minut później, zdyszany, ponieważ przybiegł z drugiej strony targu. Jedno spojrzenie na Marin, bez Sebastiana, i jego twarz tężeje. Prawie jakby się spodziewał, że wszystko się wyjaśniło, zanim tu dotarł, i będzie musiał tylko pocieszać przestraszoną żonę, której już ulżyło, i płaczącego synka, ponieważ Derek jest dobry w pocieszaniu. Płaczącego dziecka jednak nie ma, a jego żonie bynajmniej nie ulżyło, i na chwilę paraliżuje go lęk, bo nie wie, co z tym wszystkim począć.

– Do diabła, Marin! – krzyczy Derek. – Coś ty zrobiła?!

To niezbyt szczęśliwy dobór słów i zabrzmiały bardziej oskarżycielsko, niż zapewne zamierzał. Marin kuli się na dźwięk jego głosu i wie, że to pytanie będzie prześladować ją już zawsze.

Co zrobiła? Zgubiła ich syna, oto, co zrobiła. I jest gotowa wziąć całą winę na siebie, i przeproszać wszystkich tysiąc razy, kiedy już go znajdą,

bo przecież go znajdą, muszą znaleźć, a kiedy już się to stanie, kiedy znów będzie bezpieczny w jej ramionach, poczuje się jak skończona idiotka.

Nie może się doczekać, kiedy tak się poczuje.

– Był tuż obok, puściłam jego rączkę, żeby napisać ci esemesa, a chwilę później zniknął. – Znowu jest w hysterii. Teraz ludzie nie tylko się gapią, ale przystają, oferują pomoc, pytają, jak wyglądał chłopczyk, który oddalił się od mamy.

Razem z uczynnym mężem jednej ze starszych pań podchodzą dwaj strażnicy w ciemnoszarych mundurach. Już im wytłumaczył, że szukają małego chłopca w sweterku z lisem.

– Nie z lisem! – wybuchła Marin gniewnie, lecz jakoś nikt nie ma jej tego za złe. – Z reniferem. Miał sweterek z reniferem z czarnymi guziczkami zamiast oczu, brązowo-biały...

– Ma pani zdjęcie syna w tym swetrze? – pyta jeden ze strażników, a ona ze wszystkich sił powstrzymuje się, by na niego nie nawrzeszczyć, bo to pytanie jest strasznie głupie. Po pierwsze, ile może być w tej chwili na targu czterolatków w takim samym robionym na drutach sweterku? A po drugie, oczywiście, że ma zdjęcie synka, bo to jej synek, ma w telefonie pełno jego zdjęć.

Fotografują zdjęcie i przekazują je dalej.

Nie znajdują jednak Sebastiana.

Dziesięć minut później zjawia się policja.

Gliny też go nie znajdują.

Po dwóch godzinach, kiedy policja Seattle przejrzała już wszystkie nagrania z monitoringu, Marin i Derek wpatrują się w ekran komputera wstrząśnięci i pełni niedowierzania, i patrzą, jak mały chłopiec w sweterku z reniferem wychodzi z targu, trzymając za rękę kogoś, kogo twarzy dobrze nie widać. Znikają w bramie najbliższego podziemnego parkingu, co jednak nie oznacza, że na ten parking poszli. W wolnej rączce ich syn trzyma lizaka, zwijanego i kolorowego, dokładnie takiego samego, jakiego kupiłaby mu mama, gdyby miała szansę to zrobić. Osoba, która mu go dała, jest od stóp do głowy ubrana w strój Mikołaja, ma czarne kozaki, krzaczaste brwi i białą brodę. Kamera ujmuje ją pod takim kątem, że nie sposób dostrzec wyraźnie twarzy. Ani też stwierdzić jednoznacznie, czy to mężczyzna czy kobieta.

Do Marin nie dociera, na co właściwie patrzy, i prosi, żeby pokazali jej to jeszcze raz, a potem jeszcze i jeszcze. Mruży oczy i nachyla się w stronę

ekranu, jakby w ten sposób mogła zobaczyć więcej, niż naprawdę tam jest. Nagranie się rwie, odtwarza się staccato, to raczej seria ziarnistych stopklatek niż film. Za każdym razem, kiedy na to patrzy, moment, w którym Sebastian znika z pola widzenia, jest przerażający. Sekundę wcześniej tam jest, robi krok i wchodzi do bramy. A potem, dosłownie w następnym kadrze, znika.

Jest. Znika. Jeszcze raz. Jest. Znika.

Za jej plecami Derek chodzi tam i z powrotem, rozmawiając podniesionym głosem ze strażnikami i policjantami, jednak Marin przez szum w swojej głowie wychwytuje tylko pojedyncze słowa: „porwanie”, „uprowadzony”, „Child Alert”, „FBI”. Nie może pogodzić się z tym, że naprawdę do tego doszło. Ma wrażenie, jakby to spotkało kogoś innego. Jakby to był film.

Ktoś przebrany za Świętego Mikołaja zabrał ich syna. Umyślnie. Celowo.

Nagranie z kamery monitoringu jest czarno-białe i nieostre, widać jednak, że Sebastian nie został uprowadzony siłą. Nie wydawał się przestraszony. Miał całkiem zadowoloną minę, ponieważ w jednej ręczce trzymał lizaka za pięć dolarów, a w drugiej dłoń Świętego Mikołaja. Panie pracujące w La Douceur Parisienne sprawdziły w komputerze i potwierdziły, że tego dnia sprzedały siedem lizaków, nie pamiętały jednak żadnych klientów przebranych za Mikołaja, a w ich maleńkim sklepiku nie ma zainstalowanych kamer. Jest tylko jedna kamera po drugiej stronie ulicy, naprzeciwko podziemnego parkingu, gdzie, jak się podejrzewa, weszli Sebastian i porywacz, jednak ustawiona pod takim kątem, że rejestruje samochody wyjeżdżające z parkingu jedynie z daleka i z boku, tablic rejestracyjnych nie widać. W ciągu godziny po uprowadzeniu Sebastiana wyjechały stamtąd pięćdziesiąt cztery pojazdy, a policja nie potrafi namierzyć żadnego z nich.

Znacznik czasu na nagraniu wideo pokazuje, że Sebastian i jego porywacz opuścili targ zaledwie cztery minuty po tym, gdy jego mama uświadomiła sobie, że chłopca przy niej nie ma. Strażnicy z Pike Place nie byli jeszcze wtedy nawet powiadomieni.

Cztery minuty. Tyle wystarczyło, żeby porwać dziecko.

Lizak, kostium Świętego Mikołaja i dwieście czterdzieści sekund.

CZĘŚĆ PIERWSZA

piętnaście miesięcy później

Słuchaj, oddychasz tylko trochę i nazywasz to życiem?

MARY OLIVER

2

Mówi się, że jeśli zaginione dziecko w wieku Sebastiana nie znajdzie się w ciągu dwudziestu czterech godzin od zniknięcia, istnieje prawdopodobieństwo, że nie znajdzie się nigdy.

To pierwsza logiczna myśl Marin Machado każdego ranka po przebudzeniu.

A jej druga myśl: czy dziś będzie ten dzień, w którym się zabije.

Czasami te myśli się rozwiewają, gdy wstaje z łóżka i idzie się wykąpać – wymazane parującą wodą tryskającą z prysznica. Innym razem, kiedy dopija kawę i jedzie do pracy. Zdarza się jednak, że towarzyszą jej przez cały dzień niczym szept, złowroga chmura z tyłu głowy, ścieżka dźwiękowa, której nie można wyciszyć. W takie dni z zewnątrz uchodzi za normalną, zwyczajną osobę, która prowadzi zwyczajne rozmowy z ludźmi wokół niej. W środku jednak toczy się zupełnie inny dialog.

Tak było chociażby przedwczoraj rano. Marin zjawiała się w swoim salonie w centrum ubrana w prostą różową sukienkę Chanel, którą znalazła w głębi garderoby, wciąż w folii z pralni. Wyglądała bajecznie, co jej recepcjonistka, młoda blondynka Veronique o nienagannym wyczuciu stylu, zauważyła natychmiast, kiedy Marin weszła do salonu.

– Dzień dobry, Marin! – wykrzyknęła z promiennym uśmiechem. – Spójrz no tylko na siebie. W tej sukience wyglądasz jak milion dolarów.

Marin odwzajemniła uśmiech, idąc przez elegancką poczekalnię do swojego gabinetu w głębi salonu.

– Dzięki, V. Zapomniałam, że ją mam. Jak tam dzisiejszy harmonogram?

– Wszystkie godziny zajęte – odpowiedziała Veronique śpiewnym tonem typowym dla rannych ptaszków.

Marin kiwnęła głową i znów się uśmiechnęła, idąc do siebie i myśląc równocześnie: Może to dziś jest ten dzień? Wezmę nożyczki – nie te nowe, którymi strzygłam ubiegłego lata Scarlett Johansson, tylko te stare, których używałam, obcinając włosy J. Lo pięć lat temu, te, które zawsze najlepiej leżały mi w ręce – i wbiję je sobie w szyję tam, gdzie widać puls. Zrobię to w łazience przed lustrem, żeby nie zawalić sprawy. Tak, zdecydowanie

w łazience, tam najłatwiej będzie im potem posprzątać, płytki są szare, fuga ciemna, nie będzie widać plam krwi.

Oczywiście tego nie zrobiła.

Ale o tym myślała. Wciąż o tym myśli. Każdego ranka. W większość wieczorów. W niektóre popołudnia.

Dzisiaj, na szczęście, zapowiada się lepszy dzień i myśli, które zaatakowały Marin tuż po przebudzeniu, zaczynają blednąć. Kiedy dzwoni budzik, znikają zupełnie. Włącza nocną lampkę i krzywi się, czując w ustach paskudny posmak, bo zeszłego wieczoru opróżniła całą butelkę czerwonego wina. Wypija duży łyk wody, która stoi przy łóżku, a przepłukawszy wyschnięte usta, wyszarpuje telefon z ładowarki.

Jedna nowa wiadomość. Żyjesz?

To Sal, oczywiście, i jego zwykły esemes, jaki przysyła jej każdego ranka, jeśli wcześniej nie ma od niej żadnych wieści. Komuś innemu taki esemes mógłby się wydać nietaktowny. Ale to Sal. Znają się od wieków, łączy ich takie samo mroczne poczucie humoru i Marin jest wdzięczna, że wciąż ma w swoim życiu choć jedną osobę, która nie uważa, że musi obchodzić się z jej uczuciami jak z jajkiem. Jest też przekonana, że Sal to jedyny człowiek na świecie, który nie sądzi w głębi ducha, że Marin jest żałosna.

Wystukuje litery zdrtwiałymi palcami, wzrok wciąż ma zamglony i z powodu kaca huczy jej w głowie. Ledwie, odpisuje. To jej zwykła odpowiedź, krótka, ale Salowi wystarcza. Wieczorem znowu sprawdzi, co u niej. Sal wie, że wieczory i poranki są dla Marin najtrudniejsze, wtedy najgorzej radzi sobie z rzeczywistością swojego nowego życia.

Miejsce na łóżku obok niej jest puste. Poduszka nietknięta, pościel idealnie gładka. Derek nie spał tu zeszłej nocy. Znowu wyjechał w interesach. Marin nie ma pojęcia, kiedy wróci. Wczoraj przed wyjazdem zapomniał jej powiedzieć, a ona zapomniała spytać.

Minęło czterysta osiemdziesiąt pięć dni, odkąd straciła Sebastiana.

To oznacza, że przeżyła czterysta osiemdziesiąt pięć wieczorów, kiedy nie kąpała synka, nie ubierała go w czystą piżamkę, nie utulała do snu, nie czytała mu Dobranoc, księżycu. Przeżyła czterysta osiemdziesiąt pięć poranków, budząc się w cichym domu pozbawionym śmiechu i tupotu małych stópek, bez wołania: „Mamusiu, podetrzyj!”, dobiegającego z łazienki w korytarzu, bo chociaż doskonale potrafił sam się załatwiać, miał dopiero cztery latka i wciąż się uczył, jak sobie radzić z higieną osobistą.

Czterysta osiemdziesiąt pięć dni koszmaru.

Ogarnia ją panika. Czeka chwilę i robi ćwiczenia oddechowe, których nauczył ją terapeuta, aż najgorsze mija i może jakoś funkcjonować. Nic nie jest już dla niej normalne, ale teraz udaje lepiej niż kiedyś. Na ogół nie przeraża już ludzi. Od czterech miesięcy chodzi do pracy. Robocza rutyna dobrze jej robi, ma powód, żeby wychodzić z domu, ustalony plan dnia i coś, co chociaż na chwilę odrywa jej myśli od Sebastiana.

Spuszcza nogi z łóżka i krzywi się, gdy jej skroń przeszywa ostry ból. Resztką letniej wody popija lexapro i multiwitaminę i w ciągu pięciu minut jest pod prysznicem. Trzy kwadransy później wychodzi z łazienki ubrana, w pełnym makijażu, z umyтыми i ułożonymi włosami. Czuje się lepiej. Może nie świetnie – jej synek pozostaje zaginiony i to wciąż wyłącznie jej wina – są jednak chwile, kiedy nie ma poczucia, że zwisa na prującej się gwałtownie nitce. To jedna z takich chwil. Marin uznaje to za sukces.

Dzień szybko mija. Cztery strzyżenia, farbowanie, balejaż i zebranie personelu, w którym Marin uczestniczy, choć to Sadie je prowadzi. Awansowała ją na główną kierowniczkę i dała ogromną podwyżkę tuż po tym, gdy urodziła dziecko, i teraz Sadie zarządza wszystkimi trzema salonami. Marin nie zniosłaby jej utraty jeszcze przed tym, co stało się z Sebastianem, a potem było to dla niej nie do pomyślenia. Marin chciała siedzieć w domu i tam się rozsypywać, co robiła przez rok, dopóki Derek i terapeuta nie zasugerowali, że pora, by wróciła do pracy.

Nadal wszystko nadzoruje – to przecież jej firma – głównie jednak wróciła do strzyżenia i farbowania włosów wybranej grupie długoletnich klientek, znanych pracownikom jako VIP-y. Wszystkie są nedorzecznie bogate. Spora część to pomniejszych celebrytki, które płacą sześćset dolarów za godzinę, żeby mieć fryzurę robioną osobiście przez Marin Machado z Marin Machado Salon & Spa.

Bo dawno temu Marin była kimś. Jej fryzury prezentowano na łamach „Vogue’a”, „Allure”, „Marie Clare”. Kiedyś fajnie było być Marin Machado. Wpisywało się jej nazwisko w Google’u i wyskakiwały zdjęcia trzech najśłynniejszych Jennifer – Lopez, Lawrence i Aniston – kobiet, które osobiście strzygła i czesała. Teraz jednak artykuły na temat jej pracy zostały zastąpione informacjami dotyczącymi zniknięcia Sebastiana. O zakrojonych na szeroką skalę poszukiwaniach, które nic nie dały. Narzekaniach, że ona i Derek są wyjątkowo traktowani przez gliny, ponieważ Derek też jest kimś ważnym, są zamożną parą z koneksjami,

przyjaźnią się z szefową policji (co jest grubą przesadą – ledwie znają tę kobietę, przez lata widzieli ją właściwie tylko na kilku imprezach charytatywnych) oraz o plotkach, że Marin próbowała się zabić.

Historia Marin stała się opowieścią ku przestrodze.

To był pomysł Sadie, żeby wróciła do pracy z klientkami. Zajmowanie się włosami dobrze robi Marin. Sprawia jej to przyjemność i nigdzie nie czuje się bardziej sobą, niż stojąc za fotelem fryzjerskim, mieszając farby, kolorując pasma włosów i operując nożycami. Stylizacja włosów to idealne połączenie artyzmu i chemii, a ona jest w tym dobra.

W fotelu siedzi teraz kobieta imieniem Aurora, długoletnia klientka, która jest żoną emerytowanego bejsbolisty z Seattle Mariners. Jej naturalne ciemne włosy siwieją i od kilku wizyt Aurora przechodzi na blond. Domaga się okalających twarz platynowych pasemek udających „plażowe” rozbłyski, ale jej włosy się starzeją, są suche i cienkie. Marin postanawia ręcznie zrobić pasemka, stosując delikatny rozjaśniacz z domieszką kremu zabezpieczającego włókna włosów. Kiedy włosy zjaśnieją do bladej żółci podobnej do wnętrza skórki banana – co może potrwać od dziesięciu do dwudziestu pięciu minut, w zależności od stu różnych czynników – Marin spłucze rozjaśniacz i zastosuje fioletowy toner, który pozostawi na włosach na nie więcej niż trzy minuty, żeby uzyskać idealny biały blond, na jaki liczy klientka.

To skomplikowany proces, ale też coś, nad czym Marin panuje. To dla niej ogromnie ważne, żeby robić rzeczy, które mają przewidywalny rezultat. W ciągu pierwszego tygodnia po powrocie do pracy stwierdziła, że powinna była zrobić to wcześniej, zamiast poświęcać tyle czasu na terapię.

– I jak? Co o tym sądzisz? – pyta teraz Aurorę, przesuwając kilka kosmyków na jej głowie przed zastosowaniem utrwalającego fryzurę spreju.

– Doskonale, jak zwykle. – Ostatnio Aurora zawsze tak mówi, bo nie bardzo wie, co może Marin powiedzieć. Swego czasu nie miała żadnych oporów, by mówić, co jej się podoba, a co nie w nowej fryzurze. Odkąd jednak Marin wróciła do pracy, Aurora zasypuje swoją stylistkę wyłącznie komplementami.

Marin uważnie obserwuje klientkę, wypatrując oznak niezadowolenia, jednak Aurora wydaje się naprawdę zachwycona: obraca głowę to w tę, to w tamtą stronę, żeby obejrzeć pasemka pod różnymi kątami. Posyła Marin uśmiech pełen satysfakcji.

– Cudownie. Świetna robota.

Marin przyjmuje pochwałę z uśmiechem i skinieniem głowy, zdejmuje z Aurory pelerynę i odprowadza ją do recepcji, gdzie czeka Veronique, by podliczyć jej dzisiejsze zabiegi. Marin przelotnie obejmuje Aurorę na pożegnanie, a ta odwzajemnia uścisk nieco zbyt mocno.

– Doskonale sobie radzisz, kochanie, trzymaj się – szepcze, a Marin natychmiast ma przypływ klaustrofobii. Mamrocze „dziękuję” i czuje ulgę, kiedy tamta wreszcie ją puszcza.

– Skończyłaś na dziś? – pyta ją recepcjonistka kilka minut później, widząc, że Marin wychodzi ze swojego gabinetu w płaszczu i z torebką.

Marin zerka na komputer recepcjonistki, żeby sprawdzić jutrzejsze rezerwacje. Tylko trzy klientki po południu, a więc po porannej sesji z terapeutą będzie miała przed lunchem parę godzin na sprawy administracyjne. Formalnie rzecz biorąc, wcale nie musiałyby się tym zajmować, ale źle się czuje, zrzucając wszystko na Sadie.

– Powiedz Sadie, że będę jutro rano – mówi, spoglądając na swój telefon.
– Dobrej nocy, V.

Idzie do samochodu i już zapala silnik, kiedy przychodzi esemes od Sala. Ostatnio tylko on potrafi wywołać uśmiech na jej twarzy, taki prawdziwy, a nie wynikający z uprzejmości czy poczucia obowiązku.

Wpadnij do baru, pisze Sal. Jestem zupełnie sam z bandą gówniarzy z college’u, którzy nie wiedzą, że są jeszcze inne piwa poza Budweiserem.

Nie mogę, odpisuje Marin. Jadę na grupę.

OK, odpowiada Sal. To wpadnij, jak już skończycie samobiczowanie. Stęskniłem się.

Korci ją, żeby się zgodzić, bo ona też za nim tęskni, ale po grupie zawsze jest wykończona. Może, pisze, nie chcąc mu odmawiać. Wiesz, jaka bywam zmęczona. Dam Ci znać.

W porządku, odpisuje Sal. Ale wymyśliłem nowy koktajl i chcę, żebyś go spróbowała – mojito z odrobiną grenadyny i ananasa. Nazwałem go Hawaii 5-0.

Brzmi wstętnie, odpisuje Marin, uśmiechając się. A w nagrodę dostaje GIF z facetem pokazującym jej środkowy palec, co sprawia, że parska śmiechem.

Sal nie pyta, gdzie jest Derek tego wieczoru. Nigdy o to nie pyta.

Do SoDo, części Seattle, którą określa się jako „na południe od centrum” – south of downtown – jedzie piętnaście minut. Kiedy wjeżdża na parking

podupadłego centrum handlowego, gdzie odbywa się spotkanie grupy, znowu jest smutna. Ale nie szkodzi, bo to prawdopodobnie jedyne miejsce na świecie, gdzie Marin może się czuć tak fatalnie, jak tego potrzebuje, nie musząc się tłumaczyć. Mimo to niekoniecznie będzie najbardziej nieszczęśliwą osobą w pomieszczeniu. Nawet terapia nie jest taka. Terapia to oczywiście bezpieczna przestrzeń, ale mimo wszystko nie pozbawiona pewnej presji, milczącego oczekiwania, że pacjentka jest tam po to, by poczuć się lepiej.

Ludzie z grupy nie mają takich oczekiwań. Grupa wsparcia dla rodziców zaginionych dzieci Lepsze Seattle to wyszukana nazwa dla garstki ludzi, których łączy jedna potworna rzecz: to, że ich dzieci zagięły. Sal określa udział w spotkaniach grupy jako akt samobiczowania. Niebezzasadnie. W niektóre wieczory te seanse do tego się sprowadzają, a Marin właśnie tego potrzebuje.

Rok, trzy miesiące i dwadzieścia dwa dni temu był najgorszy dzień jej życia, kiedy to zrobiła najgorszą rzecz, jaką kiedykolwiek zrobi. To była wyłącznie jej wina, nie może jej zrzucić na nikogo innego.

Gdyby nie pisała esemesa, gdyby nie puściła rączki Sebastiana, gdyby poszli do sklepu ze słodyczami wcześniej, gdyby nie zaciągnęła go do antykwariatu, gdyby chwilę wcześniej oderwała wzrok od telefonu, gdyby, gdyby, gdyby...

Jej terapeuta mówi, że musi przestać się tak fiksować na tamtym dniu, że nie pomoże jej obsesyjne rozpamiętywanie każdej sekundy, jakby dzięki temu mógł się w czarodziejski sposób objawić jakiś nowy szczegół. Twierdzi, że Marin musi znaleźć sposób, by się z tym uporać i zostawić to za sobą, co przecież nie będzie znaczyło, że zapomni o Sebastianie, że go opuści. To by jednak oznaczało, że wiodłaby produktywne życie pomimo tego, co się stało, pomimo tego, do czego dopuściła, pomimo tego, co zrobiła.

Marin uważa, że terapeuta plecie bzdury. Dlatego nie chce już do niego chodzić. Pragnie skupić się wyłącznie na tym zdarzeniu, rozdrapywać tę ranę. Nie chce, żeby się zagoiła, bo gdyby się zagoiła, oznaczałoby to, że to już koniec i jej synek jest stracony na zawsze. Marin nie mieści się w głowie, że nikt nie potrafi tego zrozumieć.

Nie licząc ludzi z grupy.

Marin wpatruje się w podstarzały żółty szyld pączkarni, którego odcień plasuje się gdzieś między musztardowym a cytrynowym. Zawsze jest

podświetlony. Gdyby rok wcześniej ktoś jej powiedział, że będzie tu raz w miesiącu spędzała czas z grupą ludzi, których wcześniej nie znała, nie uwierzyłyby.

Jest wiele rzeczy, w które by wtedy nie uwierzyła.

Kluczyki wyslizgują jej się z ręki, ale Marin udaje się je złapać, zanim wpadną do brudnej kałuży na parkingu. I takie właśnie ostatnio jest życie, czyż nie? To szereg wyslizgnięć i pochwyceń, błędów i wyrzutów sumienia, nieustanna emocjonalna zonglerka, udawanie, że dobrze się czuje, podczas gdy naprawdę chce się totalnie rozsypać.

Pewnego dnia te wszystkie piłeczki spadną na ziemię i nie potłuką się tak po prostu.

Roztrzaskają się w drobny mak.

3

FBI szacuje, że obecnie trwa ponad trzydzieści tysięcy dochodzeń w sprawie zaginionych dzieci.

To zatrważająco duża liczba, a jednak w pewnym sensie bycie rodzicem zaginionego dziecka jest dziwnie izolujące. O ile nie przydarzyło się to tobie, nie możesz zrozumieć, jaki to koszmar – jedyny w swoim rodzaju – nie wiedzieć, gdzie jest twoje dziecko i czy w ogóle żyje. Marin potrzebuje towarzystwa ludzi, którzy znają tę szczególną odmianę piekła. Potrzebuje bezpiecznego miejsca, by wywalić wszystkie swoje lęki, a następnie analizować je, rozkładać na czynniki pierwsze, wiedząc, że pozostałe osoby w pokoju robią dokładnie to samo.

Proponowała Derekowi, by chodził na spotkania grupy razem z nią, ale odmówił. Rozmawianie o uczuciach nigdy nie było jego mocną stroną, nie chce więc dyskutować o Sebastianie. Gdy tylko ktokolwiek wspomni o ich synku, zamyka się w sobie. To emocjonalny odpowiednik udawania trupa – im większe zainteresowanie samopoczuciem Dereka ktoś okazuje, tym on słabiej reaguje, aż dajesz sobie spokój i zostawiasz go samego. Zachowuje się tak nawet wobec Marin. Być może zwłaszcza wobec niej.

Przed niespełna rokiem, kiedy zaczęła uczestniczyć w spotkaniach, grupa liczyła siedem osób. Spotykali się w podziemiach kościoła pod wezwaniem świętego Augustyna. Teraz w spotkaniach uczestniczą cztery osoby, a odbywają się na zapleczu tej pączkarni. Dziwny wybór miejsca, ale Frances Payne właścicielka Big Holes jest matką zaginionego dziecka.

Nazwa Big Holes, czyli Wielkie Dziury, powinna być zabawna, ale Frances raczej nie ma poczucia humoru. Jedną z pierwszych rzeczy, które powiedziała do Marin, kiedy się poznały, było wyjaśnienie, że Big Holes nie jest cukiernią, jako że na co dzień podaje się tam tylko kawę i pączki. Nazywanie lokalu cukiernią, upierała się, sugeruje wyższe umiejętności cukiernicze, niż ona faktycznie posiada. Frances jest tuż po pięćdziesiątce, ale wygląda na siedemdziesiąt i ma tak pobrużdżoną twarz, że przypomina mapę plastyczną. Jej syn Thomas zaginał, kiedy miał piętnaście lat. Pewnego wieczoru poszedł na imprezę, gdzie wszyscy byli niepełnoletni,

pili i ćpali. Następnego ranka zaginął. Nikt nie pamiętał, żeby wychodził z imprezy. Niczego po sobie nie zostawił. Po prostu zniknął. Frances wychowywała go samotnie i był dla niej wszystkim. Do jego zaginięcia doszło przed dziewięcioma laty.

Trzydziestoczteroletnia Lila Figueroa to najmłodsza członkini grupy. Jest matką trojga dzieci, higienistką stomatologiczną i żoną Kyle'a, dentysty dziecięcego. Mają dwóch kilkuletnich synków. Zaginionym dzieckiem jest Devon, jej najstarszy syn z poprzedniego związku. Któregoś dnia odebrał go ze szkoły biologiczny ojciec, który nie miał prawa do opieki, i słuch po nim zaginął. To zdarzyło się trzy lata temu, kiedy Devon miał dziesięć lat, a ostatnim miejscem, w którym widziano chłopca i jego ojca, było Santa Fe w stanie Nowy Meksyk. Chociaż Devona nie porwała obca osoba, Lila mówi, że jego ojciec ma skłonność do przemocy. Kiedy Devon był niemowlęciem, ojciec celowo oparzył mu nóżkę nad kuchenką, bo chłopiec nie przestawał płakać, i to było głównym powodem tego, że Lila zabrała Devona i odeszła.

Simon Polniak jest jedynym ojcem w ich małej grupie. Prowadzi salon Toyoty w Woodinville i co kilka miesięcy zajeżdża nowym wozem, który akurat promuje. Kiedyś przychodził na spotkania razem z żoną Lindsay, jednak pół roku temu się rozwiedli. Ona zatrzymała ich labradoodle'a, a on grupę. Simon lubi żartować, że Lindsay lepiej na tym wyszła. Ich córka Brianna miała trzynaście lat, kiedy została wywabiona z domu przez poznanego w internecie faceta, który udawał szesnastolatka imieniem Travis. Śledztwo wykazało, że Travis był dwudziestodwuletnim pracującym na pół etatu w hurtowni elektronicznej, nadal mieszkającym z rodzicami, a kiedy Brianna zaginęła, on także zniknął. To było cztery lata temu i od tamtej pory nie natrafiono na ślad żadnego z nich.

W każdy pierwszy wtorek miesiąca ich czwórka spotyka się w małym pomieszczeniu na zapleczu Big Holes. Od czasu do czasu odnajduje ich ktoś nowy – Frances prowadzi stronę na Facebooku, jest również informacja na tablicy ogłoszeń kościoła świętego Augustyna, a także na stronie internetowej parafii – jednak nie zawsze zostaje na dłużej. Spotkania grupowe, a już zwłaszcza spotkania tej grupy, nie są dla każdego.

Dzisiaj akurat jest nowa osoba. Frances przedstawia ją jako Jamie – bez nazwiska, a w każdym razie jeszcze nie teraz. Kiedy Marin wchodzi na zaplecze, od razu stwierdza na podstawie mowy ciała Jamie, że jakakolwiek jest jej sytuacja, to na pewno świeża sprawa. Podpuchnięte

oczy, zapadnięte policzki, wilgotne włosy – prawdopodobnie przed wyjściem z domu zmusiła się do wzięcia prysznic. Ubrania wiszą na niej, jakby niedawno schudła. Trudno powiedzieć, ile może mieć lat, ale Marin zgaduje, że jest pod czterdziestkę. Na podłodze obok niej stoi torebka Coach, jej stopy w sandałach Michaela Kors'a podrygują nerwowo. Wygląda na kobietę, która zwykle ma zrobiony pedikiur, ale nie teraz. Paznokcie u nóg ma długie, niepomalowane.

Marin wita się ze wszystkimi. Zanim usiądzie, wybiera pieczoną kokosową oponkę i wymienia znaczące spojrzenie z Simonem. To zawsze ciekawe, jak długo wytrwa nowa osoba. Wiele z nich nie wytrzymuje nawet do końca pierwszego spotkania. Rzeczywistość takiego życia to dla nich zbyt wiele.

Poczucie winy ich przerasta.

– Kto chce zacząć? – pyta Frances, rozglądając się po pokoju.

Jamie opuszcza głowę. Lila odchrząkuje i wszyscy nieznacznie zwracają się w jej stronę, udzielając jej głosu.

– Między Kyle'em a mną nie jest najlepiej. – Lila wydaje się chudsza, niż kiedy Marin widziała ją ostatnio. Worki pod oczami stały się jeszcze bardziej wyraźne. Ma na sobie džinsy i gruby, robiony ścięciem warkoczowym sweter z ogromną, ozdobioną cekinami maliną na piersi. Lila lubi nosić „kiczowate ubrania” ze względu na swoich małych pacjentów w gabinecie dentystycznym. Jej staroświecki lukrowany pączek leży nietknięty, natomiast zawzięcie żłopie kawę. Szminka jej się starła, odsłaniając spierzchnięte wargi.

– Nie wiem, jak długo jeszcze zdołamy udawać, że wszystko jest w porządku. Bez przerwy się kłócimy i te kłótnie są straszne. Wrzaski, walenie w ściany, tłuczenie naczyń. On nienawidzi tego, że tu przychodzę. Mówi, że rozpamiętuję. – Lila patrzy na twarze zebranych, widać, że jest skrajnie wyczerpana. – Myślicie, że to właśnie tutaj robimy? Rozpamiętujemy?

Oczywiście, że tak. Ale Marin tego nie mówi, bo żadne z nich nie chce tego usłyszeć.

Simon pochłania drugiego pączka, a Marin przewiduje, że zanim stąd wyjdzie, sięgnie jeszcze po trzeciego. Od rozstania z Lyndsay utył, wszystko weszło mu w brzuch i twarz, więc żeby ukryć podwójny podbródek, zaczął zapuszczać brodę. Na głowie ma płataninę kręconych kosmyków. W salonie Marin mogłaby zrobić kilka rzeczy, żeby poprawić mu fryzurę, nie wie

jednak, w jaki sposób zaproponować swoje usługi, żeby nie wyszło głupio. Podejrzewa, że oni i tak uważają ją za snobkę, a to, że ma dziś na sobie sukienkę Chanel, w której była w pracy, raczej nie zmieni tej opinii.

– Co z tego, jeśli nawet „rozpamiętujemy”? – obrusza się Simon. – Musimy dać temu upust. Tym wszystkim myślom. Wątpliwościom. Co mamy z nimi zrobić, jeśli nie przyniesiemy ich tutaj? – Dojada pączka i wyciera ręce w dzinsy. – Lindsay uważała pod koniec, że to nie było dla niej zdrowe. Chciała przestać o tym myśleć, przestać o tym mówić. Mówiła, że czasami po grupie czuła się gorzej, bo samą swoją obecnością przypominaliście jej, że szczęśliwe zakończenie prawdopodobnie nigdy nie nastąpi.

Wszyscy zgodnie wzdychają. Choć trudno tego słuchać, Lindsay ma rację. Tak to już jest z grupą wsparcia dla rodziców zaginionych dzieci. Jeśli jesteś jedną z tych niewielu osób, których dziecko zostaje w końcu odnalezione, przestajesz tu przychodzić. Żywe czy martwe, twoje dziecko nie jest już zaginione, więc jakiegokolwiek wsparcia możesz teraz potrzebować, to już nie takiego. Nie od nich. Zerwanie z grupą jest nieuniknione i zawsze działa w dwie strony, szczególnie jeśli twoje dziecko nie żyje. Nikt w grupie nie chce o tym słuchać.

A jeśli, jakimś cudem, twoje dziecko żyje, i tak przestajesz przychodzić, bo nie chcesz, by inni rodzice przypominali ci o przeżytych koszmarze, w którym oni nadal pogrążeni są każdego dnia.

Małżeństwo Lili i Kyle’a przeżywało problemy, odkąd Marin zaczęła przychodzić na spotkania grupy. Współczynnik rozwodów wśród par, którym zaginęły dzieci? Bardzo wysoki. Lila i jej mąż przynajmniej wciąż się kłóca. Marin i Derek nie. Jeśli się na kogoś wydzierasz, to choć trochę ci na nim zależy, a gdy on odpowiada wrzaskami, to oznacza, że i jemu zależy na tobie.

– Ostatnio mnóstwo czasu spędza z kimś, kogo poznał na konferencji stomatologicznej parę miesięcy temu – wypala Lila. Krew napływa jej do twarzy, barwiąc policzki na ten sam odcień, co malina na jej swetrze. – To kobieta. On twierdzi, że są tylko przyjaciółmi, ale umawiają się na kawę i na lunche, a kiedy spytałam, czy mogę ją poznać, zaczął zachowywać się defensywnie i powiedział, że chyba może mieć przyjaciół, którzy nie są jednocześnie moimi przyjaciółmi. Ale ja myślę... myślę, że on mnie zdradza.

Zapada cisza.

– Nie, jestem pewny, że nie – mówi wreszcie Simon. Ktoś musiał coś powiedzieć, a Simon prawie zawsze odzywa się pierwszy, bo długie milczenie sprawia, że czuje się niezręcznie.

– Skarbie, on cię kocha – podchwytuje Frances, lecz nie brzmi to przekonująco.

Jamie milczy. Wciąż siedzi ze spuszczoną głową, nawijając na palec kosmyk wilgotnych włosów.

Rozlega się kolejne przeciągłe westchnienie, a kiedy wszyscy odwracają się w jej stronę, Marin uświadamia sobie, że to ona tak głośno wypuściła powietrze.

– Może rzeczywiście cię zdradza – mówi. Simon i Frances rzucają jej ostre spojrzenia. Marin ma to gdzieś. Nie będzie wciskała Lili kitu, okłamywała jej i mówiła rzeczy, w które sama nie wierzy, tylko po to, żeby tamta poczuła się lepiej. Dziecko Lili zaginęło. Mogą przynajmniej nie odbierać jej tego, co wie, że wie. – Ty znasz Kyle’a lepiej niż ktokolwiek inny. Jeśli twoja intuicja mówi ci, że cię zdradza, nie powinnaś tego lekceważyć.

Po policzku Lili spływa ogromna łza. Frances podaje jej chusteczkę.

– Powinnaś była się zorientować, że coś się szykuje – mówi Lila. – Kyle nie znosi zawierać nowych znajomości. Ja też nie. Sami wiecie, jak to jest, kiedy się rozmawia z kimś nowym.

Wszyscy kiwają głowami, łącznie z Jamie. Wiedzą aż za dobrze. Nowi znajomi są najgorsi. Nie znają twojej przeszłości, więc z miejsca stajesz przed koniecznością wyboru: wolisz udawać, że wszystko jest normalnie i twoje dziecko nie zaginęło, co jest wyczerpujące, czy decydujesz się o tym opowiedzieć, co także jest wyczerpujące. Nie ma złotego środka i każdy wybór jest do bani.

Lila przesadziła z kofeiną. Marin poznaje to po tym, jak jej noga podskakuje w górę i w dół.

– Nie mam dowodu. To tylko przeczucie.

– Zamierzasz go o to spytać? – pyta Marin łagodnie.

– Nie wiem. – Lila trzyma kciuk w ustach i obgryza paznokiec z takim zapałem, jak szczeniak kość. – Nie wiem, co robić. Nie wiem, czy w ogóle mogę być na niego zła. Nie uprawialiśmy seksu od dwóch lat. Cholera, może od trzech, nawet nie pamiętam ostatniego razu. Jeśli o tym wspomnę, będzie się wypierał. I zaczniemy się kłócić. Boże, mam już dość tych awantur.

– Jesteście małżeństwem – mówi Frances ostro. – Seks z kimś innym nigdy nie jest częścią umowy, nieważne, jak dużo czasu minęło.

– Mężczyźni mają jednak swoje potrzeby – odzywa się Simon.

– Nie bądź dupkiem. – Frances wyciąga rękę i kuksa go w udo. Marin cieszy się z tego, bo inaczej ona by mu przyłożyła.

– Nie zwracaj uwagi na Simona – mówi do Lili. – Bez względu na to, jakie potrzeby mają faceci, to, co robi Kyle, nie jest w porządku. Ale nie musisz poruszać tego tematu, dopóki nie będziesz gotowa.

– A jeśli nigdy nie będę gotowa? – Lili łyzy napływają do oczu. – Jeśli chcę schować głowę w piasek i wcale się z tym nie mierzyć? Wicie, i bez tego mam dość problemów.

– Jeśli sądzisz, że on cię zdradza, powinnaś go zostawić – stwierdza Frances bez ogródek. – Kto raz zdradzi, będzie zdradzał już zawsze.

– Ale my razem pracujemy. – Łzy płyną teraz na dobre, żłobiąc ślady w podkładzie i wyblakłym różu. Lili je ociera, co jeszcze pogarsza sprawę. – Mamy dwoje dzieci. To nie takie proste, Frances.

– Mówię tylko, że nie powinnaś być żoną kogoś, kto cię zdradza. – Frances krzyżuje ręce na piersi jak zawsze, gdy jest przekonana o swojej racji. – Będzie ci lepiej samej. Nie chcę urazić naszego słodkiego Simona, ale już dawno temu rozkminiłam, jak ułożyć sobie życie bez faceta.

Taaa, tylko co to za życie? Lila i Marin wymieniają ukradkowe spojrzenia, obie myślą to samo. Frances ma grupę wsparcia i pączkarnię, i to by było tyle.

– A jeśli ja nie chcę układać sobie życia na nowo? – Kciuk znów wędruje do ust Lili. – Jeśli nie chcę niczego zmieniać? Jeśli dla mnie to jest... wystarczająco dobre? Jeśli nie zasługuję na nic więcej?

– Bzdura – prycha Simon, lecz jego zrezygnowana mina nie idzie w parze ze stanowczością tonu.

Frances nie ma nic do dodania i, szczerze powiedziawszy, Marin też nie. Jest zbyt zmęczona, żeby wygłaszać gadki motywacyjne, i nie ma energii, by przekonywać Lili do czegoś, do czego nie zdołała przekonać samej siebie. Wszyscy doskonale rozumieją, co miała na myśli. Wszyscy tu obecni codziennie żyją z brzemieniem tego, co zrobili: nie ochronili swoich dzieci. A jako rodzice są, kurwa, przede wszystkim zobowiązani właśnie do tego.

A więc nie, oni nie zasługują na dobre życie. Nie, jeśli ich dzieci nie są bezpieczne.

– Bądź dla siebie dobra. – Marin nie potrafi wymyślić niczego lepszego i krzywi się, słysząc własne słowa. Są takie wyświechtane, takie płytkie. Powinna wiedzieć lepiej i nie wypluwać banałów wziętych prosto z motywującego mema, bo Lila natychmiast na nią naskakuje.

– Och, tak jak ty? – rzuca, a Marin mruga. – A dlaczego ty tkwisz w tym twoim gównianym małżeństwie? Ty i Derek prawie ze sobą nie rozmawiacie. Kiedy ostatnio uprawialiście seks? A ty... – przenosi piorunujące spojrzenie na Frances – nie masz męża od czasów epoki kamienia łupanego, a wszyscy, z którymi w ogóle gadasz, siedzą teraz w tej pączkarni. Nie jesteś najlepszym przykładem tego, jak chciałabym, żeby wyglądało moje życie za dwadzieścia lat.

– Lila, daj spokój – odzywa się Simon, sięgając po kolejnego pączka. To jego trzeci, według rachuby Marin. – To nie było miłe.

– A tobie co przyszło z tego całego „miłego”? – Lila mówi coraz głośniej. – Dokąd zaprowadziło cię bycie miłym, co Simon? Żona cię zostawiła i od tych wszystkich pączków, które pochłaniasz, kiedy tu przychodzisz, przytyłeś z dziesięć kilo. – Odwraca się do Jamie, która jakby kuli się pod jej spojrzeniem. – Jesteś pewna, że chcesz tu być? Bo teraz to także twoje życie i masz jeszcze czas, żeby wrócić do wypierania rzeczywistości, jeśli tego ci trzeba.

– Hej! – Marin też podnosi głos. Dogryzanie jej i Frances to jedno, one to zniosą, ale Simon jest dużo bardziej wrażliwy, a kiedy zaczyna płakać, co niedługo nastąpi, wszyscy czują się okropnie. A nowa osoba nigdy, przenigdy, nie powinna stać się obiektem takich ataków. – Rozumiem, że jesteś wkurzona, ale przestań się na nas wyzywać. Wszyscy jesteśmy po twojej stronie.

– Ale ja nie chcę być po tej stronie. – Głos Lili drży. Podobnie jak ręce. – Nie chcę tu być, po tej stronie, razem z wami. Nie rozumiecie? Nie chcę, żeby moje życie było takie. I naprawdę nie potrzebuję wysłuchiwać tego od ciebie Marin, bo jeśli Derek jeszcze cię nie zdradza, to na pewno w końcu zacznie. Mężczyźni już tacy są.

– Hola! Hola! – Simon unosi pulchne ręce. Marin nigdy nie słyszała, żeby mówił tak głośno. – Zróbmy sobie małą przerwę, moje panie.

– Och, wal się z tymi twoimi „paniami”. – Frances wstaje. Za jakąś minutę będzie musiała zapalić. – Lila, skarbie, możesz się godzić z losem albo nie, ale, na litość boską, przestań się na nas wydzierać. Mówię tylko, że masz wybór, okej? I masz prawo dokonać go samodzielnie. Ale

pozostając w małżeństwie ze zdradzającym cię mężem, dlatego że obwiniasz się o to, że twój syn został uprowadzony, karzesz samą siebie i twoje pozostałe dzieci. To, co się stało z Devonem, to nie twoja wina.

– Spóźniłam się po niego. – Lili łamie się głos. – Spóźniłam się. Gdybym przyszła w porę, jego ojciec nie mógłby go zabrać i mój syn byłby teraz bezpieczny ze mną w domu.

– No tak, ale nauczyciele w żadnym wypadku nie powinni byli go puścić.

– Frances jest wzburzona. Klepie się po kieszeniach, szukając paczki papierosów.

Simon kończy trzeciego pączka i znów wyciera o dzinsy lukier z palców.

– Ale ja się spóźniłam – powtarza Lila. – Spóźniłam się i to moja wina.

– Tak, nie było cię tam, kiedy Devon został zabrany – przyznaje Marin cicho. – Ale kiedy porwano Sebastiana, ja przy nim byłam. Byłam tam.

– Marin, Sebastian miał cztery latka. Dzieci oddalają się od rodziców – tłumaczy Simon znużonym głosem, który idealnie pasuje do jego wyglądu.

– W dziewięćdziesięciu dziewięciu i dziewięciu dziesiątych procenta przypadków gubią się i odnajdują. To nie była twoja wina. Zniknął, bo ktoś go uprowadził. Porywacz.

Odwraca się do Lili, która krzyczy w milczeniu.

– A twój były też jest porywaczem. Sądziłaś, że Devon będzie w szkole bezpieczny, bo zadaniem szkoły było zapewnienie mu bezpieczeństwa. I był bezpieczny aż do tamtego dnia. Twoje spóźnienie niczego nie zmieniło. Gdybyś wtedy pojawiła się punktualnie, jego ojciec porwałby go kiedy indziej.

Przez kilka sekund wszyscy siedzą w milczeniu.

Marin zerka na Jamie, która w żaden sposób nie zareagowała na to, co zostało do tej pory powiedziane. Marin zastanawia się, jaki koktajl antydepresantów zażyła nowa członkini grupy.

– Dziesięć minut przerwy – ogłasza Frances i zanim ktokolwiek zdąży coś powiedzieć, wychodzi tylnymi drzwiami i znika z paczką papierosów w rękę.

Simon idzie do męskiej toalety. Lila, pociągając nosem, przemyka do damskiej. Marin też musi skorzystać z toalety, ale jest tylko jedna damska, a Marin wie, że Lila chce побыć trochę sama, żeby się pozbierać. Jamie wstaje i się przeciąga, po czym podchodzi do stołu z pączkami, zastanawia się chwilę i wybiera podłużnego z syropem klonowym. Czy to będzie jej

ulubiony? – zastanawia się Marin. Czy w ogóle wytrzyma z nimi na tyle długo, by mieć ulubionego pączka?

Bo ta grupa jest straszna. Zaraz, jak to określił Sal? Ano tak, „samobiczowanie”.

Simon ma rację co do porywaczy. Kiedy Sebastian miał zaledwie trzy latka, w weekend czwartego lipca odbiegł od niej w parku rozrywki Wonderland. Po najdłuższych na świecie pięciu minutach przyprowadził go obcy mężczyzna. Bo ten mężczyzna zobaczył, że mały chłopczyk zgubił się w tłumie i postanowił pomóc mu odnaleźć mamę. Bo ten mężczyzna nie był porywaczem ani pedofilem czy mordercą.

Natomiast obcy człowiek, który uprowadził Sebastiana, był porywaczem. Bez względu na to, czy ta osoba zobaczyła, że Sebastian oddalił się od mamy i uznała, że to znakomita okazja, by porwać dziecko, czy też zaplanowała to zawczasu, była porywaczem, ponieważ nie zaprowadziła Sebastiana do mamy. Na tym właśnie polega różnica.

Po prawie szesnastu miesiącach Marin nadal trudno to pojąć. Sebastian miał tylko cztery lata, ale był bystrym chłopcem. Oboje, Marin i Derek, wielokrotnie mówili mu o niebezpieczeństwie związanym z rozmawianiem z obcymi, o tym, żeby nie przyjmował zabawek, jedzenia ani żadnych podarunków od kogokolwiek, nie zapytawszy najpierw mamy albo taty. Uczył się o tym w przedszkolu, rozmawiali o tym w domu.

Ale to był przecież Święty Mikołaj. Dzieciom się powtarza, że mają kochać Mikołaja, rozmawiać z nim, nawet jeśli są onieśmielone albo trochę się boją, siadać na kolanach cholernemu rubasznemu krasnalowi i mówić mu, co chcą dostać na Gwiazdkę. W zamian otrzymują cukrową laseczkę. Są nagradzane za to, że zaufały obcemu facetowi.

Kiedy Lila do nich wraca, ma czerwone i podpuchnięte oczy, ale jest spokojna. Idąc po dolewkę kawy, ściska ramię Marin, co jest formą przeprosin. Marin uśmiecha się do niej, dając do zrozumienia, że przeprosiny zostały przyjęte. Obie znają swoje milczące gesty, powtarzają je co miesiąc.

Kiedy Marin wraca z łazienki, Frances już siedzi na swoim miejscu i zaczyna opowiadać o koszmarach sennych związanych z Thomasem. Mówiła już o nich na ostatnich paru spotkaniach. Wygląda na to, że są coraz gorsze, sprawiają, że budzi się w nocy, jęcząc, zlana potem, ze ściśniętym żołądkiem.

– Widziałam go zeszłej nocy i wyglądał tak, jakby ktoś zbił mu na miazgę pół twarzy. – Frances dygocze, opowiadając swój sen. – Gałka oczna zwisała z oczodołu, kość policzkowa była odsłonięta, jakby został obdarty ze skóry...

– Frances... – Lila zamyka oczy, ale Simon ją ucisza. Jamie pochyla się do przodu, wyraźnie zafascynowana.

– ...i wyciągnął do mnie rękę, a ja chwyciłam jego dłoń, która była zupełnie zimna. – Twarz Frances się wykrzywia, co wprawia pozostałych w przerażenie. Zazwyczaj Frances przyjmuje wszystko ze stoickim spokojem, rzadko kiedy okazuje jakiegokolwiek emocje, a co dopiero rozpacz. – Czuję... czuję, że on próbuje mi powiedzieć, że nie żyje. I że powinnam pozwolić mu odejść.

– Frances – mówi znowu Lila ledwie słyszalnie, powoli. – Frances, nie. No i proszę. Niedługo stracą Frances.

Nadzieja utrzymuje się przez pewien czas, ale kiedyś się wyczerpuje. To błogosławieństwo i przekleństwo zarazem. Bywa, że to wszystko, co człowiekowi zostaje. Trzyma się nadziei i dzięki temu wciąż jakoś ciągnie, gdy wszystko inne zawodzi.

Jednak nadzieja może także być potworna. Sprawia, że wciąż pragniesz, czekasz, wypatrujesz czegoś, co być może nigdy nie nastąpi. Jest jak szklana ściana pomiędzy tym, gdzie jesteś teraz, a tym, gdzie chcesz się znaleźć. Widzisz życie, którego pragniesz, ale nie możesz go mieć. Jesteś rybką w akwarium.

– Czekałam dziewięć lat. – Głos Frances drży. – Nie ma podstaw, by sądzić, że Thomas kiedykolwiek wróci. Może naprawdę uciekł. Ale nawet jeśli zdołałabym pogodzić się z tym, że odszedł z własnego wyboru, nie byłby silnym dzieckiem. Skończył zaledwie piętnaście lat. Nie miał dość sprytu, żeby poradzić sobie na ulicy. Nie przetrwałby tyle czasu na własną rękę.

Frances oddycha ciężko. Oczy ma suche, ale gdyby płaczu nie definiowało się obecnością łez, można by śmiało powiedzieć, że Frances płacze.

– I zadzwoniłby do mnie. Dałby mi znać, że nic mu nie jest. Miałby teraz dwadzieścia cztery lata. Dwadzieścia cztery! W moich snach wciąż ma piętnaście. Nigdy nie dorósł. Nie wiem, jak długo jeszcze mogę... mogę...

Lila podrywa się z krzesła i przypada do Frances, zanim zrobi to Marin. Mocno przytula szlochającą bez łez kobietę. Marin otacza je obie ramionami. Czuję z tyłu Simona, ale kiedy ogląda się za siebie, stwierdza,

że to nie Simon, tylko Jamie, ta nowa, która roni bezgłośnie łzy, będące wyrazem jej udręki i solidarności. Simon dołącza do nich kilka sekund później.

Ostateczne pogodzenie się z losem jest trudne bez względu na to, czy otrzymuje się potwierdzoną informację, czy dochodzi do tego samego. Ale może teraz rana Frances wreszcie zacznie się goić.

Gdy przestają się obejmować, Marin napotyka spojrzenie Simona. Wie, o czym on myśli. Będą musieli poszukać nowego lokum dla tej swojej głupiej, bezsensownej, tak zwanej grupy wsparcia. Kiedy kilka minut później spotkanie się kończy, wszyscy czworo żegnają się z Frances i wychodzą na zewnątrz. Jamie zaparkowała obok Marin i teraz równocześnie klikają, żeby odblokować zamki.

– To było okropne, co? – zagaduje ją Marin. To spotkanie raczej nie było idealnym pierwszym doświadczeniem dla kogoś nowego i wcale by się nie zdziwiła, gdyby już nigdy tej kobiety nie zobaczyła.

– Tak. – Głos Jamie jest delikatniejszy, niż Marin się spodziewała, prawie dziecinny. – „Okropne” to właściwe słowo. Ale wiesz co? Czuję się o wiele lepiej. Do zobaczenia za miesiąc.

Kiedy wsiadają do samochodów, Marin uświadamia sobie, nie po raz pierwszy zresztą, że czasem tylko cudze cierpienie może sprawić, że twoje własne staje się mniej dotkliwe.

4

E-mail od prywatnej detektyw sprawia, że Marin zamiera.

Przez siedem sekund nie jest w stanie się poruszyć, nie może oddychać. Właśnie wyszła spod prysznic. Kiedy pochyła się i wpatruje w imię i nazwisko Vanessy Castro na ekranie telefonu, woda kapie z jej włosów na marmurowy blat toaletki. E-mail nie ma tematu.

Marin wie, że minęło siedem sekund, ponieważ liczy. Kiedy dociera do pięciu, uświadamia sobie, że Vanessa Castro nie przysłałaby e-maila, gdyby miała złe wieści. Kiedy dociera do siedmiu, wypuszcza powietrze, klika w wiadomość i czyta. To tylko dwa zdania:

Witam, znalazłabyś chwilę, żeby się ze mną spotkać dziś rano? Będę w biurze od dziesiątej.

Chce się spotkać? O Boże! Jakiegokolwiek okropne informacje zdobyła detektyw, chce je przekazać Marin osobiście.

Nie istnieje protokół dotyczący tego, w jaki sposób Marin ma poznać los Sebastiana, jeśli w ogóle kiedykolwiek to się zdarzy. Nigdy o tym nie rozmawiały. Vanessa Castro zapewniła ją jedynie – i to właściwie mimochodem – że jeśli odkryje coś istotnego, natychmiast do Marin zadzwoni.

Marin odpisuje drżącymi palcami:

Przyjadę. – MM

Czterysta osiemdziesiąt sześć dni. Czy to dziś ma być ten dzień?

To niemożliwe. Umówiły się na dziesiątą, a jest dopiero wpół do dziewiątej. Gdyby detektyw zamierzała poinformować Marin, że jej syn nie żyje, z pewnością nie kazałaby jej czekać na tę wiadomość dziewięćdziesiąt minut.

Choć z drugiej strony może mogłaby to zrobić. Może tak to się właśnie odbywa? Jeśli jej syn nie żyje, jakie to ma znaczenie, czy dowie się o tym teraz, czy za półtorej godziny?

Marin szykuje się do wyjścia, starając się zająć umysł innymi sprawami. Przed opuszczeniem pokoju sprząta. Dzisiaj jest dzień Danieli, nie oznacza to jednak, że biedna kobieta ma podnosić z podłogi ubrania albo ścielić

łóżko. To ostatnie akurat nie zajmuje wiele czasu: po stronie Dereka pościel wciąż jest gładka. Poprawiając odruchowo poduszkę, której wcale nie trzeba poprawiać, Marin uświadamia sobie, że nie ma pojęcia, o której mąż wróci wieczorem z podróży służbowej. Nie sprecyzował tego w krótkim esemesie z wczoraj. Swoją drogą ona o to nie zapytała. On nie zaproponował, że zjedzą razem kolację. Ona nie zaproponowała, że coś ugotuje.

Oto, kim teraz są. Żyją równolegle, na ogół obok siebie, lecz ich ścieżki nigdy się nie zbiegają.

Mijając pokój Sebastiana, dotyka drzwi. Tylko przez sekundę, jak każdego dnia. Daniela nie wolno tam sprzątać.

Dziś rano Marin łatwiej było wstać z łóżka. Po grupie zawsze dobrze śpi, a po powrocie do domu nic nie pija. Patrząc tego ranka w lustro, widzi różnicę: oczy nie są przekrwione ani podkrążone, a twarz opuchnięta. To mógłby być całkiem dobry początek dnia, gdyby nie e-mail od Castro.

Marin schodzi na dół do kuchni, żeby włączyć ekspres do kawy. Mają luksusowy, marki Breville, w którym wystarczy wcisnąć guzik, żeby ze świeżo mielonych ziaren zaparzyć wszystko, od cappuccino po latte. Siada na stołku przy kuchennej wyspie i czekając na kawę, sprawdza plan dnia na dziś. Na liście kontaktów znajduje numer telefonu i wybiera „połącz”. Po dwóch dzwonekach włącza się poczta głosowa, tak jak zawsze. On nigdy nie odbiera.

– Dzień dobry, doktorze Chen, tu Marin Machado – mówi Marin po sygnale. Głos ma trochę ochrypliwy, bo to pierwsze słowa, które wypowiada tego ranka. – Wskoczyło mi coś pilnego, co ma związek z moim synem, więc nie będę mogła dziś do pana przyjść. Rozumiem, że będę musiała zapłacić za wizytę, ponieważ odwołuję w ostatniej chwili, i oczywiście to zrobię. Dziękuję. – Zastanawia się chwilę, czy powinna wspomnieć o przełożeniu wizyty na inny termin, ale ostatecznie uznaje, że nie. Rozłącza się. Zawsze może zadzwonić później, na razie jednak nie jest pewna, czy chce się jeszcze kiedykolwiek spotkać ze swoim terapeutą.

Marin nie ma nic do zarzucenia doktorowi Chenowi. Jest w porządku. Spokojny, łagodny, wyrozumiały, potrafi pocieszyć, dobrze się z nim rozmawia, ma wszystkie cechy, które powinien mieć taki lekarz. Terapia jest jednak ciężka. Trzeba wykonać pracę nad sobą i włożyć w to mnóstwo wysiłku, zanim zacznie przynosić efekty. A na ostatniej sesji doszło do... konfliktu.

Marin wreszcie wyznała doktorowi Chenowi swój sekret.

Poszła na sesję z założeniem, że mu go wyjawia, po części dlatego że naprawdę chciała o tym porozmawiać. To było coś, o czym nie ośmieliła się powiedzieć nikomu. Przede wszystkim jednak sprawdzała go, obserwowała jego reakcję, żeby się przekonać, czy „pozwoli” jej nadal to robić, czy będzie próbował ją powstrzymać.

Kiedy wreszcie wypowiedziała te słowa na głos, na neutralnej zazwyczaj twarzy doktora Chena odmalowało się zaskoczenie, które szybko zamieniło się w zatroskanie. Mimo to chwilę trwało, zanim przemówił, a kiedy to zrobił, jego ton był łagodny, lecz stanowczy. Powiedział dokładnie to, czego spodziewała się Marin. I może dlatego właśnie mu to wyznała. Żeby jej powiedział, że to jest złe. Żeby zakazał jej to robić.

– Marin, to, co mi powiedziałaś, nie jest produktywnie. – Głos doktora Chena był opanowany, lecz dało się wyczuć zaniepokojenie. Chociażby po mowie jego ciała, które stało się bardziej usztywnione niż chwilę wcześniej. – To nie jest dla ciebie zdrowe. Prawdę mówiąc, uważam, że powinnaś z tym skończyć. Natychmiast.

– Nie robię tego co wieczór. Nawet nie co tydzień. Tylko... kiedy nie mogę przestać o nim myśleć. Kiedy nie mogę przestać się martwić.

– Rozumiem. Ale to nie jest właściwe rozwiązanie. – Doktor Chen pochylił się do przodu. Robił to tylko wtedy, gdy czuł się zmuszony dobitnie coś podkreślić. – To... bardzo niewłaściwe. Obawiam się, że takie postępowanie nasili twoje myśli o samookaleczeniu. Nie wspominając o tym – dodał w ten swój irytująco spokojny sposób, opadając na oparcie fotela – że to nielegalne. Mogłabyś wpaść w poważne kłopoty. Mogłabyś zostać aresztowana.

Wiedziała, że to powie. Po prostu musiała to usłyszeć. Broniła się, coraz bardziej podnosząc głos, podczas gdy jego ton pozostawał niezmienny, aż jej czas dobiegł końca. Frustracja doktora była jednak oczywista. Terapeuci nie są impregnowani na emocje.

Po nagraniu wiadomości doktorowi Chenowi Marin napisała esemesa do Sadie: Nie przyjdę jednak do pracy dziś rano. Przepraszam, wiem, że obiecałam przejrzeć z Tobą te umowy z dostawcą.

Nie ma sprawy, odpowiada Sadie. Wszystko w porządku?

Nie jestem pewna, odpisuje zgodnie z prawdą. Mam spotkanie z panią detektyw.

Tu następuje przerwa, a Marin patrzy, jak w poprzek ekranu skaczą trzy kropki, podczas gdy Sadie pisze odpowiedź. Nie będzie zadawała żadnych pytań, nigdy tego nie robi, ale pewnie wyczuwa zdenerwowanie Marin. Sadie nie tylko prowadzi jej salony, jest także bliską przyjaciółką. Wreszcie przychodzi odpowiedź, jest słodka i zwięzła, tak jak Marin się spodziewała:

Rozumiem. Jestem do dyspozycji, gdybyś czegoś potrzebowała. Buziaki.

Marin nie wie, co by zrobiła bez Sadie.

Kiedy miesiąc po zaginięciu Sebastiana FBI poinformowało, że poszukiwania ich syna nadal będą „w toku”, ale że na razie nie ma żadnych nowych tropów (zawołowany sposób, by powiedzieć, że śledztwo utknęło w martwym punkcie i je zawieszają), to było tak, jakby znów straciła dziecko.

I Marin nie zniosła tego dobrze. Wcale.

Tydzień później została wypisana ze szpitala i pierwszą rzeczą, jaką zrobiła, był telefon do prywatnej detektyw. Wizytówkę Vanessy Castro miała już od jakiegoś czasu, co najmniej od paru tygodni. Castro zostawiła ją w plastikowej miseczce koło recepcji w salonie w centrum, kiedy jakiś czas wcześniej przysłała na pedicure. Co miesiąc salony organizują losowanie darmowej usługi, jednak wizytówka Vanessy Castro nie zwyciężyła. Marin zauważyła ją, tylko dlatego że zahaczyła rękawem o brzeg miseczki i ją przewróciła, wysypując wszystkie wizytówki na podłogę.

W wizytówce Castro nie było nic szczególnie interesującego – Isaac & Castro widniało na środku prostym drukiem, na niebiesko, a poniżej mniejszą czcionką: Vanessa Castro, prywatny detektyw – lecz z kilkadziesiątu tekturek leżących na terakocie tylko ta wylądowała napisem do góry. Może Marin miała zobaczyć właśnie tę? Wszechświat jest pod tym względem dziwny.

Sebastian zaginął dwa tygodnie wcześniej. Marin schowała wizytówkę do kieszeni, a później, kiedy wypisano ją z oddziału psychiatrycznego, zadzwoniła.

Oboje, Castro i jej partner, byli kiedyś policjantami. Ona specjalizuje się w odnajdywaniu zaginionych dzieci i wyrobiła sobie markę, ponieważ szuka w miejscach, do których policja nie ma dostępu. Ma niekonwencjonalne metody, jest trochę buntowniczką. Pozornie babka z klasą, lecz nie boi się ubrudzić sobie rąk. Jest także nedorzecznie droga. Kiedy spotkały się po raz pierwszy, od razu zaproponowała, żeby mówiły

sobie po imieniu, jednak Marin jakoś nie mogła się przemóc – nie były koleżankami i to nie był niedzielny brunch.

Marin zatrudniła tę kobietę, żeby odnalazła jej syna. Nie mogła żyć z myślą, że nikt go nie szuka. Ktoś musi to robić przez cały czas.

Kością niezgody między Marin a policją – później zaś FBI – było to, czy porywacz Sebastiana znał go wcześniej. Oni nie znaleźli żadnych poszlak, które świadczyłyby o tym, że ta osoba należała do przyjaciół czy znajomych rodziny, i powoływali się na statystyki mówiące, że porwania przez obcych ludzi są „nieliczne, lecz znaczące”. Uważali, że strój Mikołaja wskazywał na to, iż ten ktoś zamierzał porwać dziecko – być może jakiegokolwiek – w zatłoczonym, ruchliwym miejscu, ponieważ małym dzieciom nic i nikt tak nie kojarzy się z Bożym Narodzeniem, jak właśnie Święty Mikołaj. Nawet dziecko, które odruchowo nie ufa dorosłym, mogłoby zostać zwabione przez czerwoną kaptotę i białą brodę. Jeśli zaś chodzi o lizaka, Marin i Sebastian byli niedaleko sklepu ze słodyczami. Ktoś, kto zamierzał go porwać, mógł podsłuchać ich rozmowę.

Marin miała inne zdanie. Choć gotowa była przyznać, że Sebastian był z natury otwarty – i na ogół ufał dorosłym – nigdy nie pozwoliłby odciągnąć się od mamy, nawet za siebie nie spojrzawszy. I skąd „Mikołaj” miałby wiedzieć, że chłopiec lubi akurat takiego lizaka? Marin oglądała ziarniste nagranie z tysiąc razy. Zna swojego synka lepiej niż ktokolwiek na ziemi. Kochał Świętego Mikołaja, ale jego realna obecność go onieśmiałała. Na pewno choć spojrzalby na Marin, żeby się upewnić, czy może dokądś z nim pójść.

Chyba że to był ktoś, kogo znał.

Wszyscy, z którymi Marin i Derek mieli jakiegokolwiek kontakty w życiu osobistym, zostali jednak przesłuchani. Wszyscy. A każde alibi potwierdzone. Bez wyjątku. A przez ostatni rok Castro wykonała ponownie, i to z nadwyżką, całą robotę, którą wcześniej odwaliło FBI.

Podczas ich ostatniego spotkania przed miesiącem Marin poprosiła ją, żeby poszerzyła zakres poszukiwań i przyjrzała się pracownikom Dereka, a także pracownikom i klientkom jej salonu. Na początku grudnia firma Dereka wydaje świąteczne przyjęcie dla rodzin pracowników, a Marin, w ramach podziękowania dla stałych klientów, organizuje latem grilla. Każdy, kto był na jednej z tych imprez, poznał Sebastiana. Marin chciała, żeby Castro sprawdziła poszczególne osoby, więc ta zaczęła od pracowników najbliższej związanych z Derekiem i Marin.

Marin nagle zamiera. A jeśli to Sadie porwała Sebastiana? Może detektyw Castro to właśnie zamierza jej powiedzieć?

Przeszło jej to przez myśl po raz pierwszy i Marin parska śmiechem w cichej kuchni. Co za absurd. Oczywiście, że to nie ona. Poza tym ta kobieta dopiero co urodziła własne dziecko. Po co miałyby zabierać synka Marin?

Marin nalewa kawy do naczynia z logo swojego salonu. Sprzedają te wielkie różowo-złote kubki we wszystkich trzech punktach za sześćdziesiąt pięć dolarów, co jest horrendalną ceną za zwykły kubek do kawy, jednak klientki kupują je regularnie dla siebie i na prezenty. Czasami Marin nalewa do kubka wina. Ale nie dzisiaj.

Wsiada do samochodu, zastanawiając się, czy powinna zadzwonić do Dereka do Portland, żeby uprzedzić go o możliwych złych wieściach. Pomimo emocjonalnego dystansu między nimi nie miałyby nic przeciwko temu, żeby usłyszeć teraz jego głos, zawsze taki krzepiący i praktyczny. Na pewno przypomniaby jej, że Vanessa Castro jest byłą policjantką i profesjonalną prywatną detektyw, która, gdyby miała ważne informacje dotyczące Sebastiana, natychmiast by się nimi podzieliła i nie kazałaby jej czekać na spotkanie twarzą w twarz.

Chciałaby z nim porozmawiać, ale nie może. Nie może, cholera, powiedzieć Derekowi absolutnie nic.

Nigdy nie przyznała się mężowi, że zatrudniła prywatnego detektywa.

5

Nie było korków? – pyta Castro, kiedy Marin dociera do małego biura we Fremont. Nigdy nie pyta, jak Marin się miewa. Wie, że to byłoby niestosowne. Sprawia wrażenie, jakby też przed chwilą przyjechała. Wciąż jest w płaszczu.

– Na moście nie było najgorzej. – Marin siada naprzeciwko niej i spostrzega, że odkąd była tu ostatnio, miesiąc temu, kilka rzeczy się zmieniło. Małe akwarium, które kiedyś stało na niskim regale pod ścianą, teraz znajduje się na rogu biurka i Marin może mu się przyjrzeć z bliska. Jest w nim tylko jedna ryba, bojownik z jaskrawoczerwonym ogonem, i Marin obserwuje, jak pływa tam i z powrotem, kiedy Castro loguje się do komputera.

Marin i Castro zazwyczaj spotykają się raz w miesiącu, żeby detektyw zdała jej aktualny raport ze śledztwa, ale prawdę powiedziawszy, równie dobrze mogłyby to omówić przez telefon albo drogą e-mailową. Castro wydaje się jednak rozumieć, że rozmowa twarzą w twarz jest niezbędna dla samopoczucia rodzica poszukiwanego dziecka i ilekroć spotyka się z Marin, jest jednocześnie cierpliwa i bezpośrednia.

Jeśli chodzi o Marin, te spotkania z Vanessą Castro są lepsze niż terapia.

– Dziękuję, że przyjechałaś tak szybko. – Detektyw stawia przed nią małą butelkę wody. Zazwyczaj proponuje Marin kawę, lecz dzisiaj wszystko jest jakieś inne.

– Oczywiście. – Marin wpatruje się w jej twarz, szukając jakiegokolwiek zapowiedzi, że zaraz usłyszy straszne wieści. Castro jest niemal nieprzenikniona. Wydaje się jednak nieco skrępowana.

– No więc... – urywa. – Nie chodzi o Sebastiana.

Marin nie zdawała sobie sprawy, że wstrzymywała oddech, dopóki teraz nie wypuściła z ulgą powietrza. Och, dzięki Bogu. Sięga po butelkę wody, odkręca zakrętkę i upija duży łyk.

– Wybacz. – Castro marszczy czoło. – Nie chciałam cię przestraszyć. Powinam była zaznaczyć to w e-mailu.

– W porządku – mówi Marin. Tak naprawdę to wcale nie jest w porządku, w tej chwili jednak nie czuje niczego poza ulgą. – O co zatem chodzi?

– No więc... – Castro znowu zawiesza głos i chociaż Marin już się nie denerwuje, nadal nie może pojąć, co powoduje jej zakłopotanie. Ta kobieta pracowała w wydziale zabójstw, na litość boską. – Wygląda na to, że twój mąż z kimś się spotyka.

Ze co? Marin pije kolejny łyk wody, wpatrując się w Castro i niczego nie rozumiejąc.

– Co chcesz przez to powiedzieć?

– Nie jestem pewna, jak wyglądają sprawy między wami, ale kiedy ostatnio rozmawialiśmy, nie wspominałaś nic o separacji...

– Nie jesteśmy w separacji.

– W takim razie bardzo przykro mi to mówić, ale twój mąż ma romans.

Marin mruga. Dobrze usłyszała i nie musi prosić o powtórzenie tych słów, choć może chciałaby, żeby Castro przekazała je w jakiś inny sposób. Przez kilka sekund siedzą w milczeniu. Marin ma poczucie, że czeka na puentę, która nie następuje.

O czym, u diabła, ta kobieta mówi? Jaki romans? Castro chyba nie po to ściągnęła tu Marin. Nie po to została zatrudniona.

Jakby czytając w jej myślach, detektyw stuka w klawiaturę komputera, po czym odwraca monitor w stronę Marin. Widać na nim kolorowe zdjęcie Dereka. Z inną kobietą. Zdjęcie wypełnia cały ekran.

Marin wpatruje się w ekran z otwartymi ustami. Jej umysł chyba stara się po kolei przetworzyć to, na co patrzy. Nie jest w stanie przyswoić wszystkiego naraz. Włosy. Ubranie. Twarz. Ręce. Drzewo. Chodnik. Buty. Uśmiechy. Wiek. Pochodzenie etniczne. Kobieta stojąca obok Dereka wygląda trochę jak Olivia Munn, aktorka, która umawiała się kiedyś z tym piłkarzem. Tyle że ta jest zdecydowanie młodsza – Marin nie wie, ile ma lat, ale zgaduje, że dwadzieścia kilka. Przez ułamek sekundy wydaje jej się jakoś znajoma, ta linia podbródka i kształt oczu... Potem jednak mruga i uczucie deja vu mija, a kobieta znów jest zupełnie obca.

Obca kobieta, która trzyma jej męża za rękę.

Castro klika myszką i pojawia się inne zdjęcie, zrobione tego samego dnia, prawdopodobnie parę minut później.

Teraz ta obca kobieta całuje męża Marin. Namiętnie. Na ulicy. W środku dnia.

– Zrobiono je wczoraj po południu. W Portland. – Detektyw wie, jak przekazywać złe wieści. Ton jej głosu jest wyważony, współczujący, a jednocześnie neutralny. Mogłaby być prezenterką w lokalnych wiadomościach, czytającą z telepromptera informacje o jakiejś katastrofie, która właśnie gdzieś się wydarzyła, by zaraz potem przekazać pałeczkę kolegom od sportu i pogody. – Przesłał mi je mój informator. Przykro mi, że dowiedziałaś się o tym w taki sposób.

Derek nie wyjechał tak po prostu w interesach – wyjechał w interesach ze swoją... ze swoją... flama, to słowo pierwsze przychodzi jej do głowy. „Dziewczyna”, „kochanka”, „złodziejka mężów” i „dziwka” również się nasuwają, jednak z jakiegoś powodu „flama” najbardziej jej pasuje. Jest bardziej plugawe i bulwersujące, czyli w tej sytuacji takie, jak trzeba.

No a czego się spodziewałaś? – szepcze głos w jej głowie, ona zaś ogania się od niego w myślach jak od bzycającego komara. On jednak nie znika, nadal szepcze, a ten szepc staje się coraz głośniejszy i bardziej uporczywy, i jeśli nie zdoła go uciszyć, zaraz będzie miała atak paniki tutaj, w biurze prywatnej detektyw.

Castro jej się przygląda. Ma zatroskaną minę.

– Dobrze się czujesz?

Marin nie może mówić. Może tylko kiwnąć głową, zamknąć oczy i kilka razy odetchnąć głęboko przez zaciśnięte zęby. Zaciska spocone dłonie na wyściełanych podłokietnikach fotela, a pierwotne części jej mózgu usiłują przejąć kontrolę. Logicznie rzecz biorąc, rozumie, że jest bezpieczna. Jej serce nie pęka na dwoje w sensie fizycznym, świat się nie kończy w dosłownym znaczeniu tego słowa, ściany tego pokoju tak naprawdę się nie zaciskają. Castro jest byłą policjantką i w razie czego z całą pewnością potrafi zrobić sztuczne oddychanie. Marin nie umrze już dzisiaj, choć tak może jej się wydawać.

W torebce ma xanax, byłaby jednak potwornie zażenowana, gdyby musiała go zażyć. Nie chce, żeby ktokolwiek wiedział, iż tylko pigułki na receptę ratują ją przed całkowitą rozsypką. Znów głęboko oddycha, a potem jeszcze raz. Po chwili jej tętno zwalnia i wraca do normy. Marin otwiera oczy i powoli skupia wzrok na twarzy Castro.

– A to skurwiel! – udaje jej się wreszcie wyksztusić. Sięga po butelkę z wodą. – Jest teraz z nią?

– Właściwie w tej chwili nie. – Głos Castro jakimś cudem brzmi jednocześnie łagodnie i profesjonalnie. – Spędzili razem wczorajszy dzień,

a dziś wcześniej rano ona wsiadła w Portland do pociągu, sama. Sprawdziłam jej Instagrama i wspomniała coś o tym, że ma dziś zajęcia w szkole.

Portland. Pociąg. Instagram. Szkoła. To dla Marin za wiele. Znowu zamyka oczy, jakby mogła w ten sposób wymazać te wszystkie obrazy, które przed chwilą pokazała jej Castro. Niestety to nie działa, już wryły jej się w pamięć.

– Jest nauczycielką?

– Studentką. W szkole artystycznej.

Marin się krzywi.

– Przykro mi. – Castro kręci głową. – Wiem, że to wszystko trudne.

– Ile ona ma lat?

– Dwadzieścia cztery.

Dwadzieścia cztery lata, do tego artystka. Studentka, na Boga! Marin znów otwiera oczy. Napotyka wzrok detektyw, która przygląda jej się ze szczerym współczuciem, co sprawia, że Marin znowu zbiera się na płacz.

Mija kolejna chwila, po czym Castro zaczyna opowiadać, w jaki sposób odkryła romans jej męża. Zgodnie z poleceniem Marin po ich ostatnim spotkaniu sprawdzała pracowników Dereka i jej uwagę zwróciły dwie osoby z zakładów produkcyjnych w Portland. Castro zaangażowała w śledztwo swojego współpracownika w Oregonie, gliniarza dorabiającego w wolne dni jako prywatny detektyw. Poszperał trochę i odkrył, że oboje pracownicy byli w przeszłości aresztowani, oboje zostali oskarżeni, chociaż w każdym przypadku ostatecznie wycofano zarzuty.

– Za co ich aresztowano? – pyta Marin, starając się skupić na szczegółach śledztwa, a nie na obrazie ust tamtej kobiety przyciśniętych do ust jej męża.

– Faceta aresztowano za bójkę w barze, babkę oskarżono o napaść na sąsiadkę.

– Napaść?

Na ustach Castro pojawia się na moment cień uśmiechu.

– Najwyraźniej się nie dogadywały. Zaczęło się od tego, że sąsiadka oskarżyła ją o kradzież ceramicznych krasnali ogrodowych.

Castro wyjaśnia, że jej kontakt z Portland wylądował w pewnym momencie przed hotelem, w którym zatrzymał się Derek, i tam zauważył akurat jego wychodzącego bocznym wyjściem z kobietą, którą, jak

wiedział, nie była Marin. Z ciekawości śledził ich przez pewien czas. Wybierali się na kolację do Henry's Tavern w Pearl District.

Kiedy Castro to mówi, Marin znów się wzdryga. Tawerna Henry'ego to jedno z jej ulubionych miejsc, w którym można dobrze zjeść. Kiedy są z Derekiem w Portland, odwiedzają ten lokal przynajmniej raz. Zamawiają dużą margaritę mango, a do tego do podziału ogromną porcję fantastycznych, szybko smażonych kalmarów w tempurze, posypanych suto pieprzem i solą morską, z sosem aioli z papryki jalapeno.

– A co właściwie przywiodło detektywa pod tamten hotel? – Marin stara się nie wyobrazić sobie, jak jej mąż karmi swoją flamę smażonymi kalmarami. Z pewnością nie zamówiłby przekąski, którą zawsze je z nią.

– Sprawdził rejestr połączeń z komórki tego pracownika, którego aresztowano za bójkę w barze – wyjaśnia Castro. – I było tam też dziesięciminutowe połączenie z hotelu Monaco na komórkę pracownika. Obserwował hotel, a kiedy zobaczył, że Derek wychodzi z jakąś kobietą, pstryknął kilka zdjęć i mi je przysłał. – Klika myszką. – Swoją drogą ten trop się nie sprawdził. Okazało się, że szwagier pracownika przyjechał do miasta na mecz Blazersów i umawiali się na spotkanie. Szwagier dzwonił ze swojego pokoju.

Na ekranie pojawia się nowe zdjęcie. Teraz są w restauracji. Derek coś mówi, żywo gestykułując. Jego flama się śmieje. Oboje mają po koktajlu. Staroświecki dla Dereka, to jego typowy wybór, ale nawet gdyby Marin tego nie wiedziała, wydałby go plasterek pomarańczy. Coś różowego – truskawkowe daiquiri? – z parasolką dla jego flamy.

I dzielą się pieprzonymi kalmarami.

Zaskakujące jest to, jak wstrząśnięta czuje się Marin teraz, kiedy to wreszcie do niej dociera, choć przecież coś takiego przeczuwała, a w pewnym momencie wręcz wiedziała. To nie tak, że nie dostrzegała różnych rzeczy. Niedługo dobiją z Derekiem do dwudziestej rocznicy ślubu i chociaż Marin przez większość wieczorów leczy się winem, pewne zmiany nie uszły jej uwadze. Nie chodzi tylko o to, że nie uprawiają seksu, ani o to, że Derek podczas wyjazdów służbowych coraz częściej nocuje poza domem. Bardziej o to, że kiedy nawet siedzi w domu, emocjonalny dystans między nimi jest coraz większy, a teraz osiągnął rozmiar kontynentu.

– Nie napisałam wczoraj wieczorem, bo chciałam najpierw pokopać trochę głębiej – wyjaśnia detektyw. – Założyłam, że będziesz miała pytania.

– Od jak dawna? – Marin całkiem ochrypła. Pije kolejny łyk wody, żeby nawilżyć wyschnięte gardło, i kończy małą butelkę. Castro ciska ją do pojemnika na plastikowe śmieci, który stoi obok jej biurka, i stawia przed Marin następną.

– Z tego, co wiem, co najmniej sześć miesięcy. – Castro znów stuka w klawiaturę.

Sześć miesięcy. Pół roku. To nie jest przelotny romans. To związek.

Marin powoli wypuszcza powietrze, gdy uświadamia to sobie z całą jasnością. Gdzie ona, u diabła, była przez tych sześć długich miesięcy, że wcale się nie zorientowała? A, no tak. Próbowwała sobie poradzić ze zniknięciem ich synka. Dla matki to zwykle dość absorbujące.

Zdjęcie z restauracji znika i Marin zbroi się psychicznie na kolejną emocjonalną ranę kłutą. Nie pojawia się jednak następna fotografia, tylko arkusz kalkulacyjny. To wykaz połączeń z komórki Dereka. Castro szybko przesuwa strony, na których już wcześniej zaznaczyła kolorem wszystkie miejsca, w których pojawia się numer tamtej kobiety, czy to jako dzwoniącej, czy odbierającej połączenie. Jaskrawożółte paski migają raz po raz. Wygląda na to, że Derek i jego flama są w stałym kontakcie.

– Ten wykaz połączeń sięga sześciu miesięcy wstecz. Mogłabym zdobyć wcześniejsze dane, ale musiałabym do nich dotrzeć w inny sposób. Do tych miałam dostęp, tylko dlatego że macie wspólny rachunek za obydwa telefony.

Marin nie zamierza jej pytać, w jaki sposób zdobyła ten wykaz. Podczas ich pierwszego spotkania w ubiegłym roku dała jej bardzo wyraźne polecenia: „Proszę zaglądać pod każdy kamień. Niczego nie pomijać. Podążać za każdym tropem bez względu na to, dokąd prowadzi czy kogo dotyczy”. Prosiła – żądała wręcz – całkowitej przejrzystości. Marin chciała wiedzieć o wszystkim, co odkryje Castro.

A ta się zgodziła, uprzedzając jednak, że jej metody są niekonwencjonalne. Im mniej będzie wiedziała Marin o tym, jak pracuje, tym lepiej. Następnie ostrzegła, że klientom nie zawsze podobają się uzyskane wyniki i że czasem łatwiej żyć bez odpowiedzi, niż znać prawdę.

A teraz prawda jest taka, że mąż Marin, z którym żyje już prawie dwadzieścia lat, uprawia seks z młodszą kobietą. Od sześciu pieprzonych miesięcy.

Marin ma gardło jak papier ścierny i otwiera drugą butelkę wody.

– Kiedyś Derek odwiedzał zakład w Portland co miesiąc. Teraz jeździ tam co tydzień, i to często na kilka dni. Jego firma ma bilety na mecze Blazersów – dodaje niepewnie, jakby to było jakieś usprawiedliwienie tego, że Dereka nigdy nie ma w domu. A potem pyta masochistycznie: – Jest więcej zdjęć?

Castro znów klika myszką i ekran wypełnia kolejne zdjęcie. Derek obejmuje tamtą kobietę ramionami. Oboje się uśmiechają i Marin znów ma wrażenie, że już gdzieś ją widziała. To zresztą wcale nie należy do rzadkości. Jest właścicielką trzech salonów i ma tysiące klientów, z czego większość to kobiety, i może flama Dereka była kiedyś w którymś z nich u fryzjera czy manikiurzystki. To tylko przelotny błysk w głowie, który znika, zanim Marin zdąży się nad nim głębiej zastanowić.

W swoim osłupieniu i oszołomieniu nie potrafi jakoś przetworzyć szczegółów wyglądu tej kobiety. Kiedy na nią patrzy, robi jej się niedobrze. Nie potrafi przyjrzeć jej się na tyle uważnie, żeby stwierdzić, czy jest ładna, czy brzydka, ani zrozumieć, co jej mąż w niej widzi, a kiedy zaczyna to do niej docierać, czuje takie mdłości, że musi przenieść wzrok na Dereka. Gdy to robi, widzi tylko uśmiech swojego męża. Wyraz jego oczu, kiedy patrzy na kochankę. Na Marin nie patrzył tak od bardzo dawna.

Od czterystu osiemdziesięciu sześciu dni, ściśle rzecz biorąc.

Zdjęcia są wyraźne i kolorowe, o dużej rozdzielczości, a nie ziarniste i czarno-białe, jak można by się spodziewać. Wszystko jest zupełnie inaczej, niż sobie wyobrażała. W filmach prywatny detektyw, który przekazuje złe wieści o zdradzającym małżonku, jest podstarzałym, zmęczonym życiem facetem, cynicznym i samotnym, ubranym w wymięty, źle dopasowany garnitur, a zdjęcia, które robił, są wydrukowane i zapakowane w szarą kopertę. W rzeczywistości prywatny detektyw jest kobietą mniej więcej w wieku Marin, całkiem atrakcyjną, w opiętych granatowych dżinsach i dopasowanym zakiecie. Nie ma obrączki, ale w dzisiejszych czasach to o niczym nie świadczy.

Castro patrzy na pierścionek Marin. Często podziwiają go różne kobiety. Dziesięć lat temu Derek wymienił jej pierścionek zaręczynowy na nowy, z pięciokaratowym brylantem ze szlifem Asschera. Wtedy jego wielkość wydawała się sensowna – większość kobiet z ich kręgu towarzyskiego miała brylanty podobnego rozmiaru, albo i większe – tutaj jednak, w tym małym biurze o brzydkich żółtych ścianach, z roślinami w doniczkach i małą rybką w małym akwarium oraz zdjęciem Dereka z inną kobietą na

ekranie ten pierścionek zakrawa na żart. Jest gigantyczny. Ostentacyjny. Drogi. Ale tego właśnie Marin chciała, prawda? Żeby wszyscy wiedzieli, jak dobrze im się powodzi, jacy są szczęśliwi, jak hojnie – tego wyrażenia szczególnie nie znosi – obdarzeni przez los.

Korci ją, żeby zdjąć brylant z palca i wrzucić do akwarium. Pieką ją oczy, więc mruga szybko, by powstrzymać łzy. Wpatruje się w zdjęcie Dereka i jego kochanki, obraz jednak się rozmywa, zamieniając się w pozbawione sensu plamy kolorów i kształty.

– Muszę to odebrać – oznajmia nagle Castro. Marin odwraca wzrok od ekranu komputera i stwierdza, że kobieta trzyma w ręku komórkę. Nie słyszała, jak dzwoniła. – Wracam za minutę.

Drzwi gabinetu zamykają się za nią. Marin nie słyszy, żeby rozmawiała w poczekalni, gdzie znajduje się recepcja, choć nie ma recepcjonistki. Po kilku sekundach uświadamia sobie, że nikt nie zadzwonił. Castro daje klientce chwilę samotności, by mogła odreagować lub w razie potrzeby się rozsypać. To miło z jej strony, lecz Marin nie zamierza się rozsypywać. A w każdym razie nie teraz. Jest dobra w nadrabianiu miną. Wie, że zdoła to stłumić, dopóki nie dotrze do domu, gdzie będzie mogła dać upust emocjom na osobności, ze swoimi pigułkami i butelką wina, i nikt nie będzie na nią patrzył.

Marin zrobiła się arogancka. To jedyne wytłumaczenie. Szczególnie odkąd urodziła Sebastiana, po czterech trudnych próbach zapłodnienia in vitro. Dostała zbyt wiele – za dużo pieniędzy, za wielki sukces, za dużo miłości od męża i dziecka – więc wszechświat postanowił skorygować tę nierównowagę dostatku, odbierając jej to, co znaczyło dla niej najwięcej.

Synka.

Zaczyna ogarniać ją otępienie, z czego Marin się cieszy. Z doświadczenia wie, że ludzie są w stanie znosić intensywny ból emocjonalny jedynie do czasu, potem staje się on przytępiony. W ten sposób ciało sobie z nim radzi, to nie tyle ulga, ile chwila wytchnienia. Ból wróci. Marin poczuje go później z całą mocą, lecz zanim stanie się nie do zniesienia, zdusi go xanaxem i butelką cabernet sauvignon.

Drzwi gabinetu się otwierają.

– Już jestem. – Castro siada w fotelu. Marin zauważa, zresztą nie po raz pierwszy, jak bardzo jest szczupła. Nosi rozmiar trzydzieści sześć, może nawet trzydzieści cztery. Marin nigdy nie była taka smukła. Nawet kiedy miała szesnaście lat i cierpiała na bulimię.

Castro uważnie jej się przygląda. Marin wie, że wygląda dobrze i zastanawia się, czy tamta ją ocenia. Czy uznałaby to za bardziej naturalne, gdyby była kłębkim nerwów, niż to, że przyjęła informację o zdradzie Dereka z podniesioną głową? Chce, żeby Castro ją lubiła. Chce, żeby jej współczuła, a nie, żeby się nad nią litowała.

Nigdy nie radziła sobie dobrze z litością innych ludzi, zwłaszcza kobiet. Natomiast bardzo łaknie ich uznania. Pewnie to dlatego, że matka była dla niej bardzo surowa i wymagająca aż do dnia, w którym umarła.

– Zrobiłam dla ciebie osobny plik, gdybyś chciała się temu jeszcze przyjrzeć po powrocie do domu. – Castro stuka w klawiaturę. – Właśnie ci go wysłałam.

Kilka sekund później telefon Marin wibruje. Wyjmuje go z kieszeni i sprawdza, czy plik się otwiera. Klika na niego, a on się ładuje.

– Dotarł – mówi.

– Chcę być z tobą szczerą. – Po raz pierwszy, odkąd się poznały, Castro wydaje się zmieszana. – Kiedy wczoraj dostałam te zdjęcia, nie byłam pewna, czy powinnam ci o nich mówić. Nie po to mnie zatrudniłaś, zresztą dopuszczałam także możliwość, że już wcześniej wiedziałaś o tym romansie. Nie chciałam, żeby to wyszło niezręcznie. Już i tak jest ci ciężko.

– Dobrze zrobiłaś – odpowiada Marin. – Od początku postawiłam sprawę jasno, prosiłam, żebyś mówiła mi o wszystkim, co odkryjesz. Nie rób sobie wyrzutów. Wolę wiedzieć. Nie... nie zniosłabym kolejnych niewiadomych.

Castro oddycha z wyraźną ulgą.

– To dobrze. Tak też sądziłam.

Marin spostrzega, że zerka na zegarek. A więc to chyba koniec na dziś. Dopija drugą butelkę wody i sięga po płaszcz. Ma wrażenie, jakby poruszała się na zwolnionych obrotach. Taki emocjonalny cios sprawia, że człowiek traci parę.

– Jeszcze jedno, zanim się rozstaniemy – mówi Castro łagodnie. – To może dobry moment, żeby dokonać rewizji naszych celów.

Marin zamiera i kładzie sobie płaszcz na kolanach.

– Co masz na myśli? Moje cele się nie zmieniły.

– Podczas naszego ostatniego spotkania powiedziałam ci, że krok po kroku powtarzam całe śledztwo, które przeprowadziła policja przed szesnastoma miesiącami. Nikt w bliższym ani dalszym kręgu waszych znajomych nie okazał się podejrzany. Sprawdziłam byłych i obecnych pracowników Dereka, jego kontakty biznesowe, twoich pracowników

i twoje kontakty biznesowe, a także wykaz wszystkich twoich klientów z roku poprzedzającego zniknięcie Sebastiana. Nagranie z kamery monitorującej targ zostało dokładnie przeanalizowane przez dwóch różnych specjalistów sądowych, których zatrudniłam. Nie wypłynęło nic nowego. Minął już ponad rok, a my nie mamy żadnych nowych tropów.

Marin domyśla się, co Castro zamierza powiedzieć, i zbroi się wewnątrz. Policja w Seattle oraz FBI natychmiast po zaginięciu Sebastiana przeprowadzili zakrojone na ogromną skalę poszukiwania. Zdjęcie ich synka w ciągu dwóch godzin pokazano we wszystkich wiadomościach lokalnych, a następnego dnia plakat z jego zdjęciem i napisem ZAGINIONE DZIECKO błyskawicznie rozszedł się na Facebooku i Twitterze. Kilka dni później sprawa zyskała rozgłos ogólnokrajowy, prowokując oskarżenia o to, że są uprzywilejowani i wykorzystują swoją pozycję, ponieważ władze zdawały się traktować państwa Machado wyjątkowo. Ani Marin, ani Derek nie zamierzali jednak za to przeproszać. Jak mogliby nie wykorzystać wszystkich możliwości, jakie mieli? Jaki byłby sens posiadania pieniędzy i wpływowych przyjaciół, gdyby to nie mogło im pomóc w takiej sytuacji? Rozpaczliwie pragnęli odnaleźć synka. Każdy rodzic postąpiłby tak samo.

Castro patrzy na nią z uwagą i Marin ze wszystkich sił stara się skupić.

– Nie chcę marnować twojego czasu ani pieniędzy, ale czuję, że dotarliśmy do punktu, w którym mogę powiedzieć... – Detektyw wzdycha i kładzie ręce na kolanach. – Wiem, że to wydaje się bez sensu, jest ogromnie bolesne i niesprawiedliwe, często jednak... w takich porwaniach nie ma nic osobistego.

Jezu Chryste, Marin nienawidzi, kiedy ludzie tak mówią. Dokładnie to samo powiedziała policja. I doktor Chen. Jednak świadomość, że to nie było nic osobistego, nie ułatwia sprawy. Podobnie jak myśl, że jej czteroletni synek został porwany, tylko dlatego że akurat znalazł się w pobliżu jakiegoś psychopaty.

Nie mówi tego głośno. Zaciska zęby. Castro po prostu wykonuje swoją pracę.

– Z mojego wynagrodzenia pozostało jeszcze około dwóch tysięcy pięciuset – mówi detektyw. – Jestem gotowa pracować dalej, myślę jednak, że na tym etapie mogłabyś rozważyć...

– To jeszcze nie koniec! – Siła w głosie Marin zaskakuje je obie. Nie czuje już suchości w gardle. Znowu jest sobą, stanowcza, władcza, ucieleśnienie

„szefowej”, jak powiedziała by Sadie. – Nawet nie zbliżyliśmy się do końca. Chcę, żebyś szukała dalej.

Ich spojrzenia się spotykają. Twarz Castro jest pozbawiona wyrazu, Marin może sobie jednak wyobrazić, jak pracuje jej umysł, gdy usiłuje ją rozgryźć. Ale nic nie mówi i z każdą upływającą sekundą waga tego, co powiedziała Castro wcześniej, ciąży jej coraz bardziej.

– Vanesso – mówi Marin i jej głos załamuje się na ostatniej sylabie. – Vanesso, proszę.

Po raz pierwszy zwróciła się do Castro po imieniu.

A ona znów zerka na pierścionek Marin. Jeśli nawet teraz nie jest już mężatką, kiedyś nią była. Marin to czuje. Prawdopodobnie ma dzieci. To także Marin wyczuwa. Mamy rozpoznają się nawzajem – po zmarszczkach na twarzy, zmęczeniu, opiekuńczości, wrażliwości. Marin ma ochotę podarować jej ten pieprzony pierścionek, byle tylko kontynuowała śledztwo.

– Wiem, że nie możesz obiecać żadnych rezultatów, i nigdy tego nie oczekiwałam. Potrzebuję tylko twojego zapewnienia, że nie przestaniesz się starać. – Marin naprawdę przemawia teraz jak szefowa, zwraca się do Castro w taki sam sposób, w jaki mogłaby się zwracać do jednej z pracownic swojego salonu, osoby docenianej, którą jednak powinna być może trochę zmotywować. – A co z tym romansiem? Kim jest ta kobieta, która sypia z moim mężem? Czego ona tak naprawdę chce? Derek nie jest celebrytą, ale dość często pojawia się w mediach. Podobnie zresztą jak ja. Ona musi zatem wiedzieć, kim jesteśmy i co nas spotkało. Sądzę, że warto jej się przyjrzeć. – Marin pochyła się do przodu. – Rozumiem, że to niemożliwe, żebyś pracowała nad tym przez każdą minutę każdego dnia. Wiem, że masz innych klientów, ale kiedy tylko możesz, gdy masz wolną chwilę... Muszę wiedzieć, że ktoś zawsze szuka mojego synka. Jeśli potrzebujesz więcej pieniędzy, nie ma problemu. – Głos Marin zaczyna drżeć, znowu jest matką, nie szefową czy klientką. Nie może znieść tego, że słyszy własny dygot, że mówi tak, jakby przestawała nad sobą panować, jakby błagała. Co zresztą robi. – Ale jeśli naprawdę czujesz, że pociągnęłaś to tak daleko, jak się dało, nie będę miała wyboru, jak tylko znaleźć kogoś innego i zacząć wszystko od początku. Proszę, nie zmuszaj mnie do tego, Vanesso. Proszę.

Marin nie wie, czy zdoła przeżyć, jeśli Castro powie, że nie, że nie ma już więcej kamieni, pod które mogłaby zajrzeć. Kiedy w ubiegłym roku policja

oznajmiła, że zrobili wszystko, co w ich mocy, była tak zdruzgotana, jakby straciła Sebastiana po raz drugi.

Wie, co mówią statystyki o zaginionych dzieciach. Wie, że większość z nich umiera w ciągu kilku godzin po zaginięciu. Wie o tym. Jeśli Castro przestanie szukać, to będzie tak, jakby Sebastian już nie żył.

A jeśli on nie żyje, to Marin też nie ma po co żyć.

– Będę szukała tak długo, jak zechcesz, Marin. – Detektyw też po raz pierwszy wypowiedziała jej imię. I znów Marin ma poczucie, jakby Castro czytała w jej myślach, i dziękuje Bogu, że ją znalazła. Vanessa Castro jest z całą pewnością właściwą osobą do tego zadania, być może jedyną. – Obiecuję, dobrze? Nie przestanę, dopóki mi nie powiesz, i obiecuję, że to zawsze będzie dla mnie sprawa priorytetowa. O to nie musisz się martwić. Zawsze będziemy go szukać. Rozumiem cię. Jestem z tobą.

– Dziękuję. – Ciało Marin rozluźnia się pod wpływem ulgi. Znów pieką ją oczy, lecz powstrzymuje łzy.

Kiedy wstaje, trzęsą jej się nogi, płaszcz udaje jej się założyć dopiero przy drugim podejściu. Wie, że kiedy dotrze do samochodu, zacznie płakać, i jest z tym pogodzona, byle tylko nie rozpłakała się tutaj. W myślach żegna się z rybką, która ostatni raz wywija jaskrawym ogonkiem i chowa się za plastikowym liściem.

Castro odprowadza ją do wyjścia. W małej, skromnie urządzonej poczekalni podają sobie ręce. Uścisk dłoni Castro jest mocny. Uśmiech serdeczny. W innej sytuacji te dwie kobiety mogłyby się zaprzyjaźnić. Detektyw jest dokładnie taką osobą, którą Marin mogłaby zaprosić na Bankiet dla Przedsiębiorczych Kobiet. Marin jest tam przewodniczącą komisji.

Castro się waha i jasne jest, że chce coś dodać. Marin może albo szybko wyjść, albo pozwolić jej to powiedzieć. Uznaje, że niegrzecznie byłoby uciec, więc zatrzymuje się w drzwiach.

– Przykro mi z powodu twojego męża – mówi detektyw.

Te słowa, choć wypowiedziane w dobrej intencji, wkurzają Marin. Dlaczego jest jej przykro? Dlaczego kobiety to robią? Castro nie wyjawiała przecież, że dopuściła się jakiegoś okropieństwa, tylko doniosła Marin o tym, co odkryła na temat jej męża i jego kochanki. To nie ona zdradza Marin, lecz Derek. Z dwudziestoczteroletnią studentką.

A jednak to Vanessie Castro jest przykro. Może to tylko słowa i może miały być kojące, ale, cholera jasna, Marin ma już dość kobiet, którym jest

przykro z powodu czegoś, czemu nie są winne. Ma już dość przeproszania za to, co nie jest jej winą.

Nie mówi tego Vanessie Castro. Tą kwestią może się zająć kiedy indziej. Marin dziękuje jej i wychodzi. Zaczyna się trząść już na schodach. Kiedy wsiada do samochodu, wszystko w niej krzyczy.

Jest wściekła. Furia zalewa ją niczym rozgrzany wosk, pokrywa grubą warstwą i twardnieje, tworząc pancerną powłokę wokół wszystkich delikatnych, miękkich, wrażliwych, narażonych na ból miejsc.

Marin przyjmuje to z radością. Dawno nie czuła takiej złości, a zdecydowanie woli złość od smutku. Przez ostatnie czterysta osiemdziesiąt sześć dni smutek atakował ją znienacka, osłabiał, pozbawiał sił, mącił jej w głowie, sprawiał, że godziła się na rzeczy, których wcale nie chciała.

Wściekłość natomiast doda jej skrzydeł.

6

Kiedy człowiek przeżywa straszną traumę, dzieje się coś dziwnego. Zupełnie jakby ciało i umysł rozdzielały się, a człowiek przestawał być całą osobą. Ciało machinalnie robi to, co trzeba, żeby przeżyć – je, śpi, wydalą i tak dalej – podczas gdy mózg tworzy osobne przegródki na „to, co trzeba zrobić teraz” oraz „to, co należy przetworzyć później, kiedy dojdiesz już do siebie”.

Marin tak długo trwała w odrętwieniu, że ta nagła iskra gniewu ją zaskakuje. To tak, jakby ścierpnięta kończyzna budziła się do życia. Mrowienie jest trochę nieprzyjemne, lecz jednocześnie pozytywne, bo przypomina ci, że żyjesz.

Marin wysyła wiadomość do Sadie:

Nie dam rady przyjść dzisiaj po południu. Potrzebuję побыć sama. Nie martw się, nic mi nie jest.

Sadie odpowiada natychmiast. Pewnie bardzo chciałyby się dowiedzieć, co Marin usłyszała w biurze detektyw, jednak o to nie zapyta, musi jej wystarczyć uspokajające Nic mi nie jest. Sadie to jedna z niewielu osób, którym Marin może zaufać.

Jasne, odpowiada Sadie. Wszystkim się zajmę. Trzymaj się.

Dołącza zdjęcie swojej córeczki Abigail w różowym pajacyku ze słoniem, który Marin dała jej w zeszłym miesiącu na pierwsze urodziny. Zdjęcia Abby zawsze wywołują uśmiech na jej twarzy. Odpowiada, wysyłając kilka serduszek.

Wreszcie przestało padać, więc Marin opuszcza szyby i wdycha świeże wiosenne powietrze. Ma cały dzień wolny, ale pragnie jedynie wrócić do domu.

Ich stojący na trójkątnej działce dom na Capitol Hill nie jest przesadnie duży, ma trochę ponad trzysta pięćdziesiąt metrów, w żadnym razie nie można go nazwać rezydencją, jest jednak oszałamiająco piękny. Kupili go z Derekiem w stanie do gruntownego remontu w 2009 roku, po najgorszym z kryzysów gospodarczych, i odnawiali go powoli, nadal mieszkając w małym domku z dwiema sypialniami na Wzgórzu Królowej Anny.

Dom na Capitol Hill jest w tej chwili wart nieco ponad pięć milionów. Dom na Królowej Annie – który zatrzymali i obecnie wynajmują – trochę ponad milion. Nigdy nie rozmawiali o sprzedaży któregokolwiek z nich, ale dobrze jest wiedzieć takie rzeczy.

Marin wjeżdża na podjazd, a następnie prosto do garażu, i wchodzi do domu przez przedsionek łączący garaż z kuchnią. Kiedy mieszkał tu Sebastian, w przedsionku zawsze panował straszliwy bałagan. Buty, zabawki, bluzy z kapturem i rękawiczki bez pary zawsze leżały rozrzucone po całej podłodze, chociaż ich synek miał własny schowek i wieszaczek, gdzie powinien trzymać swoje rzeczy. Nad schowkiem jest nawet jego imię. Jedną z klientek Marin – ta sama, która zrobiła mu na drutach sweter z reniferem – w ramach prezentu ręcznie wymalowała na małych kawałkach starego drewna imiona ich wszystkich idealną kursywą.

– Co tam jest napisane, mamusiu? – zapytał Sebastian, kiedy przymocowała jego kawałek do ściany.

Cofnęła się, żeby przyjrzeć się pięknemu napisowi.

– To twoje imię. Sebastian.

– Te literki są dziwne.

– Bo to eleganckie literki. – Marin wzięła synka na rękę i pocałowała. – Do twojego eleganckiego schowka na ubrania. Tutaj będziesz wieszal kurtkę i odkładał swoje rzeczy, dobrze? Nikt inny nie może tu trzymać rzeczy, tylko ty.

Schowek i wieszaczek teraz zawsze są schludne. Po wejściu do przedsionka Marin dotyka kurteczki Sebastiana, tej samej, którą miał na sobie tamtego dnia na targu, tej, którą zdjął i dał jej do niesienia, bo było mu za gorąco od tego chodzenia po straganach i sklepach. Jego kurtka i kalosze nigdy nie zostały zabrane ze schowka, kolejna rzecz, której zmianę, zdaniem terapeuty, Marin mogłaby rozważyć.

– Oczywiście nie musi się pani niczego pozbywać – powiedział doktor Chen parę miesięcy temu. Ton miał miły i łagodny. – Ale to byłby z pani strony przejaw dbałości o samą siebie, gdyby zdecydowała się pani nie trzymać jego rzeczy tam, gdzie ciągle pani na nie patrzy. Może niech pani przeniesie kurtkę i buty synka do jego pokoju? Mogłaby pani tam wejść i na nie popatrzeć, kiedy tylko miałyby pani potrzebę, ale nie musiałyby konfrontować się z nimi za każdym razem po wejściu do domu.

– To nie jest konfrontacja – protestowała Marin, czując frustrację i upór jednocześnie. To wtedy mniej więcej zaczęła podejrzewać, że może ma już

dość tej terapii. – Wszędzie tam, gdzie kiedyś był mój synek, widzę ziejące dziury i nie mam najmniejszej ochoty przenosić jego rzeczy gdzie indziej.

Nie rozumie, dlaczego wszyscy ciągle ją zachęcają, żeby szła do przodu, podczas gdy ona pragnie właśnie stać w miejscu.

Zdejmuje kopnięciem buty i wchodzi do kuchni, która pachnie świeżością i czystością. Kiedy Sebastian był w domu, Marin ciągle gotowała. Teraz gotuje niewiele, zresztą skoro Dereka i tak często nie ma przez kilka dni, właściwie wcale nie musi. Tęskni za przytulnym rozgardiaszem ich życia rodzinnego. Nawet przy cotygodniowych wizytach pani sprzątającej dom nigdy nie pozostawał długo nieskazitelny. Dowody istnienia Sebastiana były zawsze i wszędzie. Okruchy krakersów na podłodze pod kuchennym stołem. Plamy od mleka na kuchennych krzesłach. Klocki lego i samochodziki Hot Wheels na schodach. Skarpetka bez pary upchnięta między poduszki kanapy. W ciągu minionego roku te rzeczy były sprzątane – nie wszystkie od razu, ale stopniowo, w miarę ich odkrywania – a teraz nie ma już Sebastiana, żeby na nowo nabałaganił. Dlatego właśnie nikomu nie wolno niczego ruszać w jego schowku w przedsiionku ani w jego pokoju. Daniela nadal przychodzi w każdy piątek, teraz jednak uwija się ze sprzątaniem w rekordowym czasie.

– Pani Marin, może będę przychodziła co dwa tygodnie – zaproponowała kiedyś nieśmiało, kilka miesięcy po uprowadzeniu Sebastiana. – W domu nie ma teraz takiego bałaganu.

– Raz w tygodniu nadal będzie dobrze – odparła Marin. Nie chciała, żeby młoda kobieta straciła połowę dochodów, jakie jej zapewniali. – Rób, co należy zrobić, i możesz wyjść wcześniej, jeśli zajmie ci to mniej czasu. Będę ci płaciła tak jak dawniej.

Daniela często nosi w pracy słuchawki Bluetooth głównie po to, żeby słuchać muzyki, ale czasami rozmawia też przez telefon. *Aqui ya no queda much que hacer* – usłyszała kiedyś Marin, jak mówi komuś, odkurzając półki z książkami, które wcale tego nie wymagały. – *Me siento mal de haber tomar su dinero.* „Mam teraz bardzo mało roboty. Źle się czuję, biorąc od nich pieniądze”.

Marin parzy sobie herbatę w ogromnym kubku. Niesie go na górę do sypialni, gdzie sadowi się na małżeńskim łóżu i sięga po MacBooka Air. Podobnie jak reszta domu, sypialnia została urządzona przez profesjonalistę, łącznie z doborem bambusowej pościeli. Nie po raz pierwszy nachodzi ją myśl, że mogłaby być typową bogatą kobietą

z komedii romantycznej Nancy Meyers. Tyle że tutaj nie ma romantyzmu i to nie komedia. Nikt się nie śmieje.

Występuje w tragedii.

Gdy jej laptop z terkotem budzi się do życia, Marin korci, żeby zalogować się na którąś z tych nielegalnych stron, które tak zaniepokoiły doktora Chena, jednak się powstrzymuje. Ma co innego do załatwienia w internecie. Plik, który przesłała jej Vanessa Castro, zawiera głównie zdjęcia i długi wykaz połączeń z komórki Dereka. Na górze arkusza Castro dodała notatkę:

MM – z tego rejestru wynika, że wymieniają zbyt dużo esemesów, by mieli jeszcze korzystać z innych aplikacji (WhatsApp czy Messenger). Polecam sprawdzenie aplikacji o nazwie Shadow. Od razu się zorientujesz, czy to coś, co Cię interesuje – VC.

Marin nie musi sprawdzać, wie, co to jest Shadow. Rozmawiali kiedyś o tym na grupie i Simon żałował, że ta aplikacja nie była dostępna, zanim zaginęła jego córka. Shadow pozwala rodzicom w realnym czasie czytać esemesy swoich dzieci bez ich wiedzy. Każda wiadomość, którą wysyła lub otrzymuje dziecko, jest ściągana przez Shadow telefonu rodziców. Kiedy o tym mówili, Simon miał prawie załamanie nerwowe.

– Gdyby wtedy istniało coś takiego, Brianna wciąż byłaby z nami – powiedział, oddychając ciężko. – Znienawidziłyby nas za szpiegowanie, ale wciąż byłaby z nami.

Aplikacja jest nastawiona głównie na rodziców, bo żeby działała, „szpiegowany” telefon musi być zapisany na ich nazwisko. Dzieci zazwyczaj dostają komórki w ramach dodatkowego numeru w planie taryfowym rodziców i właśnie dlatego Marin może zainstalować tę aplikację w swoim telefonie. Na początku małżeństwa to ona pierwsza sprawiła sobie komórkę, bo tylko ona miała wtedy stałe i przyzwoite dochody. Rok później dodała drugi numer dla Dereka, co oznacza, że przez cały czas jest on przyporządkowany do jej konta. Żadnemu z nich nigdy nie przyszło jakoś do głowy, żeby to zmienić, bo nie miało to żadnego znaczenia. A więc przez cały ten czas Marin mogła sprawdzać rozmowy męża.

Dlaczego jednak miałyby to robić? Nie chce jej się przeglądać wykazów własnych rozmów, chyba że coś się nie zgadza w miesięcznym rachunku, ale to właściwie nigdy się nie zdarza, bo oboje mają maksymalny pakiet danych i rozmów.

Ściąga aplikację i wybiera miesięczną subskrypcję. Roczna stawka jest tańsza, jednak Marin nie wyobraża sobie, że mogłaby potrzebować tej aplikacji dłużej niż przez parę tygodni. Dalsza instalacja wymaga kilku prostych kroków, by uzyskać dostęp do numeru Dereka. Aplikacja pyta, czy Marin chce śledzić wszystkie jego esemesy, czy tylko te dotyczące konkretnego numeru.

Marin zastanawia się chwilę. Derek bez przerwy używa telefonu w pracy, co oznacza, że otrzymuje tysiące esemesów miesięcznie. Zagląda do pliku, który przysłała Castro, i starannie wpisuje tylko numer jego flamy. No i załatwione.

Włącza powiadomienia i czeka, aż aplikacja zacznie działać, spodziewając się zalewu starych esemesów. Przypomina sobie jednak, że wiadomości wysłane przed aktywacją aplikacji nie mogą zostać ściągnięte. Jest rozczarowana, boleśnie rozczarowana. Chciałaby zobaczyć, jak rozwijał się romans Dereka z kochanką, tymczasem musi czekać, aż pojawi się coś nowego, a skoro jeszcze tego ranka byli razem w Portland, może to trochę potrwać.

Akta Castro dotyczące kochanki Dereka są bardziej zwięzłe, niż Marin się spodziewała, choć ma to sens, bo detektyw dopiero dowiedziała się o romansie i nie mogła przewidzieć, że Marin poprosi ją, żeby poszperała głębiej. To właściwie zaledwie migawka z życia tamtej kobiety. Są linki do jej kont na Instagramie, Snapchacie, Facebooku i Twitterze, z tym że z tych dwóch ostatnich prawie nie korzysta. Kiedy Marin wpisuje jej adres w mapy Google'a, stwierdza, że mieszka w bloku w dzielnicy uniwersyteckiej. Jest w połowie artystycznych studiów magisterskich, specjalizuje się w projektowaniu mebli. Wcześniej chodziła do liceum plastycznego w Boise, w stanie Idaho. Ma kota. I współlokatora. Pracuje jako baristka w Green Bean.

Nazywa się McKenzie Li.

Kserokopia jej prawa jazdy wydanego w stanie Washington potwierdza, że istotnie ma dwadzieścia cztery lata, metr siedemdziesiąt osiem, waży sześćdziesiąt jeden kilogramów, ma brązowe włosy i brązowe oczy. Zdjęcie z prawa jazdy, zrobione dwa lata temu, nie pasuje do fotografii z Portland. Aktualny kolor jej włosów to blady róż, odcień przypominający wate cukrową.

Dwadzieścia, kurwa, cztery lata. Różowe, kurwa, włosy. To mogłoby być przekomiczne, gdyby akurat nie spotkało Marin.

Jest też więcej zdjęć, których Castro nie pokazała jej w biurze. Zrobione teleobiektywem i ukazujące Dereka i McKenzie w hotelu Monaco ubiegłego wieczoru, przy rozsuniętych roletach, jakby nie dbali o to, czy ktoś ich zobaczy.

Jej twarz. Teraz, kiedy Marin jest w domu, nigdzie się nie spieszy i nikt nie obserwuje jej reakcji, może swobodnie się w nią wpatrywać i pozwolić sobie czuć to, co czuje.

A tym, co czuje, jest nienawiść. Czysta, niefiltrowana, oślepiająca biała nienawiść. Marin nienawidzi McKenzie Li każdym gramem energii, jaka nie została jeszcze zużyta na poczucie winy, smutek, depresję i przerażenie.

I, o Boże, ta nienawiść jest taka przyjemna. Tchnie w Marin życie w sposób, o jaki nie podejrzewałyby tak negatywnego uczucia.

Z wykazu rozmów Dereka jasno wynika, że on i jego flama rozmawiają przez telefon tylko w te dni, kiedy nie są fizycznie razem. Dwa miesiące temu ani razu nie kontaktowali się przez komórkę przez całe trzy dni. Marin sprawdza, gdzie był wtedy Derek. Mają rodzinny terminarz, do którego starają się na bieżąco wpisywać swoje plany i zobowiązania. Jej mąż był w tamtym czasie w Nowym Jorku, pozyskiwał kapitał. Cztery długie dni spotkań z inwestorami na Manhattanie.

Marin otwiera Safari i sprawdza konto McKenzie na Instagramie, które jest publiczne, nie ma żadnych ustawień prywatności. Przeglądając dziesiątki zdjęć, trafia na garść z tego samego czasu. I ma, rozmyty przez filtry zmiękczone, ilustrowany dowód ich wyprawy do Nowego Jorku. Fotki McKenzie stojącej przed Empire State Building i Rockefeller Center. Artystyczne ujęcie mrożonej gorącej czekolady w Serendipity 3. Torebka Dolce & Gabbana, nad którą McKenzie rozplywa się w Bloomingdale's. Zdjęcie przed Richard Rodgers Theatre – rozanielona trzyma dwa bilety na Hamiltona.

Pieprzony Hamilton. Marin nigdy nie widziała tego musicalu.

Zdjęć Dereka nie ma, ale ostatniego dnia zrobiła sobie selfie na promie płynącym na Staten Island. To zbliżenie jej uśmiechniętej twarzy, różowe włosy powiewają na wietrze, w tle widać Statuę Wolności. Ramiona McKenzie obejmuje czyjaś ręka, niewątpliwie męska. Rękawy niebieskiej koszuli zostały podwinięte do łokci, przedramię pokrywa kobierzec delikatnych złocistych włosków, na nadgarstku widnieje rolex.

Nawet bez rolexa – urodzinowego prezentu od Marin – poznałaby tę rękę wszędzie. Ta ręka obejmowała ją, łaskotała, służyła jej za poduszkę. Marin

zna ją doskonale. Wie, gdzie są mięśnie, gdzie są żyły, zna dotyk tych włosów na swoim policzku, a także zapach – czysty, piżmowy, męski – tej skóry.

Na tym zdjęciu Derek nie ma na palcu obrączki. Podpis pod fotką głosi: Pierwsza wyprawa do NYC zaliczona!!! Torebka (Dolce & Gabbana) kupiona!!! (Zobaczcie, co jeszcze tam robiłam, haha). Dziękuję, Pani Wolność i bae!!!

Bae? Co to, do cholery, jest bae? Marin googluje to słowo, a słownik miejskiego slangu oznajmia, że to skrót od before anything else, oznaczający ukochaną osobę, która jest „przed wszystkim innym”, na pierwszym miejscu. Najwyraźniej nikt powyżej trzydziestego roku życia nigdy by tego nie użył.

Zdjęcie zdobyło ponad tysiąc lajków i kilkadziesiąt komentarzy. Wszyscy obserwatorzy McKenzie pytali o to samo: Kim jest ten tajemniczy mężczyzna? Albo: Kim jest bae? Odpowiedziała tylko jednej osobie i to bez użycia słów: zamieściła uśmiechniętą buźkę z wysuniętym językiem.

Jeśli to możliwe, by w człowieku zawrzała krew, w Marin krew dosłownie się gotuje. Jej temperatura rośnie tak gwałtownie, że zastanawia się, czy to nie uderzenie gorąca. A jednak, choć może to zabrzmieć dziwnie, dobrze wiedzieć, kto konkretnie próbuje zniszczyć jej życie. Osoba, która uprowadziła Sebastiana, nie ma twarzy. Ale kobieta, która próbuje ukraść jej męża, ma.

Telefon wydaje dźwięk, jakiego nigdy wcześniej nie słyszała, i Marin aż podskakuje. To Shadow. Mały pasek powiadomień przy ikonce aplikacji pokazuje, że jest jedna nowa wiadomość. Marin wali serce, kiedy na nią klika, bojąc się, co przeczyta, jest jednak zdeterminowana, by i tak to przeczytać. Dodała McKenzie do listy kontaktów w aplikacji, więc jej imię wyświetla się tak samo, jak w telefonie Dereka. O ile oczywiście ma ją zapisaną pod prawdziwym imieniem.

McKenzie: Pociąg przyjechał 10 min przed czasem, więc zdążyłam do pracy! Hurra! Dziś duży ruch, już jest tłok. Buu! Już za Tobą tęsknię. Napisz potem.

Marin wypuszcza powietrze. Nie było tak źle. McKenzie mogła napisać coś ostentacyjnie seksualnego. Chociaż po zastanowieniu dochodzi do wniosku, że tak jest może jeszcze gorzej. Ten esemes to taka beztroska codzienna wiadomość, jaką mogłaby wysłać do swojego... chłopaka.

Marin musi ją zobaczyć. Doskonale wie, gdzie znajduje się Green Bean, właściwie jest pewna, że wstąpiła tam kiedyś na latte. Mogłaby pojechać od razu. Przedstawić się tej dziwce. Doprowadzić do konfrontacji. Zrobić scenę. Zawstydzić ją przy współpracownikach. Wydrapać jej te śliczne oczy.

To oczywiście okropny pomysł. Marin jest nabuzowana kofeiną i zdławioną, napędzaną furią adrenaliną i może to nie jest najlepszy moment, żeby publicznie wrzeszczeć na młodą kochankę męża. Powinna poczekać, aż Derek wróci do domu, najpierw z nim porozmawiać, dowiedzieć się, jak to wygląda z jego strony i co czuje do tej dziewczyny. Może to nie związek? Może to tylko seks? „Mężczyzna ma swoje potrzeby”, powiedział wczoraj słodki Simon.

Bez urazy, ale pierdol się, Simon.

Wsiada do samochodu, zanim zdąży zmienić zdanie. Kiedy wyjeżdża tyłem z garażu, przychodzi esemes od Sala.

Żyjesz?

Marin wciska hamulec, żeby móc wystukać szybką odpowiedź:

Dawno nie czułam się bardziej żywa.

7

Marin dostrzega różowe włosy i długie kończyny, gdy tylko wchodzi do środka, potem jednak dziewczyna znika na zapleczu, dźwigając w obu rękach worki ze śmieciami.

Bar kawowy Green Bean jest ogromny, bardziej przypomina pub niż lokal specjalizujący się w parzeniu kawy. Podobnie jak w każdej niemal kawiarni w dzielnicy uniwersyteckiej panuje tu duży ruch, wręcz tłok, stoliki okupują studenci, pracujący zawodowo hipsterzy i garstka aspirujących pisarzy, którzy sprawiają wrażenie, jakby podawali w wątpliwość wszystkie swoje życiowe wybory. Marin zdaje sobie sprawę, że tu nie pasuje. Jej obcasy są zbyt wysokie, płaszcz za dobrze uszyty, makijaż zbyt perfekcyjny. Wygląda jak właścicielka luksusowego salonu obsługującego niemal wyłącznie celebrytów i bogaczy, czyli dokładnie jak osoba, którą jest. Wie jednak także, że wygląda świetnie. A tego właśnie potrzebuje. To jej jedyna zbroja.

Jest w równej mierze wściekła i przerażona.

Jej nos wypełnia zapach kawy. Z głośników rozmieszczonych wokół całej sali płynie jakiś rodzaj muzyki lounge, covery Nirvany i Pearl Jam, wokal z delikatnym akompaniamentem gitarowym. Marin rozumie, dlaczego to miejsce cieszy się taką popularnością: jest ogromne, a zarazem przytulne. Stoliki są różnych kształtów i rozmiarów – okrągłe na sześć osób, jeden prostokątny na dwanaście, kwadratowe, przy których mogą się ścisnąć po cztery. Pod ścianą naprzeciwko kontuaru widać kilka kanap i gazowy kominek, a dalej, w rogu, maleńką estradę z krzesłem, mikrofonem i wzmacniaczem. Napis przy głównym wejściu informuje o muzyce na żywo w piątkowe i sobotnie wieczory. Marin czyta także, że ciastko dnia jest dzisiaj owsiane z żurawinami i rodzynkami.

Marin staje w kolejce za pięcioma innymi osobami, a kolejka przesuwa się tak wolno, że prawie zdąża sobie wyperswadować planowaną konfrontację. Jej serce łomocze boleśnie, pocą się dłonie. Nigdzie nie widzi tej kobiety, ale kiedy zbliża się do kontuaru, wyłania się znienacka z zaplecza, gdzie wcześniej zniknęła. Jest teraz jedną z trojga baristów za

kontuarem, porusza się zwinnie, ma nogi jak gazela, naturalnie pofalowane różowe włosy do ramion, brązowy fartuch ściska ją w pasie.

Kochanka Dereka. Naprawdę istnieje.

Ma wrażenie, że mija cała wieczność, zanim wreszcie dociera do kontuaru, w głębi ducha licząc, że ktoś inny przyjmie jej zamówienie. Ale oczywiście tak się nie dzieje. McKenzie podaje osobie stojącej przed Marin biscotti, po czym patrzy na nią wyczekująco.

Jest wysoka jak supermodelka i Marin, mimo obcasów, czuje się niska, przysadzista i stara, kiedy patrzy na twarz młodej kochanki swojego męża. Na żywo to zupełnie co innego. Na ekranie komputera była kimś, kogo Marin mogła z radością i bez oporów zniszczyć. Teraz, gdy stoją naprzeciwko siebie, Marin z trudem zdobywa się na to, by nawiązać kontakt wzrokowy.

Ich spojrzenia się spotykają i Marin czeka w napięciu, aż tamta ją rozpozna, spodziewa się, że zaraz dojrzy na twarzy McKenzie przerażenie lub zażenowanie, albo jedno i drugie, uczucia, których nie zdoła tak od razu ukryć.

Wyraz twarzy McKenzie Li jednak się nie zmienia. Uśmiech nie więdnie. Policzków nie oblewa rumieniec. Spojrzenie pozostaje pewne.

– Co dla pani? – pyta pogodnie.

Marin otwiera usta, by powiedzieć: „Chcę, żebyś przestała uprawiać seks z moim mężem. Chcę, do diabła, żebyś trzymała się od niego z daleka, albo cię zabiję, ty dziwko, złodziejko mężów”.

Ale te słowa wcale nie wydobywają się z jej gardła. Zamiast tego słyszy swój niezwykle uprzejmy głos:

– Duża waniliowa latte bez cukru, z podwójnym mlekiem sojowym, bez pianki. I ciastko dnia.

McKenzie złotym markerem sharply gryzmoli jej zamówienie na wysokim i wąskim brązowym papierowym kubku. Ma swobodne artystyczne pismo, ogromne litery wyjeżdżają poza brzegi małych okienek wydrukowanych na kubku. Wbijają zamówienie Marin na kasę i podaje jej kwotę. Bierze od niej banknot dziesięciodolarowy, wydaje resztę i dziękuje, kiedy Marin wrzuca wszystko do słoika na napiwki.

Podaje Marin ciastko.

– Gotowa kawa dla pani będzie na końcu kontuaru. Smacznego.

Marin odsuwa się na bok, ściskając w dłoni torebkę z woskowanego papieru z wciąż jeszcze ciepłym ciastkiem. Każdy ruch sprawia, że czuje się

coraz mniejsza, nieważna, do niczego. Ta kobieta od pół roku sypia z jej mężem. Podczas gdy Marin rozpaczała, zadręczała się, obwiniła i leczyła wszelkiego rodzaju farmaceutykami i alkoholem, Derek leczył się... nią. Przez pół roku! A tamta najwyraźniej nie ma bladego pojęcia, kim Marin jest.

Kilka minut później ich spojrzenia znów się spotykają, kiedy McKenzie podaje Marin latte. W jej wzroku nadal nie ma nawet śladu rozpoznania, a Marin staje przed oczami scena z jednego z jej ulubionych filmów, Narzeczona dla księcia. W tej scenie Cudotwórca pyta Iniga: „Jeśli go uzdrowię, Humperdinck będzie cierpiał?”. A Inigo odpowiada: „Potworne upokorzenie!”.

Swego czasu ta kwestia ogromnie ją bawiła, pamięta też swoją radość na myśl, że kiedyś będzie mogła obejrzeć ten film z Sebastianem. Była pewna, że spodoba mu się, kiedy już będzie na tyle duży, by zrozumieć wszystkie żarty. Teraz to już nie jest zabawne. Potworne upokorzenie to tytuł jej przyszłej autobiografii.

Bierze kawę i ciastko, przemyka do stolika pod oknem i siada twarzą do kontuaru. Otwiera komputer, w którym wciąż ma otwarte zdjęcia McKenzie z Instagrama. W realu flama jej męża jest nieco mniej doskonała. Jasnoróżowe włosy, które na zdjęciach wydają się lśniące, z bliska wyglądają na przesuszone i łamliwe, Marin zauważyła też półtoracentymetrowe ciemne odrosty. Żeby uzyskać ten odcień różu, jej naturalne ciemnobrązowe włosy musiały najpierw zostać rozjaśnione do niemal białego blondu, a potem dopiero nałożono na nie pastelowy róż. Taki proces farbowania bardzo niszczy włosy. W salonie Marin stosują specjalną kurację dla odbudowania wiązań włosów i przywrócenia im połysku. Gdyby były przyjaciółkami, Marin mogłaby jej przynieść próbkę do przetestowania. Ale nie są przyjaciółkami.

Są wrogami. I to śmiertelnymi.

Każdemu, kto spojrzałby na nią przypadkiem, Marin wydałaby się osobą jak każda inna, sączącą kawę, kończącą jakąś pracę, sprawdzającą coś w internecie. Tyle że to „coś” to zdjęcia innej kobiety, i to kobiety, która jest, kurwa, tuż obok, ale Marin rzuca wyzwanie każdemu, kto nie przeżył tego, co ona, żeby ją osądził.

Dopóki nie przydarzyło się to tobie, nie możesz zrozumieć, jakie to uczucie.

Wszystko to, czego nie ma w notatkach Castro, jest na instagramowym koncie McKenzie Li. Do każdego zdjęcia dodaje hashtagi, przedstawiając się światu jako #artystka, #milosniczkaksiążek i #milosniczkaherbaty oraz informując, że kiedy wychodzi gdzieś z przyjaciółmi, pije głównie #craftbeer. Przynajmniej raz w tygodniu pojawia się #kotBuford, obszarpaniec z ogromnymi uszami i łzawiącymi oczami (#niekupujadoptuj). Robi mnóstwo selfie zwykle po to, żeby zademonstrować nowy #ciuchzpchlegotargu albo nowy kolor włosów (#hairspiration), ale jej to uchodzi, bo do wszystkich dodaje hashtag #bezwstydnselfie, żeby jej obserwatorzy wiedzieli, że ona wie, jak bardzo selfie są narcystyczne. Jej ulubione hobby to #przerobkistarychmebli, które maluje i sprzedaje za pośrednictwem #FacebookMarketplace. Uwielbia #Netflix i #tasmoweoglądaniesseriali i najwyraźniej nie ma żadnych oporów przed dzieleniem się najbardziej przyziemnymi szczegółami ze swojego życia z zupełnie obcymi ludźmi. Nawet w dniu, kiedy obudziła się #chora, miała podpuchnięte i przekrwione oczy – i szczerze mówiąc, wyglądała okropnie – zamieściła selfie z podpisem #prawdziwezycie, a jej obserwatorzy byli zachwyceni. To jedno zdjęcie zdobyło prawie dwa tysiące lajków.

McKenzie ma ponad pięćdziesiąt tysięcy obserwatorów. Pięćdziesiąt tysięcy osób interesuje się tym, co McKenzie Li zamieszcza na Instagramie. Dla porównania konto salonów Marin ma zaledwie połowę tego, a w ubiegłym roku ich dochód netto wyniósł ponad trzy miliony dolarów.

McKenzie reprezentuje wszystko to, czego Marin nie cierpi w młodszym pokoleniu.

Każda rzecz, którą ta dziewczyna robi, jest dokumentowana online, z wyjątkiem jej związku z żonatym kochankiem. To, że nie może o nim mówić, musi ją dobijać. Ale ludzie już tak by jej nie lubili, gdyby wiedzieli kim naprawdę jest, prawda? Gdzieniegdzie pojawiają się aluzje do tego, że w życiu McKenzie jest ktoś wyjątkowy, ale to tylko aluzje.

Marin chętnie podsunęłaby jej kilka hashtagów, chociażby #złodziejkamézow, #dziwka i #naciagaczka.

Nie ma ochoty na ciastko. Pije długi łyk latte. Nie potrafi stwierdzić, czy jest dobra, ponieważ nie czuje smaku. Metaliczny posmak w jej ustach nie znika. Miedziaki – odkrywa, oto, jak smakuje zdrada.

Kochanka jej męża znajduje się teraz trzy metry od niej, za kontuarem, przy ekspresie do kawy, uzupełnia śmietankę i mleko w zbiorniczkach oraz

serwetki w serwetnikach. Marin czuje napięcie w całym ciele, wstrzymuje oddech, czekając, aż McKenzie spojrzy na nią i wreszcie uświadomi sobie, kim ona jest. Tamta jednak ani razu nawet nie zerka w jej stronę. Jakby Marin wcale tam nie było.

Jakby nie istniała.

Tymczasem McKenzie istniała dla Marin przez cały czas. Podświadomie wiedziała, ale po prostu nie chciała przyjąć tego do wiadomości. Kochanka Dereka od pół roku była tuż pod jej nosem. To z powodu tej kobiety mąż odwraca się, gdy pisze esemesy, z jej powodu podróżuje dwa razy tyle co wcześniej, z jej powodu prawie nie dzwoni ani nie pisze do Marin z wyjazdów służbowych.

Wypieranie bolesnych faktów jest jednak łatwiejsze niż stawienie im czoła. Wyparcie to mała bezpieczna bańka chroniąca twoje miękkie podbrzusze przed wszystkim, co drapie, gryzie i piecze.

Telefon Marin pika, to znowu Shadow. Minie trochę czasu, zanim przyzwyczai się do tego dźwięku. Derek wreszcie odpowiedział na wcześniejszego esemesa McKenzie i Marin, kiedy czyta, co napisał, czuje falę mdłości:

Derek: Też za Tobą tęsknię, kotku. Mam dziś gówniany dzień, przydałby mi się dodatkowy czas z moją dziewczyną. Będę w Seattle koło 7 i zrobię rezerwację w naszym ulubionym hotelu, jeśli masz ochotę...

McKenzie: TAK!!!!

Dziewczyna uśmiecha się od ucha do ucha. Ten uśmiech nie jest skierowany do nikogo w szczególności, a jej oczywiste szczęście jest niczym pięść ściskająca serce Marin, jakby było balonem. Jedno ściśnięcie na każdy wykrzyknik.

Derek powinien dziś wieczorem wrócić do domu. Czy McKenzie rozumie, że aby być z nią, musi okłamywać żonę? Czy choć trochę jej to doskwiera? Czy uważa, że to atrakcyjna cecha u mężczyzny? Nawet jeśli nie poznał Marin, musi wiedzieć, że Derek ma żonę. Jeżeli kiedykolwiek googlowała Dereka – a która millennialka nie wyszukałaby w sieci swojego kochanka – znalazłaby jego służbowy biogram, w którym wspomniana jest Marin. A kto wie, co jeszcze mogłoby wyskoczyć?

Informacje na temat ich zaginionego synka. Piętnaście miesięcy temu to była najgorętsza historia w mieście. Nie da się wpisać w wyszukiwarce imienia i nazwiska Dereka albo Marin i nie zobaczyć zdjęcia Sebastiana z podpisem Zaginione dziecko wśród pierwszych pięciu rezultatów.

#oszustka. #zlodziejkamczow. #zdzira.

McKenzie jest teraz półtora metra od niej, trzyma w ręku dzbanek z kawą i gawędzi ze stałą klientką, co można wywnioskować ze sposobu, w jaki się do siebie odnoszą. Marin korci, żeby zrobić jej zdjęcie i wysłać Derekowi. Komentarz byłby zbędny. Niechby na nie popatrzył i niechby serce skoczyło mu do gardła, kiedy uświadomi sobie, że patrzy na to, co widzi jego żona. Czy to nie byłoby coś?

Nie zrobi tego jednak.

– Dolewka? – pyta McKenzie.

Spłoszona Marin zatrzaskuje laptopa, zanim tamta zobaczy, że ekran wypełniają jej zdjęcia. Teraz, kiedy Marin siedzi, kochanka jej męża wydaje się jeszcze wyższa i chudsza. Wpadające przez okno światło rozjaśnia jej skórę, świeżą i nieskazitelną. Na lekko zadartym nosie widnieje kilka delikatnych piegów, czego Marin nie zauważyła przy kontuarze, McKenzie nie ma żadnego makijażu poza odrobiną różowego błyszczycy i kilkoma pociągnięciami tuszu do rzęs. I niczego więcej nie potrzebuje. Oczy ma złocistobrazowe. Kocie. Wszystko w niej wydaje się olśniewające. Egzotyczne.

Stoi teraz tuż przed Marin z wyczekującym uśmiechem, trzymając dzbanek. Marin nigdy nie czuła się tak nijaka i niewidzialna. A kiedy ich spojrzenia znowu się spotykają, zyskuje pewność: dziewczyna naprawdę nie ma pojęcia, kim ona jest.

– Ja, hm, zamówiłam latte. – Marin czuje, że jej policzki oblewa rumieniec, ale jeśli McKenzie to zauważyła, nie daje nic po sobie poznać. Marin spuszcza wzrok na swój wielki papierowy kubek, teraz pusty. Z ciastka pozostały okruchy. Nie pamięta, żeby dokończyła jedno czy drugie, najwyraźniej jednak w stresie pochłonęła wszystko, przeglądając obsesyjnie Instagram McKenzie.

– Nie szkodzi. U nas każdy, kto ma ochotę, może dostać darmową dolewkę. – McKenzie podnosi dzbanek trochę wyżej. – Świeżo parzona. To nasza firmowa mieszanka, średnio palona. Prawie wszystkim smakuje.

Marin podsuwa kubek. Trzęsą jej się ręce. Nie potrzebuje więcej kofeiny, więc nie zamierza tego pić.

– Może troszkę.

Nalewając kawę, dziewczyna pozostaje najwyraźniej w błogiej nieświadomości, że Marin jest zażenowana, a jej radość jest jednocześnie absurda i wkurzająca. Ponieważ Marin wie, dlaczego jest w tak dobrym

humorze. Wie, jakie ma plany na wieczór. Wie, że McKenzie myśli o Dereku.

Ma ochotę poderwać się, chwycić dzbanek z kawą i rzucić nim w McKenzie. Chce usłyszeć, jak tamta krzyczy z bólu, gdy gorący płyn parzy jej skórę. Chce rozorać paznokciami tę jej śliczną, ociekającą kawą twarz, wydrapać oczy i wyrwać włosy, żeby kochanka jej męża była tak samo brzydka na zewnątrz, jak w środku. Pragnie zrujnować jej życie tak, jak ona rujnuje życie Marin, jak rujnuje samą Marin.

Nienawidzę cię. Tak bardzo cię nienawidzę.

Oczywiście nic z tego nie robi. Nadal siedzi, cierpliwa i spokojna.

– Piękny pierścionek. – McKenzie uśmiecha się do dłoni Marin. – Jeśli kiedykolwiek wyjdę za mąż, też bym taki chciała.

To już niemal zbyt wiele. Marin czuje, jak jej wściekłość narasta. Wymaga to od niej całej siły woli, żeby nie zdzielić dziewczuchy w tę jej radosną uśmiechniętą buźkę.

Ty złodziejska dziwko trzymaj się z daleka od mojego męża ty zdiro ty pizdo ty kurwo zamorduję cię wyrwę ci ten pierdolony dzbanek roztrzaskam go i zedrę z ciebie twarz odłamkami szkła.

Ale myśli to tylko myśli, a kiedy przeminęły, McKenzie już odeszła razem z dzbankiem, kołysząc wąskimi biodrami. Żeby wyrządzić jej krzywdę, Marin musiałaby za nią pobiec, a wie, że tego by nigdy nie zrobiła. Ona taka nie jest, jest zbyt przyzwoita, zbyt dobrze wychowana, poza tym publiczne zawstydzenie kochanki męża byłoby publicznym zawstydzeniem również dla niej.

Potworne upokorzenie.

Aplikacja Shadow znowu pika. McKenzie właśnie przesłała Derekowi zdjęcie. Miniaturka jest mała i ledwie widoczna, ale to zdecydowanie jakaś osoba. Marin wstrzymuje oddech, zastanawiając się, czy McKenzie przypadkiem nie wysłała Derekowi zdjęcia jego żony, tak jak Marin omal nie wysłała mu zdjęcia jego kochanki.

Ale to nie jest zdjęcie Marin. To selfie, na którym McKenzie jest naga. Zupełnie naga i widoczna od głowy do kolan.

McKenzie: Zrobiłam tę fotkę, zanim wyszłam dziś rano. Mały przedsmak tego, co Cię czeka...

Marin klika na miniaturkę i powiększa zdjęcie.

McKenzie właśnie wyszła spod prysznic. Lustro jest zaparowane i przetarte tylko na tyle, by mógł się w nim odbić wyraźnie jedynie płaski

brzuch McKenzie i jej wklęsły pępek. A jednak można również dostrzec blad różowe sutki i kwiecisty tatuaż biegnący wzdłuż jej boku od piersi do biodra. Marin nie wiedziała, że McKenzie ma tatuaż – albo nie patrzyła wystarczająco uważnie, albo tamta nie pokazuje go na Instagramie. Poza tym, nie licząc włosów na głowie, jest gładka na całym ciele.

Obie czekają na odpowiedź Dereka. McKenzie krąży przy ekspresie do cappuccino z telefonem w dłoni, dopóki nie podchodzi klientka, a wtedy jest zmuszona go odłożyć.

Nagie selfie? Serio? Czy ona gromadzi je w swoim telefonie i wysyła potem w stosownych momentach?

#nienawidzecie.

Shadow znowu pika. McKenzie wciąż jest zajęta obsługiwaniem klientki i nie może sprawdzić telefonu, więc Marin udaje się zobaczyć, co jej mąż odpowiedział kochance, zanim ona sama to zrobi.

Derek: Będę Cię lizał centymetr po centymetrze.

Marin ją zabije.

8

Znam faceta, który załatwia takie rzeczy – mówi Sal kilka godzin później. – Jest kurewsko drogi, ale kiedy skończy, po ciałach nie zostanie nawet ślad. Chcesz namiary na niego?

Sal Palermo nie ma nawet pewności, czy Marin żartuje, ale już jest po jej stronie. Rozumie ją. Z pozorów może się wydawać, że nic ich nie łączy. On jest byłym skazańcem, dorywczym dilerem narkotyków (zawsze ma oksykodon i vicodin, może także bardzo szybko zorganizować trzy różne odmiany marihuany) i właścicielem podejrzanego baru. Kiedyś, dawno temu, na studiach, przez rok chodzili ze sobą na poważnie. Ponad dwie dekady później nadal są najlepszymi przyjaciółmi. Sal jest mężczyzną, którego Marin zawsze kochała, ale nigdy nie była w nim zakochana, i wcale nie chciała złamać mu serca, kiedy oboje mieli po dwadzieścia dwa lata.

– Żartuję – mówi Marin.

– Ja nie – odpowiada Sal i Marin się śmieje, czego, ma wrażenie, nie robiła przez całe wieki.

Podsuwa mu swój pusty kieliszek. Było w nim amaretto sour i Marin chce dolewkę. To ten sam koktajl, który piła, kiedy była dziewczyną Sala. Teraz pija go tylko wtedy, gdy on go dla niej przyrządza, tutaj, w tym barze. Poza tym jest zwolenniczką czerwonego wina.

– Jeszcze raz to samo – prosi.

Bar Sala – bo, owszem, tak się właśnie nazywa – jest ponury i obskurny. Mieści się niedaleko stadionu piłkarskiego i cieszy się popularnością z dwóch powodów: taniego piwa w wieczory meczów (nigdy w życiu) i frytek z czosnkiem i parmezanem (z dodatkowym czosnkiem, proszę). Kiedyś nazywał się Podwórko Freda i na studiach wszyscy przychodzili tam pić w weekendy, bo stary Fred traktował ich tak, jakby wpadli do niego na podwórko – nigdy nie kazał się nikomu wylegitymować. A potem Fred padł trupem na atak serca podczas oglądania Sunday Night Football.

Ojciec Sala umarł trzy miesiące później, a bar zdążył już wtedy podupaść. Synowie Freda źle nim zarządzali i szybko tracili klientów. Na

prośbę Sala Marin wraz z grupką przyjaciół po pogrzebie i stypie zabrali go do baru, a po kilku szklaneczkach tequili i kilku kolejkach Coors Lite Sal podszedł do synów Freda i zaproponował, że odkupi od nich bar. Z początku nie potraktowali go poważnie, rozdrażnieni pijacką arogancją studencika z towarzyszącą mu hałaśliwą zgrają. Sal wyjaśnił, że odziedziczył wystarczająco dużo pieniędzy, żeby kupić bar od ręki, za gotówkę.

Transakcja została przeprowadzona tydzień później. Po podpisaniu dokumentów Sal rzucił studia, co zresztą nikogo nie zdziwiło. Stopnie miał w najlepszym razie przeciętne, a jedynym, czego nie znosił bardziej niż własnego ojca, był właśnie uniwersytet.

Sal Senior, winiarz, który studiował we Włoszech, ucząc się od swojego ojca, byłby wściekły, że jego jedyny syn zrezygnował z pracy w rodzinnej winnicy po to, by kupić bar w mieście. Naprawdę wściekły.

Wtedy uważali, że to dość radykalne posunięcie: dwudziestojednolatek rzucający studia i kupujący bar, w którym wszyscy mieli zwyczaj upijać się po egzaminach. Z perspektywy czasu wcale nie wydaje się to jednak bardziej radykalne niż decyzja Marin, żeby tuż po dyplomie wyjść za Dereka. Kiedy człowiek jest młody, nieustraszony i nie ma nic do stracenia, łatwiej podejmować spontaniczne, zmieniające życie decyzje. Na szczęście Sal okazał się całkiem przyzwoitym biznesmenem i w okolicy, gdzie bary i restauracje pojawiają się i znikają, Bar Sala wciąż istnieje i przynosi zyski.

Kiedy Sal kupował bar, Marin właściwie wciąż była jego dziewczyną i nie popierała tej decyzji. Sądziła, że to jeszcze jeden z jego niedorzecznych pomysłów, nalegała, żeby skończył studia. Często się o to kłócili, ale, prawdę powiedziawszy, kłócili się bez przerwy. W ich związku było dużo seksu i dużo kłótni. Seks, z tego, co Marin pamięta, był fantastyczny. Kłótnie już mniej.

Przyjaźń wychodzi im znacznie lepiej.

– Myślisz, że gdybym ją zabiła, dałabym sobie radę w więzieniu? – pyta teraz Sala. – Sądzę, że tak. Twarda ze mnie sztuka. Pewnie bym tam wszystkich trzymała za mordy. – Wychyla drugi koktajl jeszcze szybciej niż pierwszy i puka palcem w bok szklaneczki. – Nalej mi jeszcze.

Sal patrzy na nią i Marin widzi, że nie podoba mu się jej zachowanie ani tempo, w jakim pije. Widywał ją już w taki stan – nieopanowaną, na granicy utraty kontroli – ale nigdy w miejscu publicznym. Zaczyna go to denerwować.

– Nie wracam do domu samochodem. – Marin przewraca oczami. – Wyluzuj.

Oznajmiła mu to już zresztą od razu po przyjściu do baru: że wróci do domu Uberem i że potrzebuje drinka albo i pięciu. Sal, nie podejrzewając jeszcze, że coś jest z nią nie tak, zapytał, czy jej SUV znowu trafił do warsztatu.

To było uzasadnione pytanie. Trzy lata wcześniej Derek kupił jej na urodziny porsche cayenne turbo i od tamtej pory wóz więcej razy był u mechanika niż ona u lekarza. Marin w równej mierze kocha ten samochód i go nienawidzi. Była zachwycona, kiedy rano, w dzień swoich czterdziestych urodzin, otworzyła drzwi domu i zobaczyła na podjeździe porsche zaparkowane pod takim kątem, żeby efekt był jak największy: perłowobiała karoseria lśniąca pod gigantyczną kokardą z czerwonego aksamitu. Paru sąsiadów wyszło zobaczyć, co to za zamieszanie, biorąc jednak pod uwagę, w jakiej dzielnicy mieszkają, nie była to aż taka sensacja. I nawet nie pierwszy raz w tamtym roku ktoś z ich ulicy dostał w prezencie samochód dostarczony w taki sam sposób.

Marin dowiedziała się tamtego dnia dwóch rzeczy. Po pierwsze, kokardę zatrzymuje diler. Nikt nie potrzebuje czerwonej kokardy wielkości krzewu hortensji w innym celu, niż aby podarować komuś samochód. Poza tym te kokardy są robione na zamówienie i drogie, tak więc diler zabiera je zaraz po dostarczeniu samochodu właściwej osobie. Po drugie, nikt tak naprawdę nie kupuje samochodu w prezencie. Derek nie poszedł do salonu samochodowego i nie obciążył swojej karty kredytowej sześciocyfrową kwotą. Wziął samochód w imieniu Marin w czteroletni leasing. Można wrzucić go sobie w koszty prowadzenia działalności gospodarczej i odliczyć od podatku, więc nie miałyby sensu posiadać go na własność, skoro z roku na rok tylko traciłby na wartości. Derek wpłacił jednak depozyt i z góry opłacił podatki (również do odpisania), załatwił wszystkie formalności i wybrał kolor. Wiedział, że perłowa biel ją zachwyci, i miał rację.

Tak właśnie postępują bogaci ludzie. Jeśli mogą coś sfinansować, robią to. Chodzi o maksymalizację przepływów pieniężnych, dług to jedynie liczba na papierze. Dlatego właśnie Marin ma mieszane uczucia względem porsche. To taki na wpół prezent. Zrobili sobie wtedy urocze zdjęcie – jeden z sąsiadów pstryknął im fotkę, jak siedzą na masce i wyglądają na

parę bufonów, a Derek całuje ją w policzek. W tamtym roku to było jej najpopularniejsze zdjęcie na Facebooku.

Teraz jest czternasta. Powinna była wrócić do domu i uciąć sobie drzemkę po tej porannej akcji w barze kawowym, ale pojeździła tylko trochę po mieście, próbując ochłonać. Jej myśli są coraz bardziej mroczne, lecz zamiast ją przerażać, zaczynają właśnie przynosić pociechę.

Marin wyobraża sobie, że McKenzie Li nie żyje. Wyobraża sobie, że to ona doprowadza do jej śmierci.

– Nie mogę uwierzyć, że poszłaś do jej baru – odzywa się Sal. – To poważna sprawa, zakrawająca, cholera, na prześladowanie.

– To nie jest jej bar. Ona tylko tam pracuje. – Marin znów stuka paznokciami w bok szklaneczki, żeby mu przypomnieć, że jest pusta. – Możemy tam pojechać nawet teraz, jeśli chcesz jej się przyjrzeć.

– Nie ma, kurwa, mowy – oburza się Sal. Marin jeszcze nigdy nie widziała go tak wstrząśniętego. – Nie pojedziemy tam i ty sama też nie. Nigdy więcej. Słyszysz? Trzymaj się od niej z daleka. Nie rozmawiaj z nią. Pierwszy krok do rozwiązania problemu to zrozumieć, co dokładnie go stanowi. A w tym przypadku nie co, tylko kto. Tu chodzi o tego padalca, za którego wyszłaś. Jeśli chcesz kogoś zabić, zabij jego.

Marin słucha, ale go nie słyszy. Po kolejnym znaczącym spojrzeniu i kolejnym postukaniu w szklaneczkę Sal wzdycha i idzie zrobić jej następny koktajl.

Marin często się zastanawia, co by się z nimi stało, gdyby nie poznała Dereka. Nie było łatwo być dziewczyną Sala. Miał trudne dzieciństwo i dręczyły go demony. Swoją drogą wcale nie to przesądziło o ich rozstaniu. Marin nie mogła wtedy znieść tego, że Sal nie ma celu w życiu. Był fajnym kompanem, lecz pozbawionym celu. Nie znosił się uczyć i wydawał się zupełnie bez ambicji, nie miał żadnych planów, poza tymi bieżącymi, na najbliższy weekend, a czasem nie miał nawet takich. Marin doprowadzało to do szału.

Po śmierci jego ojca i po tym, jak Sal kupił bar, okropnie się pokłócili i postanowili rozstać. To nie była ich pierwsza poważna kłótnia ani nawet pierwsze zerwanie, lecz Sal przechodził wtedy trudny okres i ich związek był wyjątkowo burzliwy. Marin potrzebowała trochę przestrzeni. Pod wpływem impulsu wyjechała z grupą przyjaciółek na weekend do Cabo San Lucas i tam związała się z Derekiem. Już wcześniej trochę się znali, on był kolegą jej koleżanki i zawsze między nimi iskrzyło, jednak Marin nigdy nie

mogła nic z tym zrobić, bo miała chłopaka. Podczas tamtej wyprawy, formalnie rzecz biorąc, była singielką, a Sal ze swoimi demonami przebywał w odległości trzech tysięcy kilometrów. Cudownie było spędzać czas z kimś, kto się z nią zgadzał, był równie ambitny jak ona, kto miał konkretny plan na życie. Najbardziej pociągała ją w Dereku właśnie jego determinacja.

Pod koniec tamtego weekendu Marin wiedziała już, że Derek jest tym jedynym. Czego nigdy nie czuła w stosunku do Sala. Kiedy wróciła z Cabo, Sal chciał, żeby znowu się zeszli i, prawdę mówiąc, miał wszelkie prawo tego oczekiwać – kłócenie się i godzenie to był stały schemat ich związku. Lecz nie tym razem.

– Poznałam kogoś – oznajmiła mu. Jeszcze się nawet nie rozpakowała. Dopiero weszła do domu, było późno, a Sal chciał do niej wpaść. zaproponowała, żeby zamiast tego spotkali się w ich ulubionej, otwartej przez całą dobę restauracji Frankenstein. Znajdowała się trzy przecznice od mieszkania, które dzieliła z dwiema dziewczynami, a kiedy dotarła na miejsce, wciąż z mokrymi włosami po szybkim prysznicu, Sal zdążył już zamówić dla niej kolację. Zawsze brała to samo: jajko sadzone, podsmażane ziemniaki, bekon i pszenny tost.

– Poznałaś kogoś? Kogo? – chciał wiedzieć.

Opowiedziała mu o Dereku.

– No to miałaś przygodę. – Sal się wzdrygnął. – Na myśl o tym, że byłaś z innym facetem, robi mi się niedobrze, ale chyba nie mogę mieć ci tego za złe, bo przecież zerwaliśmy. Mogę za to czuć się zraniony.

– Przykro mi – powiedziała, chociaż tak naprawdę wcale nie było jej przykro. Dla niej wszystko między nimi skończyło się z chwilą, kiedy pocałowała Dereka.

Sal złapał ją za rękę.

– To powiedz mi, żeby spadał, i wróć do mnie. Mar, to ty i ja. Dla mnie nie istnieje nikt inny poza tobą. Możemy jeszcze wszystko naprawić. Wiem, że zrobiło się... dziwnie po tym, jak umarł mój ojciec. Ale może być lepiej. Ja mogę być lepszy.

– Przykro mi – powtórzyła, po czym ścisnęła jego dłoń i ją puściła. – Chcę, żebyśmy zostali przyjaciółmi. Każde z nas pragnie czego innego. Ty masz teraz swój bar, a ja jestem z Derekiem i oboje za kilka miesięcy skończymy studia. Wszystko jest... inaczej. I może tak powinno być.

Tak, z Derekiem wszystko potoczyło się szybko. Ale kiedy człowiek wie, że to właśnie to, sprawa jest oczywista. Sal nigdy nie mógł być miłością jej życia. Nigdy nie potrafił całkowicie jej wypełnić, choć nie umiałyby powiedzieć dlaczego. Po prostu zabrakło między nimi tego nieuchwytnego „czegoś”. W każdym razie dla niej.

Sal był zdruzgotany. Czuł się oszukany i porzucony. Długo trwało, zanim zechciał zostać jej przyjacielem, a przejście od relacji chłopak-dziewczyna do platonicznej przyjaźni było chwiejne.

Uratowało ich zaufanie. On ufał jej, a ona jemu i w pewnym sensie Marin doszła do wniosku, że zaufanie jest lepsze niż miłość. Miłość jest nieprzewidywalna, miłość rani, zaufanie natomiast pewne, niezawodne i solidne. Jak Sal.

Nigdy nie lubił Dereka. Ani wtedy, ani teraz. Z początku myślała, że winił go za rozpad ich związku, jednak stało się jasne, że niekiedy dwie osoby po prostu się nie dogadują. I nigdy się nie dogadają, choćby nie wiem co. Ci dwaj są swoimi przeciwieństwami. Derek jest uroczy i Marin mogłaby zabrać go wszędzie. Sal bywa nieokrzesany i Marin nigdy nie wie, kogo tym razem obrazi. Derek, jeśli chodzi o pracę, uwielbia być w centrum uwagi, uwielbia udzielać wywiadów na temat swojej firmy, uwielbia rozgłos. Sal został kiedyś sportretowany na łamach „Strangera”, rok po tym, jak kupił bar, i był okropnie zażenowany, kiedy jeden z pracowników oprawił artykuł w ramki i powiesił na ścianie. Wisi tam nadal, tylko dlatego że to dobra reklama.

Na szczęście ani Derek, ani Sal nigdy nie zmuszali jej, żeby dokonała wyboru między nimi. Rzadko się widują, a jeśli już się to zdarza, są dla siebie uprzejmi. Jeżeli muszą, potrafią znaleźć jakiś temat do godzinnej rozmowy, zazwyczaj o sporcie. Tolerują się nawzajem przez wzgląd na Marin.

Derek jest miłością jej życia, ale jeśli ma być szczerą, to przy Salu czuje się najbardziej sobą. Przy nim nie musi niczego udawać. W przeciwieństwie do jej innych starych znajomych nigdy nie karał jej za to, że przeskoczyła do innego przedziału podatkowego, kupiła większy dom w lepszej dzielnicy, odniosła sukces. A w przeciwieństwie do jej nowych znajomych nie zadziera nosa, nie wypomina jej tego, kim była kiedyś, tego, że do wszystkiego doszła sama (razem z Derekiem), że zasiada w komitetach charytatywnych, chociaż, ściśle rzecz biorąc, jest „nuworyszką”. Przy Salu może być niedoskonała. Nie musi przez cały czas zachowywać pozorów.

Prawdopodobnie liczy na emocjonalne wsparcie z jego strony bardziej, niż powinna.

Kto by pomyślał, że ten, kogo kochasz, i ten, przy kim czujesz się bezpiecznie, to niekoniecznie ta sama osoba?

Bar jest prawie pusty i Marin siedzi samotnie nad trzecim drinkiem, podczas gdy Sal rozmawia z jedną z pracownic. Nigdy jej tu wcześniej nie widziała, więc musiał ją zatrudnić w ciągu ostatnich paru miesięcy, bo tyle mniej więcej Marin tu nie zachodziła. Dopóki nie wróciła do pracy, była stałą klientką baru, zazwyczaj wpadała mniej więcej o tej właśnie porze, po lunchu, ale przed tłumami ściągającymi tu podczas happy hour.

Sal prawdopodobnie z nią sypia. Jest dokładnie w jego typie, z ciemnymi włosami, krągłym tyłeczkiem wciśniętym w nazbyt opięte dżinsy i w T-shircie z dużym dekoltem prezentującym efekty jej stanika push-up. W pewien dziwny sposób ta dziewczyna przypomina Marin ją samą, kiedy była młodsza, zanim jeszcze wyrobiła sobie gust i styl. Nowa barmanka ciągle na nią zerka, głowiąc się pewnie, kim, u licha, jest Marin, ale nie musi się obawiać. Marin nie kradnie facetów innym kobietom, chociaż w głębi duszy miło jej, że wciąż potrafi budzić ich zazdrość. W każdym razie romans tamtej z Salem i tak nie będzie trwał dłużej niż trzy miesiące. Jego związki nigdy nie trwają dłużej. I nie zostaną przyjaciółmi, bo to się zawsze kończy źle. O ile Marin wiadomo, ona jest jedyną byłą, z którą Sal wciąż się przyjaźni.

Pojawiają się trzy kolejne szklaneczki amaretto sour, a obok nich wielka miska frytek posypanych hojnie świeżym czosnkiem, parmezanem i pokropionych odrobiną oleju truflowego. Marin uśmiecha się na widok rządka drinków. Sal wie, że jest zdeterminowana, żeby się upić, i jeśli nie pozwoli jej zrobić tego tutaj, przeniesie się gdzie indziej. Ale wie także, że potrzebuje jedzenia. Frytki są pyszne.

– Widzisz te tutaj? – Sal dramatycznym gestem pokazuje koktajle ustawione równo jeden obok drugiego. – Kiedy je wypijesz, koniec zabawy, jasne? – Sadowi się na stołku barowym koło niej.

Marin kiwa głową. Kiedy wypije te drinki, będzie musiał zbierać ją z podłogi, a to jest właśnie to, czego jej trzeba. Darmowe drinki mają jednak swoją cenę. Oznaczają, że będzie musiała rozmawiać.

– No to co chcesz zrobić? – Sal bierze frytkę z miski. – To znaczy poza upiciem się. Kiedy ostatnio spałaś? Potrzebujesz ambien? Mam na

zapleczu. Lorazepam też. A staroświeckie konopie mogą działać cuda. Mam trochę jadalnych, które wyglądają jak gumisie...

– Jestem wykończona, wiem, że wyglądam okropnie. Przeszyna proponować mi prochy.

Szturchna ją lekko w ramię.

– Ty nawet w najgorszy dzień nie wyglądasz okropnie. Czy dzisiaj jest twój najgorszy dzień?

– Nie. – Nawet nie musi się nad tym zastanawiać. Ten najgorszy był czterysta osiemdziesiąt sześć dni temu. Nic, co zdarzyło się przedtem ani potem, nie może się z nim równać. Aż do dnia, kiedy odbierze telefon i ktoś powie jej właśnie to, czego nie chce nigdy usłyszeć.

– To weź się w garść, Buttercup – mówi Sal, a ona parska śmiechem, co jest dokładnie taką reakcją, na jaką liczył.

– Powinam go zostawić. – Nie potrafi spojrzeć mu w oczy, kiedy wypowiada te słowa.

– Owszem, powinnaś – odpowiada Sal bez mrugnięcia okiem, a ją zalewa fala wstydu, niczym brudna woda w kąpielni. – Czy Derek wie, że ty wiesz?

Marin kręci głową. Łatwiej prowadzić tę rozmowę, nie patrząc na Salę, więc przenosi wzrok na telewizor, gdzie osobnik w czerwonym stroju zostaje przewrócony przez osobnika w białym stroju i domaga się uznania faulu.

– Jak się dowiedziałaś?

– Castro mi powiedziała. Śledziła kogoś z pracowników Dereka i odkryła to przypadkiem.

Sal omal nie dławi się frytką.

– Ta detektyw? Nadal prowadzi dochodzenie?

– Mówiłam ci przecież.

– Wcale nie. Rok temu powiedziałaś, że zatrudniłaś ją na miesiąc. Od tamtej pory nie wspominałaś o niej, więc uznałem... Jasna cholera!

– Dlaczego tak się tym przejmujesz?

– Nie przejmuję się. Martwię się. Czuję, że...

– Że co? Powiedz.

Sal odwraca się i przygryza dolną wargę. Marin bierze go pod brodę i kieruje jego twarz w swoją stronę.

– Powiedz – powtarza.

– Zupełnie jakbyś wciąż była w tym samym miejscu, w którym byłaś, kiedy zaginął Sebastian. – Marin zabiera rękę, ale wytrzymuje jego

spojrzenie. – Nie poszłaś naprzód. Utknęłaś.

– Mówisz jak mój terapeuta. – Czwarty koktajl uderza jej do głowy i rozwiązuje język. – Czy z tobą też będę musiała zerwać?

– Przestałaś chodzić do doktora Chena?

– Oficjalnie jeszcze nie. Ale on też ciągle mi powtarza, że utknęłam.

– A co Derek o tym sądzi?

– Od kiedy obchodzi cię zdanie Dereka?

– Zwykle mnie nie obchodzi. Ale nie widziałaś go w zeszłym roku, Mar. Po tym, jak... nas tak nastraszyłaś.

Marin odkrywa, że nikt nie lubi używać słowa „samobójstwo”. Ludzie wolą różne inne określenia, jakie przyjdą im do głowy, byle tylko uniknąć wypowiedzenia tego słowa. Mogą mówić: „Wtedy, kiedy próbowałaś zrobić sobie krzywdę”. Albo: „Kiedy przeżywałaś trudny okres”.

Marin próbowała się zabić. Ona potrafi to przyznać, dlaczego inni nie mogą?

– Nigdy nie widziałem go tak przerażonego. – Sal gryzie frytkę i sprawia wrażenie, jakby mówił bardziej do siebie niż do niej. Kawałeczek czosnku przykleja mu się do wargi i Marin wyciąga rękę, żeby go zdjąć. – Myślał, że cię straci. Był, kurwa, w rozsypce. Nie mówiłaś mu, że przerwałaś terapię, co?

– Prawdę powiedziawszy, dzisiaj pierwszy raz odwołałam wizytę, nie przekładając jej na inny termin. Może wrócę do doktora Chena. Jeszcze nie wiem.

Sal się jej przygląda.

– To... co jest inaczej tym razem?

Tym razem. Chodzi mu o romans. Bo był już poprzedni raz, bardzo dawno temu.

– Ona ma dwadzieścia cztery lata – odpowiada Marin. – I to już trwa pół roku.

– O kuuuurwa. – Sal przeciąga to słowo, dzięki czemu Marin wie, że jest tak źle, jak myślała. Kuuuurwa. Sal bierze kolejną frytkę i zaciekle ją żuje. Ten niewielki gest sprawia, że Marin czuje się odrobinę lepiej. Prawdziwy przyjaciel to ktoś, kto razem z tobą zajada stres, nawet jeśli ten stres nie dotyczy go bezpośrednio.

Marin wyjmuje telefon i pokazuje mu gołe selfie McKenzie.

– Ma różowe włosy.

Sal bierze od niej iphone'a i przygląda się fotce z bliska, wybałuszając lekko oczy. Szczeka mu drga i przez sekundę Marin sądzi, że jest wściekły. Potem jednak chichocze.

– To cię śmieszy? – warczy Marin.

– Wybacz. – Tłumi śmiech i oddaje jej telefon. – Tylko... te włosy. Tatuaze. Zupełnie jakby próbował znaleźć twoje dokładne przeciwieństwo.

– Jest piękna.

Sal macha ręką.

– Ty też. Nie o to chodzi. Zupełnie nie o to chodzi.

– Przestań się uśmiechać. To nie w porządku.

– Nie, to nie jest w porządku – przyznaje Sal i jego uśmiech blednie. Kładzie dłonie na jej ramionach i nią potrząsa. – To wcale nie jest w porządku. Więc co tu robisz? Dlaczego nie siedzisz w tej chwili naprzeciwko adwokata rozwodowego, omawiając, w jaki sposób wyzwolić się, kurwa, z tego małżeństwa?

Marin nie odpowiada. Bo nie zna odpowiedzi. Jej mózg wciąż nie nadaża za emocjami.

Zabawne, jak życie może się rozsypać w ciągu paru minut. W jednej minucie masz syna. Minutę później go tracisz. W jednej minucie twój mąż jest ci wierny. Minutę później pieprzy jakąś dwudziestoczterolatkę, a ty zastanawiasz się, czy twój najlepszy przyjaciel naprawdę zna faceta, który załatwia takie rzeczy. Bo jeśli w ogóle ktoś kogoś takiego zna, to jest to właśnie Sal.

Klepie ją po udzie.

– Dobra. Pora sporządzić plan. Pomogę ci. Chcesz zatrzymać się u mnie na kilka dni i wszystko sobie przemyśleć? W moim mieszkaniu jest pokój gościnny i czysta pościel. Miałabyś własną łazienkę.

– Przestań. Nie potrafię wybiegać tak daleko w przyszłość.

– To dupek.

– To także mój mąż.

– Kłamca i zdrajca.

– Kłamię tylko w sprawie zdrady.

– O innych sprawach nie wiesz. Przestań go bronić.

– Jest ojcem Sebastiana.

– I co z tego? To wciąż za mało. – W głosie Sala słychać urazę. – Nie możesz już używać swojego syna jako wymówki.

– Nadal go kocham.

– I co z tego?! – wybucha Sal, aż kilka głów odwraca się w ich stronę. Nowa barmanka obserwuje ich z drugiego końca, twarz ma ściągniętą podejrzliwością i niepokojem. Pewnie wydaje jej się, że to kłótnia kochanków, bo Marin i Sal siedzą blisko siebie, a ich rozmowa jest zapalczywa i pełna emocji. – Dokąd kiedykolwiek zaprowadziła cię miłość? Jeśli chcesz znać moje zdanie, Mar, to miłość jest zdecydowanie przereklamowana. Pieprzyć miłość. Powinniśmy być z ludźmi, których lubimy. I którym ufamy.

– Tak jak ty? Sypiając z nową kelnerką? – Marin odwraca się i spogląda znacząco na barmankę, po czym unosi brew i patrzy na Sala. On odchyła się na stołku, zaskoczony, że tak go przejrzała. Oczywiście, że tak. Zna Sala. – Lubisz ją, co? To potrwa góra kilka miesięcy, aż ostatecznie ona zrezygnuje z tej pracy, bo ty się przerwiesz na kolejną panienkę i będzie jej niezręcznie z tobą pracować. Ciebie, przyjacielu, od procesu o molestowanie seksualne zawsze dzieli jedno paskudne zerwanie. Co ty, u diabła, możesz wiedzieć o małżeństwie, zaangażowaniu czy związkach?

Sal wyraźnie traci pewność siebie, kuli się na stołku, jakby spuściła mu powietrze z opon. Marin natychmiast żałuje swoich słów. Odcięła mu się zbyt ostro, a to nie w porządku, bo Sal przecież nie zamierzał jej zranić. Mimo pozorów twardziela tak naprawdę jest bardzo wrażliwy. Nigdy się nie ożenił, nie miał dzieci, to jego czułe miejsce, którego nie powinna tykać.

– Przepraszam. – Marin bierze go za rękę. Sal pozwala na to, a kilka sekund później ściska jej dłoń. Dzięki Bogu równie szybko, jak zranić, daje się udobruchać. – Jędza ze mnie. Tu nie chodziło o ciebie. Nie powiedziałeś nic, czego byś nie mówił już wcześniej.

– Taaa, i nie tracę nadziei, że kiedyś wreszcie mnie usłyszysz. – Ma mniej więcej taki wyraz twarzy, jak wtedy na studiach, kiedy prosił, żeby do niego wróciła, a ona powiedziała mu, że spotyka się z Derekiem. Spojrzenie szczeniaka. Usta w podkówkę, teraz otoczone kilkudniowym, przyprószonym siwizną zarostem. – Zawsze byłeś dla niego za dobra i wkurza mnie, że nie zdajesz sobie z tego sprawy. Zrobił ci to już kiedyś, a ponieważ nie poniósł żadnych konsekwencji, wie, że może robić to znowu.

– Rany, dzięki, Sal. – Puszczą jego dłoń. – Najlepiej zwalić całą odpowiedzialność na kobietę. A więc to moja wina, że on mnie zdradza?

– Nie. – Sal uderza dłonią w blat baru. – Ale to twoja wina, że z nim zostałam. Po raz pierwszy zdradził cię, kiedy byłam w ciąży. Kto robi coś takiego? A jednak nie odeszłaś. Urodziłaś Sebastiana. A teraz proszę, znowu to samo. Daj spokój, Mar. Kto wie, ile innych jeszcze było? Takich, o których nie wiesz i nigdy się nie dowiesz.

Szczerocść Sala uderza ją jak młotem. Bolesny cios prosto w serce, bez owijania w bawełnę, bez zbędnych gestów czy słów.

– Wciąż jesteśmy małżeństwem – mówi cicho. – Złożyłam przysięgę.

– On też! – Głos Sala jest niczym grom. Marin wpada w popłoch, Sal rzadko podnosi głos. Nadal siedzi na wprost lustra za barem i widzi, że za jej plecami nieliczni klienci znowu podnoszą gwałtownie głowy. Wzrok kelnerki patrzącej w poprzek sali przeszywa ją niczym promień lasera. Ona nawet nie zna Marin, a już jej nienawidzi, ponieważ wytrąciła jej faceta z równowagi.

– Nie musisz tkwić w nieudanym małżeństwie w ramach kary za to, co się stało z Sebastianem, Mar. Nie rozumiesz tego? Ani to, ani tamto nie jest twoją winą. Havana też nie była. Dosyć już tego.

Nie ma na myśli stolicy Kuby. Wszyscy dobrzy przyjaciele mają swoje szyfry i prywatne żarciki, a Havana to ich przezwisko dla kobiety imieniem Carmen, sprzedawczyni z Nordstroma, Kubanki z pochodzenia, z którą przespał się Derek, kiedy Marin była w ciąży z Sebastianem.

Po czterech próbach zapłodnienia in vitro to była jej pierwsza ciąża, którą utrzymała dłużej niż dwanaście tygodni, i Marin była jednocześnie szczęśliwa i przerażona.

Derek przysięgał, że to był tylko jeden raz. Jak na ironię, to Sal jej o tym doniósł. Był akurat na randce, siedział w restauracji przy stoliku pod oknem, kiedy zobaczył roześmianego Dereka idącego pod rękę z kobietą, którą nie była Marin. Sal powiedział jej o tym następnego ranka, ale Marin upierała się, że musiał się pomylić: albo to nie był Derek, albo Sal nie widział tego, co mu się wydawało, że widział. Pokłócili się wtedy, Sal oskarżył ją o rozmyślną ślepotę, a ona jego o to, że próbuje poróżnić ją z mężem, o którym zawsze miał jak najgorsze zdanie.

A potem, dwa dni później, sprzedawczyni z Nordstroma zadzwoniła, żeby powiadomić Dereka, że są już do odebrania buty Ferragamo, które zamówił. Nordstromowe konto Dereka musiało być przypisane do numeru telefonu Marin, a ta kobieta nie zdawała sobie sprawy, że zostawia wiadomość w poczcie głosowej jego żony. Nie miała wtedy

spersonalizowanego powitania, tylko bezosobowe, ustawione automatycznie: „Numer dwa-zero-sześć-dziewięć-siedem-jeden”...

Marin odsłuchiwała wiadomość dwukrotnie, pewna, że się przesłyszała: „Hej, Derek, tu Carmen. Są już twoje ferragamy. Będę w sklepie aż do zamknięcia, jeśli zamierzasz po nie przyjść... A jeśli tak, może moglibyśmy wyskoczyć na drinka? Naprawdę świetnie się bawiłam tamtego wieczoru. Ja, mmm... Nie mogę przestać o tobie myśleć. Mam nadzieję, że do zobaczenia. Pa”.

Marin doprowadziła do konfrontacji z Derekiem, gdy tylko wrócił do domu. Puściła mu wiadomość w trybie głośno mówiącym, a on kulił się skruszony. Przeprosił ją, błagał o wybaczenie, zaklinał się, że to była tylko jednorazowa przygoda, że presja zapłodnienia in vitro i cały ten stres związany z jej ciążą go przerosły i mu odbiło. Co mogła zrobić? Dziecko było w drodze i chciała, żeby im się udało. Musiało się udać. Poszli na terapię małżeńską i chociaż ostatecznie po narodzinach Sebastiana zdołali na powrót się do siebie zbliżyć, nigdy nie byli już tacy, jak wcześniej. Utrata zaufania robi swoje.

Sal przysuwa się bliżej, aż ich twarze dzieli tylko kilka centymetrów. Jego oddech lekko pachnie czosnkiem, to jednak Marin nie przeszkadza, bo oboje jedli to samo. Czasami zastanawia się, czy nie wyrządziła Salowi większej krzywdy, niż sądziła. Czy to, że nie potrafi się zaangażować w żaden związek, nie jest skutkiem ich zerwania w college’u. On nigdy tego nie powiedział. A ona nigdy nie zapytała.

– Lepiej byłoby ci bez niego – stwierdza Sal. – Mogłabyś zacząć od nowa. Derek jest kurewsko bogaty. Dostaniesz połowę wszystkiego. To kupa forsy.

– Tak jak Tia, chcesz powiedzieć?

Sal wie, o kim mówi. Tia to ich koleżanka ze studiów, która wyszła za nadzianego szefa kuchni i właściciela restauracji. Przez dziesięć lat mieszkała w domu z widokiem na jezioro Washington. Nie musiała pracować. Siedziała w domu z ich córką, grała w tenisa i była członkinią komitetów charytatywnych. A potem Bryan poznał inną kobietę. Rozwód był paskudny. Bryan zatrudnił lepszych prawników niż ona i Tia dostała alimenty, a on całą resztę. I natychmiast otworzył dwie kolejne restauracje. Tia mieszka teraz w skromnym mieszkaniu i dzieli się opieką nad córką z byłym mężem i kobietą, dla której ją zostawił.

Marin nie widziała Tii od ponad roku. Ostatnim razem spotkały się, kiedy Tia podrzuciła jej zapiekanekę po tym, gdy rozeszły się wieści

o Sebastianie. Powiedziała, że jest „szczęśliwa w swoim nowym życiu”, ale Marin jakoś trudno było sobie wyobrazić to jej szczęście. Tego, co straciła, rozwodząc się z Bryanem, nie da się niczym zastąpić. Czasu spędzanego z córką. Bezpieczeństwa finansowego. Statusu.

Marin nie chce być szczęśliwa w nowym życiu. Chce być szczęśliwa w tym, które już ma... czy też miała.

– Ty nie jesteś Tią – mówi Sal. – Zawsze pracowałaś. Tia nigdy.

– Wiesz, że sama nie mogłabym sobie pozwolić na takie życie, jakie prowadzimy teraz. – Czuje się okropnie, kiedy to mówi, ale to prawda. Jej salony przynoszą dochody, ale to zaledwie ułamek tego, co zarabia Derek.

– Tak, ale masz mnie. I nadal będziesz sobą bez względu na to, na ile będzie opiewać twój rachunek bankowy.

– Nie chcę stracić wszystkiego, co budowałam przez tyle lat.

– Oddałabyś to wszystko, żeby odzyskać Sebastiana?

– Co do centa – odpowiada Marin bez wahania, mimo że od alkoholu ma mętlik w głowie.

– A zatem, skoro, potrzebujesz tylko odzyskać syna, żeby być szczęśliwa, Derek nie ma ci nic do zaoferowania. Gdzie on w ogóle był przez ostatni rok? Nigdy nie ma go w domu. Emocjonalnie cię porzucił.

– Derek to dobry człowiek.

– Wcale nie. Jest miły, a to co innego. Można być dla kogoś miłym, a mimo to go zdradzać. Można być miłym i robić gówniane rzeczy. Można być miłym i zrujnować komuś życie. On jest miły, Mar, ale nie jest dobry. Mam nadzieję, że któregoś dnia zrozumiesz, na czym polega różnica.

– Sal! – rozlega się głos i oboje się odwracają. Kelnerka w opiętych dzinsach przygląda im się, stojąc w wejściu do kuchni. – Przywieźli wino. Dostawca mówi, że potrzebuje podpisu.

– No to podpisz! – odkrzykuje Sal z irytacją. – To Ginny – zwraca się do Marin półgłosem. – Robi się wkurzająca. Mówiłaś: trzy miesiące? Nie wiem, czy dociągniemy do trzech tygodni.

– Ile razy z nią spałeś?

– Tylko dwa. – Wydaje się urażony. – Ale teraz, jak się zdaje, ona ma „uczucia”.

– No, zawsze byłeś fantastyczny w łóżku.

Sal odrzuca głowę do tyłu i się śmieje. Świadomość, że wciąż może wywołać czyjś żywiołowy śmiech sprawia, że Marin od razu czuje się lepiej.

– Sal! – woła znowu Ginny. – Wino!

Sal znika na zapleczu i nie ma go na tyle długo, że Marin zamawia Ubera, a wraca w samą porę, żeby ją przytrzymać, kiedy zsuwa się chwiejnie ze stołka. Wnętrze baru wiruje, a ona omal się nie przewraca. Sal łapie ją i przywraca do pionu.

– Chryste, jesteś zalana. A nie ma jeszcze szesnastej.

– Odblokowano osiągnięcie – bełkocze Marin. – Zamówiłam Ubera. Będzie tu za trzy minuty.

Sal wyjmuje jej telefon z ręki. Aplikacja Ubera wciąż jest otwarta i Sal odwołuje kierowcę.

– Ja cię odwiozę. Daj mi kluczyki.

Wygrzebuje je z kieszeni i podaje Salowi.

– Jesteś pewny, że nie będziesz tu potrzebny? – pyta, kiedy idą do drzwi. Podłoga faluje. Marin chce objąć Salę, ale traci równowagę i uwiesza się na nim całym ciężarem. Z drugiej strony sali Ginny sztyletuje ich wzrokiem i Marin macha do niej, przebierając palcami. Tamta nie odwzajemnia tego pożegnającego gestu.

– Ginny! – woła do niej Sal. – Wychodzę. Kiedy przyjdzie Tommy, przypomnij mu, że wieczorem jadę do winnicy. – Tommy to szef kuchni i zastępca Salę.

– Kiedy wrócisz? Mamy...

– Wrócę, jak wrócę – przerywa jej Sal.

Zgaszona Ginny spuszcza głowę.

– Nie mówiłeś, że wybierasz się do Prosser – mówi Marin, opierając się o niego. Jej głos brzmi tak, jakby miała w ustach kłęby waty, dokładnie tak też się czuje.

– To decyzja z ostatniej chwili.

– Pozdrów mamę. Bardzo za nią tęsknię.

Sal parska śmiechem.

– Teraz wiem, że naprawdę się urznęłaś.

Pomaga jej wsiąść do porsche od strony pasażera i zapina jej pas. Szarpie się z nim chwilę, a gdy się nad nią nachyla, Marin oddycha głęboko przez nos. Mydło i woda, i szampon. Ten sam zapach. Ten sam Sal. Jego zapach jest krzepiący. Jego bliskość jest krzepiąca. Marin czuje się bezpieczna. Zamyka oczy.

Zasypia.

9

Kiedy Sal ją budzi, ma poczucie, że minęła dopiero sekunda. Musiała zapaść w naprawdę twardy sen, bo gdy otwiera oczy, są na podjeździe przed jej domem, a Sal znowu nachyla się nad nią i odpina jej pas.

Pomaga wysiąść z wozu i wejść po frontowych schodach, gdzie wciąż ją podtrzymuje, gdy ona próbuje przypomnieć sobie kod otwierający drzwi. Właściwie nie korzysta z wejścia od frontu. Oboje z Derekiem parkują w garażu i wchodzą do domu przez przedsionek, który rzadko zamykają na klucz. Pierwsza próba, pin do jej karty płatniczej, na co Marin wpada za późno, sprawia, że mała lampka zaczyna mrugać na czerwono. Druga próba, data ich ślubu, również zawodzi.

I wtedy sobie przypomina: kod do drzwi to data urodzin Sebastiana. Uderza ją przygniatająca fala żalu, kiedy wprowadza właściwe cyfry i wreszcie zapala się zielona lampka.

– Co jest? – pyta Sal, czując, że Marin zawisa na nim całym ciężarem. – Co się dzieje? Będziesz wymiotować?

– Nie. – Marin nie będzie wymiotować. Nigdy jej się to nie zdarza, w każdym razie nie po alkoholu. Już nie.

– Pomożesz mi wejść na górę do sypialni?

Sal zatrzaskuje za nimi drzwi i zamyka je na zasuwkę. Marin kopnięciem rzuca buty i strząsa z siebie płaszcz, zostawiając jedno i drugie na podłodze w holu. Sal pomaga jej wejść po długich krętych schodach do sypialni, gdzie Marin ciężko opada na łóżko i zamyka oczy. Pokój nadal wiruje, ale w porównaniu z tym, jak się czuła w barze, jakby trochę rozjaśniło jej się w głowie.

Sal siada obok niej, a ona opiera się o jego ramię. To przyjemne uczucie. On jest taki krzepki. Taki obecny.

– Musisz już lecieć? – pyta, świadoma, że siedzą razem na łóżku. Ale nie chce zostać sama. Ostatnio zawsze jest sama.

– Nie – odpowiada Sal, opierając policzek o czubek jej głowy. – Mogę trochę zostać.

Marin wtula się w niego, mając ochotę położyć się razem z nim, ale to byłoby niestosowne. Już i tak są bliscy przekroczenia granicy.

– Pamiętasz, jak mówiłem, że znam faceta, który załatwia takie rzeczy? – mruczy Sal, głaszcząc ją po włosach, których splątane kosmyki opadły jej na czoło. Może to dlatego że są sami w cichej sypialni, ale brzmienie jego głosu sprawia, że przechodzi ją dreszcz. Chrapliwy, poufały, nie słyszała, żeby mówił takim tonem, odkąd przestała być jego dziewczyną. Podnieca ją to i aż przechodzą ją ciarki, ale to pewnie alkohol tak na nią działa. – Nie żartowałem, Mar. Naprawdę go znam. I on może rozwiązać twój problem.

– Przestań. Ja żartowałam. – Usiłuje się odsunąć, żeby na niego popatrzeć, ale jego ręce są silne, umięśnione i ani drgną, kiedy próbuje się wyrwać z jego objęć.

– Ja nie – mówi z ustami w jej włosach.

– Dobra, to daj mi na niego namiar. – Może zrobić mu tę przyjemność, za dwie minuty i tak sobie pójdzie. – Co, facet nie ma wizytówki? Czym on się dokładnie zajmuje? Jest prawnikiem?

– Mówiłem ci. To facet, który załatwi, co trzeba.

– Doskonale. Potrafiłby kogoś zabić i sprawić, żeby to wyglądało na wypadek?

– Możliwe. Z całą pewnością zna ludzi, którzy potrafią.

– Korzystałeś już z jego usług?

– Raz czy dwa.

– Ufasz mu?

– Ja nikomu nie ufam – wypala Sal bez ogródek. – Z wyjątkiem ciebie.

Rozluźnia uścisk, a ona odsuwa się na tyle, żeby spojrzeć mu w oczy. On odwzajemnia i wytrzymuje jej spojrzenie. Marin ma wrażenie, że trwa to wieczność, czekanie, aż jego usta drgną, czekanie, aż pojawi się choćby cień uśmiechu, który da jej do zrozumienia, że on żartuje, czekanie na dowcipną puentę. Bo chociaż niektórzy z jego znajomych mogą wydawać się podejrzani – ba! czasami on sam może się taki wydawać – to jasne, że tak naprawdę nie zna przecież ludzi, którzy potrafiliby kogoś zabić. To byłoby niedorzeczne.

Ale puenta nie nadchodzi. Sal jest śmiertelnie poważny.

Marin przyznaje, że kiedy dotarła do baru, była wściekła, ale bez przesady. Żarty na temat zabicia drugiej kobiety to dość ekstremalne posunięcie, nawet dla takiego faceta jak Sal, lubiącego czarny humor.

Marin zdaje sobie sprawę, że przez cały dzień miała okropne myśli, ale to już...

I wtedy wreszcie na twarzy Sala pojawia się bezczelny szeroki uśmiech.

– Ty głupku. – Lekko uderza go w ramię, a on śmieje się rubasznie. I znowu to Sal, jakiego pamięta z dawnych lat. Przekorny, luzacki Sal. Który kocha ją bezwarunkowo.

Śmiech zawsze ich do siebie zbliżał i zanim Marin pomyślała, co robi, całuje go.

To niedbały, mokry, pijacki pocałunek, którego Sal nie odwzajemnia, ale też się przed nim nie broni. Po sekundzie Marin odsuwa się zawstydzona, czując, jak jej policzki oblewa rumieniec. On nic nie mówi, wzdycha tylko przeciągle, a ona natychmiast żałuje, że nie może cofnąć tego, co zrobiła. Miała gówniany dzień, a teraz jeszcze go pogorszyła, przekraczając granicę, do której nigdy nie powinna była się zbliżyć. Otwiera usta, żeby go przeprosić, jednak nim zdoła cokolwiek powiedzieć, Sal chwytą ją za ramiona i popycha na łóżko.

Czuje w ustach jego język i krzepiący ciężar jego ciała. Odwzajemnia pocałunek z całą namietnością i przywiera do niego, a jego dłonie dotykają jej wszędzie, jakby nie mogli wystarczająco się do siebie zbliżyć. Jego wargi są na jej ustach, policzkach, szyi, obojczykach, piersiach, a ona pragnie go całego, na sobie, w sobie, żeby mogła zapomnieć o wszystkim, co czuje, i o wszystkim, co wie, choćby tylko na krótką chwilę.

Jakby wyczuwając jej myśli, Sal zsuwa się z niej równie nagle, jak się na niej położył, i siada na łóżku, oddychając gwałtownie.

– Co się stało? – sapie Marin. – Dlaczego przestałeś?

– Nie mogę – mówi Sal, nie patrząc na nią. – Jesteś pijana, Marin. I jesteś moją najlepszą przyjaciółką. To nie w porządku.

Marin zauważa, że nie powiedział „i jesteś mężatką”. Wyciąga rękę i kładzie na jego przedramieniu.

– Spójrz na mnie, Sal. – Odwraca głowę w jej stronę. Wydaje się rozdarty. W jego oczach widać pożądanie, usta natomiast zacisnął w prostą stanowczą kreskę. – Jestem pijana, ale wiem, co robię. Potrzebujesz mojego przyzwolenia? Zgody? Zgadzam się. Chcę tego. Pragnę cię. – Pochyliła się do przodu, przyciskając twarz do jego ramienia, czując ciepło jego ciała przez materiał koszuli. – Potrzebuję cię, Sal. Nie odchodź. Bądź ze mną. Proszę, bądź ze mną.

Przechyla głowę i patrzy mu w twarz. Linia jego ust złagodniała, spogląda na nią tak, jak miał w zwyczaju, kiedy byli na studiach.

– Wiesz, że cię kocham – mówi Marin, choć gdzieś w głębi serca wie, że nie powinna tego robić, bo to nie fair. To nieczyste zagranie po to, żeby go zatrzymać, żeby nie musiała być sama. – Może nie kochałam cię tak, jak na to zasługujesz, ale kocham cię najlepiej, jak potrafię. Zawsze cię kochałam i zawsze będę.

Sal się waha. Marin to widzi. Kładzie dłoń na wewnętrznej stronie jego uda i wskazującym palcem gładzi wybrzuszenie. Czuje to.

– Musisz obiecać, że jutro mnie nie znienawidzisz. – Głos Sala jest ochrypliwy. – Bo gdyby tak się stało, nie mógłbym z tym żyć.

– Nigdy nie mogłabym cię znienawidzić, choćby nie wiem co – zapewnia go Marin. – Jeszcze tego nie wiesz? Jesteś jedyną osobą na tym świecie, której ufam, Sal.

Dla kogokolwiek innego to byłyby tylko słowa. Ale dokładnie to samo powiedział jej Sal tamtej nocy, kiedy umarł jego ojciec. Był w rozsypce, krzyczał, histeryzował, prawie bredził i dobrą chwilę trwało, zanim się uspokoił. Kiedy przyjechały gliny, mówiła głównie Marin. To dzięki niej nigdy nie został aresztowany. „Jesteś jedyną osobą na tym świecie, której ufam, Marin”.

Prawdopodobnie nigdy nie będą mieli lepszej okazji, by porozmawiać o tamtej nocy niż teraz, a przecież nie to jest teraz ich celem.

Sal rozbiera ją powoli, sycąc wzrok widokiem jej nagiego ciała, które widział ostatnio w podwójnym łóżku swojego studenckiego mieszkania. Potem sam zdejmuje ubranie, a widok jego ciała, które, odkąd widziała go ostatnio w takiej sytuacji, właściwie się nie zmieniło – może poza nieco większą ilością owłosienia i znacznie większymi mięśniami – działa na nią krzepiąco.

Nie jest już studentem. A ona nie jest studentką.

Znów się odnajdują, kotłując w pościeli, aż chwilę później Sal odsuwa się i pyta, oddychając ciężko:

– Masz coś?

Mija kilka sekund, zanim Marin orientuje się, o co mu chodzi. Tak dawno nikt nie zadał jej tego pytania. Przestała brać jakiegokolwiek środki antykoncepcyjne jeszcze przed trzydziestką, kiedy zaczęli z Derekiem aktywnie starać się o dziecko.

– Nie, nie mam. – Przyciąga go do siebie. – Nie szkodzi.

Trzeba było czterech prób zapłodnienia in vitro i stu tysięcy dolarów, żeby mogli mieć Sebastiana. Marin nie martwi się o to, co mogłoby się dziś zdarzyć. Wie tylko, że potrzebuje tego bardziej, niż potrzebowała czegokolwiek czy kogokolwiek od bardzo długiego czasu.

Sal wchodzi w nią powoli, patrząc jej prosto w oczy. To takie cudowne uczucie, być wypełnioną, nie być już pustą. Oddaje mu się, ztraca się w tym i jest lepiej, niż zapamiętała. Oboje są lepsi, niż zapamiętała. Delikatni, czuli na początku, dzicy i zwierzęcy pod koniec. Dokładnie tego jej trzeba.

Sal wciąga spodnie, gdy ona zasypia w skotłowanej pościeli. Za oknem robi się już ciemno. Nachyla się i całuje ją w usta, to długi, powolny pocałunek pełen niewypowiedzianych słów i pożądania, które – Marin teraz to rozumie – nigdy tak naprawdę nie wygasło, tylko zostało stłumione. Oddaje mu pocałunek z pełną świadomością, że to już ostatni raz, kiedy będą się w taki sposób całować. Gdy zrywali ze sobą przed laty, nie wiedzieli, że ich ostatni pocałunek był ostatni.

Dzisiaj jednak Marin wie. To nie może się powtórzyć.

– Kocham cię – szepcze Sal.

Marin uśmiecha się do niego w półmroku i głaszcze po twarzy.

– Kocham cię.

To dokładnie te same słowa, ale znaczą zupełnie co innego.

Godzinę później, kiedy Marin budzi ciche brzęczenie telefonu, w sypialni jest ciemno. To nie Shadow, tylko zwykły sygnał iMessage. Derek wreszcie raczył się objawić i Marin podpira się na łokciu, żeby przeczytać wiadomość:

Hej, zostanę w Portland na jeszcze jedną noc, mam kolację z inwestorami. Niestety nie mogę odmówić. Wrócę jutro wieczorem.

Kłamstwa. Kłamstwa, kłamstwa, kłamstwa. Wcale nie jest w Portland. Pewnie właśnie dotarł do hotelu w Seattle, tego, który jest ich „ulubionym”.

Nie ma sprawy, odpisuje. Za to właśnie tyle ci płacą.

Wrócę jutro na kolację, obiecuję, pisze Derek. Zrób rezerwację w restauracji, w której chcesz zjeść. Mam dla Ciebie miłą niespodziankę.

Najgłupsze jest to, że naprawdę ma. Z ostatniej wyprawy do Portland przywiózł jej kozaki Valentino. To nie były jej urodziny. Ani Boże Narodzenie. Wypatrzył je na wystawie Nordstroma i kupił jej „tak po

prostu”. Co to będzie tym razem? Ile gotów jest wydać, żeby uciszyć wyrzuty sumienia?

Zakładając, że w ogóle ma jakiegokolwiek wyrzuty. On nie jest jak Marin, dla której poczucie winy to ustawienie domyślne, wpływające na wszystko, co myśli, czuje i robi. Znowu ogarnia ją złość, furia przenikająca przez pory jej skóry. Przyjmuje ją z zadowoleniem. Złość rozprawia się z dezorientacją i zamętem w głowie. Dzięki niej wszystko staje się proste i jasne.

Marin sięga po telefon i dzwoni do Sala. Kiedy odbiera, sekundę trwa, zanim Bluetooth się połączy, stąd Marin wie, że Sal jest w samochodzie.

– Hej, jesteś w drodze?

– Tak. Co tam? – pyta, a te trzy krótkie słowa dobitnie świadczą o tym, że między nimi wszystko się zmieniło. Zupełnie jakby czekał w napięciu, co Marin powie na temat tego, co zrobili, ale Marin nie jest jeszcze gotowa.

– Chcę się spotkać z tym twoim facetem – oznajmia. – Zakładając, że mówiłeś poważnie.

Jego odpowiedź jest prawie natychmiastowa i wcale nie brzmi: „Mar, robiłem sobie jaja”, jak się w głębi ducha spodziewa Marin, tylko:

– Nie ma potrzeby. Mogę z nim pogadać w twoim imieniu.

– Nie. – Podchodzi do okna w sypialni i wygląda na zewnątrz. Słońce już zaszło, a drzewa za domem wyglądają jak cienie. – Muszę stanąć z nim twarzą w twarz. Nie wchodzę w to, jeśli nie mogę go poznać osobiście. To nie w porządku.

Cisza. Marin wie, że ją słyszał, bo ustawił tryb głośnomówiący.

– Dobra, załatwię to – odpowiada wreszcie. – Zamierzam wyruszyć z powrotem jutro wieczorem koło szóstej, więc powinienem dotrzeć na miejsce jakoś po dziewiątej. Umówię nas z nim...

– Nie nas, mnie. Muszę to zrobić sama, Sal. I to jak najszybciej, zanim stracę odwagę.

Słyszy swoje słowa i przychodzi jej na myśl, że może powinna poczekać do jutra. Może byłoby lepiej, gdyby straciła odwagę, bo to, co zamierza zrobić, jest kompletnym szaleństwem.

Mijają sekundy, a Sal milczy. Marin wie, że wciąż tam jest. Słyszy warkot jadącego samochodu, cichy biały szum, i nieznaczny pogłos połączenia przez Bluetooth. Zastanawia się, czy on żałuje, że uchylił te drzwi i sprowadził ją na złą drogę. Sal zawsze był trochę outsiderem i buntownikiem, podczas gdy Marin pozostawała porządna i praworządna.

– Oddzwonię do ciebie – mówi i po krótkim pożegnaniu, ciężkim od niewypowiedzianych słów rozłączają się.

Godzinę później przysyła jej wiadomość. Dziś o północy. Frankenstein. Wytrzeźwiej.

10

Karta kredytowa McKenzie Li nie działa. Znowu. Zażenowana ogląda się przez ramię. Derek siedzi przy stoliku, przegląda e-maile w iPhone i nie czuje, że ona na niego patrzy. Nigdy tego nie czuje. Pod tym względem nie są dobrani.

– Proszę spróbować jeszcze raz. – Kenzie odwraca się w stronę kontuaru, ze wszystkich sił starając się usunąć z głosu natarczywość. To był jej pomysł, żeby tutaj przyjść i pokazać Derekowi, że nie wymaga od niego kosztownych luksusów. Chciała przypomnieć Derekowi, co tak mu się w niej spodobało, kiedy się poznali. Nie potrafi się jednak zmusić do tego, żeby wrócić do stolika bez jedzenia. Nie może mu powiedzieć, że nie ma pieniędzy. Zwykle kiedy to ona idzie złożyć zamówienie, on wręcza jej trochę gotówki, zanim ona zdąży w ogóle o tym pomyśleć. Dzisiaj jednak jest rozkojarzony, a ona nigdy nie może zdobyć się na to, żeby go poprosić. Musi zaproponować sam.

Kasjer z McDonalda, który nie może mieć więcej niż piętnaście lat, rzuca jej spod daszka powątpiewające spojrzenie. Raz jeszcze przeciąga jej Visę przez terminal i znowu wyświetla się: Transakcja odrzucona.

– Przepraszam, psze pani. Odmowa. Może ma pani jeszcze inną kartę?

Po pierwsze, może sobie wsadzić w dupę tę „psze panią”. McKenzie ma dopiero dwadzieścia cztery lata, do kurwy nędzy. Po drugie, nie, nie ma innej karty. Na wszystkich innych kartach wyczerpała limit, a to jest druga z dwóch, które, jak sądziła, mogą zadziałać, ta z małym limitem i dużym oprocentowaniem, którą wyrobiła sobie dopiero miesiąc temu. Nie mogła aż tyle wykorzystać, chociaż może jednak tak. Pewnie potrafiłaby to lepiej ocenić, gdyby chciało jej się otworzyć pierwszy wyciąg, który wciąż leży na kuchennym blacie na stercie wszystkich innych nieotwartych rachunków.

Starsza pani, która stoi za nią w kolejce z dwójką nadpobudliwych wnuków, wzdycha zniecierpliwiona i postukuje nogą o wyłożoną płytkami posadzkę, sycząc groźnie do chłopców: „Stójcie spokojnie albo wróćcie do taty”. Może byłoby to mniej upokarzające, gdyby w McDonalddie panował większy ruch i hałas, było więcej kasjerów i klientów. Kenzie jest aż nadto

świadoma rozdrażnionej i oceniającej postawy uczniaka, który przyjmuje jej zamówienie, i pewnie w tej chwili ma więcej forsy w kieszeni niż ona na koncie bankowym.

Derek powiedział jej kiedyś, że to dzięki dorastaniu w biedzie stał się tym, kim jest teraz. No i świetnie. Z punktu widzenia Kenzie bieda jest do bani, a wie, że magisterka na studiach artystycznych specjalnie nie poprawi jej sytuacji, nawet jeśli dociągnie do końca studiów. Jasne, chciałyby być osobą, której nie zależy na forsie, jak wielu jej przyjaciółom artystom. Ale kiedy człowiek tonie w długach (studenckich pożyczkach i obciążeniach kart kredytowych), a matka ma początki alzheimera i przebywa w domu opieki, który nie jest nawet najdroższy, ale i tak cholernie drogi, pieniądze to ta różnica pomiędzy McDonaldem a zupką instant ze sklepu „wszystko za dolara”. Bo, owszem, można upaść niżej niż fast foody.

Szpera w portfelu w nadziei, że ten banknot dwudziestodolarowy trzymany na czarnej godzinę nadal siedzi upchnięty w przegródce, w której go ukryła. Nie pamięta, czy już go wykorzystowała, czy nie. Nie jest pewna, czy odrzucenie ostatniej karty kredytowej w McDonalddie kwalifikuje się jako oficjalna czarna godzina, ale, cholera, z całą pewnością ma takie poczucie. Babcia zawsze ją uczyła, żeby nosiła w torebce trochę gotówki, bo czasami karty kredytowe nie działają, może się też zdarzyć, że w pobliżu nie będzie bankomatu. Grand-mere miała rację i Kenzie nagle ogarnia taka tęsknota, że nie może złapać tchu.

Och, bólu, ty szczwana bestio.

Znajduje dwadzieścia dolarów wciśnięte między starą kartę Searsa i kartę VIB Sephory, których już nie używa, bo pierwsza z tych sieci sklepów zbankrutowała, a na zakupy w drugiej Kenzie nie może sobie pozwolić. Zamówienie w McDonalddie wynosi czternaście dolarów i sześćdziesiąt osiem centów. Kenzie rozważa, czy nie zamienić zestawu z grillowanym kurczakiem na dwa hamburgery w promocji za dolara każdy, ale starsza pani za nią znowu wzdycha i Kenzie musi pogodzić się z tym, że jest zbyt zażenowana, by cokolwiek powiedzieć. Rozprostowuje banknot i podaje kasjerowi. On wydaje jej pięć dolarów i kilka monet. Kenzie chowa resztę do portfela i stara się nie myśleć o tym, że to wszystkie pieniądze, jakie zostały jej do końca tygodnia.

Derek nie podnosi głowy, kiedy Kenzie wraca z jedzeniem, jest pochłonięty swoim telefonem. Ten telefon pochłania go tak w związku z jego pracą, jak ją w związku ze wszystkim tym, co nie jest pracą. Derek

nie lubi, kiedy mu przeszkadza, gdy coś pisze, więc Kenzie się nie odzywa. Zanim usiądzie, próbuje zerknąć, co on tam ma na ekranie, ale on to oczywiście wyczuwa i przechyla telefon, żeby Kenzie nie mogła niczego zobaczyć.

Nie znosi, kiedy Derek to robi. To jej przypomina, że on ma swoje tajemnice. O czym zresztą powinna wiedzieć. Sama jest jedną z nich.

Rozwija burgera z kurczakiem i odgryza kęs, zajmując się swoim Instagramem, podczas gdy on nadal zachowuje się tak, jakby jej nie było. Kiedy jechali do hotelu, wrzuciła zdjęcie. Trzymała nogi na desce rozdzielczej i udało jej się pstryknąć fotkę, zanim Derek kazał jej je stamtąd zabrać. Mimo że zdjęła buty, wiedziała, że go to zirytuje. Zna go lepiej, niż on sądzi. Pewnie byłby wściekły, gdyby się dowiedział, że czasami pojawia się na jej Instagramie, chociaż bez imienia, twarzy ani żadnych cech, które pozwoliłyby go zidentyfikować. Ale jakie to ma znaczenie, skoro on i tak nigdy nie korzysta z mediów społecznościowych i tego nie zobaczy?

Derek w roztargnieniu sięga po frytkę. Nie dziękuje jej za jedzenie, i niby nie musi – przecież zapłaci za wszystko inne – choć dla niego wydanie stu dolców na kolację to tyle co nic. Dla Kenzie natomiast wybulenie prawie piętnastu dolarów w McDonalddie oznacza, że aż do kolejnej wypłaty będzie splukana. Poza tym nie pamięta, kiedy ostatnio starał się być wobec niej uprzejmy. Pamięta natomiast, że gdy się poznali, pomyślała, że ma nienaganne maniery. Był takim dżentelmenem.

Nie jest już tamtym facetem. Pół roku kłamstw i przemykania chyłkiem go zmieniło. Kenzie nie może jednak za bardzo się tym przejmować, bo to zmieniło także ją. Kiedyś całkowicie panowała nad sytuacją, a teraz ma poczucie, że Derek jej się wymyka. Niby to był jego pomysł, żeby spędzić z nią tę noc w hotelu, ale Kenzie nie jest głupia. Jest wielka różnica między facetem, który naprawdę chce z nią być, a facetem, który po prostu nie chce wracać do domu.

– Wszystko w porządku? – pyta, kiedy Derek wreszcie odkłada telefon.

– W porządku – potwierdza, ale się nie uśmiecha i Kenzie nie wie, czy to z powodu telefonu czy jej. Nie zapyta, nie bawią się w takie rzeczy. Nie pytają się nawzajem o uczucia. Ich relacja nie sięga tak głęboko. To nigdy nie był ich modus operandi, chociaż na początku Kenzie próbowała pójść w tę stronę. Teraz Derek patrzy podejrzliwie na jedzenie przed sobą. Otwiera pudełeczko z burgerem i krzywi się z niesmakiem. – Powiedziałem McRoyal.

– Powiedziałeś Big Mac. – Kenzie wie, że powiedział Big Mac. Jest tego pewna, bo pamięta, że kiedy to powiedział, zdziwiła się w myślach: Ale normalnie bierzesz McRoyala. Jest przekonana o swojej racji i widzi po jego minie, że on się zastanawia, czy rzeczywiście tak nie powiedział. Ale Derek nienawidzi się mylić, jest królem wypierania się i będzie szedł w zaparte tak długo, aż zepsuje całą ich wspólną noc.

– Powiedz, czy ja kiedykolwiek zamawiałem Big Maca? – pyta, lecz jego zawziętość słabnie. Patrzy na Kenzie takim wzrokiem, jakby to ona powinna znać odpowiedź. Kenzie rozumie, że jest zmęczony, bo całe popołudnie tłukł się z Portland, ale kiedy po nią przyjechał, zaproponowała, że może prowadzić w drodze do hotelu, a on się upierał, że nie ma takiej potrzeby. Oboje wiedzą, że on nie chce, żeby Kenzie prowadziła jego cenne maserati. Skoro nie pozwala jej nawet oprzeć nóg w skarpetkach (czystych) na desce rozdzielczej, to na pewno nie wpuści jej za kierownicę tego swojego piekielnie drogiego sportowego wozu. Derek uważa, że to maserati ją podnieca, i z początku rzeczywiście tak było. Ale przez ten swój wóz Derek wychodzi też na palanta.

A tak w ogóle to nie tylko on jest zmęczony. Kenzie od rana była na nogach i obsługiwała klientów w Green Bean, a potem jeszcze do baru wkroczyła Marin Machado z taką miną, jakby chciała wgryźć się w jej gardło tymi swoimi idealnymi ząbkami, a przy tym cały czas udało jej się zachować szyk i klasę.

Kenzie wie, kim jest żona Dereka. Jasne, że tak.

Włożyła całą siłę woli w to, żeby w żaden sposób nie zareagować, udawać, że żona jej kochanka to po prostu kolejna klientka, a powodzenie swojego występu przypisuje fakultatywnemu kursowi aktorskiemu, który wybrała w college'u w Idaho. Gdyby istniała nagroda dla Najlepszej Aktorki z Baru Kawowego, Kenzie by ją zdobyła. Nie do zniesienia była niepewność, czy Marin przechyli się przez kontuar i zacznie ją dusić, czy będzie wykrzykiwać obelgi i groźby w obecności jej współpracowników i tłumu klientów. Kenzie podeszła nawet do niej później z dolewką kawy, żeby dać jej szansę to właśnie zrobić – uznając, że najlepiej mieć to już za sobą, będąc poniekąd przygotowaną – lecz Marin nic nie powiedziała. Siedziała tylko w rogu i przyglądała się, jak Kenzie pracuje, patrząc na nią takim wzrokiem, jakby była robakiem, którego chciała zgnieść czubkiem buta od Jimmy'ego Choo.

Kenzie widziała Marin na zdjęciach. Jest ich pełno w sieci, w magazynach, na stronach akcji charytatywnych, w artykułach na temat urody, żona Dereka ma też konta na Facebooku i Instagramie, zarówno służbowe, jak i prywatne. Jednak zobaczyć Marin Machado osobiście to zupełnie co innego. Przede wszystkim wygląda jak Salma Hayek (której kiedyś robiła fryzurę, jeśli wierzyć magazynowi „InStyle”). Zmysłowe spojrzenie spod ciężkich powiek, wydatny biust, krągły tyłek i talia osy, designerskie ubrania, które leżą na niej jak druga skóra. Kiedy Marin stała naprzeciwko niej przy kontuarze, Kenzie czuła się tyczkowata i niezdarna jak nastolatka, która nie zdążyła jeszcze nabrać ciała, za wysoka i za chuda, potrzebująca pilnie zmiany wizerunku. Marin Machado jest miękka i pełna tam, gdzie Kenzie jest kanciasta i płaska. Pod względem fizycznym nie mogłyby bardziej się różnić, nawet gdyby chciały.

Dlatego właśnie wysłała Derekowi to nagie selfie. Potrzebowała potwierdzenia swojej atrakcyjności.

Marin Machado jest kobietą sukcesu. Piękna, elegancka, prowadzi własny biznes, ma trzy salony z uwielbiającymi ją pracownicami. Sama do wszystkiego doszła dzięki ciężkiej pracy, a teraz dzieli się z innymi tym, co zdobyła. Jej hashtagi to zawsze #girlboss, #womanowned czy #empowerwomen i reprezentuje właściwie wszystko to, co chciałaby osiągnąć Kenzie, gdy dorośnie.

Kenzie nie może pojąć, o co tamtej chodzi. Marin z całą pewnością wie, kim ona jest. Nie doprowadziła jednak do konfrontacji i najwyraźniej nic nie powiedziała Derekowi, bo gdyby tak było, Kenzie w żadnym razie by tu z nim teraz nie siedziała.

Derek wciąż się nie odzywa, więc ona rozmyśla o Marin, pogryzając frytki. Teraz, kiedy zobaczyła jego żonę na żywo, wiele zrozumiała. Na fotkach na Instagramie dzięki filtrom i aplikacji Facetune wszyscy wyglądają dobrze. Ale zobaczyć kogoś w realu to co innego. Derek z pewnością uważa, że Kenzie, w porównaniu z jego wymuskaną żoną, jest kompletną fleją. Po pracy popędziła do domu, żeby wziąć szybki prysznic, a Derek skrzywił się na jej widok.

– Wsuszenie włosów nie zajmuje chyba aż tyle czasu – stwierdził.

– Na ogół pozwalam im wyschnąć na powietrzu.

Sięgnął na tylne siedzenie po swoją torbę z rzeczami na siłownię i szperał w niej, aż znalazł ręcznik z mikrofibry.

– Pochylił się do przodu – polecił jej, a kiedy to zrobiła, rozłożył ręcznik na skórzanym oparciu.

– Moje włosy są czystsze niż twój ręcznik – obruszyła się.

– Moje siedzenia są więcej warte niż twoje włosy.

Na to nie znalazła odpowiedzi. Mogłaby się założyć, że kobieta taka jak Marin nigdy nie wyszłaby z domu z mokrymi włosami ani też bez co najmniej pięciu produktów kosmetycznych na twarzy.

Kiedy Derek po nią przyjeżdża, nawet nie wchodzi na górę do mieszkania. Jeśli, kiedy się zjawia, Kenzie nie czeka przy krawężniku, wysyła jej esemesa. Nawet nie wysiada z tego cholernego wozu, żeby wcisnąć dzwonek w holu. Kiedyś warknął: „Nie jestem pieprzonym kierowcą Ubera”, co uprzytomniło jej, że w życiu z Ubera nie korzystał. Ci kolesie też nigdy nie wysiadają z samochodu.

Przez pół godziny siedzieli obok siebie w jego niewygodnym krzykliwym samochodzie, aż Kenzie zaproponowała, żeby zatrzymali się w McDonaldzie. Bo chociaż Derek potrafi zachowywać się jak burzuj, wychował się na fast foodach tak samo jak ona i Kenzie wie, że nigdy nie wzgardzi produkowanymi na skalę masową frytkami i burgerem. Poza tym miał okropny nastrój i sądziła, że takie żarcie pomoże mu się trochę wyluzować. Tymczasem efekt okazał się odwrotny, bo oto siedzą w lepkim od brudu boksie, a on wybrzydza na burgera, którego mu kupiła za dwudziestaka na czarną godzinę.

Zauważyła, że jego Big Mac wciąż leży nietknięty.

– Derek, jeśli to taki problem, mogę pójść i poprosić, żeby ci go wymienili. – Wzdychając ciężko i dramatycznie, odkłada McChickena.

Panie i Panowie, oto osiągnęli etap potyczek słownych w ramach konkurencji „kto okaże się bardziej wielkoduszny”, gdzie punkty przyznaje się w myślach, z bierną agresją, aż ktoś zwycięży. Kto to będzie? Kenzie chce, żeby to była ona, bo lubi wygrywać tak samo jak on, jeśli jednak nie wymieni tego burgera za darmo, będzie musiała kupić kolejnego za ostatnie pięć dolców, które zostały jej do wypłaty pod koniec tygodnia. Co oznacza, że w ostatecznym rozrachunku jednak przegra.

– Nie trzeba – odpowiada Derek. Teraz oboje mają po punkcie.

Wgryza się w burgera, którego, jak twierdzi, nie zamawiał, co daje mu kolejny punkt za to, że je coś, na co nie ma ochoty. Zaraz się jednak krzywi, żeby pokazać, że nie lubi Big Maków, co oznacza punkt dla niej, ponieważ przed chwilą odrzucił propozycję wymiany. Ale teraz kończy

przeżuwać i przetyka, co, cholera, oznacza kolejny punkt dla niego, ponieważ naprawdę zamierza jakoś strawić to świństwo.

– Chcesz mojego McChickena? Mogę zjeść Big Maca, nie ma sprawy. – Dzyń, dzyń, dzyń, słyszy w głowie brzęczyk doliczający jej punkty. Propozycja zamiany burgerów z całą pewnością warta jest trzech punktów i oto Kenzie wysuwa się na prowadzenie. Widzicie, ona też jest dobra w tej grze.

– Powiedziałem, że nie trzeba.

Albo ona traci jeden punkt, albo on go zyskuje, Sama już nie wie. Jedzą w ponurym milczeniu i nikt nie wygrywa. Nigdy nikt nie wygrywa. Kenzie nie ma pojęcia, po co w ogóle grają w tę grę. Nie ma też pojęcia, dlaczego w ogóle tego wieczoru Derek chciał się z nią spotkać. Jeśli naprawdę nie miał chęci wracać do domu, mógł zostać w Portland.

Dziesięć minut później znów są w samochodzie. Derek podkreca muzykę, jak zawsze, kiedy nie ma ochoty rozmawiać, co ostatnio zdarza się coraz częściej. Kiedyś rozmawiali bez przerwy. Od tego wszystko się zaczęło. Przez pierwszych parę miesięcy napędzały ich właśnie rozmowy, aż zaczęli uprawiać seks i odkryli, że to kręci ich jeszcze bardziej.

W ciągu tych sześciu miesięcy, odkąd się znają, jego playlista się nie zmieniła. Gust muzyczny Dereka obejmuje głównie Soundgarden, Pearl Jam, Alice in Chains i Nirvanę. To świetne zespoły z Seattle, jasna sprawa, ale wszystkie sprzed epoki Kenzie, przez co przypominają jej tatę, który puszczał na cały regulator ich płyty, dopóki się nie wyprowadził. Przypominają też Kenzie, że Derek jest od niej starszy. Na początku te wzajemne różnice ich pociągały, teraz są raczej jak luźne nitki, które oboje szarpią, a ich relacja zaczyna się pruć.

Nie może się spruć. Kenzie za dużo w nią zainwestowała.

Cedarbrook Lodge to hotel, który znajduje się pół godziny drogi od Seattle, tuż przy lotnisku Seattle Tacoma. Kiedy Derek po raz pierwszy o nim wspomniał, wyobraziła sobie, że to będzie jeden z tych zwyczajnych lotniskowych hoteli. Tymczasem okazał się zaskakująco przyjemny. Jest w nim wykwinna restauracja i luksusowe spa, apartament, który rezerwuje Derek, jest prawie tak duży jak mieszkanie Kenzie dzielone ze współlokatorem Tylerem, tyle że ma jeszcze kominek. Teren otaczający hotel jest zadbane, pełen zieleni i całkiem romantyczny. Ale to nie dlatego Derek lubi to miejsce. Przyjeżdżają tutaj, ponieważ istnieje małe

prawdopodobieństwo, że Derek natknie się na kogoś znajomego, a jeśli nawet, zawsze może powiedzieć, że następnego ranka ma wczesny lot.

W tym, co tutaj robią, cokolwiek to jest, nie ma grama romantyzmu.

Derek wjeżdża na parking i każe jej poczekać w samochodzie, a sam idzie do recepcji, żeby załatwić formalności i wziąć karty do drzwi. Wraca po chwili.

– Wejdziemy bocznym wejściem – oznajmia, teraz uśmiechnięty i pogodny, żeby odwrócić jej uwagę od tego, że nie chce, by recepcjonista ją zobaczył. Korzystają z bocznego wejścia za każdym razem. To uwłaczające, że on nadal czuje potrzebę przypominania jej o tym, jakby była dzieckiem wymagającym ciągłego powtarzania, żeby czegokolwiek się nauczyć.

Wchodzą bocznym wejściem, Derek niesie swoją torbę podrózną, ona swoją. Na początku zawsze taszczył obie torby, a Kenzie uwielbiała tę jego szarmanckość. W pewnym momencie jednak przestał to proponować. Skomentowała raz tę zmianę, ale on ją wyśmiał.

– Daj spokój, Kenz, jesteś z pokolenia millenialsów i sama nazywasz się feministką, więc nie możesz oczekiwać, że facet będzie nosił za tobą torbę.

Może i ma rację, ale tu wcale nie chodzi o oczekiwania, Kenzie nie wie jednak, jak mu to wytłumaczyć, nie robiąc z tego większej sprawy, niż faktycznie jest. Zależy jej, żeby Derek chciał być facetem, który niesie jej torbę, kiedy wchodzi do hotelu. Chce, żeby był facetem, który trzyma ją za rękę, gdy idą chodnikiem, który wchodzi do jej mieszkania, kiedy po nią przyjeżdża, który zabiera ją na kolację w takie miejsca, gdzie bywają jego znajomi, który robi sobie z nią selfie, a ona ma prawo zamieścić je na Instagramie.

Kenzie chciałaby, żeby robił tyle rzeczy, których nie robi, ale nie wie, w jaki sposób o nie poprosić, bo nigdy wcześniej ich nie chciała.

Od samego początku wiedziała, że jest bogaty. Wiedziała, że ma żonę. Wiedziała, że jego synek zaginął. Wiedziała, że jest zrozpaczony, a przez to gotowy na romans i otwarty na wszystko, co mogłoby uśmierzyć jego ból. Wiedziała też, że wydaje forszę lekką ręką.

Był, krótko mówiąc, doskonałym celem.

Idzie za nim korytarzem, po raz setny zastanawiając się, jak to możliwe, że wszystko poszło tak źle. Nigdy nie zamierzała się zaangażować. A jeśli szybko nie opracuje kolejnego kroku, cały plan weźmie w łeb.

Marin ustawiła sobie jej nagie selfie jako tapetę w iPhone.

I teraz za każdym razem, kiedy odbiera telefon, widzi cycki McKenzie Li. Za każdym razem, gdy sprawdza, która godzina, widzi krocze McKenzie Li. Patrzy na tatuaż przedstawiający kwitnącą wiśnię, który wije się wzdłuż szczupłego torsu dziewczyny, od biodra aż do piersi. Marin nie zna się na tatuażach, ale nawet ona potrafi docenić artyzm, śmiałe fukcje i róże, które zlewają się, tworząc efekt akwareli. Tylko dwudziestoczwolotka o takim ciele może czuć się swobodnie, leżąc półnaga na składanym stole przez wiele godzin, bo tyle musiało trwać wprowadzenie igłą barwników w jej skórę.

To zdjęcie przepelnia Marin wściekłością, a jednak wciąż się w nie wpatruje. Wściekłość jest lepsza niż smutek. Wściekłość jest lepsza niż odretwienie. Ta kobieta stanowi przeciwieństwo Marin i pewnie to właśnie Derekowi najbardziej się w niej podoba.

Dochodzi północ, a Marin siedzi w środkowym boksie we Frankensteinie, czekając, aż pojawi się facet, którego twarzy nigdy nie widziała, a głosu nigdy nie słyszała. Wszystko, co o nim wie, to to, że ma na imię Julian i najwyraźniej spotykane się o północy z obcymi kobietami w restauracjach nie jest dla niego niczym dziwnym.

Frankenstein to tania knajpa starej daty w samym sercu dzielnicy uniwersyteckiej. Na studiach Marin często przychodziła tu z Salem – prawda jest taka, że tutaj także zerwali. Boksy z podrapanymi drewnianymi stolikami i podartymi winylowymi siedziskami stoją przy ścianach i w rzędzie pośrodku sali, nad każdym zwisa nisko lampa dająca przyćmione światło. Winylowe podłogi są wiecznie lepkie od rozlanej kawy i syropu do naleśników. Łazienki zostały odnowione, nadal jednak są obrzydliwe, i kiedy Marin przed chwilą korzystała z toalety, zmuszona była siusiać w półprzysiadzie z obawy, że jej uda dotkną czegoś ohydneho.

Żarcie we Franku jest tłuste i szybkie, porcje obfite, a ceny niskie. Knajpa przyciąga wielu bezdomnych, głównie mężczyzn, którzy przychodzą w małych grupkach i siedzą cicho w narożnych boksach, dzieląc się jedną

porcją posiłku, na który często dostają zniżkę. Właściciel też był kiedyś bezdomny, ale wyszedł na prostą i znalazł pracę. Stał się legendą Seattle i mówiono o nim w wiadomościach, z których stopklatka została oprawiona i powieszona na ścianie przy wejściu. Frankenstein przyciąga również pracowników zmianowych z pobliskiego szpitala uniwersyteckiego, a także studentów z trzech różnych college'ów w okolicy, w tym z uczelni artystycznej, do której uczęszcza McKenzie Li.

Kobiety takie jak Marin nie bywają w podobnych miejscach. A przynajmniej już nie. Jakiś facet z zepsutymi zębami uśmiecha się do niej, idąc do łazienki, i Marin na chwilę spowija odór jego ciała, połączenie starego moczu i śmieci, zapach życia spędzanego na ulicy. Odruchowo przyciąga do siebie torebkę na winylowym siedzisku. Czy to Sal wybrał to miejsce czy Julian?

Myśl o Salu sprawia jej ból, nie zaczęła nawet analizować tego, co zaszło między nimi po południu. Przez prawie dwadzieścia lat małżeństwa z Derekiem ani razu go nie zdradziła, nawet nie przyszłoby jej to do głowy. Oddycha głęboko i odsuwa od siebie wspomnienie tego popołudnia. Nie powinna była otwierać tych drzwi, aż strach pomyśleć, dokąd to zaprowadzi ją i Sala. Marin nie chce go stracić. Nie wie, czy by to przeżyła.

Im dłużej tu siedzi, tym bardziej szalone jej się to wydaje. Całkiem możliwe, że naprawdę jej odbiło.

Za każdym razem jednak, kiedy podaje w wątpliwość swoją decyzję o przyjeździe tutaj, jej telefon rozświetla jakieś przypadkowe powiadomienie. I za każdym razem, kiedy to się dzieje, Marin znów widzi zdjęcie McKenzie Li, młodej, świeżej i nieskrępowanej, gładkiej tam, gdzie Marin jest pomarszczona, pewnej siebie tam, gdzie Marin... taka nie jest. Na pewno jest płodna, jej jajniki działają bez zarzutu, gotowa urodzić dziecko, albo i dwoje, jeśli Derek tego zechce.

Czy on tego właśnie chce? Kolejnego dziecka? Bo tego akurat Marin nie może mu dać. Podczas ostatniej próby zapłodnienia in vitro wykorzystali ostatni zdolny do przeżycia embriion i z niego właśnie powstał Sebastian.

Kobiety występujące przeciwko innym kobietom to najstarszy stereotyp na świecie, a Marin zawsze szczyliła się tym, że wspiera inne kobiety. Cokolwiek robi McKenzie, to wciąż jest zdrada Dereka. Ale Marin również zraniła swojego męża. I jeśli Derek może wybaczyć jej to, co stało się z Sebastianem – a powtarzał to setki razy – to ona z całą pewnością może wybaczyć mu zdradę.

A zatem jedynym czarnym charakterem w tej historii pozostaje McKenzie. Nic nie zainwestowała, a próbuje zgarnąć wszystko. A tak nie może być.

– Jeszcze kawy, skarbie?

Marin aż podskakuje, słysząc zniecierkowanego zgrzytliwy głos kelnerki. W jednej ręce trzyma dzbanek z kawą, w drugiej z wodą, i z przyjaznym uśmiechem proponuje Marin obydwie napoje. Na jednym z przednich zębów ma plamkę od koralowej szminki i nagle, ni stąd, ni zowąd, Marin przypomina się kelnerka z innej restauracji, Golden Basket, do której rodzice zabierali ją w każdy niedzielny poranek po kościele. Miała na imię Mo, co było zdrobnieniem od Maureen. Kiedyś, gdy była w college'u i spędzała weekend z rodzicami z okazji Święta Dziękczynienia, poszli razem do Golden Basket. Marin poprosiła kelnerkę witającą gości, żeby posadziła ich przy stoliku w rewirze Mo, na co ta ze smutną miną oznajmiła, że ulubiona kelnerka Marin zmarła miesiąc wcześniej.

– Miałam ci powiedzieć – wyszeptała jej matka, kiedy po raz pierwszy od pewnie dziesięciu lat usiedli w innym rewirze.

– No tak, ale nie powiedziałaś – odparła Marin. – A teraz czuję się jak gówno, podobnie jak ta biedna kelnerka.

Matka ściągnęła usta.

– Język, Marin.

Splóviały zielony strój wisi na żylastym ciele kelnerki, a na plakietce wypisane pochyłymi literami widnieje imię BETS. Marin zastanawia się, czy to nie miało być BETSY, tylko Y się starło. Mruga, uświadamiając sobie, że nie odpowiedziała jeszcze na jej pytanie.

– Poproszę dolewkę jednego i drugiego, bardzo dziękuję.

Bets/Betsy napełnia jej kubek i szklanę, nie roniąc ani kropli. Jej knykcie przypominają korzenie imbiru.

– Coś do jedzenia? – pyta. – Czy jeszcze pani na kogoś czeka?

Drzwi restauracji się otwierają i wpada grupka rozkrzyczanych studentów oraz powiew zimnego wiatru. Nie mają gdzie usiąść, wszystkie stoliki są zajęte. Jedzenie to ostatnia rzecz, na jaką Marin ma ochotę, wydaje jej się jednak, że to nie w porządku zajmować boks, który mógłby pomieścić cztery osoby, skoro pije tylko kawę.

Spogląda ponad głową kelnerki na menu wypisane kredą na wielkiej tablicy zajmującej pół ściany nad otwartą kuchnią.

– Poproszę potworne danie dnia. Tylko z jajecznicą z samych białek, bardzo proszę. I bez naleśników, tostów czy smażonych ziemniaków. Mają państwo boczek z indyka?

Bets/Betsy unosi umalowane brwi.

– Skarbie, to nie byłoby potworne danie dnia. Za jajecznicę z samych białek trzeba dopłacić i płaciłaby pani za mnóstwo rzeczy, których wcale by pani nie zjadła. I nie podajemy boczku z indyka. – Krzywi się, wypowiadając słowa „boczek z indyka”, jakby to było bluźniercze pojęcie. I pewnie jest, bo trzeba być palantem, żeby przychodzić do czynnej całej doby knajpy, słynącej z podawanego przez cały dzień śniadania, i próbować przerobić je na zdrowe danie.

Marin uśmiecha się do kelnerki.

– Wie pani co, poproszę średnio ściętą jajecznicę. Tosta z chleba na zakwasie. Smażone ziemniaki. I zwykły bekon, który, o ile pamiętam, jest pyszny.

Kelnerka odwzajemnia uśmiech.

– Dodać naleśnika za dolara?

Marin nie da rady zjeść tego wszystkiego, ale co tam.

– Jasne, czemu nie.

Bets/Betsy zapisuje zamówienie, a Marin zastanawia się, w jaki sposób kobieta trafiła do podrzędnej knajpy i na dodatek w jej wieku pracuje na nocnej zmianie. Mo zawsze mówiła, że lubi tę pracę, że klienci Golden Basket są dla niej jak przyjaciele, a współpracownicy jak rodzina. Ale nocna zmiana we Frankensteinie to zupełnie co innego.

Wybiła północ, a „faceta” Sala nadal nie ma. Marin nie może wysłać esemesa ani zadzwonić, żeby sprawdzić, czy Julian w ogóle zamierza przyjść. Sal zapewniał ją, że na pewno się dogadają. I tak naprawdę to wszystko, co Marin wie. Ale jeśli ten Julian w ogóle się nie pokaże?

Jej telefon pika. To esemes od Sala. Żyjesz?

Jeszcze go nie ma, odpisuje natychmiast Marin drżącymi palcami. Zaczynam świrować. Nie wiem, czy dam radę to zrobić.

Odpowiedź Sala przychodzi równie szybko: Nic ci nie będzie. Siedź i czekaj. To tylko rozmowa.

Nie mając nic innego do roboty, Marin klika na aplikację Instagrama. Media społecznościowe nie są dla niej priorytetem. Postami na Instagramie i Facebooku zajmują się Sadie i kierowniczki poszczególnych salonów. Dzisiaj jednak Marin się od nich uzależniła i odkryła, że młodsze pokolenie

na tych wirtualnych platformach bez skrępowania upublicznia całe swoje życie. A jeśli człowiek patrzy wystarczająco uważnie, może dowiedzieć się prawie wszystkiego o wszystkich.

Kochanka Dereka, na przykład, wstawia coś na Instagrama każdego dnia. Każdego. Pieprzonego. Dnia.

Od momentu, kiedy Marin ostatnio sprawdzała, pojawiło się nowe zdjęcie przedstawiające... stopy? Smukłe stopy przyłączone do chudych kostek, opakowane w różowo-białe skarpetki w kropki i skrzyżowane wdzięcznie na desce rozdzielczej samochodu. Zdjęcie zostało zrobione pod strategicznym kątem, żeby pokazać kierownicę z charakterystycznym logo Maserati z koroną umieszczone pośrodku. Widać też dłoń na kierownicy, ewidentnie męską, a podpis głosi: Superbryka, superfacet, a do tego ikonka: uśmiechnięta buźka w ciemnych okularach.

Pod zdjęciem jest ponad sto komentarzy, ale McKenzie odpowiedziała tylko na pierwszy:

sugarbaby1789: dziewczyno kto to????

kenzieliart: mój krasz, dziewczyno! [emotka buziaczek]

I znów Marin musi sięgnąć do słownika miejskiego slangu. „Krasz” oznacza ukochanego, chłopaka, obiekt uczuć.

Potworne upokorzenie.

Na podarte winylowe siedzenie naprzeciwko niej wsuwa się jakiś facet. Marin, przestraszona, omal nie upuszcza telefonu. Była tak pogrążona w myślach, że nie zauważyła, jak podchodzi. Nie widziała, jak zbliża się do jej boksu, ani też nie poczuła na twarzy powiewu wiatru z otwartych frontowych drzwi. Przy wejściu wciąż tłoczy się ta sama hałaśliwa grupka studentów.

Musiał wejść z innej strony, tylnymi drzwiami, a może przez kuchnię.

Serce jej wali, dłonie się pocą, odruchowo wyciąga do niego rękę, lecz on nie wykonuje żadnego ruchu, żeby ją uścisnąć. Gestem przywołuje kelnerkę, która podchodzi z czystym kubkiem i dzbankiem z kawą.

– To co zwykle, Bets – mówi mężczyzna, a ona kiwa głową.

A więc naprawdę ma na imię Bets i najwyraźniej ci dwoje się znają. Skoro on korzysta z tylnego wejścia, pewnie często tu przychodzi. Marin kładzie ręce na podołku, żeby nie zobaczył, jak się trzęsą.

Czy ona naprawdę to robi?

Nie jest w stanie spojrzeć mu w oczy, lecz on chyba nie odczuwa żadnego skrępowania. Sięga do kieszeni kurtki, wyjmując paczkę

nawilżanych chusteczek i wyciąga jedną. Marin patrzy, jak wyciera skrupulatnie ręce, palec po palcu, a kiedy kończy, zgniata zużytą chusteczkę w kulkę, zawija ją w serwetkę i kładzie w rogu stolika.

Przygląda się Marin uważnie, wodzi wzrokiem po jej twarzy, włosach, naszyjniku, bluzce, obrączce i pierścionku zaręczynowym na lewej dłoni i bransoletce na prawym nadgarstku. Nie uśmiecha się, mimo to jego twarz ma naturalnie miły wyraz. Co Sal mu powiedział? Marin zastanawia się, czy w jego oczach wygląda tak, jak się tego spodziewał.

Zastanawia się też, ile razy już to robił.

Wreszcie się odzywa:

– Jestem Julian. Nie denerwuj się, Marin. Tylko porozmawiamy.

Nie zdawała sobie sprawy, że wstrzymywała oddech, dopóki nie wypuściła powietrza.

– Witam – mówi. – Dziękuję, że przyszedłeś.

Julian – o ile to jego prawdziwe imię – jest mniej więcej w jej wieku, może kilka lat starszy. Ciemne oczy, gęste brwi, wydatny nos, ogolona na łyso głowa. Wytarta czarna kurtka motocyklowa, a pod spodem czarny T-shirt z dekoltem w szpic. Wyjątkowo muskularna budowa, na ile Marin może się zorientować. Silne dłonie, żadnego zegarka ani obrączki, zresztą pewnie to byłoby dziwaczne, gdyby w takich okolicznościach nosił jedno albo drugie. Nie wygląda na faceta, który pracuje w biurze od dziewiątej do siedemnastej, ale też nie wygląda na – jak to ujął Sal – faceta, który załatwia „takie” rzeczy.

Nie żeby Marin miała jakiegokolwiek pojęcie, jak taki facet powinien wyglądać. Nigdy nie oglądała Raya Donovana.

Taksują się nawzajem wzrokiem i mija kolejna chwila, zanim on zagaduje:

– Więc to ty jesteś tą babką, która złamała Salowi serce?

Marin mruga. Nie tak sobie wyobrażała początek rozmowy.

– No więc... w pewnym sensie. – Nie wie, co dokładnie powiedział mu Sal, i nie wie, jak to wytłumaczyć ani jak szczegółowego wyjaśnienia facet się spodziewa. – Chodziliśmy ze sobą na studiach. Dawno temu.

– I rzuciłaś go dla kolesia, za którego ostatecznie wyszłaś za mąż? – Julian bardziej stwierdza niż pyta.

Jeżu, Sal, co ty naopowiadałeś temu facetowi?

– Nie... zupełnie.

– Sal to dobry chłopak. Żałowałaś kiedyś, że wybrałaś swojego męża, a nie jego?

– Ja... – Rany. Marin nie ma pojęcia, jak zareagować. Nie była przygotowana na takie pytania, zwłaszcza tak od razu, z marszu, lecz gość najwyraźniej nie potrafi prowadzić rozmów o niczym. Nie tracił czasu nawet na przywitanie się. – To znaczy... oczywiście, że nie. Sal zdaje sobie z tego sprawę. Przepracowaliśmy to.

– Staram się tylko potwierdzić, skąd się znacie. – Koło oczu Juliana pojawiają się zmarszczki i Marin uświadamia sobie, że on się uśmiecha. A w każdym razie próbuje to zrobić. – Sprawdzić, czy twoja historia pokrywa się z tym, co powiedział mi Sal. Bo oczywiście ty i ja nigdy wcześniej się nie spotkaliśmy i muszę mieć pewność, że jesteś osobą, z którą mnie umówił.

– Sal to mój najlepszy przyjaciel. – To najprostsze wytłumaczenie i jednocześnie najbardziej precyzyjne. – Znamy się bardzo długo. Mogę ci pokazać jakiś dokument, jeśli chcesz potwierdzić moją tożsamość.

Cholera. To było głupie. Marin nie chce mu pokazywać żadnych dokumentów. Wiedziałyby o niej wszystko, poznałyby jej adres, a to wydaje jej się trochę... niebezpieczne.

Julian kręci głową.

– Nie, nie ma potrzeby. W porządku.

– A skąd ty znasz Sala? – pyta Marin.

Stropiony unosi brew.

– A co on ci powiedział?

– Że dla niego pracowałaś. Raz czy dwa.

– To prawda. – W ciemnych oczach Juliana pojawia się błysk. – Ale nie tak się poznaliśmy. Dawno dawno temu obaj rezydowaliśmy w MCC.

Marin wpatruje się w niego, czekając na ciąg dalszy, który jednak nie następuje. I nagle to do niej dociera. MCC to Monroe Correctional Complex. Zakład Karny w Monroe. Więzienie. Jezu Chryste. Kiedy Sal miał dziewiętnaście lat i był na drugim roku studiów, został aresztowany za sprzedaż marihuany. To było drobne wykroczenie, Sal jednak wpadł już drugi raz i jego ojciec się wkurzył. Odmówił wpłacenia kaucji i zanim doszło do rozprawy, podczas której sędzia uznał, że już odsiedział swoje, Sal spędził trzydzieści dni w więzieniu. To wszystko zdarzyło się, zanim go poznała, a on nigdy o tym nie mówi, dlatego Marin często zapomina, że był w więzieniu.

– Utrzymywaliśmy kontakt po tym, jak obaj wyszliśmy na wolność. Opowiadał mi o tobie, kiedy byliście wtedy razem. Nadal to robi. Mówi, że byłaś jego miłością, ale go zostawiłaś.

– To ciekawe, bo mnie nigdy o tobie nie wspominał – wypala Marin i czuje, że jej twarz robi się czerwona. Te słowa zabrzmiały o wiele bardziej obcesowo, niż zamierzała.

Julian jednak chyba się tym nie przejął. Wzrusza ramionami.

– Nie jestem typem faceta, o którym opowiada się przyjaciółkom.

– Zazwyczaj Sal mówi mi wszystko.

– Czyżby? – Julian dziwnie się uśmiecha, ale zanim Marin zapyta, o co mu chodzi, dodaje: – Nie widzimy się często. Kiedy mnie potrzebuje, dzwoni. Specjalizuję się w problemach, które trzeba załatwić w określony sposób.

– Jakiego rodzaju problemach? – Marin wstrzymuje oddech, ciekawa, czy Julian wypowie te słowa.

– Czegokolwiek tylko potrzebujesz, Marin.

Niczego więcej nie wyjaśnia i zapada niezręczna cisza, aż nagle telefon Marin się rozświecila. To esemes od Sala, który sprawdza, co z nią. Marin czuje się okropnie zażenowana, kiedy wzrok Juliana naturalną kolejną rzeczy pada na ekran jej komórki i nagie ciało McKenzie. Marin gwałtownym ruchem zabiera telefon ze stołu. Nikt poza nią nie ma prawa oglądać tego zdjęcia.

– To Sal. – Marin czuje, że rumieniec oblewa już nie tylko jej policzki, ale i szyję. – Chce wiedzieć, czy wszystko w porządku.

Julian opiera się wygodnie i upija łyk kawy.

– To mu odpisz.

Marin szybko wstukuje odpowiedź i chce schować telefon do torebki.

– Przykro mi, Marin – Julian przytrzymuje jej rękę. – Musi zostać na stole.

– Naprawdę?

– Odblokuj go, proszę – mówi miłym tonem, nie ma jednak wątpliwości, że to polecenie, nie prośba.

Dotyka kciukiem przycisk „home” i telefon się otwiera.

Julian bierze go od niej i przesuwa palcem po ekranie, skrupulatnie zamykając wszystkie otwarte aplikacje. Następnie odkłada telefon na stół, skąd McKenzie uśmiecha się do nich w całej krasie swej nagości, aż wreszcie ekran gaśnie.

– Musiałem się upewnić, że nasza rozmowa nie jest nagrywana – wyjaśnia Julian.

– Nie zrobiłabym tego.

Nie miałyby powodu, żeby cokolwiek nagrywać. Nie chciałyby, żeby o tym, co stanie się tutaj tej nocy, wiedział ktokolwiek poza Salem. Ani o tym, że w ogóle o czymś takim myślała, czy też rozważała to na tyle poważnie, by odbyć rozmowę z kimś, kto naprawdę mógłby coś z tym zrobić.

– Jest żarcie – oznajmia Julian.

Bets stawia na stole ogromne talerze z kopiastymi porcjami lśniącego od tłuszczu jedzenia. Marin zauważa, że Julian zamówił prawie dokładnie to samo co ona, łącznie z dodatkowym naleśnikiem, tyle że ma pszenną grzankę.

– Co byś powiedziała na to, żebyśmy najpierw zjedli, a potem pogadali?

– Julian bierze widelec i kroi jajko sadzone. Żółtko zalewa plasterki smażonych ziemniaków. – Rozmowy o morderstwie są o wiele łatwiejsze z pełnym żołądkiem, nie uważasz?

12

Przez chwilę Marin prawie mogłaby udawać, że są dwojgiem ludzi na randce w ciemno, bo też w pewnym sensie są. Przecież umówił ich wspólny znajomy.

Tyle że to wszystko jest nielegalne.

– A więc to ona? – Julian wreszcie odkłada widelec. – W twoim telefonie. Czy to kobieta, z którą zdradza cię mąż?

On zjadł dwie trzecie swojej porcji, a ona połowę swojej i wygląda na to, że oboje są najedzeni. Bets widzi, że skończyli jeść, lecz nie podchodzi do ich stolika. Zupełnie jakby wiedziała, że nie wolno jej podejść, dopóki Julian nie da znaku, a on nie patrzy w tamtą stronę. Patrzy ciemnymi oczami prosto na Marin, a ona ma wrażenie, jakby przeszywał ją wzrokiem na wylot. Nie sądzi, że mogłaby mu skłamać na jakikolwiek temat, choćby nawet chciała.

Zaczyna mówić, gorączkowo wyrzuca z siebie wszystko na jednym oddechu. Zupełnie jakby wreszcie poczuła, że może wypowiedzieć każdą najokropniejszą rzecz, o jakiej myślała, wszystko to, czego nigdy nie mówiła na grupie, rzeczy, które ewentualnie mogłaby powiedzieć tylko terapeutce. Julian jest obcym człowiekiem, może to dlatego. A może dlatego że wie, że on nie będzie jej oceniał.

– Ten romans trwa już od jakiegoś czasu. On teraz jest z nią. W hotelu, gdzie tutaj, w mieście. – Jej twarz znów oblewa rumieniec wstydu, czuje wypieki na policzkach.

– Pokaż mi to zdjęcie.

Podaje mu telefon, a jej wstyd przechodzi we wściekłość. Julian raz jeszcze długo ogląda zdjęcie, aż do wygaśnięcia ekranu, na jego ustach igra uśmieszek. Co jest z tymi facetami i nagimi kobietami? Sal wcześniej zareagował podobnie. Rozbawieniem z odrobiną... pożądliwości.

– Czy ty i twój mąż macie dzieci? – pyta Julian.

– To nieistotne.

Jej odpowiedź go zaskakuje. Unosi pytająco brwi, lecz ona nie rozwija tematu. Nie zamierza rozmawiać z tym facetem o swoim synku i cieszy się,

że Sal też nic mu o nim nie wspominał. Sebastian to temat tabu.

– Powiedz mi wszystko, co o niej wiesz – prosi Julian.

Ta część jest łatwa. Inaczej niż wobec Dereka, jeśli chodzi o tę kobietę, Marin odczuwa tylko jedną emocję, taką, która zaczyna się na „nie”, a kończy na „nawiść”.

Julian słucha, nie przerywając. Kiedy Marin kończy mówić, czuje, że zaschło jej w gardle. Sięga po szklankę z wodą, przewracając przy tym kubek z kawą. Na szczęście już prawie pusty i na stół wylewa się tylko kilka kropli. Bets zjawia się natychmiast z wilgotną szmatką i pyta przy okazji, czy może już zabrać talerze. Oboje odmawiają zapakowania reszty jedzenia na wynos.

– Przepraszam. – Marin wyciera kroplę kawy, którą przeoczyła kelnerka.

– Zwykle nie jestem taka nerwowa.

– To dlatego, że jesteś normalna, a my prowadzimy zdecydowanie, jak dla ciebie, nienormalną rozmowę – kwituje Julian. – Tu nie ma żadnej presji, Marin. Jestem tu po to, żeby ci pomóc, a nie jeszcze bardziej utrudnić życie.

Te niespodziewanie miłe słowa przypominają Marin, że to tylko spotkanie. To, że tu z nim siedzi, nie oznacza, że musi doprowadzić swój plan do końca. W tej chwili nie musi podejmować żadnych decyzji.

Może jeszcze zmienić zdanie.

On znów jej się przygląda, ale teraz, kiedy opowiedziała mu swoją historię i on zna szczegóły sprawy, która ją tu sprowadziła, jest jakoś inaczej. Zdradziła mu swoje tajemnice. To stworzyło między nimi dziwną poufałość.

– Sal zawsze mówił, że jesteś piękną kobietą, Marin – oznajmia Julian, a ona znowu czuje na policzkach gorący rumieniec. – I miał rację. Do tego jesteś kobietą sukcesu, o ile dobrze zrozumiałem. Wiele razy miałem do czynienia z takimi sytuacjami i mogę stwierdzić z całą pewnością, że to, co robi twój mąż, ma bardzo mały związek z tobą.

Nieprawda. To ma związek wyłącznie z nią.

– Czy masz do mnie jakieś pytania? – chce wiedzieć Julian.

Marin nabiera powietrza. A więc doszli już do tego.

– Sądzę... sądzą, że to dużo kosztuje. Ile bierzesz? I w jaki sposób... to znaczy co zamierzasz... – Przęłyka ślinę.

– Moje metody nie powinny cię obchodzić. – Znów ten błysk w oku. – W niektórych sytuacjach działam osobiście, a inne... zlecam komu innemu.

Wystarczy, że będziesz wiedziała, że sprawa zostanie załatwiona. Ale moje honorarium to dwieście pięćdziesiąt. I to nie podlega negocjacji.

– Dwieście pięćdziesiąt tysięcy? – Nie wiedziała, czego się spodziewać. Sal uprzedzał, że facet jest drogi, ale ta kwota jest wyższa, niż sobie wyobrażała.

– Usługa jest warta tej ceny.

– Ale ja... – Marin ma tyle pytań, jednak nie wie, od czego zacząć. Głupio jej, że zachowuje się jak naiwna idiotka, nowicjuszka, którą zresztą jest, i żałuje, że tak się upierała, by spotkać się z Julianem sam na sam. Żałuje, że nie ma tu Sala. – Czy mogę... czy mogę zapłacić połowę z góry?

– Nie. – Jego śmiech jest krótki, przypomina szczeknięcie. – Płacisz całą kwotę z góry. Gotówką albo przelewem.

– Tylko, że... Nie wiem, jak mogłabym wyjaśnić przelew w wysokości ćwierć miliona dolarów. – Marin wie, że dysponuje taką sumą, ale nie ma jej przecież na rachunku bieżącym. I nie może tyle wydać ot tak, bez uzasadnienia. – Czy to nie wzbudzi podejrzeń?

– Jeśli zapłacisz przelewem, podam ci numer rachunku organizacji charytatywnej. Autentycznej, istniejącej od dawna. Wpłacałaś już darowizny na rzecz organizacji charytatywnych, prawda? – Nie czeka na odpowiedź, wie, że wpłacała. – Dam ci nawet paragon fiskalny. Dla urzędu skarbowego czy kogokolwiek innego, kto się tym zainteresuje, to będzie wyglądało, jakbyś przekazała bardzo hojny datek na schronisko dla kobiet.

– Naprawdę?

Julian sący kawę i nie odpowiada. Jasne jest, że nie lubi się powtarzać.

– Ale skąd będę wiedziała, że faktycznie...

– ...wykonam robotę? Nie będziesz. To kwestia zaufania. – Julian pochyla się do przodu. – Zaufanie to w mojej branży bardzo ważna sprawa. I to działa w obie strony, Marin. Ja też muszę zaufać tobie. I ufam, ponieważ ufam twojemu dobremu przyjacielowi Salowi.

Mija dobra minuta, zanim Marin ułoży to sobie w głowie, i Julian czeka cierpliwie, gdy ona roztrząsa ze sto różnych scenariuszy. Wreszcie szepcze:

– Jeśli się zdecyduję, jak szybko mi powiesz, na kiedy to zaplanowałeś?

– Nie będziesz nic o tym wiedziała. Dowiesz się, kiedy będzie po wszystkim. To może potrwać kilka tygodni.

– Tygodni?

Julian odstawia kubek.

– Im więcej czasu minie od tej rozmowy do wykonania zlecenia, tym lepiej. Wiele osób zostaje złapanych, właśnie dlatego że robota jest wykonana za szybko po zapłacie, a klienci są zbyt uwikłani w cały plan. Im więcej dystansu będzie między tobą a całą resztą, tym lepiej.

Marin milczy. Dla niego to najwyraźniej rutynowa sprawa, jednak dla niej to coś zupełnie niewyobrażalnego. Naprawdę o tym rozmawiają. Ona naprawdę to robi.

– Płacisz mi nie tylko za zabicie kogoś, Marin – mówi Julian lekkim tonem. Wydaje się nie przejmować tym, że ktoś może go usłyszeć. – Gdyby chodziło ci wyłącznie o zabójstwo, mogłabyś zrobić to sama, zakładając, że byłabyś wystarczająco wściekła. Albo zapłacić jakimkolwiek żułowi z ulicy, żeby zrobił to dla ciebie za bez porównania mniejsze pieniądze. Zabójstwo to najłatwiejsza część.

Marin mruga. W całym swoim życiu nigdy nie słyszała, żeby ktoś powiedział coś takiego.

– Mnie płacisz za to, żeby mieć pewność, że nikt nie powiąże zabójstwa z tobą. – Julian pije kolejny łyk kawy. – Chodzi o to, żeby to wyglądało na wypadek samochodowy, przypadkowy napad o tragicznych konsekwencjach, może na jakąś dziwną chorobę albo pożar czy utonięcie. Coś niespodziewanego, ale prawdopodobnego. A żeby to było wiarygodne, powinnaś być tak samo wstrząśnięta jak wszyscy inni, nie możesz znajdować się w pobliżu i musisz być zupełnie nieprzygotowana na tę wiadomość. Jeszcze lepiej, gdybyś w ogóle nie wiedziała, że on cię zdradzał. – Julian urywa na chwilę. – Czy on wie, że wiesz?

– Nie. – Marin drży głosem. Cała dygocze. Te rzeczy, które wymienił, jakby to były jakieś niewinne okoliczności, a nie sposoby na to, żeby kogoś... uśmiercić... Marin nie wie, jak na to zareagować.

– W jaki sposób dowiedziałaś się o romansie?

– Od prywatnego detektywa – odpowiada, a on mruży oczy.

– Którego?

Marin kręci głową.

– I znowu myślę, że to nieistotne.

Z jakiegoś powodu Marin nie chce podawać imienia i nazwiska Vanessy Castro. Odkryła ten romans przypadkiem, badając sprawę zaginięcia jej synka, o którym Marin też nie chce rozmawiać. To wszystko nie powinno Juliana obchodzić.

– Ukrywając coś przede mną, utrudnisz mi pracę.

– Jeśli jesteś tak dobry, jak twierdzisz, to nie powinno mieć znaczenia – odpowiada Marin, co brzmi jak wyzwanie.

Julian zaciska szczęki, lecz zaraz je rozluźnia.

– Kto jeszcze wie? Twój terapeuta?

– Skąd wiesz, że mam terapeutę? – Czy on ją sprawdza, czy Sal przekazał mu o niej aż tyle informacji?

– Takie kobiety jak ty zawsze mają.

– Ja już nie. – Nazwiska doktora Chena Marin też nie ma zamiaru zdradzać. Julian ją przeraża, ale wzbudza w niej także potrzebę, by chronić ludzi obecnych w jej życiu. – I jeśli zamierzasz mnie wypytywać o każdą osobę, której mogłam powiedzieć o tym romansie – a tak w ogóle dowiedziałam się o nim dopiero dzisiaj – to trochę tu jeszcze posiedzimy.

Na wargach Juliana pojawia się nieznaczący uśmiezek. Jeśli nawet poddał ją jakiemuś testowi, to najwyraźniej go zdała.

– Będziesz musiała odwołać swojego detektywa – mówi. – Jak najszybciej.

– Załatwione – odpowiada Marin, ale to kłamstwo. Chociaż rozumie, że Julian nie potrzebuje komplikacji w postaci prywatnego detektywa śledzącego osobę, do której zabicia został zatrudniony, nie ma zamiaru mówić Vanessie Castro, żeby wstrzymała prowadzone śledztwo. Powie jej tylko, żeby dała sobie spokój z romanssem. A w poszukiwaniach Sebastiana nic się nie zmienia.

– W porządku. A więc dotarliśmy do najważniejszego. – Julian pochyla się do przodu. – Kiedy przelejesz pieniądze, zlecenie zostanie potwierdzone. I sprawa będzie w toku. Jeśli parę dni później obudzisz się, spanikujesz, zmienisz zdanie, w porządku. Jednak pieniądze poszły. Nie odzyskasz ich. Rozumiesz to?

– Tak. – Marin znowu zaczyna dygotać, co jest głupie, bo zaszli już tak daleko. Odłoniła już przed nim swoją najgorszą stronę, tę, której nie ujawnia nawet Salowi, chyba że żartem albo po pijaku, tę, która mogłaby z łatwością zaprowadzić ją prosto do piekła.

Albo gorzej, do więzienia. Bo trudno grozić komuś piekłem, jeśli ten ktoś już w nim żyje.

– Bo wiesz, mogłabyś po prostu się z nim rozwieść – ciągnie Julian. – To nie jest najszybszy sposób, ale przynajmniej nie ma żadnego ryzyka. Znam świetnego prawnika, z którym mógłbym cię skontaktować, oczywiście za pewną opłatą. Już on by wykopał wszelkie możliwe brudy obciążające

twojego męża i zadbałby o to, żebyś dostała wszystko to, do czego masz prawo.

Marin mruga.

– O czym ty mówisz?

Nie rozwiedzie się z Derekiem. Rozwód to paskudna sprawa, a ostatecznie da tylko Derekowi swobodę bycia z McKenzie czy z kimkolwiek innym, kogo pozna po niej. I jedyną osobą, która na tym straci, będzie Marin. A ona nie chce skończyć z namiastką, jak Tia. Już i tak straciła zbyt dużo.

– Mówię tylko, że to jest jakieś rozwiązanie – podejmuje Julian. – Bo jeśli pójdziesz tą drogą, zawsze jest jakieś ryzyko. Nawet jeśli to będzie wyglądało jak wypadek, to nadal śmierć, a małżonek jest zawsze pierwszym podejrzanym. Może się w to wmieszać policja. Będzie autopsja. Przesłuchanie. A twój mąż jest facetem...

– Wybacz, ale o czym ty mówisz? – Nie powinna przerywać mu w pół zdania, ale jest skołowana. – Nie jestem tu z powodu Dereka. To mój mąż. – O mało nie dodaje „i ojciec mojego syna”, jednak w ostatniej chwili się powstrzymuje.

Teraz z kolei Julian jest zdezorientowany. Wydaje się zaskoczony, a Marin odnosi wrażenie, że nieczęsto mu się to zdarza.

– Nie chodzi ci o zabicie męża?

– Oczywiście, że nie. – Marin dźga kciukiem swój telefon i znów pokazuje się nagie selfie. – To nie Derek jest problemem, tylko ona.

Julian opiera się wygodnie i przez chwilę jej się przygląda.

– Sal mówił mi co innego.

– W takim razie nasz wspólny przyjaciel źle zrozumiał.

Jasna cholera, Sal. Marin nie ma wątpliwości, że liczył na taki właśnie obrót sprawy. Ale ona nie mogłaby pragnąć śmierci Dereka. Jest ojcem Sebastiana. I bez względu na wszystko nie mogłaby wyrządzić krzywdy ojcu swojego synka. Wpatruje się w zdjęcie, póki ekran nie wygaśnie, w duchu przeklinając Sala za takie przekłamanie.

– Czy to dla ciebie problem? – pyta Juliana.

– Bynajmniej – odpowiada Julian i na jego wargi znów wraca nikły uśmiezek. – Właściwie to trochę upraszcza sprawy.

Przez następnych parę minut żadne z nich nic nie mówi, jednak teraz on patrzy na nią inaczej. Przyszedł tu, sądząc, że pragnie śmierci mężczyzny, ale to kobieta niszczy życie Marin. To kobieta próbuje ukraść jej tę resztkę

rodziny, która jej jeszcze została. Jeśli to czyni z Marin potwora, niech tak będzie. W ciągu ostatnich czternastu godzin wyobrażała sobie śmierć McKenzie na kilkanaście różnych sposobów – potraça ją autobus, wylatuje przez okno, wpada do gigantycznego otworu ściekowego, ktoś spycha ją z pieprzonego klifu – a każda z tych fantazji zapewnia jej chwilę ogromnej ulgi.

Z boksu w rogu, gdzie hałaśliwi studenci właśnie skończyli jeść, dobiega skrzekliwy śmiech. To trzech chłopaków i dwie dziewczyny, a uwagę Marin przyciąga zwłaszcza jedna z nich, ta z długimi brązowymi włosami i błyszczącymi oczami, która jest wyraźnie zakochana w pewnym sobie przystojniaku siedzącym obok niej. To mogłaby być Marin dwadzieścia lat temu. I bez dwóch zdań większość z tych lat była udana. Tylko ostatni rok okazał się piekłem.

– Nadal go kocham – mówi bardziej do siebie niż do Juliana.

Ten sięga do wewnętrznej kieszeni kurtki i wyjmuje lśniącą broszurkę. Są w niej informacje dotyczące Rise, lokalnego schroniska dla kobiet i ich dzieci, które doświadczyły przemocy domowej. To prawdziwa organizacja charytatywna, Marin ma wrażenie, że już kiedyś wpłacała na nią pieniądze. Jest prawie pewna, że co roku dostaje od nich kartkę świąteczną. Na dole tylnej zakładki Julian nagryzmolił szesnastocyfrowy numer, który jest zapewne numerem konta.

Marin się wzdryga. Kontakty Juliana muszą sięgać głęboko, skoro wie, jak prac pieniądze za pośrednictwem legalnej organizacji charytatywnej.

– Po dzisiejszym spotkaniu już nigdy się nie zobaczymy ani nie będziemy ze sobą rozmawiać – oznajmia Julian. – Przelew pełnej kwoty będzie oznaczał twoją zgodę na moje dalsze działania. Nie poznasz szczegółów. Nie będziesz wiedziała, kiedy to się zdarzy. I pamiętaj, zwrot pieniędzy nie wchodzi w grę. Rozumiesz?

To jedyny raz podczas dzisiejszego spotkania, kiedy powtórzył coś dwa razy.

– Rozumiem.

– Masz trochę czasu, żeby to sobie przemyśleć. Jeśli pieniądze nie zostaną przelane jutro rano do godziny dziewiątej, uznam, że twoja decyzja brzmi: nie.

– A jeśli nie zdołam tak szybko podjąć tej decyzji?

Julian przygląda jej się z lekkim uśmieszkiem.

– Ty już ją podjęłaś, Marin, inaczej by cię tu nie było. To kwestia tego, czy będziesz w stanie pociągnąć za spust. – Uśmiecha się szerzej. – Kiepski żart. To moja robota, nie twoja.

Przez następnych parę minut nic więcej nie mówią. W restauracji wokół nich robi się coraz bardziej hałaśliwie. O tej porze zamykają bary przy University Avenue i studenci ściągają tutaj w poszukiwaniu tanich tłustych przekąsek, chcąc zagryźć nimi wypite wcześniej budweisery light.

Bets przynosi rachunek i Julian ciska na stół sto dolarów. To o wiele za dużo, zresztą Marin gotowa była zapłacić, ale Bets z koralowym uśmiechem chowa pieniądze do kieszeni i nie proponuje reszty.

– Proszę zostać, jak długo państwo zechcą – mówi.

Studentki przy sąsiednim stoliku piszczą ze śmiechu, jest też nowa grupka w boksie obok rzucająca sprośne dowcipy w związku z jakimś filmikiem, który oglądają w czyimś telefonie. Przy sąsiednim stoliku jeden bezdomny głośno opowiada drugiemu jakąś historię o trzecim. Marin czuje ich odór, smród ulicy na ubraniach i niemytej skóry cuchnącej starym potem.

Ale to wszystko w ogóle jej nie przeszkadza. Właściwie zgiełk stanowi pożądaną osłonę. Nikt nie usłyszy ich rozmowy. Nikt się nie przerazi wypowiedzianymi przez nią słowami. Jedyne człowiek, który mógłby ją osądzić, siedzi naprzeciwko niej, lecz śmiało można stwierdzić, że jego wątpliwa moralność sprawia, iż jego opinia o Marin jest dyskusyjna.

– Miło było cię poznać, Marin – mówi Julian i ich spotkanie dobiega końca. – Bezpiecznego powrotu do domu.

Mówi to tak lekko i naturalnie. Marin mimowolnie myśli o tym, jak on normalnie wygląda, jaki wydaje się zdrowy na umyśle i atrakcyjny.

Ściskając w dłoniach torebkę, wysuwa się z boksu i narzuca płaszcz.

– W jaki sposób będę mogła się z tobą skontaktować?

– Nie będziesz mogła. – Julian podnosi głowę, jednak nie wstaje ani też nie wyciąga do niej ręki na pożegnanie. – Od tej pory wszystko będzie przechodzić przez Sala.

Ich pożegnanie jest równie szybkie jak powitanie.

Kiedy Marin wychodzi z restauracji, pada deszcz. Zadziera głowę i przez dobrą chwilę spogląda na czarne niebo, pozwalając, by krople deszczu zmoczyły jej twarz, rozmazały makijaż i zmyły jej grzechy.

Nie może uwierzyć, że do tego doszło.

Straciła, kurwa, rozum.

13

Na początku Kenzie uważała to za ekscytujące. Z romansami zawsze tak jest. Teraz jednak, kiedy leży w hotelowym łóżku i słucha, jak Derek chrapie obok niej, ma poczucie, że to wszystko trochę straciło urok.

Żonaci faceci są męczący. Kiedy jesteś z nimi, potrafią zużyć cały tlen w pomieszczeniu. Zawsze musisz się dostosowywać do ich planów i liczyć z nagłymi zmianami miejsca i czasu umówionego spotkania. Możecie bywać tylko w niektórych miejscach i tylko przez pewien czas, bo potem oni muszą być gdzie indziej. Ich rodziny są dla nich najważniejsze. A ty nie jesteś rodziną.

Jesteś dodatkiem. Jesteś tą, która wypełnia luki w jego życiu. Twoje zdanie jest mniej ważne.

Przyjazd tutaj był stratą czasu. Powinna była robić większe przerwy między randkami. Derek zaczyna być znudzony, a kiedy przestanie za nią tęsknić, ich związek będzie właściwie skończony. Inaczej niż z żoną, Derek nie ma wobec Kenzie żadnych zobowiązań. Nie jest na serio zaangażowany. Nie budują wspólnego życia. Kiedy będzie miał jej dość, zakończy ten romans. A ona nie jest na to gotowa.

Sięga po telefon, korci ją, żeby wysłać esemesa do J.R., zapytać, jakie ma plany na później. Był jedynym kochankiem Kenzie, który nie miał żony, ale ostatecznie i on już jej nie chciał. Zostali przyjaciółmi i od czasu do czasu nadal uprawiają seks, co niekiedy poprawia jej samopoczucie. Zdarza się też jednak, że czuje się potem jeszcze gorzej, a nigdy nie da się przewidzieć, jak będzie tym razem. Odkłada telefon, nie chcąc dziś ryzykować. Z żonatymi przynajmniej zawsze wiesz, na czym stoisz.

Kiedy wczoraj wieczorem dotarli do pokoju, Derek oznajmił, że ma coś do zrobienia, więc Kenzie nie pozostało nic innego, jak samotnie obejrzeć film w telewizji, podczas gdy on odpowiadał na służbowe e-maile. Kiedy film się skończył, zasnęła. W pewnym momencie Derek najwyraźniej też, ale Kenzie nie wie kiedy, bo jej nie obudził.

Po co w ogóle ją tutaj zapraszał, jeśli nie miał ochoty na seks?

Kenzie zsuwa się z łóżka, cicho podchodzi do okna i rozchyła zasłonki. Słońce dopiero wschodzi i widok terenu wokół hotelu jest bardzo ładny. Widzi w szybie swoje odbicie i stwierdza z przykrością, że jej różowe włosy zupełnie oklapły. Będzie musiała znowu je umyć i tym razem wysuszyć suszarką. Przeklina w myślach i idzie do łazienki wziąć prysznic, rozbierając się po drodze.

Nie ma złudzeń co do swego wyglądu. Jest wysoka i smukła, została też obdarzona ładnymi mięśniami i fantastycznymi nogami. Jej twarz za to jest zaledwie w porządku. Kenzie wygląda ładnie, kiedy się trochę umaluje, na ogół jednak używa tylko tuszu do rzęs i odrobiny błyszczyka. Przynajmniej teraz, po dwudziestce, przestała wreszcie mieć problemy z cerą.

Jej największym atutem jest egzotyczna uroda. Ojciec Hawajczyk, matka francuskojęzyczna Kanadyjka... Zawsze podobała się mężczyznom. Nie jest aż tak piękna, by ich onieśmielać, lecz wystarczająco atrakcyjna, żeby chciało im się za nią uganiać. Kenzie potrafi zrobić użytek ze swoich walorów. Nauczyła się tego dawno temu z J.R., kiedy miała siedemnaście lat, a gdy skończyła dziewiętnaście, udoskonaliła to z Seanem. Potem pojawił się Erik. I Paul, którego żona groziła, że ją zabije. No i teraz Derek.

Wszystko zaczyna się tak samo, od tego, co Kenzie nazywa „iskrą”. Ta iskra jest tym, co sprawia, że zwracają na nią wzrok. Jeśli nawet przedtem nie brali jej pod uwagę, po tej iskrze zaczną. Czasami jest to flirciarski komentarz – niewinny, lecz pełen podtekstów – kiedy indziej przeciągłe spojrzenie. Jeśli żonaty facet nie jest otwarty na nic więcej, to do niczego nie dojdzie i iskra gaśnie. Nie ma sprawy. Jeśli natomiast jest otwarty, to on musi zrobić kolejny krok.

Uwodzenie może ciągnąć się tygodniami, pożądanie narasta powoli, podczas gdy żonaty mężczyzna walczy z pokusami, żeby ostatecznie przegrać (to nieuniknione). Ważne, by wierzyli, że to oni ją uwodzą. To im daje poczucie mocy, poczucie, że mają w sobie to coś, czymkolwiek jest owo „coś”. Ich pierwszy raz musi być spektakularny, ale może się zdarzyć dopiero po okresie narastającego napięcia. Pogoń za króliczkiem jest najważniejsza.

Kiedy już uzależnią się od niej i od euforii związanej z ich spotkaniami, Kenzie może zacząć czerpać z tej relacji korzyści. Nie chodzi o to, że nie lubi mężczyzn, z którymi się spotyka – wszyscy naprawdę ją pociągają. Nie jest przecież prostytutką, do kurwy nędzy. Ewentualnie profesjonalną

dziewczyną. I nie może dopuścić do tego, by w jej relacje z mężczyznami wkradła się nuda.

Na takim właśnie etapie – lekkiego znudzenia – jest z Derekiem. To jej najdłuższy związek, trwa już sześć miesięcy, i Kenzie czuje, że powoli robi się nieświeży. Derek staje się apatyczny, a ona nie bardzo wie, co na to poradzić. Na początku, kiedy się poznali, ożywiał się przy niej. Teraz wpada do głębokiej studni smutku, w której, jak Kenzie się domyśla, tkwi, kiedy jest z Marin, a to coś zupełnie innego niż wszystko, z czym miała wcześniej do czynienia. Co oznacza, że czas spędzany z Kenzie jest mniej ekscytujący, mniej wartych zachodu i wkrótce przerodzi się w komplikację, która bardzo szybko mu zbrzydnie.

Kenzie spłukuje z włosów darmową hotelową odżywkę i przestawia wszystkie małe buteleczki na brzeg półki, żeby nie zapomnieć zabrać ich do domu. Hotelowe kosmetyki są lepsze niż te, na które może sobie pozwolić, chyba że ktoś je dla niej kupuje.

Kiedy dwadzieścia minut później wychodzi z łazienki, Derek już nie śpi i pakuje komputer. Ubrania, które rzuciła na podłogę, zostały złożone i leżą w schludnym stosiku na jej torbie podróźnej. To, że Derek czuje potrzebę sprzątania po niej, jednocześnie wkurza ją i bawi.

– Mam wrażenie, jakbyśmy dopiero przed chwilą tu weszli – odzywa się Kenzie, żeby coś powiedzieć. Odkąd wczoraj po nią przyjechał, prawie w ogóle nie rozmawiali.

Derek nawet na nią nie patrzy.

– Skończyłaś się kąpać?

Przechodzi obok niej, a po chwili Kenzie słyszy szum wody. Korzysta z hotelowej suszarki i suszy włosy przed lustrem nad biurkiem, zauważając przy tym, że róż znowu wyblakł i będzie musiała podjąć decyzję, czy je na nowo ufarbować. Paczka farby, której używa, kosztuje osiem dolarów za sztukę. To luksus, na który nie zawsze może sobie pozwolić po zapłaceniu czesnego za studia, czynszu, rachunków za media, kupieniu jedzenia dla siebie i dla kota oraz materiałów plastycznych. Dzięki pożyczkom studenckim oraz pracy w Green Bean to mogłoby być prawie wykonalne... ale dom opieki jej mamy kosztuje około trzech tysięcy miesięcznie, a pieniądze, które dostała w zeszłym roku od Paula, niedługo się skończą.

Dlatego właśnie musi być naprawdę ostrożna z Derekiem. Nie stać jej na to, żeby go stracić. Musi to dobrze rozegrać.

Używa okrągłej szczotki, żeby zrobić luźne fale. Nie chce kolejnych uwag Dereka na temat mokrych włosów. Sprawy muszą dziś pójść dobrze, on powinien wyjść stąd szczęśliwy i pragnąć znów ją zobaczyć. Kenzie szpera w małej kosmetyczce i pociąga rzęsy tuszem. Trochę różu. Odrobina błyszczyku. Następnie wkłada czarne stringi, czyste legginsy i luźną koszulkę, która zsuwa jej się z ramienia. Stanika nie wkłada, nie potrzebuje go.

Podoba jej się to, co widzi po zakończeniu wszystkich zabiegów: wygląda jak ona, lecz nieco doskonalsza. Pstryka sobie kilka selfie w lustrze. Wybiera najlepsze i wstawia na Instagram z hashtagami #rozowewlosyaco i #hotelowezycie. Z pięćdziesięciu tysięcy osób obserwujących ją w mediach społecznościowych zaledwie kilka to jej prawdziwi przyjaciele, którzy wiedzą, że nie bywa w hotelach aż tak często.

Ale tu nie chodzi o prawdę. Tu chodzi o pozory.

Odświeża aplikację i obserwuje pojawiające się lajki. Mniej niż tysiąc oznacza, że zdjęcie jest nudne albo że nie dała właściwego hashtaga. Użyła filtra, dzięki któremu jej włosy wydają się bardziej różowe niż w rzeczywistości, co wywołuje pozytywne reakcje, sądząc po wszystkich tych podwójnych kliknięciach.

Derekowi nie podobają się jej różowe włosy. Kenzie często zmienia ich kolor, a kiedy się poznali, była blondynką. Gdy po raz pierwszy ufarbowała włosy na różowo, śmiał się. Zupełnie jakby sądził, że wycięła mu numer, zrobiła to tylko po to, żeby zobaczyć, jak zareaguje. Jakaż była jego konsternacja, kiedy zorientował się, że to nie zniknie po pierwszym myciu i że ona naprawdę zamierza utrzymać ten kolor, ponieważ jest artystką i to, kurwa, jej włosy, i uważa, że wyglądają odłotowo.

Derek sądzi, że wszystko kręci się wokół niego. To podejście bogacza – im więcej ma pieniędzy, tym bardziej osobiście wszystko traktuje i tym mniej przywykł do odmowy. Kiedy w zeszłym miesiącu zgodziła się pracować pięć wieczorów z rzędu, myślał, że to z powodu ich kłótni, że była na niego zła i potrzebowała pretekstu, by się z nim nie spotykać. To jej, cholera, normalnie uwłacza. Wzięła dodatkowe godziny, bo w tamtym tygodniu musiała zapłacić czynsz i chesne za następny semestr. Przykro jej (choć niby dlaczego), że jej głupi bar kawowy zniweczył jego plany.

Dźwięczy telefon i Kenzie się krzywi. Ma różne dźwięki dla różnych kontaktów, a to powiadomienie jest przypisane do Tylera. Nie uprzedziła

swojego współlokatora, że spędzi noc z Derekiem. Specjalnie o tym nie wspomniała, bo chciała uniknąć kłótni, do której zawsze dochodzi, ilekroć o nim rozmawiają. Ty nigdy nie poznał Dereka, ale go nie lubi.

Drzwi łazienki się otwierają.

– Kto to? – Derek zerka na jej telefon, wchodząc do pokoju w samych slipach. Towarzyszy mu podmuch ciepłej pary.

Kenzie celowo nie odpowiada, bo jeśli jej nie wolno pytać, kto mu przysłał esemesa, to on też nie ma prawa zadawać takich pytań. Podchodzi do okna. Znow czyta wiadomość od Ty'a i znow się krzywi.

Gdzie jesteś? Mieliśmy zjeść razem śniadanie.

Nie ma ochoty odpowiadać, lecz jeśli tego nie zrobi, on będzie ją bombardował wiadomościami aż do skutku. Lepiej mieć to za sobą.

Wciąż jestem z D, odpisuje. Wrócę za kilka godzin, ale potem muszę iść do pracy. Wzięłam dodatkową zmianę. Klika „wyślij” i zbroi się wewnątrz.

Odpowiedź przychodzi natychmiast: WTF??? Mogłem dłużej pospać! Wróciłem o trzeciej nad ranem, ty małpo! Nawet nie wiedziałem, że nie śpisz u siebie. I myślałem, że po południu zrobimy sobie maraton Nawiedzonego domu, jak się umawialiśmy!!!

To prawda, tak się umówili. Kenzie próbowała obejrzeć pierwszy odcinek Nawiedzonego domu na wzgórzu sama, stwierdziła jednak, że nie da rady, bo serial jest zbyt straszny, więc namówiła Ty'a na wspólne oglądanie, mimo że on nienawidzi horrorów. Ustalili, że po południu przebrną przez ostatnie trzy odcinki, zanim Ty pójdzie wieczorem do pracy.

Ale kiedy Derek przysłał jej esemesa, Kenzie zapomniała o Ty'u. Nie myślała też o nim, gdy koleżanka z pracy poprosiła ją o zastępstwo, i zgodziła się wziąć jej zmianę, bo potrzebuje pieniędzy.

Przepraszam, masz rację, beznadziejna ze mnie kumpela, odpisuje. Mija cała minuta.

W porządku, odpowiada wreszcie Ty, ale Kenzie wie, że to wcale nie jest w porządku. Ciesz się swoim starym żonatym chłopakiem.

Wynagrodzę Ci to, odpisuje. W weekend, obiecuję, jak dostanę wypłatę. Ezell's chicken, Nawiedzony dom i margarita mango!!

Spoko, odpowiada Ty.

I Kenzie oddycha z ulgą. W języku Ty'a „spoko” znaczy „tak”. W tym przypadku jednak oznacza to również: „Jeśli znow mnie zawiedziesz, już nigdy ci, kurwa, nie wybaczę”, więc Kenzie wie, że nie może nawalić

jeszcze raz. Boże, jak ona tęskni za tym, żeby panować nad sytuacją. Zwykle jest doskonale zorganizowana, jednak w ciągu ostatnich sześciu miesięcy wszystko kręci się wokół Dereka. Nie jest łatwo funkcjonować na orbicie żonatego faceta.

Sfrustrowana zamyka aplikację z wiadomościami i ciska telefon na łóżko. Derek otwiera usta, jakby chciał znów spytać, z kim esemesuje, zmienia jednak strategię. Podchodzi do niej. Masuje jej ramiona. Całuje w szyję. Kenzie wie, co to oznacza i do czego on chce, żeby to prowadziło. Derek rzadko okazuje jej czułość, jeśli nie ma ochoty na seks, i Kenzie odsuwa się w stronę okna.

Derek jak zwykle uznaje, że jej frustracja dotyczy wyłącznie jego. I tym razem ma rację, więc będzie musiał zapracować na jej wzajemność.

– Kotku, przepraszam, że byłem w takim gównianym nastroju – mówi.

Staje tuż za nią i Kenzie spostrzega, że wciąż jeszcze się nie ubrał. Obejmuje ją w pasie do tyłu i przyciska się do niej całym ciałem. Wtula twarz w jej włosy i wdycha ich zapach, a ona przypomina sobie, jak uwielbia jego ciało i to, że jest od niej wyższy, nawet kiedy ona nosi najwyższe obcasy. Dotyka policzkiem jej policzka i pachnie tak cudownie. Używa wody kolońskiej, którą znaleźli w Nordstromie, tej drogiej, to ona ją wybrała, bo wydała jej się szalenie seksowna. Musiał się nią spryskać po prysznicu.

– Wiem, że zachowałem się jak palant w związku z tym burgerem i pewnie poczułaś się okropnie. Pewnie naprawdę zamówiłem tego Big Maca, bo byłem rozkojarzony i nie myślałem, co mówię, co samo w sobie jest nie w porządku. Naprawdę mi przykro.

I Kenzie natychmiast łagodnieje. On wie lepiej niż jakikolwiek znany jej mężczyzna, jak należy przeproszać, rozumie, że porządne przeprosiny wymagają przyznania się do popełnionego świństwa wraz z pełną świadomością, jak rzeczony świństwo podziałało na przeproszaną stronę.

– W pracy dużo się ostatnio działo, a sponsorzy zaczynają się niecierpliwie. Mnóstwo osób żąda ode mnie rzeczy, nad którymi w tej chwili nie mam żadnej kontroli, ale nie chciałem wyżywać się na tobie. – Wydaje się szczerze przejęty, co sprawia jej przyjemność. – Wybacz mi, Kenz.

– Już dobrze – mówi i wreszcie pozwala sobie na wtulenie się w niego. Silne ramiona Dereka obejmują ją jeszcze mocniej, czuje na karku jego wargi i gorący oddech.

Zaczyna źle się czuć z tym, że on czuje się podle, i chce, żeby poczuł się lepiej. Jest na siebie wściekła, że tak bardzo jej zależy, bo zazwyczaj się nie angażuje. Zaczyna się do niego przywiązywać i to ją wkurza. Tyle o nim wie: cierpi z powodu synka, przez cały czas jest smutny. A ona martwi się teraz, że dołożyła mu jeszcze stresów, kupując mu nie tego, co trzeba, pieprzonego burgera. Wie przecież, że zawsze zamawia McRoyala. Dobrze o tym wie. I powinna była mu go zamówić, bo przecież podejrzewała, że się pomylił. Była jednak wkurzona jego milczeniem w samochodzie i tym, jak na nią warknął, żeby zdjęła nogi z deski rozdzielczej.

To zresztą stały schemat. On jest nieczuły, co źle na nią działa, potem z kolei on czuje się podle, a ona w związku z tym jeszcze gorzej, i wtedy gotowa jest zrobić wszystko, by poprawić mu samopoczucie. Tak to się właśnie odbywa, lecz Kenzie nie wie, jak wyjść poza ten schemat. Kiedy tylko romansowali, wszystko było łatwe. Teraz jednak zaczyna mieć poczucie, że to prawdziwy związek, co komplikuje sprawy w sposób, na jaki nie jest gotowa. Uczucia zakłócają trzeźwość jej myślenia, a od czasów J.R. nigdy do tego nie dopuszczała.

Dłoń Dereka przesuwa się w dół, poniżej gumki legginsów, a przy tym cały czas całuje ją w kark i szepcze, że mu przykro, a potem jego dłoń zaczyna gładzić jej krocze. Całe ciało Kenzie staje w ogniu, jego kciuk i palec wskazujący doskonale wiedzą, co robić, a materiał legginsów i majtek jest cienki, więc czuje każde jego muśnięcie i chce więcej. Opiera się o niego, przyciska pupę do jego erekcji, oddycha coraz gwałtowniej, a on wie, co to oznacza: już nie jest na niego zła i chce, żeby zrobił z nią wszystko.

Wszystko.

Próbuje się odwrócić, żeby go pocałować, ale on jej nie pozwala, co podnieca ją jeszcze bardziej. Wsuwa dłoń w jej legginsy i stringi i wydaje jęk, czując, jaka jest mokra, a ona uwielbia to, że on zawsze jest tym zaskoczony, zachwycony i wdzięczny, że nie musi aż tak się starać, by doprowadzić ją do takiego stanu, że zawsze jest na niego gotowa. Kenzie wie, że dzięki temu czuje się jak bóg, i ta świadomość ją upaja, podobnie jak ta, że on robi wszystko, by nadal tak było, bo jeśli chodzi o doprowadzanie jej do orgazmu, jest cierpliwy i łatwo się nie zraża.

Jego palce są teraz w niej i to jest cudowne, jednak ona pragnie jeszcze więcej, więc ściąga legginsy i pochyła się do przodu, opierając dłonie o zimną szybę. Nie dba o to, że ktoś spacerujący po terenie wokół hotelu

mógłby podnieść głowę i ich zobaczyć. Jego twarz jest teraz tam, gdzie przed chwilą były jego dłonie, i to jest takie przyjemne i perwersyjne, a Derek pojąkuje z rozkoszy, jakby ona robiła to jemu.

I dlatego właśnie z nim jest zupełnie inaczej. Chodzi o seks, owszem, ale także o to, jak Kenzie się wtedy czuje. Kiedy się pieprzą, może być taka, jak tylko zechce. Może mówić wszystko, co tylko zechce. Jest pozbawiona zahamowań, jak jeszcze nigdy z nikim. Może nie wiedzieć, w jaki sposób go poprosić, żeby wziął ją za rękę w miejscu publicznym, ale wie, jak poprosić, żeby głębiej wsunął w nią język. Dochodzi gwałtownie, wijąc się na jego twarzy, a on nie przestaje, dopóki ona nie skończy i mu o tym nie powie.

Kiedy się odwraca, on ściąga slipy, ale ona chce, żeby w nią wszedł, więc popycha go na łóżko i kładzie się na nim, żeby móc patrzeć mu w oczy, całować go i czuć swój smak na jego wargach. To wszystko trwa tylko kilka minut, tak bardzo on jest podniecony. Kenzie ujeżdża go tak ostro, jak tylko może wytrzymać, aż on wykrzykuje jej imię, oczy wychodzą mu z orbit i wyskakuje żyłka na czole.

Kenzie uwielbia ten moment z dwóch powodów. Po pierwsze, jest to jedyna chwila, kiedy Derek wygląda brzydko, bo poza tym zawsze jest piękny. Zawsze. Nawet kiedy nabzdycza się w McDonaldzie albo gędzi o tej swojej przedpotopowej muzyce czy warczy na nią, żeby zdjęła nogi z tej jego wymuskaney deski rozdzielczej – nawet wtedy jest piękny.

Po drugie, to jedyny moment, kiedy ona ma pełną kontrolę nad ich relacją. Zawsze to on dyktuje jej, co się zdarzy, ale w chwili, gdy doprowadza go do tak gwałtownego orgazmu – bez konieczności czekania na nią – to ona rządzi.

Jest jednak coś, czego w tej upojonej chwili nienawidzi. Coś, co uświadamia Kenzie, że czas, który spędzają razem, jest ściśle określony. Zaraz potem Derek pojedzie do pracy, a ona wróci do swojego głównianego mieszkanka, do urażonego współlokatora i zaniedbywanego kota, do szafek pełnych talerzy nie od kompletu i do zupek w proszku, czując się bardziej pusta, niż była, zanim to wszystko się zaczęło, bo każdy dzień spędzony z Derekiem, każdy ich akt miłosny sprawiają, że Kenzie traci jakąś część siebie.

Nie przytulają się po seksie. Kenzie kładzie się na łóżku, nasycona, i patrzy, jak Derek się ubiera, jak skrupulatnie zapina guziki koszuli, po czym upycha ją w spodniach, jak starannie wiąże buty. Które kosztowały

więcej niż miesięczny czynsz jej i Ty'a. Kenzie wie, bo sprawdziła w internecie.

– Nie mogę cię odwiedzić do domu, muszę jechać prosto do biura – oznajmia Derek. – Ale myślę, że powinnaś zostać. Zjedz śniadanie, idź na masaż, jeśli masz ochotę. Niech doliczą to do rachunku. Zostawię ci pieniądze na taksówkę.

Kenzie siada na łóżku.

– Nie możesz zjeść ze mną?

Czuje, że on chce przy niej usiąść, mówi jej o tym jego język ciała, widzi, że zamierza podejść do łóżka, lecz się powstrzymuje. Ostatnio kilka razy zachowywał się podobnie, dziwnie się wahał przy pożegnaniach. Jakby chciał jej powiedzieć coś więcej. Jakby wiedział, że powinien to zakończyć właśnie teraz, jednak w ostatniej chwili tchórzył.

– Mam spotkanie – mówi. – Ale ty się nie krępuj. Smacznego. A kiedy już będziesz gotowa, żeby wyjść...

– Skorzystaj z bocznego wyjścia.

Derek kiwa głową, a ona się kładzie, i teraz wreszcie on podchodzi do łóżka i ją całuje. W usta. To delikatny, niewinny pocałunek. Kenzie zastanawia się, czy jeszcze kiedykolwiek go zobaczy. W ciągu paru pierwszych miesięcy pożegnania były takie łatwe.

Teraz są trudne.

Derek bierze torbę i wychodzi. Kenzie odwraca się do okna, patrzy na ładne drzewa i niebo zaciągnięte chmurami, starając się cieszyć ostatnimi chwilami w tym luksusowym pokoju hotelowym, w którym prawdopodobnie noc kosztuje więcej, niż ona wyciąga z napiwków w Green Bean przez cały tydzień. To przygnębiające. Potem jednak zaczyna burczeć jej w brzuchu i ożywia się – przynajmniej będzie mogła zjeść tutaj śniadanie, a w hotelowej restauracji podają obłędne jajka po benedyktyńsku z tostem z awokado.

Kiedy idzie do łazienki, dostrzega na toalecie pieniądze i staje jak wryta. Derek zostawił jej forszę, i to o wiele więcej, niż potrzebowałyby na taksówkę. To gruby stos banknotów, same dwudziestki i pięćdziesiątki. Kenzie bierze je do ręki i liczy, i aż opada jej szczęka.

Zostawił jej pięć tysięcy dolarów.

Już wcześniej dawał jej pieniądze, jasne, że tak. W jednym miesiącu zabrakło jej na czynsz i wspomniała o tym mimochodem, a on wyjął z kieszeni trzy banknoty studolarowe, jakby to były drobne. Kiedyś

świrowała, że musi wstąpić do Cash and Carry i zobaczyć, czy mają kurczaki, bo jeśli pójdzie za późno, to już wszystkie sprzedadzą, a on pokręcił głową z udawanym oburzeniem i wręczył jej dwie stowy, mówiąc, żeby poszła do Whole Foods i zrobiła zapasy organicznego wiejskiego kurczaka, który jest o wiele zdrowszy.

Derek płaci za wszystkie ich pobyty w hotelu, za prawie wszystkie posiłki, opłacił jej też lot do Nowego Jorku, kupił bilety na Hamiltona i zabrał na zakupy do Bloomingdale's, gdzie kupił jej torbę Dolce & Gabbana, która kosztowała dwa tysiące dwieście dolarów. Dwa tysiące dwieście! Próbował ją namówić, żeby wybrała kolorową, która jej się podobała, ale ostatecznie przeważył zdrowy rozsądek i zdecydowała się na czarną, wiedząc, że może już nigdy nie będzie miała takiej ładnej, więc powinna pasować do wszystkiego.

– Jesteś pewny? – spytała, biorąc go pod rękę przy kasie, a ekspedientka uśmiechnęła się jeszcze szerzej, żeby ukryć szyderczy grymas. Niewątpliwie przerabiała już taki scenariusz.

– Jestem. – Derek wyjął kartę kredytową. – Chcesz też tamtą w kwiaty?

– Kwieciste są teraz modne – zaćwierkała sprzedawczyni, podkreślając uśmiech o kolejnych pięćdziesiąt watów.

– Nie – roześmiała się Kenzie. – Ta wystarczy.

Podchwyciła spojrzenie sprzedawczyni i odczytała niewypowiedzianą myśl wypisaną na jej twarzy: „Skarbie, nie bądź głupia. Bierz i kwiecistą”. Biedaczka niewiele wiedziała o Kenzie. Widziała w niej jedynie chichotkę o różowych włosach, a Kenzie nie potrzebowała drugiej torebki Dolce & Gabbana. Ona myślała długofalowo.

A pięć tysięcy dolarów to zdecydowanie zbyt mała stawka. Pięć tysiaków nie pokryje nawet dwóch miesięcy pobytu jej mamy w domu opieki, a ona nie po to, do cholery, od pół roku sypia z żonatym facetem, żeby zadowolić się marnymi pięcioma patykami.

Musi wiedzieć, co to znaczy. Bierze swój telefon z nocnej szafki i pisze do Dereka:

Hej, kotku, coś tu zostawiłeś?

Derek nie odpowiada. Pewnie prowadzi samochód, więc Kenzie idzie się wysikać, a potem zmierza do restauracji. Może to zwyczajnie prezent. Ostatnio stresowała się pieniędzmi – zresztą kiedy było inaczej? – i może on chce jej po prostu pomóc.

Może to jeszcze nie koniec.

Esemes przychodzi, dopiero kiedy Kenzie siedzi w restauracji i kelnerka przyniosła jej jajka i tost. Domyśla się, że Derek właśnie wjechał na parking przed swoim biurem.

To wszystko dla Ciebie. Nie chciałem nic mówić, kiedy byłem w hotelu, bo wiedziałem, że pewnie byś tego nie przyjęła.

Ha. Akurat.

Ale w porządku, może zagrać w tę grę. Będzie udawała, że to nic takiego, żadna sprawa.

Słodki jesteś. Ale naprawdę nie trzeba! Oddam Ci wszystko, kiedy się spotkamy następnym razem.

Odpowiedź przychodzi szybko: Nie będzie następnego razu, pisze Derek. To pożegnanie. Przykro mi, że robię to w taki sposób, ale nie mogę tego dłużej ciągnąć. Dziękuję Ci za wspaniałe chwile i życzę wszystkiego najlepszego, Kenzie.

Ręce tak jej się trzęsą, że omal nie upuszcza telefonu. Tchórz. Kończy to w taki sposób? Esemesem? I pięcioma tysiącami dolarów, które co? Mają ukoić zranione uczucia i ułatwić rozstanie? Niby komu? Jemu?

Czy naprawdę mu się wydaje, że może się z tego wykupić zaledwie pięcioma tysiącami? Paul nie mógł i Derekowi też się to nie uda. Co to, to nie. Nie po tym, jak przez pół roku inwestowała swój czas i energię w faceta, który jest emocjonalnym ekwiwalentem czarnej dziury.

Kenzie zmusza się do wzięcia kilku głębokich oddechów. To, jak teraz zareaguje, jest bardzo ważne. Zaczyna pisać, mocno uderzając kciukami w szkło telefonu:

Derek, proszę. Kocham Cię. Nie rób tego. Porozmawiaj ze mną.

Nie wykpi się z tego, skurwiel, stosikiem banknotów.

Kenzie próbuje jeszcze raz: Jeśli mi powiesz, że już nigdy nie chcesz mnie widzieć, i naprawdę tak jest, w porządku, zostawię Cię w spokoju. Ale, Derek, pragnę Cię. Chcę być z Tobą. Potrzebuję Cię.

Jesteś dla mnie najgorsza na świecie, odpisuje Derek.

O, Boże. To koniec. Zawaliła sprawę.

Kenzie siedzi przy stoliku w restauracji, kelnerka dolewa jej wody do szklanki, a ona myśli o stosie forsy, którą przed wyjściem z pokoju wepchnęła do swojej torebki D&G. Jak ona mogła tego nie przewidzieć? Romans trwa, dopóki utrzymuje się na etapie miesiąca miodowego, a Kenzie powinna się zorientować, że przekroczyli ten etap dwa miesiące temu. To było mniej więcej wtedy, gdy Derek zrobił się milczący i przestał

mieć ochotę na seks z chwilą, kiedy wchodzili do pokoju hotelowego. Gdy zaczął być bardziej krytyczny, humorzasty, wycofany.

Powinna się zorientować, ale ona była zbyt zaprzętnięta traceniem dla niego głowy i łudzeniem się, że może łączy ich prawdziwe uczucie. Źle oceniła sytuację. A teraz wszystko się skończyło, a jej zostało po tym jedynie zranione ego, designerska torebka i mała kupka pieniędzy.

I może jeszcze złamane serce... jeśli pozwoli sobie na to, żeby to poczuć.

Telefon pika jej w dłoni, Kenzie opuszcza wzrok. To Derek. Musi przeczytać dwa razy, co napisał, zanim to do niej dociera. A wtedy całe jej ciało rozluźnia się z ulgi.

Zapomnij o wszystkim, co napisałem. Jestem dupkiem. Wybacz mi, Kenzie. Nie chcę, żeby to się skończyło. Ja też Cię potrzebuję.

To nie jest „kocham Cię”, ale dobre i to. Jezu Chryste, niewiele brakowało.

Odpisuje mu: Nigdzie się nie wybieram. Ale proszę, już mnie tak nie strasz. Nie zasługuję na to.

Nie będę, odpowiada. Masz absolutną rację. Przepraszam. Dołącza emotkę serce.

Ona też wysyła mu serce i jak na zawołanie burczy jej w brzuchu. Odkłada telefon i sięga po widelec.

Pora na śniadanie. Dziewczyna musi jeść.

Marin spędziła całą noc, leżąc na pościeli, w której kochała się z Salem. Nie zmrużyła oka.

O siódmej rano bierze długi gorący prysznic. Robi makijaż. Wkłada sukienkę, jedwabną od Rachel Roy z falbaniastymi rękawami. W kuchni wciska guziczek zaprogramowanego wcześniej profesjonalnego ekspresu do kawy, na który Derek szarpnął się kilka miesięcy wcześniej, i trzy minuty później ma kubek idealnej, sojowej, waniliowej latte z małą domieszką espresso. Niesie ją na wyściełaną ławę pod oknem, siada i przegląda e-maile.

Za piętnaście dziewiąta czyta esemesy, które Derek wymienił z kochanką. O jego próbie zerwania tego romansu raz na zawsze. I jej staraniach, by znowu go osaczyć. Najwyraźniej skutecznych.

Marin podejmuje decyzję.

Rozmowa telefoniczna trwa tylko pięć minut. Wymienia uprzejmości ze swoim osobistym doradcą finansowym, a potem przechodzą do interesów. Marin podaje numer konta, który dostała od Juliana, i potwierdza kwotę. Jeśli jej doradca jest zaskoczony, nie okazuje tego. Nie zadaje pytań. Obsługuje wyłącznie bogatych klientów i wie, że lepiej nie kwestionować ich decyzji. Dwieście pięćdziesiąt tysięcy dolarów to dużo, jak na datek dla jednej organizacji charytatywnej, jednak Marin i Derek często ofiarowują duże sumy pieniędzy, a w minionym roku Marin znacznie powiększyła przekazywane darowizny.

Prawie jakby wierzyła, że dzięki dobrej karmie może kupić powrót syna.

W rzeczywistości jednak nie ma czegoś takiego jak karma, prawda? Zdarzają się straszne rzeczy, które czasem prowadzą do kolejnych potworności.

Marin kończy rozmowę i przez kilka minut siedzi pogrążona w myślach, z których wyrywa ją dopiero piknięcie telefonu. Żyjesz?

Bierze iphone'a do ręki i dzwoni do Sala. Odbiera po pierwszym dzwonku.

– Hej – mówi.

– Hej – odpowiada Marin i znów czuje to skrępowanie między nimi, które jeszcze wczoraj o tej porze nie istniało. Słyszy trzaski w telefonie i przypomina sobie, że on jest na wsi, gdzie zasięg się rwie.

– Wczoraj wszystko poszło dobrze? – pyta Sal.

Marin się waha. Niemal nie chce mu powiedzieć. To takie dziwne oznajmić: „Tak, wszystko świetnie, właśnie przelałam ćwierć miliona na konto organizacji charytatywnej piorającej pieniądze dla tego gościa, którego mi poleciłeś jako zabójcę kochanki mojego męża”.

– Załatwione – odzywa się wreszcie. – Chcę, żeby... zniknęła.

– Sądziłem, że chodzi ci o Dereka. – Pomimo marnego połączenia wyraźnie słychać szok w głosie Sala.

– Nigdy tak nie twierdziłam. To ty powiedziałaś Julianowi o Dereku. On jest ojcem mojego dziecka. To musi być... To musi być ta dziewczyna.

Tu następuje długa przerwa. W tle słychać telewizor. Leci program Today, do Marin dociera śmiech publiczności i matki Sala. Wyobraża sobie ich dwoje siedzących razem w salonie w domu wśród winnic i pijących kawę. Później, po południu, kawę zastąpi butelka cholernie drogiego merlota albo cabernet sauvignon z ich piwnicy na wino mieszczącej resztki prywatnej kolekcji ojca Sala.

– Rany! – Oczywiście jest, że Sal sam nie wie, jak zareagować. – Ale wiesz, że tu tak naprawdę nie chodzi o nią?

– Mam to gdzieś. Ona próbuje zniszczyć to, co zostało z mojej rodziny. – Po drugiej stronie znów zapada cisza. – Co, nie sądziłeś, że mnie na to stać?

– Dawno temu nauczyłem się, że ciebie nie wolno nie doceniać – Sal zniżył głos, a dźwięki telewizora oddalają się. Marin domyśla się, że on idzie do kuchni. – Ale wiesz, że teraz nie ma już odwrotu? Jeśli mu zapłaciłaś, nie odzyskasz tych pieniędzy.

– Wiem. Stało się. – Teraz ona milknie. – A czy wiesz... Czy masz pojęcie, jak on zamierza to zrobić?

– Nie. – Odpowiedź Sala jest stanowcza i szybka. – Nie zadaję mu takich pytań. To już cię nie dotyczy, uwierz mi.

– On też tak powiedział.

– I on o wszystko zadba. Nie musisz się niczym przejmować. Dlatego właśnie jest taki drogi.

Marin czuje się nieswojo na myśl, jak wielkim zaufaniem Sal darzy Juliana. Jakiego rodzaju zadania zlecał mu w przeszłości?

– Jak długo to potrwa, jak myślisz? – pyta Marin, a tak naprawdę chciałyby wiedzieć: „Ile mam jeszcze czasu na zmianę zdania, jeśli, dajmy na to, obudzę się jutro i wpadnę w panikę na myśl, co ja najlepszego zrobiłam?”.

– Nie wiem – odpowiada Sal. – Ale niedługo. Zaczekaj chwilkę. – Marin słyszy, jak mówi coś do matki, a potem wraca do telefonu. – Wybacz. Nie mogła dosięgnąć pilota.

– Jak się ma Lorna? – pyta Marin.

– Lepiej. Na ogół jest całkiem mobilna.

– To dobrze. Wracaj do niej. Nie będę cię dłużej zatrzymywała.

– Mar... – Sal się waha. – Chcesz mojej rady? Zapomnij o tym wszystkim. Zapomnij o Frankensteinie, zapomnij o tych pieniądzach. Wyrzuć to z głowy, jakby to się nigdy nie stało, i żyj swoim życiem. Nie myśl o Julianie. A przede wszystkim zapomnij o tej dziewczynie. Oni już dla ciebie nie istnieją, okej? To jedyny sposób... To jedyny sposób, żeby się z tym uporać. I, do kurwy nędzy, odwołaj tę detektyw. Nie chcesz chyba, żeby się o tym dowiedziała.

Marin kiwa głową, po czym przypomina sobie, że rozmawiają przez telefon i Sal nie może jej zobaczyć. W tle słyszy, że Lorna go woła.

– Muszę kończyć – mówi Sal. – Wieczorem będę z powrotem w mieście, gdybyś chciała... pogadać. Mogłabyś wpaść do baru.

Marin wie, co Sal ma na myśli, nie mówi teraz o Julianie. Chodzi mu o nich dwoje, o to, co zaszło między nimi wczoraj, a o czym na razie nie rozmawiali. I muszą to zrobić, ale jeszcze nie teraz. Ani w najbliższej przyszłości. Marin nie może się tym teraz zajmować.

– Jedź ostrożnie – mówi i się rozłącza.

Sal jest dobry dla matki, to szczęście mieć tak oddanego syna. Lorna Palermo nie wyszła ponownie za mąż po tym, gdy ojciec Sala umarł ponad dwadzieścia lat temu, a w ciągu ostatnich kilku lat podupała na zdrowiu. Problemy z kolanami, bóle pleców, operacja wstawienia endoprotezy stawu biodrowego, co wymagało od Sala zostawienia baru prawie na miesiąc, mniej więcej przed szesnastoma miesiącami. Marin pamięta tak dokładnie, kiedy to było, ponieważ operacja Lorny odbyła się parę tygodni przed zaginięciem Sebastiana i wtedy też po raz ostatni widziała matkę Sala.

Kiedy zadzwoniła do Sala po tym, gdy Lornę wypisano ze szpitala, biedak wydawał się tym wszystkim przytłoczony. Operacja się udała, ale Lorna nie mogła nic sama zrobić, a dom wymagał remontu. Marin uparła

się, że przyjedzie na parę dni, żeby trochę pomóc, mimo protestów Sala i Lorny, którzy twierdzili zgodnie, że dadzą sobie radę.

– Ale Marin, masz tyle na głowie. – Matka Sala była zachwycona i zakłopotana jednocześnie tym, że Marin zjawiała się u niej, zmęczona po ponad trzech godzinach jazdy. Kiedy Lorna się uśmiechała, blizna na jej policzku zmieniała kształt. – Twój synek potrzebuje cię bardziej niż ja.

– Został przecież z tatą – odparła Marin z uśmiechem. – Mają swoje męskie sprawy.

– Ale zaraz święta, pewnie masz znacznie lepsze rzeczy do roboty niż siedzieć tu i zajmować się staruchą...

– Lorna, cieszę się, że cię widzę. – Marin pochyliła się i pocałowała staruszkę w policzek, czując na wargach miękkie gruzełek blizny. To był ślad po ostatnim pobiciu, jakiego dopuścił się mąż Lorny, kiedy omal jej nie zabił i po którym wreszcie zdecydowała się na rozwód. Nigdy nie przyznała, że to był on, i nigdy go nie aresztowano, ale Sal wiedział. Wszyscy wiedzieli. – Od jak dawna się znamy? Wiesz, że jesteś dla mnie jak matka.

– Niech Bóg cię błogosławi. – Lorna patrzyła na Marin łagodnymi brązowymi oczami, które odziedziczył po niej Sal. – Chciałabym, żeby mój syn pospieszył się i wreszcie ustatkował. Miał dzieci, żebym zdążyła nacieszyć się wnukami. Nie będę żyła wiecznie. Dręczy mnie myśl, że zostanie zupełnie sam.

Marin dotknęła jej przedramienia.

– Nie zostanie sam, nie martw się. Żeby nie wiem co, zawsze będzie miał mnie. A skoro już o nim mowa, to gdzie on jest?

– W piwnicy. – Oczy Lorny rozbłysły. – Wybiera wino na dzisiejszą kolację. Był taki podekscytowany, kiedy powiedziałaś, że przyjedziesz.

– Pójdę się przywitać. – Marin naprawdę chciała zobaczyć się z przyjacielem, ale też potrzebowała wymówki, żeby się wymknąć. Lorna bywała trochę męcząca.

Matka Sala to urocza kobieta, lecz poraniona fizycznie, emocjonalnie i mentalnie. Jest nadopiekuńcza wobec syna, jakby chciała mu zrekompensować lata, gdy był młodszy i gdy nie dość się o niego troszczyła. Jej umysł zaczyna jakby szwankować. Lekarz podejrzewa, że podczas ostatniego pobicia doznała lekkiego urazu mózgu, który nie został wtedy zdiagnozowany, a teraz objawy się nasilają. Ma problemy z koncentracją, czasem przerastają ją najprostsze zadania, Marin słyszała

też kilkakrotnie, jak mówi do siebie, mamrocząc pod nosem i mieszając włoskie i angielskie słowa, które, zdaniem Sala, niewiele znaczą.

Marin nie potrafi sobie nawet wyobrazić, co przeszła Lorna i co przeszedł Sal. Sal Senior był porywczym tyranem, który prowadził dom i winiarnię żelazną ręką i nikt nie mógł podważyć jego zdania. Boże broń, jeśli ktoś się ośmielił. W sejfie w sypialni trzymał spluwę i miał pozwolenie na noszenie broni. I chociaż nigdy jej nie użył, z satysfakcją wszystkich informował, że ją ma, a czasami przechadzał się z nią po winnicy, żeby „wszyscy znali mores”. Z tego, co mówił Sal, mężczyźni pracujący w winnicy bali się jego furii, a kobiety były uprzedzane, żeby unikać wszelkich sytuacji sam na sam z szefem.

Dorastając, Sal często dostawał od ojca lanie, co przyjmował bez sprzeciwu, ponieważ wybór był jasny: albo oberwie on, albo matka. Lorna była wtedy łagodna i nadskakująca, a męża się bała i jednocześnie go wielbiła. Nadal zresztą taka jest, tyle że męża już nie ma.

– To dobry chłopak, prawda? – zagadnęła Lorna tamtego ostatniego popołudnia, kiedy Marin u niej była.

Siedziały w przestronnej kuchni, Marin szykowała im przekąskę, a staruszka odpoczywała w rozkładanym fotelu, który Sal przytąszczył z salonu, żeby mamie było wygodnie. W kuchni jest wielkie okno wychodzące na rozległe tereny winnicy i Lorna patrzyła przez nie, jak jej syn obcina gałęzie drzewa rosnącego nieco zbyt blisko domu.

Większa część winnicy Palermo – w sumie ponad trzydzieści akrów – przed dziesięciu laty została sprzedana wielkiej korporacji. Nowi właściciele nie potrzebowali domu. Zależało im wyłącznie na winiarni, więc Lorna zdołała zatrzymać dom razem ze starą salą do degustacji, piwnicą na wino i trzema akrami winorośli. Ten dom wśród winnic jest jedynym, jaki miała, i była zdeterminowana by w nim żyć i umrzeć. W ciągu ostatnich kilku lat, kiedy nasiliły się jej problemy zdrowotne, zaniedbała dom, przez co jej syn był zmuszony przyjeżdżać do Prosser częściej, niż chciał.

Za plecami Sala na drzewie wisiła huśtawka, kawałek deski i kilka linek. Jeden z pracowników winnicy zrobił Salowi taką niespodziankę, kiedy ten był chłopcem. Może chciał podliznąć się szefowi, a może chciał odwrócić uwagę Sala od tego, że jego matka często jest cała posiniaczona. Bez względu na przyczynę Sal był zachwycony, a kiedyś powiedział Marin,

że to jedno z jego szczęśliwszych wspomnień z dzieciństwa. A nie miał ich zbyt wielu.

– To naprawdę dobry chłopak. – Marin patrzyła przez okno, jak przyjaciel pracuje. Nieczęsto widywała tę wersję Sala, tego, który tu dorastał, obcinał gałęzie, brudził się i pracował rękami. Dla niej Sal był chłopakiem z miasta prowadzącym bar i kawalerskie życie w mieszkaniu w Belltown. Prawdę mówiąc, uważała to wcielenie Sala – chłopaka z farmy, dokładne przeciwieństwo chłopaka, którego poznała i z którym chodziła na studiach, i z którym przyjaźniła się od dwóch dekad – za całkiem atrakcyjne.

– Dlaczego za niego nie wyszłaś? – W głosie Lorny nie słychać oskarżenia, tylko rozczarowanie. – Tak bardzo cię kochał.

Marin ma wrażenie, że odbywają tę rozmowę, ilekroć przyjeżdża z wizytą do Lorny, i odpowiedziała na to pytanie tak jak zawsze:

– To po prostu nie było nam pisane. Byliśmy tacy młodzi – dodała, nie wspominając o tym, że związała się z Derekiem zaledwie tydzień po tym, gdy zerwała z Salem.

– Kochasz swojego męża?

– Oczywiście – odparła zaskoczona. Lorna nigdy wcześniej jej o to nie pytała. – Jestem z Derekiem już bardzo długo.

– Jest dla ciebie dobrym mężem? – dopytywała się staruszka. – I dobrym ojcem dla waszego synka?

– Oczywiście, że tak. – Marin posmarowała masłem parę bułeczek i przyniosła je na stół. Usiadła obok Lorny. – Dlaczego pytasz? Co Sal ci powiedział?

Lorna patrzyła przez okno na syna.

– On nie lubi twojego męża.

To Marin nie zaskoczyło.

– Mówi, że nie jest dla ciebie dobry. – Lorna omiotła Marin spojrzeniem.

– Mówi, że cię zdradza.

Marin zamknęła oczy, powstrzymując westchnienie. Derek zdradził ją tylko ten jeden raz, na początku ciąży, i to naprawdę nie do wiary, że Sal powiedział o tym matce. To nie jego sprawa, a co dopiero Lorna.

– Derek popełnił błąd. – Marin poczuła, że oblewa się rumieńcem. – To się już nie powtórzy.

– Wierzę w przebaczenie – oświadczyła Lorna, kiwając stanowczo głową.

– Ty też jesteś dobrą dziewczyną, Marin. Ale jeśli po tylu latach

małżeństwa czegoś się nauczyłam, to tego, że zawsze trzeba chronić dzieci. Zawsze. To jest najważniejsze, a ja tego nie robiłam. To syn chronił mnie, a powinno być odwrotnie. Myślę, że to dlatego teraz nie ufa ludziom. Dlatego nie pozwala sobie do nikogo się zbliżyć. Poza tobą – dodała z nieśmiałym uśmiechem. – Musisz na niego uważać tam, w mieście. Pilnuj, żeby nie był samotny.

Marin ścisnęła jej rękę.

– Oboje uważamy na siebie nawzajem.

Godzinę później była już spakowana i gotowa do powrotu do domu. W bagażniku obok jej torby podróżnej stała skrzynka wybranych win Palermo. Sal nigdy nie wypuszczał jej z Prosser bez wina.

– Nie przemęczaj się. – Uśmiechnęła się do Sala, pożegnawszy się już z Lorną. Było jej przykro, że zostawia ich samych, ale też chętnie wracała do Seattle. Dom Lorny otaczały tysiące rzędów winorośli i nic innego – w promieniu kilometra na falujących wzgórzach nikt nie mieszkał, a zasięg komórkowy był kiepski. Marin brakowało miejskiego zgiełku i wygód jej własnego domu. No i oczywiście tęskniła za swoimi chłopakami.

Sal objął ją serdecznie. Pachniał wspaniale, trawą i świeżym powietrzem.

– Dzięki, że przyjechałaś. Bardzo nam pomogłaś.

– Widzimy się za tydzień?

Pokręcił głową.

– Mam tu dużo roboty, a muszę się z tym uporać, zanim spadnie śnieg. Zostanę na święta. Ale zobaczymy się w nowym roku. – Przytulił ją mocno.
– Wesołych świąt, Mar.

Pięć dni później, trzy dni przed Bożym Narodzeniem, zaginął Sebastian. I ni stąd, ni zowąd, niczym uderzenie w twarz albo cios w szyję, wróciły do niej słowa Lorny: „Zawsze trzeba chronić dzieci. To jest najważniejsze”.

A Marin zawałiła. Na całej linii.

Pod tym względem nie jest lepsza od Lorny, jednak po wielomiesięcznej terapii rozumie, że każdy człowiek jest sumą wszystkiego, przez co przeszedł. Marin dorastała z przesadnie krytyczną matką, dlatego trudno jej prosić o pomoc i dlatego zawsze o wszystko się obwinia. Derek dorastał w skrajnej nędzy, więc tak ważne jest teraz dla niego, żeby mieć pieniądze i żeby inni wiedzieli, że je ma. Sal natomiast dorastał z ojcem brutalem i alkoholikiem i miał zaledwie dwadzieścia jeden lat, kiedy ten w wyniku nieszczęśliwego wypadku wypadł z balkonu mieszkania na szesnastym piętrze, w noc po imprezie z okazji swoich pięćdziesiątych urodzin.

W każdym razie tak brzmi wersja oficjalna. Kiedy to się stało, „oficjalnie” nikogo nie było w pobliżu, co uznano za wiarygodną teorię. Sal Senior był pijakiem, o którym krążyły legendy, do tego niechlujnym i wrednym, i nie słynął raczej z dobrej kondycji i zdrowego rozsądku.

Sal nigdy nie rozmawia o tamtej nocy, nawet z Marin, która była wtedy na tej imprezie i jeszcze długo po tym, kiedy inni goście już poszli została, żeby pomóc mu posprzątać. Po ostatniej potwornej awanturze, podczas której Lorna doznała urazu głowy, jego rodzice wreszcie się rozstali, a ojciec Sala postanowił wynająć mieszkanie w mieście, w którym przebywał, kiedy w winnicy było mniej pracy. To wszystko zdarzyło się, zanim Marin zaczęła spotykać się z Salem, a kiedy poznała jego ojca, prowadził już w pełni kawalerskie życie. Urządził imprezę z okazji swoich pięćdziesiątych urodzin dla nowych kumpli z miasta – głównie facetów, z którymi grał w pokera – zaprosił też syna. Marin zachęcała Sala, żeby poszedł, sądząc, że wznowienie kontaktów z ojcem dobrze mu zrobi. Chciała poznać jego ojca. Nie wiedziała jednak, co ją czeka.

– Ludzie się zmieniają – przekonywała, co, patrząc wstecz, było głupie. – Sam mówiłeś, że po rozstaniu z twoją mamą zachowuje się lepiej. Wyciąga do ciebie rękę. Daj mu szansę.

– Nie znasz go tak jak ja, Mar.

– Masz rację, nie znam. Ale pamiętaj, że będę przy tobie.

Kiedy przyjechali, Sal Senior już pił. A gdy impreza skończyła się o drugiej nad ranem, był kompletnie załany i agresywny, kłócił się z synem. Marin w ciasnej kuchni wyrzucała papierowe talerzyki i plastikowe kubeczki do worka na śmieci, ale słyszała ich krzyki na balkonie. Przesuwane drzwi były otwarte i do mieszkania wpadał chłodny powiew wiatru. Zawiązywała worek, gdy usłyszała, jak Sal mówi: „Mama nie powinna być zmuszona do rozwodu z tobą, ty skurwielu. Powiniennem po prostu cię zabić”.

Usłyszała, że Sal Senior się śmieje. Zupełnie jakby to, co Sal powiedział, było najzabawniejszą i najbardziej groteskową rzeczą, jaką kiedykolwiek słyszał. A potem coś odpowiedział, czego Marin nie dosłyszała, domyśliła się jednak, że to groźba. Przestraszyła się. Wyszła z kuchni i ruszyła prosto na balkon. Nie powinna była namawiać Sala do przyjścia tutaj. Nie miała do tego prawa. A teraz powinni stąd wyjść, zanim sprawy całkiem wymkną się spod kontroli.

Ale kiedy wyszła na balkon, zastała tam tylko jednego z nich.

Gdy ciało spada na chodnik z wysokości szesnastu pięter, nic nie słycać. Człowiek tylko wyobraża sobie łupnięcie, trzask łamanych kości i ciała uderzającego o bruk, lecz tak naprawdę z tej wysokości nic nie słycać. Marin nie widziała upadku, nie słyszała uderzenia, ale i tak z trudem powstrzymała krzyk, kiedy spojrzała przez barierkę i zobaczyła maleńkie ciało na dole, na ziemi, szesnaście pięter niżej. Wydawało się prawie nierzeczywiste.

Może gdyby ten człowiek nie spadł z takiej wysokości – może gdyby to było, powiedzmy, szóste albo ósme piętro i jasny dzień – mogłaby lepiej się przyjrzeć, zobaczyłaby wyraźniej, jaką potworną śmiercią zginął Sal Palermo Senior, i podjęłaby inną decyzję. Był jednak środek nocy, a na ulicy w dole nikogo nie było.

– O-mój-Bo-że-Ma-rin-o-mój-Bo-że-co-ja-zro-bi-łem... – Sal szlochał tak gwałtownie, że ledwie rozumiała, co mówi.

– Ciiii – powiedziała do niego, kiedy wreszcie dotarło do niej, co się stało. Położyła palec na jego ustach i wciągnęła go do mieszkania. – Nigdy więcej tego nie mów, rozumiesz? Posłuchaj, Sal. Słuchasz, co mówię?

Kiwnął głową, ale miał szklane spojrzenie. Wypił parę piw, choć ostatnie co najmniej godzinę temu. Nie był pijany. Był w szoku.

– Byliśmy w salonie, a potem poszedłeś do łazienki się wysikać, zanim odwieziesz mnie do domu. Ja wyszłam na balkon, żeby pożegnać się z twoim tatą, a kiedy go tam nie zastałam, wyjrzałam przez barierkę i zobaczyłam jego ciało. Zadzwoiłam na dziewięć jeden jeden...

– Marin, nie...

– Zadzwoiłam na dziewięć jeden jeden – powtórzyła dobitnie, wyjmując z ładowarki bezprzewodowy telefon – ponieważ zdarzył się straszliwy wypadek. Twój pieprzony pijany ojciec wypadł ze swojego pieprzonego balkonu. Kiedy to się stało, ciebie tam nie było, rozumiesz?

Kiwnął głową, a ona zadzwoniła i gliny kupiły jej historyjkę. Kilka osób obecnych wcześniej na imprezie potwierdziło, że ojciec Sala był pijany i się zataczał. W przeszłości zdarzało mu się już zresztą zrobić sobie krzywdę pod wpływem alkoholu – raz, gdy Sal był w szkole średniej, wpadł na lustro, kiedy nikogo nie było w domu, i rozciął sobie twarz.

Miesiąc później Marin i Sal zerwali ze sobą na dobre. Żadne z nich nie przyznało, że to właśnie śmierć ojca Sala przesądziła sprawę. Zresztą jak niby mogliby to zrobić, skoro Sal w ogóle nie chciał o tym rozmawiać? Ale

to była kropla, która przepełniła kielich ich miłosnego związku, zresztą ten, jak Marin powiedziała Lornie, nigdy nie był im pisany.

Dźwięk powiadomienia o nowym e-mailu przywołuje Marin do rzeczywistości. To potwierdzenie od doradcy finansowego, że przelew został zaksięgowany po drugiej stronie. A więc sprawa oficjalnie jest w toku. Zwrot pieniędzy nie wchodzi w grę, jak zapowiedział Julian. Stało się.

Jeśli puszczenie rączki synka na zatłoczonym targu było najgorszą rzeczą, jaką Marin kiedykolwiek zrobiła, to ta jest druga w kolejności. Tyle że tym razem zrobiła to celowo.

Sprawdza aplikację Shadow. Odkąd Derek próbował rano zakończyć ten romans tylko po to, by kilka minut później zmienić zdanie, więcej esemesów nie było. To wszystko skutek żalu i cierpienia, oczywiście, że tak, ponieważ Derek sypiający z dwudziestoczterolatką nie jest mężczyzną, jakiego poślubiła. Każdy inaczej radzi sobie ze stratą. Marin nawaliła. Derek nawalił. Swojego błędu Marin nie może naprawić. Ale może naprawić błąd Dereka.

Co jeszcze powiedziała jej Lorna? „Wierzę w przebaczenie”.

McKenzie Li nie zasługuje na ani odrobinę więcej jej czasu i energii. Marin przytrzymuje ikonkę aplikacji, aż pojawia się małe „x”, po czym stuka w nie stanowczo. Wyskakuje okienko powiadomienia:

Usunąć Shadow?

Jeśli usuniesz aplikację,
stracisz też wszystkie zapisane
w niej dane.

Marin klika „usuń”, następnie wysłała Vanessie Castro szybki e-mail:

VC – Nie ma potrzeby, żebyś dłużej zajmowała się romanssem. Panuję nad sytuacją.

Dzięki,

MM

Castro odpowiada niemal natychmiast:

Zrozumiałam – VC

A potem, ponieważ wzięła już prysznic i się ubrała, i skoro co się stało, to się nie odstanie, Marin wychodzi do pracy.

CZEŚĆ DRUGA

Tylko udaję, gdy robię, co trzeba.
SOUNDGARDEN

15

Kenzie miesza kluski w chińskiej zupce ramen, pilnując czasu, żeby ich nie rozgotować. Wystarczy dziesięć sekund za długo i robi się papka. W szafce ma jeszcze dziewięć takich błyskawicznych zupek, bo w Cash and Carry sprzedają zawsze pięć za dolara, i muszą jej starczyć na cały tydzień. Dzisiejszy smak: wołowina.

Po tych kluchach będzie jutro spuchnięta, ale co tam. W telefonie ma przynajmniej trzy nadające się na Instagrama fotki ze swojego pobytu w hotelu i to wcale nie selfie. Umie ustawić samowyzwalacz i tak kadrować, żeby wyglądać korzystnie, wystarczy trochę edytować i będzie mogła je wstawić.

Derek zapytał ją kiedyś, jaki to w ogóle ma sens i dlaczego to dla niej takie ważne, że pięćdziesiąt tysięcy obcych ludzi ją lubi. Ale tu nie chodzi o lubienie. Ludzie mogą kogoś nienawidzić, ponieważ jest sławny, a mimo to interesować się tym, co ten ktoś robi, z kim się spotyka, w co ubiera, dokąd wyjeżdża. Obserwatorzy, którzy cię nienawidzą, to nadal obserwatorzy. Tu chodzi o bycie zauważonym, widzianym. W dzisiejszych czasach to, kim jesteś w sieci, jest niemal tak samo ważne jak to, kim jesteś w realu.

– Ale dlaczego? – dopytywał się zdumiony. – Masz z tego jakieś pieniądze?

– Zdarzało mi się dostać gratis jakieś produkty – odparła. – Ale gdyby udało mi się zdobyć sto tysięcy obserwatorów, mogłabym zacząć zarabiać na reklamach. Znam influencerkę, która mogła pokryć większość kosztów wesela i miesiąca miodowego dzięki posiadaniu dwóch milionów obserwatorów. Musiała tylko wszystko fotografować i oznaczać sprzedawców.

Dziwnie było tłumaczyć to komuś, kto jest tak mało aktywny w mediach społecznościowych. Większość znanych jej osób rozumiała dynamiczny instagramowy ekosystem łączący influencerów, obserwatorów i firmy próbujące im sprzedać lepszy styl życia niż ten, który już znali. Czy też przynajmniej pozory lepszego stylu życia. Firma Dereka ma oczywiście

konta we wszystkich mediach społecznościowych, ale on nigdy tam nie zagląda, zarządza nimi stażysta z działu marketingu.

– Online mogę być, kim tylko zechcę –przekonywała. – W pełni kontroluję to, w jaki sposób jestem postrzegana. To ja rządę narracją.

– A to się liczy, bo...

– Bo tak. W ten sposób przypominamy innym ludziom o naszym istnieniu.

– Zamieszczasz w internecie swoją sztukę?

– Nigdy. Mojej sztuki nie udostępniam za darmo.

Derek spojrzał na nią dziwnie.

– Tak, ja tego nie czaję – przyznał, po czym szturchnął ją między żebra, a wtedy zrozumiała, że się z nią droczy.

Walnęła go poduszką.

– Zamknij się! – krzyknęła. – Tak właśnie robią modne dzieciaki, staruszku.

Minutnik pika i Kenzie wyłącza kuchenkę, po czym przestawia garnek na zimny palnik. Zębami rozrywa torebeczkę z przyprawami i wsypuje proszek do zupy, raz jeszcze miesza i przelewa zupę do miseczki. To, co zaraz zje, nie ma żadnej wartości odżywczej, ale tak jak chłopaki z zespołu Barenaked Ladies, nawet gdyby mieli milion dolarów, żywiliby się gotowymi daniami firmy Kraft, tak samo Kenzie będzie jadła chińskie zupki, nawet jeśli wyjdzie za Dereka.

Jasna cholera! Czy ona naprawdę to pomyślała? Jeśli wyjdzie za Dereka? Co jej, u diabła, odbiło?

Serio, nigdy by jej nie przyszło do głowy, że do tego dojdzie.

Kiedy poznali się pół roku temu – to znaczy oficjalnie – Derek nie miał pojęcia, kim jest Kenzie. Nie pamiętał jej. Przed tamtym dniem, gdy po raz pierwszy wszedł do Green Bean, ona dla niego nie istniała.

W barze nie było wtedy dużego ruchu i Kenzie patrzyła przez okno, jak czarne metaliczne maserati parkuje równoległe do krawężnika tuż przed frontowymi drzwiami. W dzielnicy uniwersyteckiej, gdzie większość klientów Green Bean stanowili studenci i zmianowi pracownicy szpitala, maserati, nawet w neutralnym kolorze, rzucało się w oczy.

Derek wszedł do baru, wysoki, świetnie ubrany, w szytym na miarę garniturze i lśniących czarnych butach, z idealną fryzurą i skórzaną torbą na laptopa na szerokim ramieniu, w każdym calu wyglądał na prężnego biznesmena, którym istotnie był. Kenzie natychmiast go rozpoznała.

To był ten facet z targu.

Co tydzień przez blisko rok przychodził do food trucka Taquinos Hermanos na zachodnim krańcu Pike Place Market, gdzie pracowała Kenzie zaraz po tym, gdy przyjechała do Seattle na studia. Carlos i Joey płacili jej w gotówce na koniec każdej zmiany i jeździła wszędzie tam, gdzie przenosił się food truck – na festiwale kulinarne, koncerty, nawet na parę wesel pod chmurką. Fajnie było zarabiać bez konieczności płacenia podatków, a najlepsze było to, że mogła jeść wszystko, co chciała, za friko. W soboty ich food truck miał stałe miejsce na Pike Place.

– Stek ze szpandra z guacamole, serem i pomidorami – mówił Derek za każdym razem, kiedy podchodził do okienka.

Tacos kosztował cztery dolary, a on zawsze płacił pięć i wrzucał resztę do słoika na napiwki. Kenzie nie miała wtedy pojęcia, że jest bogaty. W dzinsach i wiatrówce wyglądał jak wszyscy, a czasami przychodził do food trucka z synkiem. Bywało, że kupował małemu churrosa.

A potem jego synek został porwany, on przestał przychodzić, a Carlos sprzedał trucka z tacosami.

Kenzie wiedziała oczywiście o porwaniu. Trąbili o tym w wiadomościach, a policja przetrząsała cały targ. Jeden gliniarz podszedł do trucka i pytał wszystkich, czy zauważyli gdzieś w pobliżu małego chłopca w sweterku z reniferem. Carlos i Joey niczego nie widzieli, cały czas pichcili i rzadko mieli do czynienia z klientami. Kiedy gliniarz pokazał Kenzie zdjęcie chłopca, pokręciła głową. Rozpoznałaby Dereka, gdyby ktoś jej pokazał jego zdjęcie, natomiast dzieci były właściwie niewidzialne. Nigdy tak naprawdę nie przyjrzała się synkowi Dereka.

Dopiero kiedy wróciła do domu, zobaczyła na Facebooku link do ogłoszenia o zaginięciu z tym samym zdjęciem, które pokazano jej wcześniej. Ten sam chłopczyk, ten sam sweterek. Nieco niżej na stronie było zdjęcie jego rodziców i wtedy skojarzyła, o kogo chodzi.

– Tyler, zobacz. – Odwróciła laptop, żeby jej współlokator mógł spojrzeć na ekran. Siedział obok niej na kanapie z nosem w telefonie. – To ten dzieciak, o którego mnie dzisiaj pytali. Ten, który został porwany na targu.

Tyler rzucił okiem na ekran i mruknął coś, co przynajmniej w tonie zabrzmiało współczująco. Był jednak pogrążony w swoim własnym światku i obsesji na punkcie potencjalnego obiektu uczuć, który ignorował jego esemesy.

Derek i jego żona właśnie wydali oświadczenie w telewizji, błagając widzów o pomoc w odnalezieniu synka. To była obłędna historia, straszna i ekscytująca zarazem, dokładnie taka, na podstawie której Netflix mógłby kiedyś nakręcić dokument. Dwa spośród mających przyciągnąć uwagę nagłówków brzmiały: Syn dyrektora PowerOrganix, producenta zdrowej żywności, porwany w biały dzień oraz Słynna stylistka fryzur, czesząca takie gwiazdy, jak choćby Jennifer Lopez, błaga widzów o pomoc w odnalezieniu zaginionego synka.

Nagroda za jakiegokolwiek informację, które mogłyby prowadzić do odnalezienia ich synka, wynosiła milion dolarów. Ale nigdy go nie odnaleziono.

Kiedy Derek po raz pierwszy podszedł do kontuaru w Green Bean jakieś dziewięć miesięcy później, na pierwszy rzut oka wyglądał dobrze. Normalnie. W ogóle się nie zmienił od czasów, gdy dwadzieścia kilka razy podawała mu tacosa na targu. Teraz jednak, z bliska, wydawał się... wymizerowany. Jakby postarzał się o dekadę, co było widać nie tyle w wyglądzie, ile w zachowaniu.

Kenzie uśmiechnęła się do niego promiennie, ciekawa, czy ją rozpozna i powie coś w rodzaju: „Hej, teraz pracujesz tutaj?”, jednak on na nią nie patrzył – spoglądał ponad jej głową na kawowe menu. Zamówił czarną kawę Dark Roast z ekspresu. Rachunek wyniósł dwa dolary i dwadzieścia centów, a on podał jej banknot dziesięciodolarowy, mówiąc, że reszty nie trzeba.

– To o wiele za dużo – powiedziała, wydając mu resztę.

Uśmiechnął się z roztargnieniem, po raz pierwszy przez ułamek sekundy patrząc jej w oczy, po czym wrzucił wszystko do słoika na napiwki.

Usiadł przy jednym z małych stolików pod oknem, otworzył laptopa i wciąż pracował, kiedy pół godziny później miała chwilę przerwy w pracy. Wyjęła z gablotki ciastko, położyła na talerzyku i mu zaniosała.

– Ciastko dnia – oznajmiła. – Z wiórkami z ciemnej czekolady. Jest pyszne i zdecydowanie warte tych węglowodanów. Chciałabym powiedzieć, że to na koszt firmy, ale ściśle rzecz biorąc, zapłacił pan za nie, zostawiając tak duży napiwek.

Podniósł głowę, zaskoczony. Zapomniała już, jaki jest przystojny: gładko ogolona twarz o rzeźbionych rysach, ciemne oczy, w których odbijał się blask słońca przenikający przez okno obok niego. Niektórzy mężczyźni nie starzeją się dobrze, rośnie im brzuch od zbyt dużych ilości smażonego

jedzenia albo czerwienieje im gęba od nadmiaru alkoholu. To nie był ten przypadek. Szedł drogą Bradleya Coopera, bez najmniejszego podobieństwa do Russella Crowe.

– Nie trzeba było – powiedział.

– Jeśli pan nie zje, ja to zrobię, a pochłonęłam już dwa.

Uśmiechnął się, ale ten uśmiech nie dosięgnął oczu.

– Może się podzielimy?

– Jest całe dla pana. – Odwróciła się, żeby odejść, lecz się zawahała. – Nie pamięta mnie pan, prawda?

Przechylił głowę.

– Wygląda pani trochę znajomo...

Kenzie potrafiła odróżnić szczerłość od uprzejmości i uśmiechnęła się szeroko.

– Sranie w banię. Nie ma pan pojęcia, kim jestem. Nic nie szkodzi – dodała, widząc, że otwiera usta, by zaprotestować. – Miło się dowiedzieć, że zrobiłam na panu wrażenie po tym, jak przez rok widywaliśmy się prawie w każdy weekend. – Lekka przesada, ale co tam.

– Powiedziała pani „sranie w banię” do klienta?

– Doniesie pan na mnie? – Przechyliła kokieteryjnie głowę. – Mamy na kontuarze pudełko na skargi i zażalenia, jeśli chce się pan poskarżyć na mój język.

– Naprawdę?

– Nie – odrzekła z uśmiechem. – Na niby.

Oparł się na krzesło i popatrzył na nią tak, jakby widział ją po raz pierwszy. Złapała się na tym, że wstrzymuje oddech. Niektórzy faceci lubią bezczelność. Są też jednak tacy, których to onieśmiela. Kenzie mogłaby się założyć, że Derek należy do tej pierwszej kategorii. Facet w takim garniturze, jeżdżący taką bryką, nie jest przyzwyczajony do podobnych zaczepek. Większość ludzi nie miałaby śmiałości, żeby rozmawiać z nim w taki sposób.

Zadziałało.

– Dobra, poddaję się – powiedział. – To skąd się znamy?

– Taquitos Hermanos. – Jego twarz nie zmieniła wyrazu. – Food truck z tacosami na Pike Place? Zawsze zamawiał pan to samo: carne asada na ostro z guacamole i serem.

Nadal wydawał się zdezorientowany i Kenzie wybuchnęła śmiechem.

– O rany! Albo zupełnie nie ma pan pamięci do twarzy, albo nie jestem warta zapamiętania.

– Zaraz, pamiętam. – Jego twarz lekko pociemniała. – Tylko że... bardzo dawno nie byłem na tym targu. Pamiętam panią. Miała pani inne włosy...

– Wtedy były niebieskie – powiedziała, dotykając swoich blond loków.

– Teraz wyglądają o wiele lepiej – stwierdził, a kiedy uniosła brew, zaczerwienił się. – Przepraszam, źle to zabrzmiało...

– Źle, czyli niegrzecznie?

– To... Cholera! To znaczy... blond czy niebieskie, w jednych i drugich wygląda pani świetnie.

– Powiedział pan „cholera”, zwracając się do baristki? A ja dałam panu ciastko gratis.

– Teraz to się nazywa gratis? Myślałem, że zapłaciłem za nie tym ogromnym napiwkiem.

– O rany!

– Wiesz co, lepiej już się zamknę i po prostu tu posiedzę.

– To chyba najlepsze rozwiązanie.

Ich spojrzenia się spotkały i oboje wybuchnęli śmiechem.

– McKenzie – przedstawiła się, wyciągając rękę. – Możesz mi mówić Kenzie. W każdym razie dzisiaj. Bo jestem pewna, że z chwilą, gdy stąd wyjdiesz, przestanę dla ciebie istnieć.

– Derek. – Uścisnął jej dłoń, a ona spostrzegła, że przytrzymał ją kilka sekund dłużej, niż należało. – I nie sądzę, żeby to było teraz możliwe.

Puścił jej rękę jakby niechętnie, a ona zerknęła na jego dłoń. Miał na palcu obrączkę. Dostrzegł jej spojrzenie i położył rękę na kolanach, jakby chciał ją schować. Niepotrzebnie się przejmował.

To mit, że obrączka na palcu powstrzymuje kobiety przed podrywaniem faceta. Niektóre ciągną do obrączek jak ćmy do płomienia. Dla nich obrączka jest właśnie tym, czego szukają.

Po tamtym pierwszym spotkaniu Derek zaczął przychodzić do baru co kilka dni, potem co drugi dzień, a Kenzie nie mogła się nadziwić, jaki wydawał jej się teraz inny od faceta, którego pamiętała z targu. Tamten był pełen życia i wigoru. Każdy jego ruch pulsował energią.

Ten nowy Derek był udręczony. Samotny. I złakniony rozmowy z kimś, kto nie będzie pytał, co go gryzie. Na razie Kenzie nie przyznała się, że wie o jego synku. Nie podali sobie swoich nazwisk.

– Masz teraz przerwę? – zagadnął parę tygodni później, kiedy wyszła z za kontuaru bez fartuszka. – Siadaj. Odsapnij trochę.

– Jesteś pewny? Nie chciałabym przeszkadzać. – Na stoliku stał otwarty laptop, a na ekranie Kenzie widziała tylko arkusz kalkulacyjny pełen liczb.

– Proszę. Przeszkadzaj. – Dla podkreślenia swoich słów zamknął laptopa i odłożył go na bok, po czym wysunął dla niej krzesło po drugiej stronie stolika.

Usiadła i uśmiechnęli się do siebie. Przyglądała mu się bez skrępowania.

– Co? – spytał. – Mam coś na twarzy? Zaciałem się rano przy goleniu i nikt mi nie powiedział?

– Ostatnio często tu przychodzisz – zauważyła. – Moja koleżanka sądzi, że się we mnie zabujales.

– Ja... – Urwał i się zaczerwienił. – Jestem dla ciebie za stary.

– I zbyt żonaty.

Popatrzył na swoją obrączkę i obrócił ją na palcu drugą ręką.

– No tak. To też. – Znowu spojrzął na Kenzie ze smutnym uśmiechem. – Lubię tu przychodzić. Kiedyś, jako student, mieszkałem kilka przecnic stąd. To miejsce przypomina mi... mniej skomplikowane czasy. Ale to było milion lat temu.

– Tak? Jakie mieli wtedy wydziały? Chodziłeś na kursy pod tytułem: „Jak rozpalić ogień” i „Rytuały godowe mamutów włochatych”?

Roześmiał się.

– Studiowałem dwa fakultety: zarządzanie i matematykę.

– Brzmi okropnie. – Spojrzała przez okno na jego samochód i zachichotała. – Ale pewnie to dlatego ty jeździsz Batmobilem, a ja autobusem.

– Co powiedziałaś?

– Że jeździsz Batmobilem. – Przewróciła oczami. – Daj spokój, facet w twoim wieku powinien mieć Batmana w małym...

– Mój syn nazywał tak ten samochód – powiedział Derek, spoglądając na swój wóz. – Batmobil. Był zachwycony, kiedy przyjechałem nim do domu pierwszego dnia. Żona natychmiast go znienawidziła, uznała, że jest zbyt krzykliwy i jeżdżąc takim wozem, wychodzę na palanta, ale miałem dobry rok i kupiłem go w wyniku spontanicznej decyzji. Kiedy jednak zobaczyła minę Sebastiana, odpuściła. Dlatego nie mogę się zdobyć na to, żeby go sprzedać.

W pierwszej chwili Kenzie nie wiedziała, co powiedzieć. Nie byłoby w porządku udawać, że nie wie o Sebastianie, lecz jego ból był namacalny i bała się, że powie coś, co mogłoby jeszcze go zwiększyć.

– On jest twoim Robinem – odezwała się po chwili. – Wierzę, że jeszcze będzie nim z tobą jeździł.

Poderwał gwałtownie głowę.

– Wiesz o moim synku?

Pokiwała powoli głową.

– Mówili o tym we wszystkich wiadomościach. Ja... Byłam na targu w dniu, kiedy to się stało. Gliny pokazywały nam jego zdjęcie, ale nikt z nas... Nikt z nas niczego nie widział. – Przygryzła wargę. – Derek, tak mi przykro. Nie wiedziałam, w jaki sposób o tym wspomnieć. Ani czy w ogóle powinnam poruszać ten temat. Kiedy przyszedłeś tu po raz pierwszy, od razu sobie ciebie przypomniałam. – Omal nie dodała: „i twojego synka”, ale to już by było za wiele. To byłoby kłamstwo.

Wytrzymał jej spojrzenie.

– Dziękuję, że mi powiedziałaś.

– Nie musimy o tym rozmawiać, jeśli nie chcesz. – Kenzie odwróciła się i znów spojrzała na maserati. – Ale doskonale cię rozumiem. Batmobil musi zostać.

To wywołało na ustach Dereka nikły uśmiezek.

– A ty co studiujesz?

– Jestem na akademii sztuk pięknych. Robię magisterkę z projektowania mebli, ale moją pierwszą miłością jest malarstwo.

– Nie ma magisterki z malarstwa?

– Jasne, że jest, ale najlepszy sposób, żeby stać się dobrym malarzem, to po prostu malować. Sztuka jest subiektywna. Albo na ciebie oddziałuje, albo nie, więc nie potrzebuję więcej się uczyć, tylko więcej malować.

– Teraz rozumiem, dlaczego zawsze tak mi się przyglądasz – stwierdził Derek. – Jesteś uważna. Prawdziwa artystka.

– Skąd możesz to wiedzieć? Nie widziałeś moich prac... na razie. – Urwała, patrząc mu z uśmiechem w oczy. – I wcale nie dlatego tak ci się przyglądam.

Oddech uwiązał mu w gardle.

– A tak w ogóle to już skończyłam na dziś – powiedziała. – Myślałam, żeby skoczyć gdzieś na lunch. Ty już jadłeś?

Pokręcił głową.

– Nie wiem, czy lubisz kuchnię kubańską, ale jest taka niesamowita knajpka kilka przecznic stąd. W porze lunchu kolejki są obłędne, ale robią tam super...

– Mówisz o Fenixie?

Kenzie uśmiechnęła się zaskoczona.

– Znasz ten lokal? Mówię ci, ich karaibska kanapka z rwaną wieprzowiną to cudo.

– Czy go znam? Zainwestowałem w niego. Chodźmy.

– Żartujesz?

– Mam tam dwudziestoprocentowe udziały.

– O mój Boże! – Wstała, a on zapakował komputer. – Dostajesz za to darmowe kanapki?

– Nie, płacę jak wszyscy. Ale nigdy nie muszę stać w kolejce. – Puścił do niej oko, po czym wyjął telefon, żeby zadzwonić do Fenixa, i ruszyli do wyjścia. – Cześć, Jeremy, tu Derek... Dobrze, a ty?... To świetnie. Chciałbym dwie karaibskie z papryką i frytkami z juki. Jeśli na zewnątrz jest wolny stolik, zarezerwuj go dla mnie... Wystarczy mały, dla dwóch osób. Będziemy u was za pięć minut.

Kiedy wychodzili z Green Beans, ramię Kenzie otarło się o jego pierś. Jeszcze nigdy nie stała tak blisko niego i po raz pierwszy uświadomiła sobie, o ile jest od niej wyższy. A mając metr siedemdziesiąt osiem, nie należała do niskich osób.

– Karaibskie kanapki bez kolejki... Chyba się zakocham – mruknęła pod nosem, jednak na tyle głośno, żeby ją usłyszał, kiedy przytrzymał jej drzwi.

– I kto mi powie, że nie jestem najszcześliwszym facetem pod słońcem – odparł Derek.

Iskra.

I wtedy Kenzie już wiedziała, że złapał przynętę.

16

Kiedy Kenzie wraca z porannej zmiany w Green Bean, w mieszkaniu panuje cisza. Drzwi pokoju Tylera są zamknięte. Przykłada ucho do cienkiej płyty wiórowej i słyszy jego chrapanie. Wrócił do domu o piątej nad ranem, kiedy ona właśnie powoli wstawiała do pracy, ale nie rozmawiali. Skoro wrócił tak późno, mogła tylko założyć, że spiknął się z kimś, kogo spotkał w barze zeszłego wieczoru.

To jasne, że jej współlokator jest na nią wściekły, i nie może mieć mu tego za złe, nie po tym, gdy go wystawiła, kiedy mieli kończyć maraton Nawiedzonego domu. Dzielą sześćdziesięciometrowe mieszkanie, ale prawie nigdy się nie widują. Kenzie za nim tęskni. I czuje się samotna.

Derek nie odzywa się od dwóch dni. A chociaż bardzo by chciała, nie może wysłać mu esemesa. To on musi napisać do niej. Wobec żonatych mężczyzn obowiązują pewne zasady i jeśli się je złamie, można narazić się na atak złości.

Sadowi się na kanapie z czekoladową babeczką, którą ukradła z baru (no co, wszyscy pracownicy kradną jedzenie), i włącza telewizor. Każdego popołudnia o czternastej, jeśli tylko jest w domu, ogląda Żar młodości. Może fabuła aż tak jej nie wciąga, ale gdy była dziewczynką, oglądała ten serial z grand-mere. Buford wskakuje jej na kolana, mrużąc z zadowolenia, że wróciła do domu, a ona gładzi jego futro. Chociaż bliskość kota nie jest aż tak krzepiąca, jak kiedyś bliskość babci, niewiele mu brakuje.

– Dlaczego to oglądasz? – pytała babcię, gdy miała dziesięć lat, dobrze to pamięta. Była skołowana, patrząc na tych wszystkich bogaczy z idealnym makijażem i fryzurami, którzy nie potrafili jakoś odnaleźć szczęścia, żeby nie wiadomo jak się miotali. – Ciągłe tylko wbijają sobie nóż w plecy. W niczym nas nie przypominają.

– Są bardzo do nas podobni, ma chere. – Babcia gestem zaprosiła ją pod koc, ten sam, który trzymała na kanapie od urodzenia Kenzie. – Jedyna różnica jest taka, że mają pieniądze.

– Ale on jest dla niej niedobry. – Kenzie wskazała ekran, na którym największy z bogaczy mówił coś okropnego do kobiety mającej nadzieję zostać jego żoną. Po raz drugi. – Jest okrutny.

– Och, ma petite ange. – Babcia przyciągnęła ją do siebie i przytuliła. – Biedni potrafią być równie okrutni. Biedak może złamać ci serce tak samo łatwo jak bogacz. A my wiemy, jak to jest być biednym, oui? Nie ma w tym niczego szlachetnego. Nic a nic. Kiedy dorosniesz, znajdź sobie bogatego mężczyznę. Będziesz miała większe szanse, żeby przetrwać, kiedy już odejdzie.

Gdziekolwiek jest teraz J.R., pewnie też ogląda Żar młodości. Czasami wymieniają esemesy w trakcie serialu. Dawno jednak tego nie robili. Odkąd poznała Dereka, J.R. się od niej odsunął. Kenzie to boli, choć rozumie, dlaczego tak się stało.

Z Derekiem wszystko jest inaczej. I J.R. wyjątkowo się nie wtrąca. O jej poprzednich żonaty chłopakach mówił „smutne, znudzone sakiewki z pieniędzmi”, ale na temat Dereka właściwie się nie wypowiada. Przed kilkoma miesiącami powiedziała J.R. o swoim nowym chłopaku, kiedy spotkali się przy piwku w ich rodzinnym mieście, gdy pojechała odwiedzić matkę.

– Co to za frajer tym razem? – zapytał.

Kiedy powiedziała mu, kim jest Derek, był w szoku.

– Ten koleś, który ma firmę produkującą proteinowe batony sprzedawane w Safewayu? Ten, któremu zaginął dzieciak?

– Ten sam.

– Jezu Chryste, M.K. – jęknął. Wszyscy w mieście mówili na niego J.R., ale tylko on jeden na całym świecie zwracał się do niej M.K., co sekretnie zawsze uwielbiała. – Jedna rzecz to skubać takiego gostka jak Paul, który od początku był palantem, zresztą wszystko jedno, pies go trącał, ale facet, któremu zaginęło dziecko, to już...

Nie dokończył zdania, nie musiał. Miał rację.

– Wiem – powiedziała. – Do niczego nie dojdzie. On jest zbyt... Sama nie wiem. – Na końcu języka miała słowo „załamany”, ale lubiła Dereka jako osobę. Miała poczucie, że byłaby nielojalna, mówiąc to na głos.

– Jest w żałobie – dopowiedział J.R.

Przez chwilę siedzieli w milczeniu. Patrzyła, jak on wpatruje się w zadumie w swoje piwo i zastanawiała się, czy później będzie miał ochotę na seks. Kiedy jej odmówił – delikatnie, ale jednak – była na siebie zła, że

ciągle z nim próbuje, podczas gdy J.R. wciąż tylko jej przypominał, że nigdy nie będzie dla niego tą jedyną.

Grand-mere miała rację, równie dobrze może złamać jej serce bogacz.

Kenzie dwa razy miała złamane serce. Pierwszy raz w dniu, w którym ojciec zostawił ją i matkę, a ona miała zaledwie dwanaście lat. Zostawił je dla kobiety o połowę młodszej od niego. Mama, która od jej urodzenia nie pracowała, musiała iść do pracy, której nienawidziła. W małym miasteczku o pracę niełatwo i ostatecznie zarabiała jako nocna sprzątaczką w kilku lokalnych firmach.

Ojciec umarł na atak serca dwa lata temu. Kenzie dowiedziała się o tym z Facebooka, kiedy jej ciotka, z którą nie utrzymywała bliższych relacji, udostępniła zawiadomienie o jego śmierci zamieszczone przez „macochę” Kenzie, wraz z informacją o pogrzebie. Nie poszła. Pożegnała się z nim dawno temu.

Drugi raz złamał jej serce J.R. Nigdy nie był jej chłopakiem, ale był jej pierwszą miłością – facet z tego samego miasta, ich rodziny się znały. Spiknęli się latem, przed jej wyjazdem na studia. Straciła z nim cnotę na kocu na trawie nad rzeką, pod gwiazdami, i było tak cholernie romantycznie, jak w piosenkach country.

– Zobaczymy się jeszcze? – zapytała go potem, wciągając majtki i szorty. Bolało ją, ale w dobrym sensie, takim dorosłym. Liśćmi na drzewach poruszał lekki wietrzyk. Sierp księżyca prawie nie rzucał światła, ale dzięki temu gwiazdy mocniej lśniły.

– Oczywiście, że tak – odparł. – Oboje przyjedziemy na Święto Dziękczynienia. A w międzyczasie będziemy bez przerwy gadali przez telefon.

Ale wcale nie gadali. A raczej on z nią nie gadał. Następnego dnia wyjechała na studia, a J.R. przez cały miesiąc nie odbierał jej telefonów i nie odpisywał na esemesy. Odebrał tylko raz, kiedy zadzwoniła do niego z komórki swojej współlokatorki, a wtedy wyraził uprzejme zdziwienie, że ją słyszy, lecz poza tym zachował chłód.

Kenzie zrozumiała aluzję. Cokolwiek ich łączyło, skończyło się. Było jasne, że J.R. nie chce stałego związku, i chociaż ze wszystkich sił starała się nie oczekiwać zbyt wiele, potwierdzenie, że to nigdy nie będzie nic więcej, ją zdruzgotało. Dosłownie wyła z bólu. Nie wiedziała, że można tak cierpieć, była zrozpaczona, że oddała się komuś, kto odtrącił ją z taką łatwością, a to było jeszcze gorsze niż odejście taty. Jedyłą pociechę

stanowiło to, że żyli daleko od siebie i że prawdopodobnie już nigdy więcej nie będzie musiała go oglądać.

A jednak się zobaczyli. J.R. zaszedł do domu jej matki w weekend po Święcie Dziękczynienia i jak gdyby nigdy nic zaprosił ją na przejażdżkę nad rzekę, jakby dwa miesiące wcześniej nie wyrwał jej serca z piersi i nie podpalił. Zgodziła się. Miała mu coś do powiedzenia i oto nadarzyła się okazja.

– Wykorzystałeś mnie. – Pod koniec listopada rzeka wyglądała inaczej niż w sierpniu. Siedzieli na tym samym kocu w szkocką kratę, tyle że teraz byli w kurtkach i ciepłych butach, a nie w szortach i T-shirtach, i zamiast zimnego piwa pili kawę z likierem Baileys. Te same drzewa, które kilka miesięcy wcześniej były całe w liściach, teraz stały ogołoczone, a ich gałęzie były cienkie i kruche. Nagie. Obnażone. I dokładnie tak czuła się Kenzie.

Powietrze przepęłniała słodka, dusząca woń skręta J.R. Podsunął go Kenzie, a ona zaciągnęła się głęboko i mu go oddała.

– W jakim sensie cię wykorzystałem? – spytał. – Okłamałem cię? Złożyłem obietnice, których nie dotrzymałem?

– Powiedziałaś, że będziemy w kontakcie.

Machnął lekceważąco ręką.

– A, no tak, zgoda, nie jestem w tym zbyt dobry. Powinienem cię uprzedzić. Na ogół skupiam się na tym, co mam przed sobą, a jeśli nie ma cię przede mną, to trochę tak, jakby...

– Co z oczu, to z serca?

– Mniej więcej. – Znów podsunął jej skręta. Odmówiła. Więcej niż jedno sztachnięcie wpędzało ją w paranoję. – Nie pozwól, żeby emocje wzięły górę i zniszczyły coś dobrego, M.K. To, co nas łączy, jest idealne takie, jakie jest.

– A co nas łączy?

– Przyjaźnimy się – stwierdził, a ona się wzdrygnęła. To słowo jeszcze nigdy nie brzmiało tak wzgardliwie. – I zawsze będziemy.

– Chcę być z tobą – wypaliła i natychmiast poczuła się okropnie. Tak bardzo starała się od niego uwolnić, a teraz siedzieli razem i wszystkie uczucia wróciły. Nie wiedziała, co ma z nimi zrobić, zupełnie się w tym gubiła.

– Jesteś ze mną. – Zdusił niedopałek, ujął ją pod brodę i odwrócił jej twarz w swoją stronę. – Tego właśnie nie rozumiesz. Kiedy tutaj jestem, to jestem tutaj.

– A kiedy cię nie ma, to nie ma.

– Nie mów tego tak, jakby to było coś złego. Masz przed sobą całe życie. Masz swoją szkołę, swoich przyjaciół i facetów, którzy pewnie bez przerwy chcą się z tobą umawiać. Chcesz mojej rady? Zgadź się. Na wszystko. Nie pozwól, żeby z mojego powodu omijały cię możliwości. Twoje życie to znacznie więcej niż ja, niż to. – Zamaszystym gestem ogarnął rzekę. – Nie bez powodu chciałaś się wyrwać z tego miasteczka. Nie pozwól, żeby cokolwiek ciągnęło cię tu z powrotem. Nawet ja.

– Ale ja cię kocham. – Kenzie skuliła się na dźwięk własnego głosu. Był taki cienki, dziecinny.

J.R. się uśmiechnął. Kenzie nigdy nie zapomni tego uśmiechu. Była w nim mądrość, cynizm, rozczarowanie.

– Przejdzie ci. Obiecuję.

Ukryła twarz w dłoniach i załkała.

– Zostawiasz mnie tak jak mój tata.

– Nie bądź idiotką – burknął J.R. – Słyszysz to, co chcesz usłyszeć, nie to, co mówię. Oznajmiam ci prosto z mostu, co mogę, a czego nie. Ten dupek, twój ojciec, nigdy tego nie zrobił – składał ci obietnice, których nie mógł dotrzymać. Masz osiemnaście lat, ale jesteś nad wiek mądra, M.K. Kieruj się mózgiem, nie sercem. Musisz nauczyć się sama o siebie zadbać albo przepadniesz w tym popierdolonym świecie. Nie uzależniaj się ode mnie, rozumiesz? Nie uzależniaj się od nikogo.

– Mam poczucie, że cię tracę.

– To byłoby sprzeczne z faktami – stwierdził łagodnie i pochylił się w jej stronę. Wiedziała, że zanosi się na pocałunek i mogła odwrócić głowę, ale tego nie zrobiła. Chciała poczuć jego wargi na swoich, pragnęła się z nim złączyć. – Bo nigdy mnie nie miałaś.

Ich usta się zetknęły i było to jednocześnie najlepsze i najgorsze, co kiedykolwiek czuła.

Od tamtej pory Kenzie nauczyła się, że kiedy ktoś, kogo kochasz, nie odwzajemnia twoich uczuć, masz dwie drogi. Pierwsza: możesz poznać kogoś innego i spróbować jeszcze raz. I jeszcze, i jeszcze, aż pewnego dnia, jeśli ci się poszczęści, poznasz osobę, która jest ci pisana, która też cię kocha i która chce się z tobą związać na całe życie. Ale nie ma żadnej gwarancji, że takiego kogoś znajdziesz, a nawet jeśli, nie ma gwarancji, że wasz związek przetrwa.

I druga: już nigdy więcej nie będziesz próbować. Pogodzisz się z tym, że miłość jest gównem warta. Miłość rani. Miłość odbiera ci więcej, niż daje, więc po co to wszystko? I przestajesz za nią gonić. Spędzasz czas, z kim chcesz, bez żadnych oczekiwań, rozumiejąc, że możesz wierzyć tylko w tę chwilę, która właśnie trwa.

Kiedy odpuściła sobie wszelkie oczekiwania wobec J.R. – tym razem naprawdę, bez udawania – mogła docenić ich relację taką, jaka była. Patrzyła na przyjaciółki przeżywające bolesne rozstania i cieszyła się, że jej to już nigdy nie spotka. Jak powiedział J.R., nie możesz stracić czegoś, czego nigdy nie miałaś.

Przez te cztery lata, kiedy uczęszczała do szkoły artystycznej w Boise, Kenzie utrzymywała z J.R. sporadyczne kontakty, a kiedy znaleźli się akurat w tym samym miejscu, spędzali razem każdą chwilę. Gdy przeniosła się do Seattle na studia magisterskie, mieszkała u niego, szukając własnego lokum. Nadal uprawiają seks, nie zawsze, ale czasami, kiedy okoliczności są sprzyjające. Rozmawiają o ludziach, z którymi się umawiają, to znaczy, głównie Kenzie opowiada o facetach, z którymi się umawia, bo nie bardzo ma ochotę słuchać o seksualnych kontaktach J.R. z innymi kobietami. On udziela jej wielu rad.

Udzielił jej choćby rady dotyczącej Paula i doskonale na tym wyszła.

Kiedy ostatnim razem widziała się z J.R., pytał ją, jak jej się układa z Derekiem. Jej przygody z żonatymi facetami go podniecają – im bardziej Kenzie wdaje się w szczegóły, tym bardziej prawdopodobne, że będzie miał potem ochotę na seks – jednak Derekiem wydaje się szczególnie zafascynowany. Z powodu zaginionego dziecka.

Kenzie to rozumie. Trudno oddzielić Dereka od historii, która była we wszystkich wiadomościach. Dzięki ogromnej liczbie firm plasujących się wysoko w rankingu Fortune 500, które mają tu swoje siedziby – Amazon, Microsoft, Starbucks, Costco, Nordstrom – Seattle jest pełne milionerów.

Taki facet jak Derek niczym by się nie wyróżniał. Gdyby nie zaginione dziecko.

– Daje ci pieniądze? – spytał J.R.

– Czasami. Trochę tu, trochę tam, jeśli wie, że ich potrzebuje.

– Powinien dawać ci więcej niż trochę. Facet jest nadziany. Nagroda, jaką oferuje za odnalezienie dzieciaka, to milion dolarów. – Szukał czegoś w telefonie, a kiedy znalazł, podsunął jej ekran pod nos, żeby mogła zobaczyć. To był artykuł o PowerOrganix w jakimś magazynie

biznesowym. – W zeszłym roku jego firma odnotowała sprzedaż wysokości trzystu milionów.

– Pokaż. – Próbowała wyjąć mu telefon z ręki. Nie pozwolił jej, co zresztą nie było zaskoczeniem. Faceci są dziwni, jeśli chodzi o telefony.

– Powinien załatwić ci mieszkanie własnościowe – stwierdził J.R., a ona prawie widziała trybiki pracujące w jego głowie. – Na twoje nazwisko. Żebyś kiedyś, gdy wasz romans już się skończy, miała chociaż to. Byłaby to zapłata, ale bez poczucia, że to zapłata, jeśli rozumiesz, o co mi chodzi.

– Z Derekiem to tak nie działa. Nie doszliśmy jeszcze do tego etapu i być może nigdy nie dojdziemy. Nie jest jak Paul, który miał na moim punkcie obsesję. Derek umawia się ze mną tylko wtedy, gdy to mu pasuje, i nigdy nie wiem wcześniej niż na dzień, dwa naprzód, kiedy to będzie.

– Bo mu pozwalasz, żeby kontrolował sytuację. Jesteś zbyt dostępna. Takich facetów jak on kręci tylko to, co stanowi wyzwanie, musi czuć ten dreszczyk, że może jednak nie będzie cię miał. – J.R. znowu przegląda telefon. – Jak mu się układa z żoną?

– Niewiele o niej mówi, ale wygląda na to, że prawie się nie widują. Raz wspomniał, że po tej historii z dzieciakiem nie jest z nią najlepiej. Myślę, że to dlatego tak niechętnie wraca do domu – dodała Kenzie. – Żeby nie musieć się z tym zmagać. Z jej stanem.

– Dlaczego się nie rozwiodą?

– On się boi, że ona popełni samobójstwo.

J.R. podniósł gwałtownie głowę.

– Serio? Tak powiedział?

– Nie dosłownie. Ale nie jest z nią dobrze. Powiedział mi kiedyś, kiedy wypiliśmy za dużo wina, że jakiś miesiąc po zniknięciu dzieciaka była w szpitalu. Napuściła wody do wanny i nałykała się prochów. Znalazł ją w samą porę. Przez pięć dni trzymali ją na oddziale psychiatrycznym.

Nie potrafiła odczytać wyrazu twarzy J.R., lecz na widok jego miny poczuła się nieswojo.

– Co?

– Mowy nie ma, żeby to małżeństwo przetrwało. – Miała wrażenie, że mówi bardziej do siebie niż do niej. – To, przez co przeszli, to zbyt wiele. W pewnym momencie ostatecznie się rozstaną. Wygląda na to, że koniec nastąpi już niedługo. Myślę, że to może być... – Urwał, szukając słowa. – ...szansa dla ciebie.

– O czym ty, kurwa, mówisz?

– Może to właśnie ten, który jest ci pisany?

Kenzie parsknęła śmiechem.

– Naćpałeś się? Od kiedy to wierzysz w małżeństwo?

– Nie wierzę w małżeństwo. Wierzę w pieniądze. A on ma ich kupę. Więcej niż ktokolwiek.

– Nie kocham go, J.R. – powiedziała, tak naprawdę mając na myśli: „On mnie nie kocha”. Nie chciała jednak mówić tego na głos. Nie chciała, żeby J.R. wiedział, że jej zależy.

Wzruszył ramionami.

– I co z tego? Że zacytuję legendarną Tinę Turner: Co miłość ma tu do rzeczy?

– Nie jestem złodziejką mężów.

– Naciągaczka żonatych frajerów, złodziejka mężów, co za różnica?

Właśnie, że jest. I to wielka. Kenzie nigdy nie lubiła tego określenia: złodziejka mężów. Ona nią nie jest, tak samo jak nie była nią kobieta, do której odszedł jej ojciec.

Mężczyźni sami niszczą swoje rodziny.

Rozumie, że J.R. próbuje jej pomóc wyciągnąć z tego najwięcej, jak się da, bo kiedyś ten romans się skończy. Romanse zawsze kiedyś się kończą w taki czy inny sposób. Albo przeradzają się w coś „prawdziwego”, czyli w tym przypadku Derek odejdzie od żony i poprosi Kenzie, żeby została z nim na zawsze. Albo umierają śmiercią naturalną: Derek postanowi zostać z kobietą, którą poślubił. Tak czy inaczej to, co jest między nimi teraz, nie będzie trwało wiecznie. Nie da się tego utrzymać.

Zwłaszcza że Derek wciąż kocha żonę.

Rzadko rozmawia z Kenzie o swojej rodzinie, ale śni o niej, i o swoim synku, przez cały czas. Podczas wycieczki do Nowego Jorku kiedyś w środku nocy wykrzykiwał głośno imię Sebastiana, aż Kenzie obudziła się przerażona. Zapaliła światło i zobaczyła, że Derek rzuca się na łóżku obok niej, włosy ma zlepione od potu. „Sebastian. Sebastian. Bash. Chodź do tatusia. Proszę”.

– Obudź się. – Kenzie nim potrząsnęła. – Derek, obudź się, śni ci się koszmar.

Otworzył oczy, a kiedy oprzytomniał, jego twarz wykrzywił grymas.

– O Boże, nie zdołałem do niego dotrzeć. Był tak blisko, a ja nie zdążyłem dotrzeć tam na czas.

– Ciii... – Wyłączyła światło i przytuliła się do niego. – Już dobrze. To był tylko sen. Postaraj się jeszcze zasnąć.

Rano w ogóle o tym nie rozmawiali. Kenzie nie była nawet pewna, czy Derek cokolwiek pamięta, więc nie poruszała tego tematu.

Czasami jednak wypowiada też przez sen imię Marin. Niezbyt często. Od czasu do czasu. Prawdę mówiąc, Kenzie po raz pierwszy usłyszała, jak to robi, następnej nocy po tamtym koszmarze. Jego głos był pełen udreki, słowa wyraźne.

A oto, co powiedział: „Marin, przepraszam. O Boże, Marin. Tak mi przykro”.

Trzy dni i wciąż żadnych esemesów od Dereka.

Kenzie myśli o nim, wycierając stolik pod oknem lizolem i papierowymi ręcznikami, bo kilka minut wcześniej zwymiotowało na niego jakieś dziecko. Dla niej to stolik Dereka, bo zawsze przy nim siada. Lubi patrzeć na przechodniów i mieć oko na swojego cennego Batmobila. Nigdy się do tego nie przyzna, ale uwielbia, kiedy ludzie gapią się na jego maserati. Pewnego popołudnia Kenzie siedziała razem z nim, kiedy na chodniku zatrzymały się dwie studentki i ukradkiem rozejrzały. Jedna ustawiła się przy samochodzie, a druga pstryknęła jej fotkę. Potem się zamieniły i odbiegły ze śmiechem, bez wątpienia nakręcone tym, że będą miały co zamieścić na Instagramie.

Kenzie sprawdza swój telefon, ignorując e-mailowe upomnienie z domu opieki, w którym przebywa matka, że zalega z opłatą za kolejny miesiąc. Zamierza wykorzystać pieniądze od Dereka do spłacenia kart kredytowych i zaległych rachunków. Kiedy jej Visa będzie już spłacona, zrobi przelew na dom opieki. Mogło być gorzej. Bywało gorzej.

Dochodzi do wniosku, że mogłaby teraz wysłać mu esemesa. Trzy dni bez żadnych kontaktów to długo i każda normalna osoba by się odezwała. Ta niepewność zaczyna jej doskwierać, więc wysyła Derekowi najbardziej niewinną wiadomość, jaka tylko przychodzi jej do głowy. Jedno słowo: Hej.

Czeka. Nic. Wsuwa telefon do kieszeni i ciężko wzdycha.

Stolik cuchnie lizolem, ale przynajmniej wreszcie jest czysty. Jak rodzice to robią? Matka dziewczynki, która zwymiotowała na blat, bardzo przeproszała za kłopot, z radością jednak zostawiła sprzątanie Kenzie. Przynajmniej jej za to płacą. Jakie są dobre strony bycia rodzicem? Koty są znacznie lepsze od dzieci – od małego dbają o czystość.

– Wiesz, jak to jest mieć dziecko? – spytała ją kiedyś mama, gdy Kenzie miała osiem lat. Poprosiła mamę, żeby pozwoliła jej przenocować u najlepszej przyjaciółki Bekki. – To tak, jakby twoje serce wychodziło z domu na dwóch nogach, delikatne i bezbronne. Przerażająca sprawa.

Taaa, dziękuję, postoję. Życie jest już wystarczająco ciężkie bez wydawania na świat kolejnej biednej, małej istoty.

Od lat nie myślała o Becce. Kenzie mogłaby wyliczyć na palcach jednej ręki wszystkie bliskie przyjaciółki, które w życiu miała. Becca w podstawówce. Janelle w liceum. I Isabel, jej współlokatorka na studiach licencjackich.

Kenzie często myśli o Isabel. Poznały się na pierwszym roku podczas tygodnia integracyjnego, kiedy Izzy weszła do ich pokoju w akademiku z walizką, która, jak dowiedziała się później Kenzie, była w połowie wypełniona produktami do makijażu i pielęgnacji włosów. Izzy dostała się na studia taneczne dzięki stypendium, a jej jedynym celem życiowym było znalezienie bogatego męża.

– To nie tak, że nie wierzę w siebie – tłumaczyła Izzy, kiedy jadły wieczorem pizzę. Nowa współlokatorka Kenzie ugryzła ogromny kęs, który później zwymiotowała. – Moim marzeniem jest profesjonalny taniec, ale jutro mogę skrócić kostkę, i co wtedy? Nic innego nie umiem. Dlatego właśnie mam Davida. To mój plan awaryjny.

Miały ze sobą wiele wspólnego, obie umawiały się ze starszymi facetami. Chłopak Izzy był czterdziestotrzyletnim chirurgiem, a Kenzie spotykała się z Seanem, trzydziestodwuletnim agentem nieruchomości, którego poznała na zajęciach jogi. Tyle że, w przeciwieństwie do Davida, Sean był żonaty.

– No tak, ja nigdy nie zadałabym się z żonatym facetem – stwierdziła Izzy, marszcząc z odrazą idealny nosek. – Ale rób, jak uważasz, dziewczyno. Ty to ty.

Po pierwszym roku Kenzie i Izzy przeprowadziły się z akademika do małego mieszkania poza kampusem. Kenzie nadal spotykała się z Seanem, lecz jego żona zagroziła, że zabierze dzieci i odejdzie, więc sytuacja u niego w domu była napięta. Kenzie czuła, że Sean traci zainteresowanie.

Izzy przeczuciła się na nowego starszego faceta, Ricka, który uwielbiał podróże. Pomiędzy jej lekcjami tańca zabrał ją do Meksyku, na Barbados, do Paryża, odbyli nawet rejs po Morzu Śródziemnym, który Izzy uznała za nudny, ponieważ średnia wieku pasażerów wynosiła „jakieś sto pięćdziesiąt osiem lat”.

– Już nigdy nie popłynę „Holland America” – oznajmiła Izzy po powrocie do domu. – Wszyscy byli w łózkach o dziewiętej. Co mnie ominęło? Jak

Sean?

– Jestem pewna, że ze mną zerwał – odparła Kenzie ponuro. – Przedwczoraj przy kolacji powiedział, że potrzebuje trochę oddechu, że musi się skupić na swoich dzieciach. Prawdę mówiąc, dał mi pieniądze. Miałam poczucie, że to była... odprawa.

– Ile ci dał?

– Tysiąc dolarów. – Kenzie nie była pewna, co o tym myśleć. – Wyciągnął zwitek banknotów, uregulował rachunek i wręczył mi resztę.

– A ty powiedziałaś...

– „Dzięki”.

– Dziewczyno, czy ja cię niczego nie nauczyłam? – Izzy przewróciła oczami. – Nie przyjmuje się pierwszej oferty. To negocjacje. Jeśli chce cię splewić, musi cię spłacić. Tysiąc dolców... kurde. David dawał mi taką sumę co miesiąc, tak po prostu.

– To co powinnam była zrobić?

– Powinnaś była pogłaskać jego ego, wziąć go pod włos, pograć mu trochę na uczuciach, przemówić do jego męskiej opiekuńczej natury. Rzucić coś w stylu: „O rety, nie spodziewałam się tego”. – Jej głos podniósł się o oktawę i złagodniał, zrobiła przesadnie zrozpaczoną minę. – „Nie chcę cię stracić. To dla mnie poważna sprawa i nie jestem jeszcze gotowa z ciebie zrezygnować”.

Kenzie wybuchnęła śmiechem.

– Stara, daj spokój. Mowy nie ma, żebym powiedziała coś takiego z kamienną twarzą.

Izzy jednak się nie śmiała.

– To lepiej poćwicz. Takie rozstanie powinno kosztować go znacznie więcej niż tysiąc. Kiedy David ze mną zerwał, dał mi dziesięć.

– Dziesięć tysięcy?!

– Myślisz, że to dla nich dużo? Nie żartuj. To drobiazg, jeden pokerowy weekend. – Izzy westchnęła i pokręciła głową.

Wtedy Kenzie po raz pierwszy usłyszała określenie „profesjonalna dziewczyna”.

– Jak powiedziałam, to negocjacje. – Izzy pochyliła się do przodu. – Musisz żądać tyle, ile jesteś warta.

– Jak niby mam to zrobić?

– To cała sztuka. – Jej współlokatorka umilkła na chwilę, żeby to przemyśleć. – Musisz poprosić... tak naprawdę jednak nie prosząc. Trzeba

doprowadzić do tego, żeby to oni sami zaproponowali.

Twardy orzech do zgryzienia.

– Tak czy owak, z Seanem już za późno. – Izzy odchyliła się do tyłu. – Ale następnym razem miej to na uwadze. Masz większą moc, niż sądzisz. Tylko ani mi się waż zakochiwać.

W tym czasie, kiedy mieszkały razem, Izzy sporo nauczyła Kenzie o byciu „profesjonalną dziewczyną”. Nie jesteśmy prostytutkami, podkreślała. Musiały naprawdę lubić tych facetów i spotykały się z nimi zawsze na wyłączność. Izzy nigdy nie umawiała się z więcej niż jednym w danym czasie. Kiedy ze sobą „chodzili”, była w niego wpatrzona i świata nie widziała poza nim, tak jak prawdziwa dziewczyna. W sypialni wychodziła z siebie, żeby go zadowolić, lecz w zamian oczekiwała tego samego. To nie mogło być jednostronne.

Jej chłopaków musiało być jednak na nią stać. Była kosztowna w utrzymaniu, wymagała gotówki, żeby co tydzień robić sobie paznokcie, rzęsy co dwa tygodnie, włosy co miesiąc i w razie potrzeby zabiegi samoopalaczem. Kochała podróże, ale wyłącznie klasą pierwszą lub biznesową. Oczekiwała prezentów, i to najchętniej takich w małych niebieskich pudełeczkach z białą kokardką. W zamian jej chłopak miał oddaną dziewczynę i towarzyszkę podróży, która poświęcała mu mnóstwo uwagi i dbała o to, żeby oboje dobrze się bawili.

Izzy nie chciała jednak na zawsze pozostać w kategorii „dziewczyna”. Pragnęła pierścionka zaręczynowego, ślubu, domu i nazwiska. Chciała bezpieczeństwa finansowego.

– Chłopaczków z funduszem powierniczym unikam jak zarazy – wyznała pewnego razu. – Po pierwsze, są beznadziejni w łóżku. Po drugie, jeśli urodzili się z pieniędzmi, to zawsze mieli zabezpieczenie finansowe i nigdy w życiu na nic nie musieli zapracować. A do tego tacy jak oni zawsze chcą mieć dzieci. – Wzdrygnęła się. – Bogaty rozwodnik, który który sam doszedł do wszystkiego, to święty Graal. Tacy ciężko pracują, najprawdopodobniej zaspokoiли już potrzebę posiadania dzieci, a teraz chcą tylko dobrze się bawić i mieć kogoś, kogo mogliby rozpieszczać. I wtedy wkraczam do akcji ja.

A potem Izzy poznała Mike’a. Mike nie był rozwiedziony. Nie był też bogaty. Był tylko trzy lata starszy od niej, a poznali się na siłowni. Izzy była świeżo po zerwaniu z Rickiem, trochę ją nosiło, więc zgodziła się pójść

z Mike'iem na kawę, bo był taki „słodki”. Kawa przeszła w drinki, drinki w kolację i w efekcie Izzy wróciła do domu dopiero następnego wieczoru.

– No to mam przerypane – oznajmiła, opadając ciężko na kanapę.

– Dosłownie czy w przenośni? – zainteresowała się Kenzie.

– I tak, i tak. On pracuje w IT i jeździ sześćioletnią toyotą camry. Camry, Kenz! A dzisiaj rano zabrał mnie na śniadanie do IHOP. IHOP! I wiesz co?

– Co?

– Seks był niezmierny, a naleśniki pyszne. Co się ze mną dzieje?

Kenzie musiała się roześmiać. Trudno było wyobrazić sobie Izzy w sieciowej naleśnikarni, trzymającej ogromne laminowane menu.

– A więc... to była taka... przygoda na jedną noc, tak?

– Tak. – Współlokatorka powiedziała to trochę zbyt stanowczo i Kenzie nie była pewna, czy próbuje przekonać ją, czy siebie. – O Boże, ależ on mnie rozśmieszał. Zapomniałam już, jakie to cudowne być z kimś, kto doprowadza cię do śmiechu. Przez ostatnie dwadzieścia cztery godziny miałam poczucie, że przy nim mogę być sobą. Nie przejmowałam się tym, czy makijaż mi się rozmazał albo czy włosy oklapły od mżawki. Zaproponowałam nawet, że zapłacę za śniadanie, skoro on postawił mi wczoraj obiad i drinki. Kiedy ostatnio mi się to zdarzyło?

– Spotkasz się z nim jeszcze?

– Nie wiem. – Izzy wydawała się naprawdę zagubiona. – Że też on musi być taki... uroczy.

Pół roku później nadal spotykała się z Mikiem, a Kenzie, po krótkiej przygodzie z właścicielem restauracji o imieniu Erik, przerzuciła się na Paula. Żonaty, po czterdziestce, troje dzieci poniżej dwunastu lat. Był współnikiem zarządzającym w kancelarii prawniczej w centrum Boise i miał mieszkanie w pobliżu firmy, ponieważ często pracował do późna. Jego rodzina mieszkała na przedmieściach i widywał się z nimi głównie w weekendy – o ile nie spędzał ich z Kenzie.

Paul spytał ją raz, czy zainteresowała się nim z powodu jego konta bankowego.

– Czy nadal bym cię pociągał, gdybym był, powiedzmy, dozorcą?

Kenzie odwróciła pytanie:

– Czy nadal bym cię pociągała, gdybym była czterdziestką z nadwagą i trojgiem dzieci?

Niechący opisał jego żonę i wycofał się urażony.

– No tak... – mruknął.

– Przepraszam, nie chciałam...

– Nie ma sprawy. Dokąd idziemy na kolację?

Spotykała się z Paulem przez cztery miesiące pod koniec ostatniego roku studiów i większość nocy spędzała w jego mieszkaniu w Boise. Izzy natomiast większość czasu spędzała u Mike'a. Miał własny domek z uroczym małym ogródkiem. Ani jedna, ani druga nie chciała przyznać, że ich przyjaźń się rozpada, odkąd Izzy wycofała się ze świata profesjonalnego randkowania – bez względu na to, czy zrobiła to świadomie, czy też nie. W niczym by to zresztą nie przeszkadzało – co to Kenzie obchodziło? – ale Izzy zaczęła krytykować jej styl życia. Który swego czasu był i jej stylem.

– Jak możesz wciąż to robić? – spytała ją Izzy pewnego wieczoru.

Gniotły się we dwie w maleńkiej łazience ich mieszkania kilka tygodni przed dyplomem, przepychając się przed lustrem. Kenzie pożyczyła od Izzy jedną z jej opiętych sukienek i szykowała się na wieczór z Paulem: kolację i tańce. Izzy miała na sobie dzinsy i sweter. W lustrze sprawiały wrażenie, jakby zamieniły się miejscami, biorąc pod uwagę ich wcześniejszy wygląd.

– Paul jest żonaty – zauważyła Izzy, jakby Kenzie tego, kurczę, nie wiedziała. – Jest ojcem. Mężem. Ma rodzinę. Nie masz z tego powodu wyrzutów sumienia?

– Nie – odparła Kenzie. Ile razy jeszcze będą to wałkować? – Żadnych.

Izzy odwróciła się do niej.

– To jest złe, Kenz.

– Od kiedy cię to obchodzi? – odparowała Kenzie. – „Ty to ty”, pamiętasz?

– No tak, ale byłam w błędzie. – Izzy westchnęła. – Ludzie się zmieniają. Nie chcesz się zakochać?

Kenzie się zdumiała – jej współlokatorka po raz pierwszy użyła przy niej tego słowa. Nie sądziła, że dla Izzy to takie ważne. Kenzie była przekonana, że miłość znajduje się na samym dole listy jej priorytetów. I nagle ogarnęła ją złość. Nie każdemu jest dane się zakochać.

Odwróciła się do lustra.

– Nie rozbijam jego rodziny, Izzy. On sam to robi. Ludzie zapominają, że to jego dom i jego rodzina. Gdyby mu się układało, w ogóle nie zwróciłby na mnie uwagi.

– Wiesz, jak poznałam Mike'a?

– Mówiłaś, że w siłowni.

– Tak naprawdę spotkaliśmy się już wcześniej. Podszedł do mnie w księgarni i zagadnął, nawiązując do książki, którą trzymałam w ręku. Podobno odbyliśmy całą dyskusję na jej temat, ale w ogóle tego nie pamiętałam, dopóki mi nie przypomniał podczas naszej pierwszej randki przy kawie. A potem, parę miesięcy później, w walentynki – wtedy wciąż jeszcze spotykaliśmy się niezobowiązująco – dał mi tę książkę. – Uśmiechnęła się na to wspomnienie. – Zdobył dla mnie egzemplarz z autografem w specjalnej księgarni. A ja pomyślałam, że ta książka kosztowała niecałe dwadzieścia dolarów i była chyba najbardziej przemyślanym prezentem, jaki od kogokolwiek dostałam.

Izzy precyzyjnie się koło Kenzie, żeby wyjść z łazienki, a po chwili wróciła z Dziką drogą Cheryl Strayed w twardej oprawie. Pokazała dedykację, którą wpisał Mike: Kiedy już się wyszumisz, będę na Ciebie czekał – Mike.

– Powinnaś to przeczytać – powiedziała Izzy. – To o kobiecie, która bierze narkotyki, zdradza męża i wyrusza na długą szaloną wyprawę, a wszystko po to, żeby nie czuć bólu po śmierci matki. Bardzo to do mnie przemówiło. Sprawilo, że zaczęłam zastanawiać się poważnie nad tym, dlaczego robię to, co robię, i doszłam do wniosku, że się sobą brzydę. Postanowiłam dać Mike’owi szansę, Kenz.

– Czytałam to. – Kenzie znowu spojrzała w lustro. – I cieszę się, że jesteś szczęśliwa. Ale ja lubię Paula. I mogę umawiać się z bogatymi facetami równie dobrze jak z biednymi. – Zdawała sobie sprawę, że przemawia jak jej grand-mere.

– Nikt nie twierdzi, że nie możesz się umawiać z bogatym starszym facetem – odparła Izzy. – Sama wolałabym być bogata niż biedna. Ale wolę być szczęśliwa niż bogata. Znajdź sobie jakiegoś singla, Kenz.

– Jego żona to nie mój problem. W ogóle o niej nie myślę. Dla mnie ona nie istnieje. – Kenzie wzruszyła ramionami. – Zresztą oni wszyscy zdradzają. I pewnego dnia, kiedy będziesz stara i gruba, będziecie mieli z Mikiem dwójkę dzieci i kredyt hipoteczny, on się tobą znudzi i też cię zdradzi. Pakując się w ten związek, tylko narażasz się na zranienie. To ty mnie instruowałaś, jak to robić, pamiętasz? Ale jak sobie chcesz. Ty to ty.

Równie dobrze mogłaby dać Izzy w twarz. Kenzie widziała to po jej minie, po tym, jak jej policzki zwiotczały, i odwróciła wzrok. Mimo to wciąż wyglądała szalowo, nawet ubrana byle jak. Mogła mieć każdego faceta, jakiego tylko chciała, i każdy styl życia. Co za strata.

Związek Kenzie z Paulem przetrwał jeszcze trzy tygodnie po tej rozmowie. Zakończył się nocą przed rozdaniem dyplomów, kiedy jego żona zaczęła walić o północy do ich drzwi. Pani Paul – Kenzie nigdy nie poznała jej imienia – była pijana i szukała męża. Gdy Kenzie otworzyła drzwi, tamta usiłowała wepchnąć się do mieszkania.

– Ty pierdolona kurwo, gdzie mój pierdolony mąż, ty pierdolona zdiro! Gdzie jest Paul? – wrzeszczała bełkotliwie na jednym oddechu. Miała rozmazany makijaż, oczy nabiegłe krwią, a idealnie wymanikiurowane paznokcie sięgały niczym szpony do twarzy Kenzie.

Próbowała zamknąć drzwi, jednak kobieta wcisnęła się między drzwi a futrynę.

– Nie znam żadnego Paula. Ja tylko tu mieszkam! – krzyknęła Kenzie w rozpacz, próbując udawać osobę, która nie sypia z mężem tamtej.

Żona Paula była kilkanaście centymetrów niższa od niej, ale wściekłość i alkohol dodawały jej energii. Przyciskała twarz do drzwi jak Jack Nickolson w Lśnienu. Kenzie nie miała żadnych wątpliwości, że próbowałyby ją zabić, a przynajmniej skopać w pijackim szale.

– Izzy, pomóż mi! – zawołała przez ramię.

– Powiedz swojej współlokatorce, żeby zostawiła mojego męża w spokoju! – wrzasnęła kobieta do Kenzie. Twarz miała w głębokim odcieniu fioletu, splecione pasma wilgotnych włosów przykleiły się do jej policzków. Całym ciałem znów natarła na drzwi. – Ona jest pizdą i ty jesteś pizdą, nienawidzę takich dziewczyn jak wy, pierdolone kurwy!

– Izzy! – wrzasnęła jeszcze raz Kenzie. Z trudem trzymała drzwi i chciała, żeby współlokatorka pomogła je zatrzasnąć. – Izzy, chodź tu szybko! – A do żony Paula warknęła: – Proszę nie pchać, nie wpuszczę pani!

Drzwi do pokoju Izzy się otworzyły i Izzy weszła do salonu uczesana w koczek, w okularach, w workowatej bluzie i spodniach od dresu. Bez makijażu i wysokich obcasów wyglądała jak nastolatka, zwłaszcza z wytrzeszczonymi ze strachu oczami. Żona Paula, wciąż pchająca drzwi, zobaczyła ją zerkającą w popłochu zza Kenzie, i jej twarz nagle się zapadła. Sądziła, że to Izzy spotyka się z Paulem. Bez względu na to, jak dużo wiedziała, najwyraźniej nie widziała zdjęcia Kenzie ani nie znała jej imienia.

– Do diabła, ile ty masz lat, dziewiętnaście? – Głos uwiązał jej w gardle i zaczęła szlochać. – Jesteś dzieckiem! O Boże, nie mogę uwierzyć, że on to zrobił, nie mogę uwierzyć...

– Powiedz jej, żeby się stąd wynosiła! – krzyknęła Izzy do Kenzie i było to najgorsze, co mogła powiedzieć, bo szloch żony na powrót przeszedł w furie. – Wezwiemy policję, ty walnięta suko!

– Ja jestem walniętą suką?! – ryknęła tamta. – Wy wezwiecie policję? Wezwijcie ich, a powiem im, co zrobiłaś! Powinni cię aresztować, ty lachociągu! – Na jej twarz wystąpiły plamy i była tak wściekła, że aż pluła. Przesiąknięta alkoholem ślina pryskała Kenzie na twarz. Znowu natarła na drzwi i tym razem prawie wtargnęła do środka.

– Myślisz, że nie chcę ciągnąć mojemu mężowi druta?! – wrzasnęła przez szparę w drzwiach. – Robiłabym to, ale jego nigdy nie ma w domu! Nienawidzę cię! Gnij w piekle, suko! Jeśli zobaczę cię na ulicy, obleję ci twarz kwasem, ty dziwko!

Przerażona Izzy uciekła do swojego pokoju. Kenzie usłyszała, jak zatrzaskuje za sobą drzwi i przekręca zasuwkę.

Po raz ostatni z całej siły pchnęła drzwi i kobieta wystrzeliła na korytarz. Ktoś z sąsiadów wezwał dozorcę i Gary właśnie wysiadał z windy w pizamie i szlafroku, z kijem bejsbolowym w jednym ręku i telefonem komórkowym w drugim. Kiedy zobaczył, że chodzi o kobietę, do tego drobną, opuścił kij.

– Jeśli nie przestanie pani krzyczeć, wezwę policję, psze pani – zwrócił się do niej. Resztki włosów sterczały mu na łysej głowie na wszystkie strony. – Proszę odejść. Nie chcę przysparzać pani dodatkowych kłopotów.

Kobieta popatrzyła na niego, a potem na Kenzie.

– To mój mąż. – Wargi jej drżały. – Jesteśmy razem od osiemnastu lat. Mamy dzieci.

– Przykro mi – powiedziała Kenzie. Nic innego nie przyszło jej do głowy.

– McKenzie, wejdź do środka i zamknij drzwi – poleciał Gary.

Zatrzasnęła drzwi i zamknęła je na zasuwkę, po czym przyłożyła ucho do malowanego drewna. Słyszała, jak żona Paula zanosí się płaczem na korytarzu, gdy Gary prowadził ją do windy. Kenzie dygotała. Nigdy wcześniej nie była świadkiem takiej furii. Szaleńczej, nieopanowanej, zabójczej.

Po tym incydencie Kenzie i Izzy przestały się do siebie odzywać. Ich przyjaźń tamtej nocy się zakończyła. Kenzie nigdy nie wybaczyła Izzy, że jej nie pomogła, a Izzy nigdy nie wybaczyła Kenzie, że ją o to prosiła. Przez kolejnych parę tygodni zdołały jakoś się unikać, aż pewnego dnia Kenzie wróciła do domu i stwierdziła, że rzeczy Izzy zniknęły. Wyprowadziła się

bez pożegnania, bez żadnego liściku, zostawiła tylko na blacie w kuchni czek za swoją połowę pozostałego im jeszcze do zapłacenia czynszu. Później Kenzie odkryła, że Izzy usunęła ją ze znajomych na Facebooku i przestała obserwować na Instagramie.

W epoce mediów społecznościowych to mówiło samo za siebie.

Gdy niedługo później jej romans z Paulem ostatecznie się zakończył – oczywiście nieprzyjemnie, bo jak inaczej mogłby się zakończyć – Kenzie rozpaczliwie pragnęła zmiany scenerii. Powrót do domu nie wchodził w rachubę. Złożyła podanie na studia magisterskie w Seattle i została przyjęta, a J.R. udostępnił jej na kilka dni wolny pokój, gdy szukała mieszkania.

Telefon wibruje w jej kieszeni, przywołując do terażniejszości. Esemes. Od Dereka. Wreszcie. Kenzie czyta go szybko, a potem jeszcze raz, czując w żołądku tępy ból. Z Paulem to nie bolało, ani z Erikiem czy Seanem, ale z Derekiem boli. Tak jak bolało z J.R.

I ma za swoje. Bo to nigdy nie powinno się zdarzyć.

Tym razem to naprawdę koniec, napisał jej Derek. Przykro mi. Proszę, nie próbuj już się ze mną kontaktować.

Gdzieś za nią trzaska gałązka. Ktoś ją śledzi.

Kenzie odwraca się gwałtownie, przekonana, że stanie twarzą w twarz ze zwałistym, ubranym na czarno nieznanym o obłąkańczym spojrzeniu i wielkich dłoniach. Jednak nikogo tam nie ma. Najbliżej znajduje się jakaś kobieta czekająca na autobus po drugiej stronie ulicy, spory kawał za nią. Kenzie czuje jednak obecność kogoś, kto czai się za jej plecami, tylko że jej oczy nie są dość szybkie, by go wypatrzeć. Ciało reaguje na zagrożenie szybciej niż umysł, Kenzie ma poczucie, że ktoś chucha jej w kark i odgarnia włosy, żeby wyszeptać coś do ucha. Tyle że to nie jest ktoś, kogo zna, i nic, co chciałaby usłyszeć.

Ma do przejścia jeszcze pięć przecznic. Wyjmuje z torebki telefon, chcąc usłyszeć czyjś krzepiący głos. J.R. odbiera po drugim sygnale.

– Hej, wszystko w porządku? – Jest zaniepokojony. Kenzie rzadko dzwoni. Zazwyczaj wysyła esemesy.

– Wracam do domu po pracy. – Kenzie zatrzymuje się na skrzyżowaniu, bo światło akurat zmieniło się na czerwone. – Chyba ktoś mnie śledzi.

– Widziałaś kogoś?

– Nie, ale czuję to.

Po drugiej stronie słyszy ciche westchnienie.

– M.K., posłuchaj mnie. Nic ci się nie stanie. Idź szybko i trzymaj się oświetlonych miejsc. Zostanę z tobą przy telefonie, dopóki nie dotrzesz do domu.

– Chcesz dziś do mnie wpaść? – Światło zmienia się na zielone i Kenzie wchodzi na jezdnię. – Moglibyśmy zamówić coś na wynos, może obejrzeć jakiś film...

– A gdzie twój współlokator?

– Unika mnie. Poza tym pracuje.

Milczenie po drugiej stronie trwa o sekundę za długo, co oznacza, że odpowiedź brzmi „nie”.

– Dzisiaj nie mogę – mówi J.R. – Chodzi o to, że... Spotykam się z kimś.

Kenzie jest tak zaskoczona, że omal nie zatrzymuje się pośrodku ulicy.

– Spotykasz się z kimś? – powtarza. – Co chcesz przez to powiedzieć?

Strasznie dziwnie jest usłyszeć coś takiego z jego ust. J.R. prawie zawsze „spotyka się z kimś” w dosłownym sensie – jego matka uważała go za kobieciarza i bynajmniej tego nie pochwałała – jednak odczytanie słów „spotykać się z kimś” w znaczeniu bycia w związku to zupełnie co innego.

– No tak, powinienem ci powiedzieć, kiedy się ostatnio widzieliśmy, ale wiem, że ty nie zawsze lubisz słuchać o innych osobach. – Kenzie wyczuwa pewne zakłopotanie w głosie J.R., do którego także nie przywykła. – Mam nadzieję, że to się może przerodzić w coś... no wiesz.

On „ma nadzieję”?

– Naprawdę? – Kenzie stara się, żeby jej głos brzmiał normalnie. – Mmm, od kiedy? Kim ona jest? Jak ma na imię? Jak się poznaliście?

– Naprawdę chcesz wiedzieć...

– Czy ty sobie, kurwa, żarty stroisz? – Jej głos podnosi się o oktawę, kiedy to, co właśnie powiedział, w pełni do niej dociera. – Od kiedy ty się z kimś spotykasz? Ty nie uznajesz stałych związków, J.R., pamiętasz?

– M.K....

– Wiesz co, dajmy sobie spokój. Już prawie dotarłam do domu. Rozłączam się.

– Zaczekaj – prosi J.R. i Kenzie czeka. – Przyznaję, że to nie najlepszy moment, ale wysłuchaj mnie. Denerwujesz się, bo Derek trzyma cię na dystans, a przez to jesteś przewrażliwiona na punkcie wszystkiego innego. Kiedy zadzwoni, życie wróci do normy. Zaufaj mi. A wtedy będziemy mogli spokojnie porozmawiać o... moich sprawach.

Zawsze uwielbiał jej tłumaczyć, co ona czuje i dlaczego.

– Derek nie zadzwoni. Kiedy wychodziłam z pracy, przysłał mi esemesa. To koniec.

– Już wcześniej tak mówił.

– Jestem pewna, że tym razem to naprawdę koniec. Ten esemes był... zwięzły.

Kenzie mruga, żeby powstrzymać łzy frustracji i rozczarowania. Derek z nią zerwał, a teraz jeszcze J.R. ją porzuca, bo sprawił sobie prawdziwą dziewczynę. W takich chwilach Kenzie przypomina sobie, jak niewiele jest w jej życiu osób, na które naprawdę może liczyć. Pięćdziesiąt tysięcy obserwatorów w mediach społecznościowych i ani jednego przyjaciela, który wpadłby do niej, kiedy ma ciężką noc.

– Zadzwońię do ciebie jutro – mówi J.R. – Coś wymyślimy, znajdziemy jakieś wyjście.

Kenzie się rozłącza, lecz wciąż trzyma w ręku telefon. Co niby wymyślimy? J.R. najwyraźniej sądzi, że Kenzie zdoła wyciągnąć z Dereka tyle, ile wyciągnęła z Paula, ale może w tej relacji to nigdy nie było możliwe. Tym razem totalnie schrzaniła sprawę.

Budynek, w którym mieszka, z zewnątrz nie prezentuje się szczególnie, jednak hol i korytarze zawsze są oświetlone. Wrażenie, że ktoś ją obserwuje, wciąż jej towarzyszy, kiedy podchodzi do drzwi wejściowych i przekręca klucz w zamku. Dopiero gdy ciężkie drzwi zamykają się za nią, pozwala sobie odetchnąć z ulgą. Może i nikogo nie zauważyła, ale to jeszcze nie oznacza, że nikogo tam nie było. Owca

Windy działają, ale są wolne, a mieszkanie Kenzie znajduje się na pierwszym piętrze. Pędzi na schody i jest już na ostatnim stopniu, kiedy otwierają się drzwi prowadzące na klatkę schodową. To Tyler. Wygląda na to, że wybiera się do pracy. Ma na sobie swoje najlepsze dzinsy i biały T-shirt podkreślający jego oliwkową karnację. Jest barmanem i pracuje w nocy, a Kenzie baristką pracującą w dzień. A gdy nie pracują, chodzą na zajęcia. Mimo to kiedyś potrafili znaleźć dla siebie czas. Tyler nie może znieść tego, że Derek jest żonaty.

Żonaci mężczyźni mają chyba skłonność do niszczenia jej przyjaźni.

– Hej. – Tyler mija ją, uważając, żeby ich ramiona się o siebie nie otarły. Unika jej spojrzenia.

– Hej wzajemnie. – Kenzie zatrzymuje się u szczytu schodów i patrzy za Tylerem. To śmieszne. Mieszkają razem od dwóch lat, do jasnej cholery. Kenzie używa jego pasty do zębów. On podżera jej batony zbożowe. Oboje korzystają z loginu i hasła do Netflix'a jego byłego chłopaka. Powinni umieć się pogodzić. Kenzie chce mu powiedzieć o Dereku, ale nie tutaj, na klatce schodowej. – Jestem ci winna śniadanie. Masz jutro czas?

Tyler zatrzymuje się i odwraca.

– Śniadanie? Serio?

– A może lunch?

Tyler kręci głową i nadal schodzi po schodach.

– Buford zwymiotował na twoje łóżko. Zapaskudził całą pościel, więc będziesz musiała wszystko wyprać. Chyba nazwał się kwiatów.

Kenzie jęczy. Ten kot wymiotuje tylko, gdy zeżre coś, czego nie powinien jeść.

– Zaraz, jakich kwiatów?

– Ktoś przysłał ci kwiaty dzisiaj rano. Wstawiłem je do twojego pokoju. – Zatrzymuje się i zadziera głowę. – I zapomnij o śniadaniu czy lunchu, jutro jemy razem kolację, zdziro. Zabierasz mnie w jakieś miłe miejsce.

Zanim Tyler znika jej z oczu, Kenzie dostrzega na jego twarzy ślad uśmiechu i od razu ten okropny dzień odrobinę się rozjaśnia. Ty chce iść w miłe miejsce? Proszę bardzo. Kenzie zaprosi go do Metropolitan Grill, gdzie wyda co nieco z forsy od Dereka. Zamówią steki i koktajle, na deser wezmą na spólkę Bananas Foster, flambirowany przy stoliku deser bananowo-lodowy, i Kenzie pozwoli, żeby Tyler wygarnął jej, jaką była zdziwą przez ostatnie pół roku. A przy okazji, cholera, skoro już tam będzie, może zostawi swoje CV. Tamtejsze kelnerki muszą zgarniać krocie z napiwków.

Buford miauczy przeraźliwie, gdy tylko Kenzie otwiera drzwi, więc nakłada mu do miski puszkę Iams, po czym idzie do swojego pokoju. Zielonkawe kocie rzygi wysychają na pościeli w kilku miejscach. Od razu dostrzega przyczynę: bukiet wiosennych kwiatów na toalecie. Są ładne, choć niespecjalnie romantyczne. Może Derek nie jest typem faceta, który wysyła dziewczynie tuzin czerwonych róż? Serce jej wali, kiedy sięga po małą białą kopertkę zatknietą w bukiet. Proszę, proszę, proszę, niech będą od niego. Litery na karteczce, którą wyjmuje z kopertki, są eleganckie – najwyraźniej ktoś pracujący w kwiaciarni ma ładny charakter pisma – lecz liścik ją przygnębia. I nie jest od Dereka.

Serdeczne życzenia urodzinowe dla mojej słodkiej dziewczynki. Tęsknię za Tobą. Całuję, mama.

Poczucie winy ściska Kenzie za gardło. Urodziny będzie miała dopiero za cztery miesiące, co może oznaczać tylko jedno: stan mamy się pogarsza. Sharon Li przebywa w domu opieki Oak Meadows w Yakimie od dwóch lat, a początkowa faza alzheimera wydaje się postępować coraz szybciej. To już drugi urodzinowy bukiet, który dostała od mamy w ciągu ostatnich trzech miesięcy.

Kot wskakuje na toaletkę, omal nie przewracając wazonu. Kenzie przytrzymuje kwiaty w ostatniej chwili.

– Buford! – wrzeszczy. W odpowiedzi kot wywija arogancko ogonem. Kenzie widzi poobgryzane liście i ślady zębów na kilku łodyżkach.

– To dlatego zarzygałeś mi łóżko, ty gnojku. I znowu będę musiała nastawić pranie, a poprzednie robiłam zaledwie przedwczoraj.

Nie powinna wydzierać się na kota. W tej chwili jest jedynym przyjacielem, jaki jej pozostał. Zbiera zapaskudzoną pościel i wrzuca do płóciennego worka na pranie. Pościel wypełnia worek tylko w połowie, więc Kenzie dorzuca kilka rzeczy z kosza na brudy i wychodzi na schody.

Pralnia znajduje się w „trzewiach” budynku, jak Tyler określa piwnicę, nie z powodu smrodu, ale dlatego, że jest ciemna i wilgotna i człowiek cieszy się, kiedy może stamtąd wyjść. A także z powodu upiornej atmosfery. Piwnica jest gorzej oświetlona niż pozostałe części budynku, a od schodów do pralni prowadzi długi korytarz pełen cieni i dziwnych szcękających odgłosów, od których Kenzie cierpnie skóra. Znowu ma poczucie, że ktoś za nią idzie, ale kiedy się odwraca, nie widzi nikogo.

Przynajmniej pralnia jest jasno oświetlona. Kenzie wpada do środka i kiedy zatrzasną ją za nią drzwi, oddycha z ulgą. Na samym końcu jest wolna pralka i Kenzie ładuje do niej pranie, wysypując je z worka, po czym wsuwa swoją kartę do pralni Coinamatic do otworu płatniczego. Lampka obok czytnika mruga na czerwono, a powinna zmienić kolor na zielony.

– Cholera – przeklina Kenzie.

Na ekranie wyświetla się, że na karcie zostały jej dwa dolary. Zwykle pranie kosztuje trzy dwadzieścia pięć, co oznacza, że Kenzie będzie musiała lecieć na górę po kartę kredytową i doładować kartę do pralni w automacie stojącym w rogu. Obie jej karty, i Visa, i MasterCard, mają jednak wykorzystany cały limit, Kenzie nie spłaciła ich jeszcze pieniędzmi od Dereka. No i oczywiście żadna pralka nie przyjmuje banknotów. Czasami technologia utrudnia życie. W dzisiejszych czasach bez karty kredytowej nie można zrobić najprostszyc rzeczy.

– Cholera – mamrocze Kenzie, zastanawiając się, co powinna w tej sytuacji zrobić.

– Zabrakło ci funduszy? – odzywa się chrapliwy głos, a Kenzie omal nie wrzasnęła.

Odwraca się i tuż za sobą widzi Teda Novaka, dozorcę, który mieszka na parterze. Nie zauważyła, jak wchodził, nie słyszała też jego kroków, kiedy szedł przez pralnię w jej stronę. Nie widać, żeby robił tu coś konkretnego, nie trzyma nic w rękach – ani telefonu, ani kosza na pranie, ani środka do zmiękczenia tkanin, ani żadnych kluczy. Po prostu stoi i gapi się na nią jak jakiś pieprzony psychol.

Kenzie nie lubi Teda. Nigdy go nie lubiła. Od dnia, w którym się tu wprowadziła, przyprawiał ją o gęsią skórę, choć nie potrafiłaby

powiedzieć dlaczego. Nie mówi ani nie robi niczego niestosownego. Nie rzuca dwuznacznych komentarzy ani obraźliwych żarcików. Nie łąpie pożądliwie. Ale gdy się z nim rozmawia, czegoś jakby brakuje. Błysku w oku, który powinien się pojawić, lecz się nie pojawia. Kiedy się uśmiecha, co zdarza się rzadko, nie wydaje się szczery. A gdy się śmieje – co zdarza się jeszcze rzadziej – jego śmiech brzmi, jakby był nagrany, wydaje się wręcz wymuszony, jakby śmiał się, tylko dlatego że nakazuje mu to protokół towarzyski, a tak naprawdę nie do końca rozumie, z czego właściwie się śmieje.

– Muszę doładować kartę. – Kenzie zaczyna cofać się w stronę drzwi. Omal nie mówi: „Zaraz wracam”, jednak w porę się powstrzymuje. Jeszcze by na nią zaczekał.

On przysuwa się do niej i wyjmuje coś z tylnej kieszeni spodni. To jego karta Coinamatic.

– Proszę, użyj mojej. Oszczędzi ci latania tam i z powrotem po schodach. Możesz doładować swoją, kiedy zejdziesz wysuszyć pranie.

– O nie, nie mogłabym... – protestuje Kenzie, ale on już wyjął jej kartę i wsunął do otworu swoją. Lampka zmienia kolor na zielony, a na ekranie wyświetla się stan konta bliski stu dolarom, czyli maksymalnej kwocie.

– Proszę. – Ted odsuwa się na bok. – Wybierz program.

Wygląda na to, że Kenzie nie ma innego wyboru, jak przyjąć tę propozycję. Gdyby to był ktokolwiek inny, byłaby wdzięczna za sąsiedzką pomoc. Ale to nie ktoś inny, tylko Ted, a ona jest boleśnie świadoma, że na samym wierzchu stosu ubrań w pralce leżą jej różowe koronkowe majtki. Wciska guzik, wybierając zwykłe pranie, i zatrzaskuje wieko. Pralka zaczyna szumieć.

– Dziękuję. – Zmusza się do uśmiechu. – Jestem ci winna trzy dwadzieścia pięć.

Próbuje przejść obok niego, ale Ted stoi w tym samym miejscu i ani drgnie.

– Nie ma sprawy – mówi. A potem się uśmiecha, o sekundę za późno, i jego uśmiech wygląda na równie wymuszony, jak uśmiech Kenzie. – Może postawisz mi kiedyś kawę, jeśli wpadnę do Green Bean? W które dni zwykle pracujesz?

Mowy nie ma, żeby zdradziła mu swój harmonogram. Okropne, że on w ogóle wie, gdzie ona pracuje, Kenzie nie ma zresztą pojęcia skąd.

– My, eeee, mamy w pracy kłopoty, jeśli dajemy coś ludziom za darmo. – To tylko w połowie kłamstwo. Mają kłopoty, jeśli zostaną przyłapani, ale to się nie zdarza, bo robią to wszyscy. Cholera, parzenie kawy za darmo dla przyjaciół to największa frajda w tej pracy. Przysługa za przysługę. Ale Ted nie jest jej przyjacielem. – Może po prostu wsunę ci pieniądze pod drzwi?

– Naprawdę nie trzeba, Kenzie – mówi Ted, a jego martwe spojrzenie niczego nie wyraża. Kenzie nie potrafi stwierdzić, czy chce być miły, czy może obraził się, bo nie chciała mu powiedzieć, kiedy pracuje. Nie podoba jej się, że mówi do niej „Kenzie”. To sugeruje, jakoby byli w większej zażyłości, niż są. Jeśli już, powinien zwracać się do niej McKenzie. – Jesteśmy sąsiadami. Powinniśmy sobie pomagać. Poza tym jestem starszy od ciebie. Gdybyśmy, powiedzmy, się spotykali, to ja bym za wszystko płacił, prawda? To właśnie lubisz, tak? Starszych mężczyzn, którzy za wszystko płacą.

Kenzie patrzy na niego, a on na nią. Trudno stwierdzić, czy mówi poważnie. Nie mruga, a jego głos jest pozbawiony jakiegokolwiek modulacji. Kenzie nie wie, czy powinna zbyć śmiechem to, co powiedział, oburzyć się, czy może zignorować jego słowa.

– Raz jeszcze dzięki, Ted. – Nie mając innego wyboru, robi wielki krok, żeby go wyminąć, po czym wybiega z pralni, błogosławiąc swoje długie nogi, dzięki którym może sadzić po dwa stopnie na raz.

Zdyszana wpada do mieszkania, bojąc się, że łapska Teda chwycą ją od tyłu, zanim zdąży zamknąć drzwi na klucz. Za czterdzieści minut będzie musiała znowu zejść na dół, wyjąć z pralki mokrą pościel i ubrania i przełożyć je do suszarki. Przy odrobinie szczęścia nie natknie się już na Teda.

Zmęczona i przygnębiona szpera w lodówce, przesuwa na bok pojemniki z resztkami tajskiego zarcia i pizzy (oba należące do Ty’a), aż znajduje w głębi sześciopak cydru Smith & Forge. Sadowi się na kanapie i pociąga długi łyk, a Buford wskakuje jej na kolana i układa się wygodnie. Kenzie otwiera aplikację Postmates i zamawia jedzenie, korzystając ze środków dostępnych na jej koncie dzięki poprzedniemu pomyłonemu zamówieniu.

Dopiero za dwunastym podejściem udaje jej się zrobić sobie na kanapie fajne selfie z Bufordem i cydrem, które podpisuje: Nie ma jak w domu. Gówno prawda. Wolałaby być gdziekolwiek indziej niż w pustym mieszkaniu tylko z kotem, czując się tak, jak się czuje, ale udaje jej się zamieścić zdjęcie, tuż przed porą przełożenia prania do suszarki. Widząc

lajki i czytając komentarze, już nie boi się tak bardzo zejść do piwnicy. Komplementy od obcych ludzi to dość powierzchowne wsparcie, ale lepsze to niż nic. Jej zdjęcia z Bufordem zawsze cieszą się popularnością.

Właściwie to wszystko nie ma najmniejszego znaczenia. Nawet dostawca z Postmates, który przynosi jej maki kalifornijskie i smażony ryż, wydaje się pełen współczucia, kiedy otwiera mu w dresie, z kotem na rękach.

– Imprezka dla jednej osoby, co? – zagaduje ze smętnym uśmiechem.

Może przyszła pora, żeby ponownie rozważyć życiowe wybory? Jeśli tego nie zrobi, równie dobrze może dokonać żywota, pijąc samotnie w swoim gównianym mieszkaniu, za jedyne świadka swych ostatnich chwil mając kota. A gdyby umarła, Buford pewnie zezarłby jej twarz, bo nie byłoby nikogo, kto by go nakarmił.

Po wypiciu ostatniego cydru jest pijana i zagląda na konto Marin Machado na Instagramie, chociaż obiecywała sobie, że nigdy tego nie zrobi. Kiedy widzi najnowsze zdjęcie, zamiera jej serce

Marin jest w Whistler, w Kolumbii Brytyjskiej. Z Derekiem.

Z Seattle do Whistler jedzie się pięć godzin, a dzisiaj wczesnym popołudniem Marin i Derek stali na szczycie jakiejś góry. Zdjęcie, zamieszczone przed kilkoma godzinami, ukazuje ich ubranych od stóp do głów w stroje narciarskie i obejmujących się czule. Podpis głosi: Potrzebowaliśmy tego.

Pod zdjęciem jest pięćdziesiąt polubień i cztery komentarze.

furmom99: Brawo! Brawo!

hawksfan1974: Puch jak marzenie! Dajcie czadu!

sadierouxxx: Cudooownie, kochani! Tak się cieszę! <3 <3 <3

steph_rodgers89: Wreszcie namówiłaś Dereka na wakacje... Jesteś superbohaterką, MM! lol

O Boże. O mój Boże...

Kenzie przegląda wcześniejsze posty Marin. Są w Whistler od trzech dni, co wyjaśnia, dlaczego Derek był niedostępny. Jest w Kanadzie. Na wakacjach. Z żoną. Sądząc po hashtagach, zatrzymali się w Four Seasons. Chodzą na masaże. Jedzą steki i homara. Ubrani w szlafroki piją szampana przy kominku. I to nie jakieś tam wino musujące, ale prawdziwego pieprzonego szampana. Z Szampanii.

Bo to ich dwudziesta rocznica ślubu.

Dlatego właśnie Derek zerwał z Kenzie. Naprawia relacje z żoną. Co oznacza, że w jego życiu nie ma już miejsca dla Kenzie.

Wpatruje się w telefon, a szczególnie w jeden z komentarzy. Został umieszczony pod pierwszym zdjęciem z Whistler, trzy dni temu.

furmom99: Kiedy wracacie? Musimy skoczyć na kawę!

marinmachadohair: @furmom99 W niedzielę! Tak, koniecznie! Odezwę się po weekendzie! Buziaczki!

W niedzielę. Całe cztery dni w Four Seasons wśród ośnieżonych gór, przy trzaskającym w kominku ogniu i z szampanem. Kenzie wciąż wpatruje się w zdjęcie i trzy rzeczy stają się jasne jak słońce.

Z Derekiem to naprawdę koniec.

Ich dom do jutra stoi pusty.

Kenzie zna kod do drzwi wejściowych.

19

Każdy pijacki wieczór ma punkt zwrotny, w którym człowiek jest na tyle odurzony, że wpada na zły pomysł, który wydaje się dobry. Kenzie właśnie osiągnęła ten punkt.

Nie jedzie do domu Dereka Uberem, bo kierowcy Ubera nie przyjmują gotówki, a w tej chwili Kenzie tylko nią dysponuje. Łapie więc taksówkę na University Avenue. Nie ma korków i docierają na ulicę Dereka w ciągu piętnastu minut. Kenzie podała adres innego domu w pobliżu i kierowca zwalnia, odwracając głowę to w stronę GPS-u, to w stronę domów, których numery usiłuje odczytać przez zalaną deszczem szybę.

– Przepraszam, który to dom? – pyta.

– Mmm, tutaj będzie dobrze. – Od domu Dereka dzieli ich jeszcze kilka posesji, ale Kenzie nie chce, żeby kierowca wiedział, dokąd dokładnie idzie. Od alkoholu kręci jej się w głowie.

Taksówka staje przy krawężniku.

– Mogę zaczekać, aż pani wejdzie do środka. – Kierowca uśmiecha się do niej we wstecznym lusterku, podczas gdy ona szamocze się z pasem. Jest w wieku emerytalnym, dobrotliwy i miły. Normalnie Kenzie skorzystałaby z jego propozycji. Nie tym razem.

– Nie, dziękuję. – Ostatnie, czego jej trzeba, to świadek, który będzie patrzył, jak włamuje się do domu żonatego kochanka. – Zawsze używam tylnego wejścia, więc nie zobaczy mnie pan z ulicy. Ale naprawdę dziękuję.

Wręcza mu pieniądze, prosi, żeby zatrzymał resztę i otwiera drzwi.

– Proszę nie zapomnieć paragonu. – Podaje jej małą karteczkę.

– A, no tak. – Dawno nie jechała taksówką. Chowa karteczkę do kieszeni.

Wysiada, zanim uprzejmy kierowca doda coś jeszcze, i udaje, że wysyła esemesa, czekając, aż tylne światła taksówki znikną za zakrętem. Dom Dereka stoi po drugiej stronie ulicy. To przebudowany rozłożysty budynek w stylu craftsman z wielkim gankiem. Derek określił go kiedyś jako „niezbyt duży”, ale Kenzie wydaje się ogromny. Nigdy nie mieszkała w domu większym niż osiemdziesiąt pięć metrów kwadratowych, bo taką właśnie powierzchnię miał bungalow, w którym dorastała.

Słyszy za sobą chrzęst i odwraca się gwałtownie z sercem w gardle. Jest przekonana, że zobaczy oczy napastnika lśniące w ciemności, ale to tylko wiewiórka, której ogon drga nerwowo, zerka na nią zza pnia drzewa. Ulica jest pusta, Kenzie nie może jednak pozbyć się uczucia, że nie jest sama.

To oczywiście niedorzeczne. Jest pijana, co wpędza ją w paranoję, a to dwa najważniejsze powody, dla których nie powinna wprowadzać swojego pomysłu w życie.

Nie powinna też znać kodu do frontowych drzwi domu Dereka. Poznała go przypadkiem. Kilka miesięcy wcześniej jechali z Derekiem na lotnisko, bo mieli lecieć do Nowego Jorku. Wjeżdżali już na autostradę, kiedy Derek uświadomił sobie nagle, że nie wziął portfela. Zostawił go w torbie z rzeczami na siłownię, która, o ile wiedział, była w domu. Kazał wynajętemu kierowcy zawrócić.

Kiedy zbliżali się do jego ulicy, Derek nachylił się do niej i odgarnął jej włosy za ucho. Kenzie myślała, że chce ją pocałować, ale on szepnął:

– Kotku, mogłabyś się skulić?

– Co? – odszepnęła.

– No wiesz, schowaj się. – Zmusił się do uśmiechu, jakby Kenzie była dzieckiem, a to była zabawa, taka gra. Widziała, że kierowca zerka na nich we wstecznym lusterku. Pewnie uważał ich za osobliwą parę. Najpierw podjechał po Dereka tutaj, do jego domu w szycownej dzielnicy Capitol Hill, a potem po Kenzie, która czekała pod swoim odrapanym blokiem w dzielnicy uniwersyteckiej. Może powinna być wdzięczna, że Derek w ogóle zechciał ją zabrać? Mógł się z nią umówić na lotnisku.

Nie bardzo mogła protestować, nie robiąc z tego sprawy większej, niż rzeczywiście była. Skuliła się na skórzanym siedzeniu. Kierowca zaparkował na podjeździe. Ledwie Derek wysiadł, Kenzie wyprostowała się buntowniczo, czując na sobie oceniający wzrok kierowcy odbity w lusterku. Patrzyła przez przyciemnianą szybę wozu, jak Derek wprowadza kod przy frontowych drzwiach. Doskonale widziała panel cyfrowy i śledziła jego palce wstukujące 1-1-2-0. Dwudziesty listopada. Urodziny jego synka.

Im dłużej Kenzie stoi na deszczu, tym bardziej trzeźwieje i nie ma pewności, czy to dobrze, czy źle. Dom Dereka jest piętrowy, o dużych oknach, po obu stronach rosną wielkie dęby i klony. Głęboki frontowy ganek ciągnie się przez całą jego szerokość. Bujne zadbane krzewy dodają koloru brunatnym naturalnym barwom elewacji, dachu i balustrad. To nie

jest ostentacyjna, krzykliwa, nowoczesna McRezydencja z tych, co to wyrastają w innych nowobogackich dzielnicach. To jest dom rodzinny na Capitol Hill.

Podobno Derek i Marin kupili go za bezcen podczas krachu na rynku nieruchomości. Ponad dekadę później Derek nadal puchł z dumy, opowiadając Kenzie, jak wykupił poprzednich właścicieli, którym groziła egzekucja mienia w wyniku szemranej umowy kredytowej, jaką zawarli przy kupnie domu.

– Nie miałeś z tego powodu wyrzutów sumienia? – spytała go Kenzie. – To był dla wszystkich bardzo trudny okres.

Derek prychnął.

– Słodka jesteś. W każdych negocjacjach ktoś wygrywa, a ktoś przegrywa. Od początku nie było ich stać na ten dom. To oni stanowili część problemu.

To oczywiście szaleństwo. Jeśli Kenzie zamierza wejść do środka, powinna się sprężyć i lepiej, żeby wzięła się w garść. Żadnych wątpliwości, żadnego panikowania. Przechodzi przez ulicę i idzie prosto do frontowych drzwi. Dom jest dobrze oświetlony od zewnątrz. Gdyby zaczepił ją ktoś z sąsiadów, jest gotowa powiedzieć, że pracuje w jednym z salonów Marin i chciała jej tylko coś podrzucić.

Wygląda jednak na to, że nikt jej nie widzi. Alkohol utrudnia koncentrację, mimo to udaje jej się wprowadzić cztery cyfry kodu: 1-1-2-0. Słychać kliknięcie. Kenzie przekreśla gałkę klamki, popycha drzwi i ot tak, jest w środku. Zamyka za sobą drzwi i zamek znów zaskakuje.

Wydech. Głęboki wdech. Wydech.

W domu panuje cisza, nie licząc cichego, ledwie słyszalnego pikania, które, jak stwierdza Kenzie, dochodzi gdzieś z głębi. Ma mokre buty, a podłoga jest nieskazitelnie czyta, więc je zdejmuje. Pozostawienie ich na wycieracze z jakiegoś powodu wydaje jej się niewłaściwe, więc wpycha je do szafy w holu. W samych skarpetkach drepcze ostrożnie w półmroku i wchodzi do kuchni, gdzie pikanie jest głośniejsze.

O cholera! Mają alarm.

Kolejny panel cyfrowy jest zamontowany na ścianie w kuchni, przy drzwiach do przedsionka, które pewnie zwykle wchodzi do domu, jako że oboje parkują w garażu. Kenzie szacuje, że alarm pika już od ponad dwudziestu sekund. Nie ma pojęcia, jak dużo czasu zostało, zanim się włączy. Musi jednak spróbować coś zrobić, i to szybko, zanim firma

ochroniarska zawiadomi policję, a w Kanadzie rozdzwonią się komórki Dereka i Marin.

Wprowadza ten sam kod, co do frontowych drzwi. 1-1-2-0. Panel miga na czerwono. Cholera, cholera, cholera. Myśl. Boże, to był beznadziejny pomysł, przyjeżdżać tu po pijaku. W panice Kenzie wstukuje jedyny inny ciąg liczb, który, jak sądzi, może być właściwy: dzisiejszą datę, rocznicę ślubu Dereka i Marin. Panel podświetla się na zielono. Pikanie ustaje.

Jezu Chryste.

Pod pachami jest mokra od potu, wygląda też na to, że adrenalina spaliła resztki alkoholu w jej organizmie. Serce jej wali, w gardle zaschło. Na blacie przy lodówce stoi pusta szklanka. Kenzie przystawia ją do dystrybutora wody w lodówce i napełnia po brzegi.

Wyjmuje telefon i zagląda na Instagrama, żeby się upewnić, czy Derek i Marin nadal są w Whistler. Są. Ściśle rzecz biorąc, jedzą właśnie późną kolację. Siedzą obok siebie w wyłożonym aksamitem okrągłym boksie, trzymają w dłoniach kieliszki czerwonego wina, przed obojgiem stoją talerze ze stekiem i warzywami. Biały obrus jest posypany jakimś metalicznym konfetti – jakby serduszka i kwiatki. Podpis głosi: 20 lat za nami, 40 przed nami? Dla mnie bosko.

Wyglądają w każdym calu jak olśniewająca para, którą istotnie są, i Kenzie czuje, że łzy napływają jej do oczu.

Przecież wiedziała, że on należy do innej. Po prostu do tej chwili nie sądziła, że aż tak ją to zaboli. Trudno na nich patrzeć, wiedząc, że nigdy nie będzie wiodła takiego życia, jak oni.

Na razie jest tylko jeden komentarz, bo Marin zamieściła to zdjęcie zaledwie przed piętnastoma minutami, ale pochodzi z konta, o którego istnieniu Kenzie nawet nie wiedziała.

tatasebastiana76: Kotuś, tak bardzo Cię kocham. Nasze zdrowie! Wszystkiego najlepszego z okazji naszej rocznicy, kochanie. Za kolejnych takich 40 lat!

„Kotuś”. Derek mówi do Marin „kotuś”. Do Kenzie mówi „kotku”. Nie zdawała sobie sprawy, jaką różnicę robią dwie litery w zupełnie zwyczajnym pieszczotliwym zwrocie.

Kenzie musi przestać się gapić na ich zdjęcia. Musi wyjść z Instagrama. Musi wyjść z ich domu.

Musi się też wysikać.

Do diabła z tym. Równie dobrze może zajrzeć do ich łazienki.

Dom został przerobiony od góry do dołu i początkująca projektantka mebli, jaką jest Kenzie, nie może nie zwrócić uwagi na czyste linie i gustowne wykorzystanie przestrzeni. To, co nie zostało zabudowane, ma takie samo znaczenie jak to, co zostało. Dom jest urządzony tradycyjnie, lecz z nowoczesnym sznytem.

– Dorastałem na osiedlu domów na kółkach – powiedział jej Derek pierwszej nocy, kiedy ze sobą spali. Byli w Cedarbrook Lodge, leżeli nadzy, spleceni nogami. – Nie mieliśmy dosłownie nic. A nawet jeszcze mniej. Mój ojciec zwiął, kiedy miałem dwa lata, a mama miała do wykarmienia trzech chłopców, ja byłem najmłodszy. Nigdy nie miałem nowych ubrań. Nigdy nie miałem nowego roweru. Nigdy nie miałem niczego nowego. Zawsze byliśmy głodni. Nigdy nie starczało nam jedzenia.

– O rety! – westchnęła Kenzie, dotykając jego zegarka. Rolexa. – I spójrz na siebie teraz.

– Dlatego właśnie mam takie wymagania co do mojego stylu życia. – Derek ujął jej dłoń i pocałował po kolei czubeczek każdego palca. – Lubię ładne ubrania. Lubię mieć ładny samochód. Lubię mieć gotówkę w portfelu, nawet jeśli za wszystko płacę kartą kredytową. Lubię nie być biedny i pewnie mam lekką obsesję na tym punkcie. – Umilkł na chwilę. – Ale ta obsesja napędza mnie do działania. To dzięki niej jestem tu, gdzie jestem.

– A jak to się stało, że jesteś tutaj? – spytała Kenzie, gestem obejmując łóżko, pokój, siebie.

Przetoczył się na nią i jego nagie ciało przywarło do jej ciała. Rozchyliła odruchowo nogi. Uprawiali już seks, jednak on znów był gotowy. Patrzył jej prosto w oczy.

– Podoba mi się, że nie znasz mnie od tamtej strony – powiedział. – Podoba mi się, że znasz mnie tylko jako osobę, którą się stałem, a nie tę, którą byłem kiedyś. To miłe, nie mieć z tobą wspólnej przeszłości.

Rozumiała to. Bardzo dobrze. Wie, jak to jest, kiedy człowiek chce stworzyć siebie na nowo, choć to nie zawsze łatwe, zwłaszcza jeśli rodzina i starzy przyjaciele traktują to osobiście.

– Nie mamy za sobą dwudziestu lat błędów – wyszeptała, a ona poczuła, że znowu w nią wchodzi. Rozchyliła nogi jeszcze szerzej, położyła ręce na jego pośladkach, żeby wprowadzić go najgłębiej, jak się da. – Jesteś czystą kartą i nawet nie wiesz, jak bardzo tego potrzebuję.

Nie trzeba psychologa, żeby zrozumieć, że Kenzie jest dla niego ucieczką. Ich relacja zawsze była kolorową bańką oderwaną od rzeczywistości. Kiedy Derek jest z nią, nie musi myśleć o żonie, o zaginionym synu czy o tym domu, ani o niczym, za co czuje się odpowiedzialny.

Problem w tym, że Kenzie nie potrafi zrozumieć, dlaczego ktoś mógłby chcieć od tego uciec. Ty biedny, smętny bogaczu. Ten dom jest obłądny. Strop na wysokości trzech metrów, lśniący parkiet, oświetlenie, które kosztowało pewnie więcej niż wynosi jej czynsz.

Tutaj nawet pachnie pieniędzmi.

Kenzie zastanawia się, czy łazienka jest koło przedsionka, jednak trafia do pralni, i to najbardziej wypasionej, jaką kiedykolwiek widziała na żywo. Są tu ogromna pralka i suszarka oraz wbudowane szafki na wszystko, czego lepiej nie trzymać na wierzchu, jak przeróżne detergenty, chusteczki do suszarki i środki czyszczące. Cóż to musi być za luksus, mieć własną pralnię, której nie trzeba dzielić z setką innych lokatorów, a do tego tak ładną, jak ta.

W przedsionku są trzy przegródki, a nad nimi ręcznie malowane drewniane zawieszki. Ta po lewej stronie nosi napis MARIN. Ta po prawej DEREK. A ta w środku SEBASTIAN.

Sebastian. O rety. Jego kurteczka wciąż tu wisi, pod spodem stoją równiutko ustawione kalosze, a w koszu na samym dole znajduje się mały plecaczek z psami z kreskówki Psi patrol. Kenzie już wyciąga rękę, żeby dotknąć kurteczki, lecz zaraz ją cofa. Nie. Nie powinna tego robić. To nie byłoby w porządku.

Pęcherz zaraz jej pęknie, więc wychodzi z przedsionka i kontynuuje zwiedzanie domu, wyobrażając sobie, co by zmieniła w wystroju, gdyby mieszkała tu z Derekiem. Szczerze mówiąc, niewiele. Marin ma znakomity gust.

Wchodząc na piętro, zatrzymuje się na kręconych schodach, żeby obejrzeć zdjęcia w ramach wiszące na ścianie. Wszystkie przedstawiają synka Dereka i Marin na różnych etapach życia.

Ostatnie, wiszące najbliżej górnego stopnia, musi być najbardziej aktualne. Sebastian ma na nim ten sam sweterek z reniferem, który miał na plakacie alarmującym o jego zaginięciu, ale na tej fotografii siedzi na kolanach Świętego Mikołaja i uśmiecha się radośnie. Do Kenzie dociera, jakie to wszystko jest potworne. Łatwo było nie myśleć o porwaniu, skoro

Derek nie chciał o tym rozmawiać, ale tutaj, w ich domu, objawia się zupełnie inne oblicze Dereka, którego ona nigdy nie pozna ani nie zobaczy.

On jest ojcem. Który stracił dziecko. I jest mężem matki. Która straciła dziecko.

Kenzie wpatruje się w to zdjęcie, przypominając sobie, że Sebastian zaginął w ostatnią sobotę przed Bożym Narodzeniem. Na pewno mieli już wtedy choinkę, prawdopodobnie w salonie od frontu, gdzie świeciła w oknie, żeby wszyscy sąsiedzi mogli ją zobaczyć. Zrobili już pewnie świąteczne zakupy, większość prezentów była zapakowana i gotowa, a kilka schowanych, żeby Sebastian zobaczył je dopiero na Gwiazdkę.

Zamiast jednak obudzić się od tupotu małych stópek na korytarzu i na schodach, a zaraz potem usłyszeć piski i krzyki na widok wszystkich tych wspaniałości pod choinką, słyszeli tylko ciszą dudniącą im w uszach. W domu nie było chłopczyka, który otworzyłby swoje prezenty. I tego chłopczyka od tamtej pory w ogóle tu nie było.

Na myśl o tym Kenzie robi się niedobrze, na kilka sekund zamyka oczy i oddycha głęboko.

U szczytu schodów na ścianie wisi wielkie czarno-białe zdjęcie Dereka i Marin na plaży w dniu ich ślubu. Ona jest w powłóczystej sukni ślubnej w stylu boho. On ma na sobie jasne spodnie i białą koszulę z podwiniętymi rękawami. Śmieją się, trzymają za ręce, wiatr rozwiewa im włosy. Marin jest na tym zdjęciu młodsza od Kenzie i oszałamiająco piękna.

Kenzie idzie powoli korytarzem na piętrze, mijając sypialnię, która, jak sądzi, należy do Sebastiana. Na drzwiach jest niewielka naklejka, a kiedy Kenzie się nachyla, widzi, że to kolejny bohater Psiego patrolu. Wszystkie drzwi na piętrze – poza tymi – są otwarte.

Kenzie ich nie otworzy.

Tak naprawdę chce zobaczyć jedynie sypialnię państwa domu, a ona znajduje się na końcu korytarza, za dwuskrzydłowymi drzwiami. Kiedy wchodzi do środka, parkiet zamienia się w wykładzinę, ale nie taką taną, jak w jej mieszkaniu. Jest gruba, cała w gruzełkach, na których nigdy nie widać śladów odkurzacza czy odcisków stóp. Sypialnia jest pewnie wielkości całego mieszkania Kenzie i Tylera. Ogromne małżeńskie łóżko ustawiono pod ścianą naprzeciwko drzwi, po obu jego stronach stoją identyczne nocne szafki o lustrzanej obudowie. Na jednej z nich piętrzy się stos książek – kilka poradników, reszta to beletrystyka. Druga jest pusta,

jeśli nie liczyć ładowarki do telefonu, której kabel zwisa z boku. Kenzie może się łatwo domyślić, po której stronie sypia Derek. On nie lubi czytać.

Kenzie wchodzi do przylegającej do sypialni łazienki, która pachnie lawendą i wygląda jak z magazynu wnętrzarskiego. Płytki ułożone starannie w jodełkę. Oszklona kabina prysznicowa, wystarczająco duża, by pomieścić dwie osoby. Największa szafka z umywalką, jaką Kenzie w życiu widziała, a pod oknem wanna na lwich łapach tak głęboka, że obok stoi mały podnózek, by łatwiej było do niej wejść. Toaleta znajduje się w osobnym pomieszczeniu, do którego prowadzą drzwi tuż obok prysznic, i Kenzie pędzi tam, żeby opróżnić pęcherz.

Wyposażenie garderoby dosłownie zwała ją z nóg. Po stronie Dereka wisi mnóstwo garniturów, to akurat żadna niespodzianka. Ale po stronie Marin... Ta kobieta ma tyle rzeczy! Sukienki. Płaszcz. Kostiumy. Spodnie. Bluzki. Wszystko posortowane według stylu i koloru. Na środku jest wysepka – wysepka! – z szufladami na skarpetki i bieliznę, a także stroje sportowe i dzinsy, całą tylną ścianę przeznaczono wyłącznie na torebki i buty. I pomyśleć, że Kenzie krygowała się, kiedy Derek kupił jej w Nowym Jorku torebkę Dolce & Gabbana, jedyną designerską torebkę, jaką ma, i tak śliczną, że pozwala sobie ją nosić, tylko gdy jest z Derekiem. Jego żona, w przeciwieństwie do niej, posiada wyłącznie designerskie torebki. Gucci. Ferragamo. Chanel. Vuitton. I jedną tańszą od Tory Burch, znoszoną i najwyraźniej lubianą.

Kenzie wyjmuje z kieszeni telefon, nie może się oprzeć i pstryka sobie zdjęcia w tej najbardziej oszałamiającej garderobie, jaką kiedykolwiek widziała. Robi kilka ujęć, zastanawiając się, co by się stało, gdyby wstawiła te fotki na Instagrama. Czy oni w ogóle by się zorientowali? Garderoba ma dokładnie taki sam blichtr, jaki zna z Transakcji za milion dolarów, reality show Bravo TV, który Kenzie i Tyler oglądali nałogowo ubiegłego lata.

– Po kiego grzyba my to w ogóle oglądamy? – spytała współlokatora, opychając się popcornem z mikrofalówki, podczas gdy na ekranie jakaś nadziana para trzydziestolatków oświadczyła przed kamerą, że ich dwustumetrowy apartament na Manhattanie jest trochę za ciasny dla nich i ich pupilka bichon frise. – Przez to nabieram tylko poczucia, że moje życie jest do dupy.

– Bo to inspirujące – odrzekł Ty i miał rację. – Oglądamy to, bo też chcielibyśmy być tacy, jak ci ludzie.

Uwagę Kenzie przykuwają szpilki o czerwonych podszwach. Christian Louboutin. Istne dzieło sztuki, czarna satyna z wysadzaną kryształkami kokardką z przodu, dziesięciocentymetrowy obcas. Rozmiar trzydzieści dziewięć i pół. Kenzie nosi czterdziestkę. W sumie niewielka różnica. Zdejmuje skarpetki i przymierza szpilki. Trochę ją cisną, ale i tak robi zdjęcie swoich stóp w tych cudёнkach. Ładują z powrotem na półce, po czym Kenzie uznaje, że wyglądałyby znacznie szykowniej z kolekcją torebek w tle. Ustawia je w przemyślany sposób i robi jeszcze kilka zdjęć. Dlaczego? Bo to inspirujące.

Wraca do sypialni, stąpając bezszelestnie po miękkiej wykładzinie. Wyobraża sobie Marin czytającą w łózku i Dereka, który kładzie się obok niej, w szczęśliwszych czasach, kiedy ich synek spał spokojnie po drugiej stronie korytarza, a oni mieli wreszcie trochę czasu dla siebie. Marin ma na sobie piżamę, a może studencki T-shirt Dereka. On jest w starych spodenkach do koszykówki, bez koszulki, może właśnie wyszedł spod prysznic, który wziął po długim dniu. Może się kochają. A może po prostu kładą na łyżeczkę. Może rozmawiają o minionym dniu, cicho i beztrosko, dopóki któreś z nich nie zaśnie. Derek pewnie pierwszy zamyka oczy, a kiedy już to robi, sen nadchodzi szybko. Marin potrzebuje więcej czasu, jak to kobiety, roztrząsa jeszcze przez kilka minut sto różnych spraw, które zdarzyły się tego dnia, i dwieście innych, które zdarzą się jutro.

Kenzie tu nie przynależy. Pora wracać do domu.

20

Nie wie, jak ustawić alarm, więc zostawia wyłączony. Wychodzi z domu tak samo, jak weszła, cicho i ostrożnie. To, co zrobiła, było głupie i lekkomyślne, już nigdy więcej nie może sobie pozwolić na taki wybryk.

Po deszczu powietrze pachnie świeżością i Kenzie postanawia przejść się kawałek, żeby zebrać myśli. Jej poprzedni chłopak, Paul, mieszkał w Boise w podobnej dzielnicy – spokojnej, pretensjonalnej, podmiejskiej i białej. Kenzie widziała go po raz ostatni trzy tygodnie po tym, gdy jego pijana żona usiłowała wtargnąć do jej mieszkania. Paul już wcześniej próbował z nią zerwać – do tego przez telefon – a kiedy protestowała, zaproponował jej dziesięć tysięcy dolarów „jako prezent pożegnalny”.

Dobre sobie.

Parę wieczorów później Kenzie zjawiała się pod domem Paula zapłakana, błagając go, żeby jej nie zostawiał, udając, że jest pijana i ma złamane serce. Jego żona i córki były w domu, a kiedy otworzył drzwi i ją zobaczył, zbladł. Zatrzasnął je za sobą i pociągnął ją pod boczną ścianę domu, gdzie było ciemno, rosły krzaki i nikt nie mógł ich zobaczyć.

– Co ty, u diabła, tutaj robisz? – wysyczał.

Zacisnął dłoń na jej przedramieniu i później Kenzie odkryła sińce tam, gdzie jego palce wbijały się w jej skórę. Jeszcze nigdy nie widziała go tak wściekłego. Zawsze był dla niej łagodny, wręcz delikatny. Niesamowite, jaka energia wstępuje w człowieka, kiedy czuje się zagrożony.

– Robisz mi krzywdę – chlipnęła i ją puścił.

– Nie możesz tu być. – Przeszył ją wzrokiem tak ognistym, że mógłby zdetonować kamień. – Mam rodzinę, McKenzie.

– Chcę, żebyśmy byli razem. Kocham cię. – Próbowwała złapać go za rękę. – A ty kochasz mnie.

– To nigdy nie była miłość – odparł Paul, odsuwając się od niej. – Teraz to rozumiem. Byłem nieszczęśliwy i potrzebowałem kogoś, kto by sprawił... że znowu poczuje się pożądanym. Leah i ja zaczynamy terapię i spróbujemy odbudować nasz związek. Przykro mi. A teraz proszę, idź sobie. W środku są moje dzieci.

– A więc to tak? – Patrzyła na niego. – Skończyłeś ze mną i teraz mnie wyrzucasz? Jak niepotrzebny śmieć?

Mina Paula złagodniała i Kenzie przestraszyła się, czy przypadkiem nie przedobrzyła. Nie miała najmniejszej ochoty ciągnąć tej relacji i wcale nie zamierzała Paula odzyskać. Cokolwiek ją w nim pociągało, uszło z chwilą, kiedy ślina jego pijanej żony prysnęła jej na twarz. Chciała tylko zakończyć to na swoich zasadach.

Chciała, żeby zapłacił jej tyle, na ile zasługuje.

Paul wyprostował się, a jego twarz znów stężała.

– Czegokolwiek od ciebie chciałem, Kenzie, już tego nie chcę. Nie chcę też cię zranić, ale nie mam ci nic do zaoferowania. A teraz proszę, musisz stąd odejść.

Spojrzała na boczną ścianę jego wielkiego domu, a potem na podjazd, gdzie stały zaparkowane samochody, jaguar i bmw.

– To musi być miłe, sypiać z dziewczynami o połowę młodszymi od ciebie, a potem pozbywać się ich, kiedy twoja żona się o nich dowie – rzuciła. – Machać im forsą przed nosem, mącić w głowach, traktować je jak dziwki.

– Jakim „im”? – Paul zmarszczył czoło. – Nie ma żadnych „ich”. Byłaś tylko ty i nigdy nie powinienem...

– Zaproponowałeś mi dziesięć tysięcy, żeby się mnie pozbyć. Myślisz, że jak się wtedy poczułam?

Wyraźnie się zawstydził.

– Wiem, nie powinienem tego mówić...

– Wezmę pięćdziesiąt.

Zamrugął.

– Co?

– Pięćdziesiąt tysięcy – powtórzyła Kenzie. – I już nigdy o mnie nie usłyszysz. Po tym wszystkim, na co mnie naraziłeś, myślę, że możesz dla mnie zrobić chociaż tyle. Nie wspominając o tym, na co naraziła mnie twoja żona, kiedy wrzeszczała na mnie i moją współlokatorkę na korytarzu jak jakaś pieprzona wariatka, jakbym to ja wobec niej zawiniła. To ty to wszystko zacząłeś, Paul. To ty masz rodzinę. To twoja zdrada, nie moja, i to ty zostałeś przyłapany. Gdyby twoja żona się o nas nie dowiedziała, wiesz, co byśmy teraz robili? Uprawialibyśmy seks, Paul, taka jest prawda. Więc wszystko ładnie pięknie, że się wam układa, ale nie wymiksujesz się tak łatwo z tej relacji.

Paul osłupiał, po chwili jednak jego konsternacja przeszła w oburzenie.

– Żartujesz, prawda? Nie zapłacę ci pięćdziesięciu...

Kenzie zamaszystym krokiem przeszła po mokrej trawie pod frontowe drzwi. Dogonił ją w ostatniej chwili – trzymała palec tuż nad dzwonkiem, gotowa go nacisnąć – i wykręcił jej rękę do tyłu.

– Dobra, zapłacę – syknął. – Ale teraz się stąd wynoś.

– W gotówce. Jutro. Gdzie masz bank? – Kiedy jej powiedział, oznajmiła:

– Spotkamy się na rogu dokładnie o wpół do dziesiątej. Jeśli się nie zjawisz, znów tutaj przyjdę. I będę czekała, aż twoja żona wróci do domu. A jeśli sąsiedzi zaczną pytać, kim jestem, powiem im. Do diabła, pokażę im zdjęcia. Mam mnóstwo zdjęć, Paul, wiedziałeś o tym? Jestem z pokolenia tych narwanych millenialsów, którzy wszystko fotografują, i mam całą kolekcję fotek, na których śpisz nago obok mnie. Nigdy się nie zorientowałeś, prawda? I będę publikowała jedno zdjęcie dziennie na Facebooku i Instagramie, aż zrujnuję ci życie, tak jak ty zrujnowałeś moje. Złamałeś mi serce, dupku.

Odwróciła się i odeszła, doskonale wiedząc, że nic z tego, co powiedziała, nie jest prawdą. Nie zamierzała nigdy więcej tu wracać. Nie było żadnych zdjęć. Nie złamał jej serca. Albo się uda, albo nie. A teraz nie pozostawało jej nic innego, jak czekać i przekonać się, czy przejrzał jej bluff.

Paul spotkał się z nią następnego dnia punktualnie o wpół do dziesiątej na rogu koło banku. Bez słowa wcisnął jej w rękę grubą kopertę, unikając kontaktu wzrokowego.

– A teraz zostaw mnie w spokoju, McKenzie – rzucił na odchodnym.

Poszła prosto do domu, serce waliło jej z emocji. Kiedy weszła do mieszkania, wysypała pieniądze na łóżko. Przeliczyła je najpierw szybko, a potem wolno po raz drugi, rozkoszując się dotykiem sztywnych banknotów. Pięćdziesiąt tysięcy dolarów. Nigdy nie widziała tylu pieniędzy na raz i było to niesamowite uczucie.

Zadzwoiła do J.R.

– Zapłacił – oznajmiła bez wstępów, kiedy odebrał.

Mogła sobie wyobrazić jego uśmiech od ucha do ucha.

– Moja dziewczynka – pochwalił ją. – Nie wydaj wszystkiego w jednym miejscu.

Kenzie odłożyła piętnaście tysięcy na życie i chesne za kolejny semestr, a reszta poszła na opłacenie pierwszego roku pobytu jej mamy w domu opieki Oak Meadows.

Trzy miesiące później wpadła na Paula na festiwalu żywności w Seattle, gdzie pracowała w food trucku z tacosami. Jego rodzice mieszkali w Seattle, pewnie dlatego tam był. Kiedy podszedł złożyć zamówienie, zbladł na jej widok, ale zapłacił za sześć tacosów, udając, że jej nie zna. Patrzyła, jak wraca z jedzeniem do swojej rodziny.

Nie obejrzał się za siebie.

Kenzie wzdycha przeciągle, pozwalając, by wspomnienie Paula się rozwiało. Teraz musi się skupić na Dereku, który jest jeszcze bogatszy niż Paul i który, jak się wydaje, również odbudowuje związek z żoną, a przy tym nie miał nawet jaj, żeby powiedzieć Kenzie twarzą w twarz, że z nimi koniec.

Jeśli to koniec, niech tak będzie. Ale negocjacje dopiero się zaczynają.

Kenzie idzie już dobrą chwilę. Zamierza złapać taksówkę na Broadway, a im bliżej tej ruchliwej ulicy, tym domy są mniejsze. Znów ma to przyprawiające o gęsią skórkę uczucie, że ktoś ją śledzi. Wyjmuje telefon i trzyma go w rękę, a wtedy słyszy za sobą jakiś szelest. Zatrzymuje się w panice i odwraca gwałtownie, jednak i tym razem nikogo tam nie ma.

Ale, cholera, Kenzie ma wrażenie, że ktoś tam jednak jest. Przechodzą ją ciarki. Rusza naprzód, tym razem szybciej.

Z ciemności dobiega:

– Hej.

– Kto tam jest? – pyta Kenzie. Cierpnie, słysząc swój głos, piskliwy, przerażony. – Halo?

Coś przesuwa się w jej stronę, wielki wydłużony cień, który przemienia się w człowieka. Kenzie cała sztywnieje, nagle jednak nikły blask latarni oświetla jego twarz i uświadamia sobie, że skądś go zna.

– Julian! – wykrzykuje zaskoczona, kiedy może już dostrzec jego rysy. Czuje ulgę tak potężną, że niemal uginają się pod nią kolana. – Jezu Chryste, przestraszyłeś mnie jak diabli. Co ty tu robisz?

– Szukałem cię – odpowiada.

Kenzie nie pamięta, kiedy ostatnio widziała Juliana – od tamtej pory minął rok, jeśli nie więcej. Podchodzi do niej z rozpostartymi ramionami, jakby chciał ją przytulić. To dziwne i Kenzie cofa się odruchowo. Co on robi? Nigdy nie przytulali się na powitanie – kolo nie lubi nawet podawać ręki. Ma jakąś germofobię czy coś, Kenzie pamięta, że zawsze nosi w kieszeni paczuszkę antybakteryjnych chusteczek.

Dzisiaj natomiast ma rękawiczki. Tyle że wcale nie jest aż tak zimno.

– J.R. jest z tobą? – pyta Kenzie.

Julian nie odpowiada. Uśmiecha się tylko.

Ostatnie, co Kenzie pamięta, to cios w szczękę zadany jej dłonią w rękawiczce, głośny trzask, a potem naprawdę uginają się pod nią kolana i wszystko robi się czarne.

CZĘŚĆ TRZECIA

Jestem w dołku i nie wiem,
czy można mnie ocalić.
ALICE IN CHAINS

21

Lewa ręka Dereka trzyma kierownicę, a prawa leży na kolanie Marin. To taka mała rzecz, drobny gest, lecz jego dłoń na jej nodze najlepiej świadczy o ich relacji.

Miał rację – potrzebowali weekendu z dala od domu. Wypad do Whistler to był pomysł Dereka i zaplanował wszystko bez jej wiedzy. Wieczorem tego dnia, kiedy Marin przelała dwieście pięćdziesiąt tysięcy dolarów facetowi o imieniu Julian, żeby zamordował kochankę Dereka, mąż wrócił do domu, wręczył jej ozdobną kartkę z okazji ich rocznicy i zapytał, czy mogliby zacząć od początku.

Marin nie wiedziała, co się zmieniło. Poprzedniego dnia zerwał z Kenzie, lecz niemal natychmiast chciał ją odzyskać. W tym krótkim czasie, który minął od tamtej chwili, coś jednak uległo zmianie. Derek wydawał się inny. Kiedy ujął jej dłoń, znowu był Derekiem, którego pamiętała, Derekiem, którego poślubiła.

– Minęło dwadzieścia lat, Marin – powiedział ze znękaną miną. – Gdybyś miała to wszystko przeżyć jeszcze raz, zrobiłabyś to?

Czy by to zrobiła? Oczywiście, że tak. Spędzili razem dwie dekady i większość tych lat była dobra, wyjąwszy ten jeden błąd, który popełnił Derek na początku jej ciąży. Aż do tych ostatnich potwornych miesięcy – za które winę ponosiła wyłącznie ona – tworzyli doskonałą parę. Wyjazd z okazji świętowania rocznicy mógł wydawać się nagły, lecz w pewnym momencie trzeba dokonać wyboru. I czyż nie tego właśnie chciała? Czyż nie o to właśnie w tym wszystkim chodziło?

– Powtórzyłabym to wszystko jeszcze raz – odpowiedziała szczerze.

Godzinę później ich bagaże były spakowane, narty przypięte na dachu, Sadie powiadomiona, a oni ruszali w góry.

Żadne z nich nie jest doskonałe. Żadne z nich nie jest bez winy. Nic nie jest stałe. Wreszcie jednak wygląda na to, że zrobili krok naprzód. Świadczy o tym sposób, w jaki mąż dotyka jej kolana, nucąc do piosenki Nirvany. I to, że Marin nie wzdyga się pod jego dotknięciem. Ma poczucie,

że to znowu są oni. I znów czuje się sobą. I wierzy, że to ich szansa na nowy początek.

Wydobywanie się z rozpaczony nie jest linearne. To nie tak, że zdarza się jedna dobra rzecz i nagle jest lepiej, i alleluja, całą tę beznadzieję masz już za sobą. W każdym razie w przypadku Marin tak się nie dzieje. Dzisiaj jednak jest dobry dzień i po wielu miesiącach tkwienia w czarnym dole potrafi go docenić.

Derek wjeżdża na podjazd, żeby przesiąść się do drugiego samochodu. Uprzedził już Marin, że nie wejdzie do domu, że musi dokończyć robotę w biurze przed jutrzejszym ważnym spotkaniem. W porządku, Marin wie, że praca jest dla niego ważna. Rozumie, że pomaga mu radzić sobie z poczuciem straty.

Salony Marin są zamknięte w niedzielę, co oznacza, że nie musi się donikąd spieszyć. Nie ma formy i teraz, po czterech dniach na stokach, wszystko ją boli. Marzy o gorącej kąpieli i dobrej książce.

– Wrócę koło ósmej. – Derek ścisza muzykę. – Mogę przywieźć na kolację coś greckiego. Souvlaki z kurczaka? A może masz ochotę na kuchnię hinduską? Chlebki naan z czosnkiem i tikka masala?

– Chyba jesteś głodny – mówi Marin, a on się śmieje.

– Co mogę powiedzieć, spaliłem w ten weekend mnóstwo kalorii.

Mógłby mówić o nartach, ale nie to ma na myśli. W ciągu ostatnich kilku dni Marin i jej mąż wrócili do siebie w każdym sensie.

– Ugotujmy coś – proponuje Marin w przypływie kulinarnych ambicji. – Przygotuję steki z antrykotu i będziemy mogli wrzucić je na grilla, jak wrócisz do domu.

– Jesteś pewna?

– Tak. Do tego mogę przyrządzić brukselkę, chyba że wolisz coś z większą ilością skrobi? Dawno nie babrałam się w kuchni.

Tak naprawdę chce przez to powiedzieć, że dawno nie miała ochoty na gotowanie. Zapiekana brukselka z bekonem, posypana parmezanem, idealnie pasuje do steków. To nie najzdrowszy sposób jej podania, ale jest tak smaczna, że nawet Sebastian ją uwielbiał...

Marin powstrzymuje tę myśl i czeka na nieunikniony cios w podbrzusze, który powoduje każde wspomnienie synka. Nic się jednak nie dzieje. Ta myśl pojawia się i znika, a Marin uświadamia sobie, że czuje się... normalnie.

Derek przygląda jej się uważnie, współczująco, jakby dokładnie wiedział, jakim torem poszły jej myśli. Pewnie dlatego, że jego myśli zrobiły dokładnie to samo.

Oboje wysiadają z samochodu. Derek chowa narty w garażu i wnosi walizki do domu.

– Kocham cię. – Bierze Marin za rękę i całuje jej dłoń. To intymny gest, Marin nie pamięta, kiedy ostatnio to zrobił.

– Ja też cię kocham – mówi.

Derek wychodzi przez frontowe drzwi, lecz Marin nie zdąża ich za nim zamknąć, a on już jest z powrotem w środku, przyciska ją do ściany, jego usta odnajdują jej usta, jego palce błądzą w jej włosach, a wszystko to jest takie naturalne, romantyczne, dokładnie takie, jak powinno być.

Marin czeka, aż Derek odjedzie, po czym zamyka drzwi i robi to, co zwykle, kiedy wraca do domu po kilku dniach: przegląda pocztę. Podlewa rośliny doniczkowe, które stoją tu i ówdzie na parterze. Sprawdza, jak się miewa orchidea pośrodku kuchennego stołu.

Orchidea stoi w tym samym miejscu od półtora roku i Marin doskonale pamięta dzień, w którym ją dostała. W listopadzie, w ostatnią sobotę przed Świętem Dziękczynienia, Derek zabrał Sebastiana na lekcję pływania na krytym basenie. Potem wstąpili do Whole Foods po grubo krojony bekon glazurowany syropem klonowym, który lubią wszyscy troje. Sebastian uwielbiał zakupy spożywcze, bo rzadko odmawiali mu czegokolwiek, na co miał ochotę, jeśli nie było to śmieciowe jedzenie. Marin właśnie kończyła kawę, kiedy usłyszała, że drzwi garażu się otwierają, a chwilę później Sebastian przebiegł z tupotem przez przedsionek i wpadł do kuchni, taszcząc gigantyczną różową orchideę w szarej ceramicznej donicy.

– Zobacz, mamusiu! – Jej synek wyprężył się dumnie na całą swoją metrową wysokość. – Tatuś powiedział, że możemy kupić ci kwiatek! To twój ulubiony kolor! Sam go wybrałem!

– Och, Bash, jaki piękny! – Czym prędzej wzięła od niego doniczkę, żeby jej nie upuścił. – Cudowny! Czy to prezent dla mnie?

– Tatuś powiedział, że jesteś piękna i że musimy kupić ci piękny kwiatek, więc wybrałem ten, bo ty najbardziej lubisz różowy. – Sebastian promieniał.

Marin pochyliła się i pocałowała go w nosek.

– Masz rację, najbardziej lubię różowy. Dziękuję, kochanie. Gdzie go postawimy?

– Tutaj, w kuchni na stole, i musisz codziennie go podlewać, bo ta pani powiedziała, że inaczej umrze. – Wyswobodził się z kurtki i rzucił ją na podłogę.

– Nie codziennie – sprostowała Marin ze śmiechem. – Jeśli będę go podlewała codziennie, to umrze na pewno. Ej, chwileczkę, proszę pana, gdzie jest miejsce tej kurteczki?

Chłopczyk pobiegł do przedsiionka, żeby powiesić kurtkę, a Derek wszedł do kuchni obładowany zakupami. Postawił torby na blacie, Marin zaś zobaczyła wysypujące się z nich steki, kilka awokado, banany, świeże serowe bajgle, owsiane ciasteczka z rodzynkami i czekoladowe croissanty. Uniosła brew, a on uśmiechnął się zakłopotany.

– Wiesz, że nie umiem kupić jednej rzeczy – powiedział, całując ją na powitanie. – Trochę nas poniosło.

– Dałem mamusi kwiatek, tatusiu – oznajmił Sebastian.

– O tak. – Marin wzięła go na ręce. Natychmiast oplótł ją w pasie nóżkami, a rączkami objął za szyję. Zasypała jego policzek pocałunkami, ciesząc się, że wciąż jest w wieku, kiedy się przed tym nie wzbrania. – Będę się nim dobrze opiekowała, obiecuję ci, Bash.

I zwykle tak właśnie było. Orchidee są silne, lecz kapryśne, a w pierwszych tygodniach po zaginięciu Sebastiana nie pamiętała o podlewaniu i wszystkie kwiaty opadły. Derek omal nie wyrzucił rośliny, ale Marin zaczęła na niego wrzeszczeć.

– Ani mi się waź! – krzyknęła, przyłapawszy go na próbie wyrzucenia orchidei do śmieci. – Nie waź się jej wyrzucić!

– Ja tylko...

– Oddaj mi ją! – Wyrwała mu doniczkę z rąk, a on puścił ją i cofnął się splotony. Marin miała dzikie spojrzenie, z jej luźnego koka wysunęły się włosy. Prawie nie sypiała i nie kąpała się od kilku dni. – Popatrz na łodyżki. Wciąż są zielone. Kwiaty wrócą. Muszę tylko pamiętać, żeby ją podlewać. A wtedy kwiaty wrócą, wiem, że tak będzie...

Upadła na podłogę, wciąż trzymając orchideę, i rozszlochała się rozpaczliwie. Derek wpatrywał się w nią, stał jak sparaliżowany i nie miał pojęcia, co powiedzieć. W końcu odwrócił się i zniknął w przedsiionku, zniknął w garażu, zniknął w swoim wozie. Zniknął jak wszystko inne, co było dobre w jej życiu.

Teraz są już gdzie indziej. Ona nie jest już rozhisteryzowana i niepokieszona, on nie jest zmartwiały i bezradny. Marin nie wie, jak

dokładnie określić miejsce, w którym teraz się znajdują, bo nie wrócili do tego, co było kiedyś, jest jednak znacznie lepiej niż jeszcze niedawno. Jak by powiedział doktor Chen: „Nawet milimetr do przodu to już postęp”.

Orchidea też robi postępy. Kiedy wyjeżdżali do Whistler, łodźki były mocne i zielone, lecz wciąż nagie, tak samo jak przez cały miniony rok, a teraz...

Marin dostrzega coś i pochyla się, żeby z bliska przyjrzeć się łodźce i przekonać, czy rzeczywiście widzi to, co jej się wydaje, że widzi. Tak. Jest. Jeden maleńki różowy płatek wychylający się z pączka. Orchidea, którą dał jej Sebastian, znowu kwitnie. I nagle Marin czuje przypływ nadziei tak gwałtowny i ostry, że aż zapiera jej dech.

„Sam go wybrałem, mamusiu”.

Przychodzi esemes i Marin sięga po telefon leżący na kuchennej wyspie. Od Sala.

Żyjesz?

Mogłaby odpowiedzieć na sto różnych sposobów, bo dziś to pytanie ma bardzo wiele znaczeń. Ona i Sal spali ze sobą i w pewnym momencie będą musieli o tym porozmawiać. Sal wie, że pojechała z Derekiem do Whistler, i pewnie się zastanawia, co to wszystko dla nich oznacza. I nie ma na myśli Marin i Dereka, lecz Marin i Sala.

Na razie jednak wybiera najłatwiejsze rozwiązanie. Odpowiada tak, jak zrobiłaby to osoba młodsza, bez słów. Po prostu wysyła emotkę.

Serduszko.

Ludzie z grupy wsparcia używają esemesów, żeby porozumiewać się ze sobą między spotkaniami, jeśli w ogóle zajdzie taka potrzeba. Grupa działa najlepiej, jeśli pozostaje oddzielona od zwykłego życia. Dają upust uczuciom jedynie w bezpiecznej przestrzeni pączkarni Frances i tam je zostawiają, a dzięki temu w codziennym życiu jest im nieco lżej. Po spotkaniach nie idą nigdy na drinka czy coś przekąsić, nie wysyłają e-maili po paru tygodniach, żeby sprawdzić, „co słytać”.

Teraz jednak Simon z grupy dzwoni. Nie wysyła esemesa. Dzwoni. Marin najpierw nie usłyszała sygnału, ponieważ puściła wodę do wanny pełnym strumieniem, a kiedy sięga po ręcznik, widzi jego imię na ekranie.

Wpatruje się w telefon, rozważając: odebrać czy nie odebrać. O czymkolwiek Simon chce z nią rozmawiać, to nie może być nic dobrego, i Marin nie jest pewna, czy ma na to ochotę. Po raz pierwszy od bardzo

dawna czuje się... normalnie. Jest spokojna. I pragnie, żeby to uczucie trwało, przynajmniej dziś.

Potem jednak sobie przypomina. Dziecko Simona zaginęło. Na całym świecie jest tylko garstka osób, z którymi może o tym porozmawiać, a Marin jest jedną z nich. Bierze telefon do ręki i idąc z łazienki do sypialni, wciska zieloną ikonkę i odbiera połączenie.

– Marin, dzięki Bogu jesteś! – wykrzykuje Simon. – Próbowałem już kilka minut temu, ale nie odbierałaś.

Jego głos brzmi inaczej. Nie wydaje się smutny ani przygnębiony, raczej... nakręcony. Prawie rozgorączkowany.

– Simon, cześć. Co się dzieje? – Marin przysiada na brzegu łóżka, żeby zdjąć skarpetki. Podwójne drzwi do łazienki są otwarte i Marin doskonale widzi wannę. Ponieważ jest ogromna, jeszcze się nie napełniła i Marin ma parę minut, zanim będzie musiała zakręcić wodę. – Wszystko dobrze?

– Przed chwilą dzwoniła Frances. Marin... Znaleźli Thomasa.

Marin słyszy te słowa, lecz jej umysł nie jest w stanie ich pojąć. Zamiera, jedna skarpetka zwisa jej ze stopy, ściągnięta do połowy.

– Co powiedziałaś? – pyta zduszonym szeptem.

– Rano do Frances zadzwonili z policji z informacją, że znaleźli Thomasa.

– Głos Simona zmienia się w połowie zdania. Staje się cichszy.

I wtedy Marin rozumie. Ta informacja uderza ją niczym cios w tchawicę i nagle nie może przełknąć śliny.

– O mój Boże – wykrztusza z trudem. – Och, Simon. Och, nie.

– Znaleźli jego ciało w melinie w Stockton.

– W Kalifornii?

– Nie znam wszystkich szczegółów, ale... przedawkował. I leżał tam jeszcze parę dni po tym, jak... Inni pewnie sądzili, że śpi. Nie znaleźli przy nim żadnych dokumentów, miał jednak na nadgarstku wytatuowany napis „Frances”, a kilku innych ćpunów potwierdziło, że mówiono na niego Tommy.

– Kiedy to... – Marin nie może dokończyć zdania.

– Dwa tygodnie temu. Tyle trwało, zanim go zidentyfikowali. Najwyraźniej to nie była sprawa priorytetowa.

Marin czuje, że zsuwa się z łóżka na podłogę. Jej pupa bezgłośnie uderza o wykładzinę. Z trudem trzyma telefon przy uchu, zupełnie jakby całe jej ciało zamieniło się w galaretę. O Boże. Och, Frances. Biedna Frances.

– Dlaczego Thomas do niej nie zadzwonił? Dlaczego po prostu nie wrócił do domu? – mówi do telefonu, jednak oboje z Simonem dobrze wiedzą, że nie zadaje tych pytań po to, żeby usłyszeć odpowiedź. Bo odpowiedzi nie ma. Jest tylko więcej pytań. I większy ból.

– Nie wiem. – Simonowi łamie się głos. – Nie wiem, Marin.

– Gdzie jest teraz Frances?

– Dzwoniła do mnie z lotniska. Leci do Stockton. Musi iść do tamtejszej kostnicy, żeby oficjalnie zidentyfikować zwłoki, a potem... – Głos więźnie mu w gardle. – Przywiezie go do domu.

O Jezus Chryste.

– Muszę do niej zadzwonić.

– Kiedy do mnie zadzwoniła, właśnie miała wsiadać do samolotu, ale jasne, zadzwoń. Na pewno będzie jej miło.

– Czy Lila wie?

– Wie. Zadzwoniłem do niej między telefonami do ciebie.

– Musimy być przy Frances, kiedy wróci. – Myśli Marin rozbiegają się na wszystkie strony. – Zaplanujmy spotkanie. Może będzie potrzebowała pomocy przy zorganizowaniu pogrzebu...

Milknie i łapie gwałtownie powietrze, kiedy dociera do niej potworność tych słów. Jej rozproszone myśli zbiegają się w jedną. Tylko jedną. Która powoduje powódź.

Wstrząsający nią szloch jest tak gwałtowny, że Marin z trudem oddycha i ma wrażenie, że jej żołądek dosłownie się wywraca. Telefon wyslizguje jej się z palców i ląduje na wykładzinie. Płacze bardziej rozpaczliwie niż kiedykolwiek, ponieważ tragiczne wieści Frances są jak jej własne tragiczne wieści i jak tragiczne wieści Simona i Lili, bo jest to coś, czego boją się najbardziej, odkąd zrozumieli, że ich dziecko zaginęło. Ból jest tak intensywny, jakby coś rozrywało ją na kawałki.

Po drugiej stronie Simon płacze tak samo rozpaczliwie jak ona. Bo jedyną gorszą rzeczą niż nie wiedzieć jest... wiedzieć na pewno.

– Marin? Jesteś tam? – słyszy głos Simona, ale nie jest w stanie mu odpowiedzieć. Nie może tego zrobić, nie może tego przetworzyć ani stawić temu czoła. Wszystko to dla niej zbyt wiele.

Rozłącza się bez pożegnania. Simon zrozumie. Nie będzie już dzisiaj dzwonił.

Marin wstaje z podłogi i pędzi do łazienki, gdzie woda wciąż się leje, a para bucha z wanny niczym z termy. W samą porę dociera do toalety,

żeby zwymiotować śniadanie z Four Seasons do muszli klozetowej.

Zdejmuje ubranie i siada w niemal parzącej wodzie. Gorąco atakuje jej skórę niby miliony szpileczek, ale ona wita ten ból z radością. Chce wyparzyć sobie skórę, zrzucić ją razem z tym wszystkim, co ją boli, chce stać się kimś innym, kimkolwiek, bo cokolwiek będzie lepsze niż to, co czuje teraz.

Cierpi z powodu Frances. Thomas miał zaledwie dwadzieścia cztery lata. Był dorosły, owszem, ale bardzo młody, dokładnie w tym samym wieku co kochanka Dereka.

Marin prostuje się gwałtownie, po czym wyskakuje z wanny, nie tracąc czasu na owijanie się ręcznikiem. Woda spływa z niej na płytki w łazience, a potem na wykładzinę, kiedy chwyta telefon, żeby wysłać esemesa do Sala:

Odwołaj to. Z J.

Sal odpowiada natychmiast. Jesteś pewna? Nie odzyskasz pieniędzy.

Odwołaj to, pisze Marin jeszcze raz. Natychmiast. Mówię serio.

Przekazę mu, odpisuje Sal, i chociaż Marin nie słyszy jego głosu ani nie widzi twarzy, wyczuwa w jego słowach ulgę.

To nigdy nie powinno zająć tak daleko. Co tylko potwierdza, dlaczego ona i Sal nie mogą być razem. Nie działają na siebie dobrze. On jest id dla jej ego, diabłem jej anioła, magnetyczną siłą, która przesuwają jej kompas moralny w złą stronę.

Marin może nienawidzić McKenzie Li, ale McKenzie Li jest czyimś dzieckiem. Ktoś ją kocha. Jeśli umrze, ktoś będzie ją opłakiwał. A Marin nie może zrobić komuś tego, co właśnie spotkało Frances i co pewnego dnia może spotkać ją.

Wraca do łazienki i wchodzi do wanny. Jest pełna po brzegi, co oznacza, że wystarczy wody, żeby się w niej utopić.

22

Oczywiście Marin tego nie robi.

Ale o tym myśli. Przez cały czas. Nie mówi tego na głos, bo kiedy ostatnim razem coś jej się wysnęło, Derek spanikował i znowu zawiózł ją do szpitala, gdzie tkwiła w zamknięciu przez dwa dni, aż wszyscy zyskali pewność, że nie popełni głupstwa.

Marin nie może zresztą winić Dereka ani lekarzy. Przecież ma za sobą wcześniejszą próbę samobójczą. Miesiąc po zaginięciu Sebastiana, kiedy FBI poinformowało ich, że śledztwo utknęło w martwym punkcie, połknęła całą buteleczkę benzodiazepinów, popijając tabletki butelką wina. Nie pamięta tego, jak Derek ją znalazł i próbował cucić, nie pamięta sanitariuszy, jazdy karetką, płukania żołądka. Pamięta tylko, że następnego dnia ocknęła się w szpitalnym pokoju, Derek drzemał skulony na fotelu w rogu, przez żaluzje sączyło się światło. Jej pierwszą logiczną myślą było: Cholera, nie udało się.

Kilka miesięcy temu pojawiły się doniesienia prasowe o tym, że w lesie znaleziono ciało dziecka obok poćwiartowanych szczątków młodej kobiety, która nie była jego matką. Marin przeczytała ten artykuł, gdy była w pracy, a kiedy wróciła do domu, natychmiast zaczęła pić i czekała na telefon. Była pewna, że zadzwonią z FBI, żeby potwierdzić, że to Sebastian. Dzięki Bogu tak się nie stało. Zanim jednak ujawniono tożsamość zmarłego dziecka, Marin zdążyła wykończyć całą butelkę merlota i przetrząsała szafkę łazienkową po stronie Dereka. Znalazła to, czego szukała – nowiuteńką paczkę żyletek do maszynki do golenia Merkur należącej do jej męża, ukrytą pod stertą ściereczek – i właśnie miała ją otworzyć, kiedy Derek wrócił do domu.

Wszedł do łazienki akurat w momencie, kiedy upychała paczkę żyletek z powrotem do szafki. Jeśli dostrzegł, że jest pijana, nie skomentował tego, spytał tylko, czy dobrze się czuje. Widział te same doniesienia prasowe co ona. On też miał za sobą ciężki dzień. Porozmawiali kilka minut, a wspólne przerażenie po informacjach o zmarłym dziecku połączyło ich przelotnie po wielu miesiącach emocjonalnego wyobcowania.

Tamtego wieczoru Derek uratował Marin po raz drugi. Choć o tym nie wiedział.

Takie właśnie jest teraz jej życie. Składa się z momentów dobrych, potwornych i całego tego odrętwienia pomiędzy nimi.

Kiedy pół godziny później wychodzi z wanny, skórę ma różową jak u noworodka. Otula się szlafrokiem frotte i decyduje się zadzwonić, choć tak bardzo się boi, że wolałaby zrobić wszystko, tylko nie to.

Kiedy od razu włącza się poczta głosowa, czego się zresztą spodziewała, oddycha z ulgą. Nie sądzi, że jest wystarczająco silna, żeby rozmawiać teraz z Frances. Zostawia wiadomość, prosząc, żeby oddzwoniła, jeśli tylko poczuje taką potrzebą.

– Kocham cię – rzuca Marin w martwą ciszę poczty głosowej Frances. – Możesz na mnie liczyć, jeśli będziesz czegoś potrzebowała, w dzień czy w nocy. Przykro mi, Frances. Bardzo, bardzo mi przykro.

Rozłącza się, czując się bezradna jak nigdy. Jedyne, co może zrobić, to zaoferować Frances swoje wsparcie. Zresztą nikt nie może zrobić nic więcej. Nikt nie może zrozumieć jedynej w swoim rodzaju mieszanki emocji, którą odczuwa teraz Frances i która prawdopodobnie zmienia się z minuty na minutę. Nikt nie wie, czego tak naprawdę jej trzeba. Nie można tego wyczytać w żadnym poradniku.

Marin ciska telefon na łóżko. Te żyletki nadal są schowane pod ściereczkami w szafce. Mogłaby wejść z powrotem do wanny. Mogłaby.

Ale nie wchodzi. Są inne sposoby na zrobienie sobie krzywdy.

Wciąż w szlafroku, wyszarpuje laptopa z ładowarki i siada na łóżku, po czym loguje się na stronę, na którą od jakiegoś czasu nie zaglądała. I nie powinna. Obiecała doktorowi Chenowi, że nie będzie. Mogłaby za to pójść do więzienia. Ciemna sieć jest nielegalna i żeby się tam dostać, trzeba trochę pokrażyć i logować się kilkakrotnie, wpisując kolejne hasła, zanim trafi się na strony, na których są dzieci.

Sebastian na wewnętrznej stronie prawego uda ma małe ciemnoróżowe znamię w kształcie półksiężyca. W ciągu pierwszych miesięcy po jego zaginięciu Marin obsesyjnie szukała go w sieci, przeglądając raz za razem kolejne potworne zdjęcia, wypatrując dowodu, że jej synek może być jednym z tych dzieci. Nigdy go nie znalazła, lecz w trakcie szukania warstwa po warstwie niszczyła samą siebie. Żadna ludzka istota nie może patrzeć na te zdjęcia, nie zabijając jakiejś części siebie.

To miejsce przeznaczone wyłącznie dla potworów.

Marin musiała jednak patrzeć. Odczuwała przymus patrzenia. Jeśli jej synek był jednym z tych dzieci skrzywdzonych w tak potworny sposób, ona mogła zrobić przynajmniej tyle: zobaczyć to.

Im dłużej patrzyła, tym więcej piła. Im więcej piła, tym więcej łykała tabletek. To się ciągnęło miesiącami, aż do ostatniej sesji terapeutycznej, kiedy wreszcie wyznała swój sekret doktorowi Chenowi. A on ostro zareagował na wieść o jej aktywności w darknecie.

– Jeśli kiedykolwiek poczujesz, że chcesz tam zajrzeć, musisz poświęcić chwilę i zadać sobie pytanie, co sprawia, że odczuwasz taką potrzebę – powiedział. – I przyjąć do wiadomości, że twój lęk cię okłamuje, wmawiając ci, że musisz to zrobić, żeby mieć poczucie kontroli nad sytuacją, nad którą kontroli nie masz. Lęk potrafi być bardzo przekonujący. Nie wierz w to, co próbuje ci wmówić. Bo patrzenie na te zdjęcia nie ukoji twojego lęku, Marin. To go tylko bardzo, ale to bardzo nasili. To, co robisz, to akt autoagresji i bardzo mnie to martwi.

Doktor Chen nie do końca ma rację. Lęk rzeczywiście kłamie. Ale to nieprawda, że Marin nie ma kontroli nad sytuacją. Gdy komputer łączy się z zakazaną stroną, patrzy na swoje dłonie. Dłonie, które wyglądają normalnie. Są silne. To dłonie, które potrafią posługiwać się ostrymi nożyczkami, tnąć włosy, tworząc piękne fryzury. To dłonie, które potrafią gotować, sprzątać, obejmować, ścisnąć, pieścić i okazywać miłość. To dłonie, które gestykują, kiedy Marin odczuwa emocje. Dłonie, które chronią.

Dłonie, z których jedna puściła rączkę synka na ruchliwym zatłoczonym targu w sobotę przed Bożym Narodzeniem.

Marin myślała o potwornościach, które mogły spotkać Sebastiana już kilka godzin po tym, gdy został uprowadzony przez Świętego Mikołaja. Czytała statystyki i wie, że dzieci w jego wieku – jeśli nie zostaną znalezione w ciągu dwudziestu czterech godzin – najprawdopodobniej tracą życie. A jeśli nie, z pewnością czekają je kolejne potworności.

To wina Marin. To wszystko jej wina. Również to, co spotkało go potem. Te jej cholerne dłonie. Kilka wieczorów temu korciło ją, żeby je sobie odrąbać, jednak Derek wrócił do domu z kartką z okazji ich rocznicy i zapytał, czy mogliby spróbować jeszcze raz.

– Wróciłeś do domu – tylko tyle zdołała wykrztusić.

– Zawsze wracam do domu – odrzekł jej mąż. – I zawsze będę.

Derek nigdy nie karał Marin za to, że jej rozpacz przyjmuje taką, a nie inną formę. Może więc ona nie powinna karać go za to, że rozpacza tak, a nie inaczej.

Te myśli nigdy jej jednak nie opuszczają. Ale to tylko myśli i Marin nauczyła się lepiej je ukrywać, bo jeśli je ujawniała, ludzie zaczęli się martwić i czuli potrzebę interweniowania w obawie, że mogłaby zrobić sobie krzywdę z powodu kruchego zdrowia psychicznego i niestabilności emocjonalnej.

Po tamtym pobycie w szpitalu obiecała Derekowi, że już nigdy nie będzie próbowała się zabić. A podczas ostatniej sesji terapeutycznej obiecała doktorowi Chenowi, że nie będzie już wchodziła na te strony.

Teraz zamierza złamać jedną z tych obietnic.

Zaczyna przeglądać zdjęcia, wypatrując znamienia, różowego półksiężyca. Wypatrując swojego synka. Nie zna tych dzieci, ale i tak je oplakuje, oplakuje ich matki i będzie płakać tak długo, aż zaśnie.

Czasami w jej snach Sebastian jest ze swoją nową rodziną. Jakaś nieszczęsna kobieta, która rozpaczliwie pragnęła mieć dziecko, porwała go na targu i wychowuje teraz z taką samą miłością jak kiedyś Marin i Derek. I z każdym dniem Sebastian o nich zapomina, o Marin, i coraz bardziej kocha swoją nową mamę. Jest bezpieczny, cały i zdrowy.

Czasem jednak w jej snach Sebastian ją woła. I bez względu na to, jak bardzo Marin się stara, nigdy nie może dotrzeć do niego w porę. Jej synek po prostu znika, rozpływa się w powietrzu, w jednej chwili jest, a w następnej już go nie ma, porwany przez kogoś, kogo Marin nie widzi, i zaciągnięty w jakieś mroczne miejsce, gdzie ukrywają się potwory.

– Widzisz? W domu mamusi nie ma potworów – zapewniała go kiedyś, gdy skończyła mu czytać Potwora na końcu tej książki. W dzieciństwie to była jedna z jej ulubionych książeczek. Występuje w niej cudowny Grover z Ulicy sezamkowej, który boi się potwora, bo jest pewny, że ten potwór pojawi się na końcu książki, a ostatecznie odkrywa, że to nie kto inny, tylko on sam. A to, że ktoś wygląda jak potwór, wcale nie oznacza, że musi nim być.

A to, że ktoś tak nie wygląda, niekoniecznie oznacza, że nim nie jest.

Jeśli Marin odbierze kiedyś taki telefon jak Frances, zabije się. Złożyła wiele obietnic różnym ludziom.

Tę złożyła sobie.

23

Kiedy następnego ranka idzie do pracy, ma w poczcie głosowej wiadomość od Vanessy Castro.

W pierwszym odruchu chce rzucić wszystko i zadzwonić do Dereka do pracy, żeby mogli razem poznać tę straszliwą wiadomość, potem jednak sobie przypomina: Derek wciąż nie wie o pani detektyw. Patrząc wstecz, Marin stwierdza, że ten dystans w ich małżeństwie nie pojawił się wyłącznie z jego strony. Ona także ma mnóstwo sekretów.

Potrzebuje minuty, żeby zebrać się w sobie, zanim oddzwoni do Castro, więc zamyka drzwi do swojego gabinetu, żeby nikt jej nie przeszkadzał. Myśli o wczorajszej kolacji. Kiedy Derek wrócił z pracy, na kuchennym blacie nie było steków czekających, żeby wrzucić je na grilla, ani brukselki dochodzącej w piekarniku. Derek wszedł na górę i zastał Marin na łóżku, wpatrzoną w ekran laptopa, i bez słowa przyglądał się, jak go zatrzaskuje. Nie spytał, co oglądała. Wystarczyło mu jedno spojrzenie na jej zapadniętą, zapłakaną twarz, żeby zrozumieć, że jego żona miała ciężkie popołudnie. Nie spytał dlaczego, ponieważ dobrze to wiedział, nawet jeśli nie znał szczegółów.

Pocałował ją tylko w policzek i spytał:

– Hinduskie, greckie czy tajskie?

– Ty wybierz. – Już miała go przeprosić za to, że zapomniała o stekach, lecz on zadzwonił, żeby zamówić jedzenie na wynos, zanim zdążyła cokolwiek powiedzieć.

Vanessa Castro nigdy nie dzwoni tak po prostu. Zawsze najpierw pisze e-mail, żeby mogły umówić się na rozmowę. W dzisiejszych czasach nikt nie lubi, kiedy telefon dzwoni ni stąd, ni zowąd, to wydaje się nietaktowne, dlatego nikt już nie ma telefonów stacjonarnych. Telefon stacjonarny może tylko jedno – dzwonić.

Detektyw nagrała wiadomość złożoną z czterech tylko słów: „Tu Vanessa. Oddzwon. Dziękuję”.

Marin myśli o Frances. O Boże. Oddycha głęboko i dzwoni.

– Tu Marin – mówi, kiedy detektyw odbiera.

– Cześć – odzywa się Castro. – Przepraszam, że zadzwoniłam tak zniecka.

– Po prostu mi powiedz.

– Nie chodzi o Sebastiana – mówi Castro, a po tych czterech słowach całe ciało Marin rozluźnia się z ulgi. – O, cholera. Powinnam była wyjaśnić to w wiadomości. Przepraszam cię, Marin, byłam rozkojarzona. Nie chciałam cię wystraszyć.

– Nie szkodzi. – Właśnie, że szkodzi, ale Marin dojdzie do siebie, gdy tylko przestanie walić jej serce i będzie mogła normalnie oddychać. – Co się dzieje?

– McKenzie Li – mówi Castro. A Marin na dźwięk tego imienia i nazwiska prostuje się w fotelu. – Słyszałaś, że zaginęła?

Zaginęła? Marin wciąga gwałtownie powietrze. Jej puls znowu przyspiesza.

– Zaginęła? – powtarza, starając się nadać głosowi odpowiednio zdezorientowane zabarwienie i zareagować tak, jakby nie miała z tym potencjalnie nic wspólnego. Bo przecież nie miała, zmieniła zdanie co do Juliana, więc dlaczego, u diabła, ta dziewczyna zaginęła? – Co... co chcesz przez to powiedzieć?

– Nadal miałam ją na oku... – Castro rzeczywiście wydaje się rozkojarzona, jakby wybiegała myślą dalej, poza to, o czym w tej chwili rozmawiają, albo może równocześnie przeglądała coś w komputerze. – Wiem, powiedziałaś, że sama się tym zajmiesz, ale skoro już zaczęłam kopać, to chciałam jednak pokopać jeszcze trochę głębiej...

Marin zamyka oczy. Cholera, cholera, cholera.

– No tak...

– ... i kilka godzin temu jej współlokator zamieścił na Facebooku post o jej zaginięciu.

Marin uświadamia sobie, że znowu wstrzymuje oddech, i zmusza się do wypuszczenia powietrza. Musi coś powiedzieć, ale nie wie co. Serce jej wali i dziękuje Bogu, że rozmawiają przez telefon, bo jest przekonana, że poczucie winy ma wypisane na twarzy.

– Kiedy... kiedy to się stało?

– Wygląda na to, że nie ma jej w domu już dwie noce. A więc na tyle długo, by jej współlokator się zaniepokoił, bo najwyraźniej mieli jakieś wspólne plany na wczorajszą kolację.

– My... Derek i ja wróciliśmy wczoraj z Whistler. Wyjechaliśmy na weekend z Seattle.

– Tak, widziałam to na twoim Instagramie – mówi Castro z roztargnieniem, a Marin znowu aż podskakuje. Detektyw, którą wynajęła, zagląda na jej Instagrama? – Nie szpiegowałam cię – dodaje Castro, jakby czytała Marin w myślach. – Zajrzałam tam dziś rano, bo zobaczyłam na Facebooku post, który zamieścił współlokator McKenzie, i chciałam szybko sprawdzić, gdzie jest Derek, na wypadek gdyby byli razem. Ale nie byli, bo on był z tobą.

– Zgadza się – potwierdza Marin niepewnie. Nie ma pojęcia, dokąd Castro zmierza, i nadal nie wie, jak rozumieć to, że kochanka Dereka – była kochanka – zaginęła.

Bo co to właściwie znaczy? Zaginęła w takim sensie, że dokąd wyjechała, lecz nic nikomu nie powiedziała i teraz nikt nie wie, gdzie ona jest? Czy zaginęła, a więc leży martwa gdzieś w rowie, bo Julian ją dopadł, zanim Sal zdążył do niego dotrzeć?

– Derek był ze mną – mówi Marin. – Staraliśmy się... naprawić nasz związek. – Znowu głęboko oddycha. – Myślisz, że miał coś wspólnego z...

– Nie, nie – zaprzecza Castro, a jej głos brzmi teraz bardziej przytomnie. – Ależ skąd. Ale skoro McKenzie zaginęła, oznacza to, że zaginęły już dwie osoby w taki czy inny sposób związane z Derekiem. A on staje się tu niejako wspólnym mianownikiem.

– Och. – Marin nie pomyślała o tym w ten sposób. – No tak. Ale co to właściwie oznacza?

– Nie wiem, ale mi się to nie podoba. Jedna zaginiona osoba z otoczenia Dereka to..., ale dwie... – Castro znowu zawiesza głos, a Marin zastanawia się, czy jest w swoim biurze, w domu czy w samochodzie. – Ściągnęłaś może tę aplikację Shadow na swój telefon? Jestem pewna, że wspomniałam o niej w tamtym pliku, który ci dałam.

– Ściągnęłam. – Marin stara się, żeby jej głos brzmiał naturalnie.

– I miałaś możliwość śledzenia ich esemesów? – pyta Castro, co jest elegancką wersją pytania: „Czy szpiegowałaś męża i jego kochankę?”.

Marin tak mocno ścisnęła telefon, że zbiały jej knykcie. Wszystko w tej rozmowie ją przeraża. Pisząc do Sala, postawiła sprawę jasno: odwołuje zlecenie. A jej najlepszy przyjaciel zapewnił, że to załatwi. Więc co się, u diabła, stało? Czyżby się spóźniła? Wtedy, przy kolacji, Julian mówił, że nic nie wydarzy się od razu, że odczeka kilka tygodni, by stworzyć dystans

między ich rozmową a samym zdarzeniem. A nie minął nawet tydzień. Nie mógł zrobić czegoś McKenzie Li tak szybko.

Chyba że... Julian dostrzegł okazję. Zorientował się, że ona i Derek wyjechali, co dawało Marin – a tym samym również Derekowi – doskonałe alibi. Naprawdę idealne. Nikt by ich nigdy nie podejrzewał. Państwo Machado spędzili weekend w Whistler, ponad trzysta kilometrów od domu, mogą to potwierdzić dziesiątki świadków, a konto Marin na Instagramie dokumentuje – i geotaguje – najważniejsze punkty ich wyprawy.

– Czy w tych esemesach była mowa o czymś, co wskazywałoby na to, że McKenzie zamierza wyjechać?

– Nie przypominam sobie niczego takiego. – Myśli Marin pędzą w siedmiu kierunkach na raz. Usiłuje sobie przypomnieć, o czym była mowa w tych esemesach, a jednocześnie odtworzyć, co dokładnie napisała Salowi i co on jej odpowiedział, równocześnie próbując dociec, dokąd właściwie zmierza jej rozmowa z Vanessą Castro. Marin musi być czujna, bo to prawda, że Derek stanowi wspólny mianownik. Dwie ważne osoby w jego życiu zagięły. Jedną z nich jest jego synek. Drugą kochanka.

Castro najwyraźniej jednak zapomina, że drugi wspólny mianownik to Marin. Sebastian jest również jej dzieckiem, a niedawno odkryła, że McKenzie miała romans z jej mężem.

Jezu Chryste. A jeśli Sal jednak nie odwołał tego w porę? Jeśli skontaktował się z Julianem, ale było już za późno i ten zdążył zrobić swoje? Jeśli McKenzie Li nie żyje z powodu... niefortunnej synchronizacji w czasie?

Jeśli nie żyje przez Marin?

Co ona, u diabła, zrobiła?

Oczywiście nie może wyjawić niczego Castro. Detektyw jest byłą policjantką i chociaż wygląda na to, że zdarza jej się przekraczać granicę pomiędzy tym, co legalne, a tym, co niekoniecznie, z pewnością wpakowałyby Marin do aresztu.

McKenzie nie może być martwa. To musi być zbieg okoliczności. Jest młoda, zmienna, impulsywna. Pewnie dokądś wyjechała i zapomniała uprzedzić znajomych. Prawda?

– Marin? – odzywa się Castro i Marin zdaje sobie sprawę, że detektyw zadała jej pytanie i czeka na odpowiedź.

– Ostatni esemes, który widziałam, został wysłany przed naszym wyjazdem do Whistler. – Przetyka ślinę, ciesząc się, że Vanessa jej nie

widzi i nie może zobaczyć, jak próbuje się opanować.

– Mogłabyś mi przesłać te esemesy? – Marin słyszy chrobot jej długopisu. Pewnie robi notatki. – Zrób zrzuty ekranu i prześlij na moją komórkę, dobrze?

– Nie mogę. Usunęłam aplikację, a wtedy automatycznie usunęły się też wszystkie dane.

– Wielka szkoda. – Długopis Castro się zatrzymuje. – Oczywiście rozumiem, ale te esemesy bardzo by nam pomogły.

Nagle Marin przychodzi coś do głowy.

– Może zachowały się w chmurze? Wszystkie moje urządzenia mają wspólny backup. Mam sprawdzić?

– Tak, proszę, byłoby wspaniale. Jeśli te wiadomości tam są, przyślij mi wszystko. Domyślam się, że nie ma tego aż tak dużo. Miałaś tę aplikację tylko przez tydzień.

Nawet niecały.

– Nie ma problemu – odpowiada Marin.

I znowu Castro błędnie interpretuje jej ton.

– Nie denerwuj się. Prawdopodobnie to nie ma nic wspólnego z Sebastianem, ale nie zaszkodzi, jeśli dokładnie wszystko sprawdzę. Zakładam, że nie możesz zapytać Dereka, czy wie, gdzie jest McKenzie...

– On nie wie, że ja w ogóle wiem o jej istnieniu – przerywa jej Marin. – Nie rozmawialiśmy o tym romansie i nie zamierzam tego robić.

Chwila ciszy.

– Czy ty i Derek... Sądzisz, że jego relacja z nią jest zakończona?

– Naprawdę czuję, że tak – odpowiada Marin z całą szczerością. – Oczywiście nie wiem tego na pewno, ale spędziliśmy razem kilka cudownych dni. To on wszystko zaplanował i mam poczucie, że to nasz... nowy początek.

Castro nie odpowiada. Marin może sobie tylko wyobrażać, co myśli. Nawet przez telefon czuje, że tamta ją ocenia, bo to właśnie kobiety robią wobec innych kobiet: oceniają. I mogłaby się założyć, że zdaniem Castro zbyt łatwo odpuściła Derekowi. Gdyby sytuacja była odwrotna, Marin też by tak uważała,

Czuje potrzebę przerwania niezręcznej ciszy.

– Zawiadomisz mnie, jeśli czegoś się dowiesz?

– Oczywiście – odpowiada Castro.

Żegnają się i rozłączają. Marin sięga po MacBooka. Nie pamięta, jak się nazywał współlokator McKenzie, ale wie, że widziała gdzieś jego imię i nazwisko w notatkach Castro. Chwilę to trwa, ale w końcu je znajduje, a wtedy otwiera Safari i wchodzi na Facebooka. Wpisuje w wyszukiwarce „Tyler Jansen”, a Facebook podsuwa jej całą listę Tylerów Jansenów. Ten, którego szuka, jest na pierwszym miejscu, ponieważ przerażający algorytm Facebooka już wie, że kilka razy wchodziła na konto McKenzie, a Tyler, jako jej współlokator, jest z nią powiązany na Facebooku.

Marin nie miała pojęcia, że Tyler jest Filipińczykiem, co tylko dowodzi, że nic nie da się powiedzieć o człowieku, znając tylko jego nazwisko. Na zdjęciu profilowym Tyler jest przystojny, między dwudziestką a trzydziestką, dobrze zbudowany. Wygląda na to, że pracuje jako barman i świetnie się przy tym bawi. Jego posty są ustawione jako publiczne, a kiedy Marin wchodzi na jego konto, ten o zniknięciu jego współlokatorki jest na samej górze.

Dodał zdjęcie ich dwojga siedzących na kanapie z kotem wciśniętym między nich. Pod zdjęciem napisał: Gdyby ktokolwiek rozmawiał z McKenzie Li, powiedzcie jej, żeby napisała esemesa do swojego współlokatora, bo to już, kurde, nie jest śmieszne.

Tyler zamieścił post tego ranka. Pod spodem jest ponad dwadzieścia komentarzy i Marin przegląda je wszystkie, myśląc o tym, że Vanessa Castro pewnie zrobiła to samo, zanim do niej zadzwoniła. Sądząc po pytaniach od różnych znajomych i odpowiedziach Tylera, nie widział jej od dwóch dni. Najwyraźniej czasami jedną lub dwie noce McKenzie spędza poza domem, ale nawet jeśli zapomina wcześniej go powiadomić – co, jego zdaniem, zdarza jej się dość często – zawsze odpisuje na jego esemesy. Wczoraj wieczorem go wystawiła, bo mieli pójść razem na kolację, a dzisiaj rano, mimo że wysłał jej kilka esemesów, w ogóle nie zareagowała. A odpisuje zawsze, nawet kiedy wie, że jest na nią wściekły.

Marin nic z tego nie rozumie. Jeśli nie odezwała się do swojego współlokatora, to naprawdę musiała zagać. Naprawdę coś jej się stało.

O Jezu.

Wchodzi na Instagrama. Ostatni post McKenzie jest z sobotniego wieczoru, zamieściła selfie, które zrobiła w domu ze swoim kotem i puszką czegoś, co wygląda na piwo, ale po bliższym przyjrzeniu okazuje się cydrem. Od tamtej pory nic, co, na ile zdążyła zorientować się Marin, samo

w sobie byłoby powodem do niepokoju, ponieważ McKenzie wstawia coś na Insta każdego pieprzonego dnia.

Marin loguje się w chmurze i po paru minutach udaje jej się dojść, gdzie przechowywane są dane z aplikacji Shadow. Wszystko jest w jednym pliku, który Marin przesyła w e-mailu do Castro. Cokolwiek Vanessa myśli o Dereku, nie miał z tym nic wspólnego. To wszystko wina Marin.

Musi się dowiedzieć, co zrobił Julian. A jedyną osobą, która może jej w tym pomóc, jest Sal. Wysyła mu esemesa:

Zyjesz?

Ha, ha, odpisuje Sal. Na ile to możliwe w Prosser.

Znowu tam jesteś? Marin jest zdziwiona. Wszystko w porządku z twoją mamą?

Jesteśmy w szpitalu, odpisuje Sal. Na badaniach. Związanych z obrażeniami mózgu.

Cholera. Skoro są w szpitalu, Marin nie chce pytać go o Juliana.

Uściskaj ją ode mnie, pisze. Kiedy wracasz?

Dziś wieczorem. Będę w barze.

Wpadnę. Musimy pogadać.

Trzy kropki migają i znikają, po czym znów migają, jakby Sal nie mógł się zdecydować, co napisać. Wreszcie pojawia się: OK.

To, co Sal wie o Julianie i McKenzie – jeśli w ogóle wie cokolwiek – będzie musiało poczekać.

Reszta dnia mija szybko dzięki napiętemu grafikowi w salonie. Ostatnią klientkę VIP Marin kończy obsługiwać o dwudziestej, ale niechcący zachlapała sobie sukienkę farbą do włosów, więc przed spotkaniem z Saleem musi jechać do domu, żeby się przebrać.

Odpowiedni strój do Baru Sala to dzinsy. Szybko przebiera się w garderobie, wkładając najwygodniejszą znoszoną parę. Schyla się po buty, a wtedy dostrzega coś dziwnego, coś, czego nie zauważyła rano, kiedy ubierała się do pracy.

Jej najcenniejsze Louboutiny zostały przestawione w inne miejsce.

Te designerskie szpilki z powodu wysadzanych kryształkami kokardek na noskach były przeznaczone na najbardziej wyrafinowane ze specjalnych okazji. Ktoś wziął je z ich zwykłego miejsca, na dole półki na buty, i umieścił na wysokości wzroku przed jej kolekcją torebek. Jeden but położył na boku, żeby pokazać charakterystyczną czerwoną podeszwę. Jakby ustawiał je do zdjęcia.

Czy zrobił to Derek? Albo Daniela? – zastanawia się Marin. Derek nie interesuje się jej butami, a Daniela w ciągu tych dziesięciu lat, od kiedy u nich sprząta, nigdy nie ruszała osobistych rzeczy Marin. Ostatnio Marin miała te buty na nogach na świątecznym balu w Waszyngtonie, na długo przed porwaniem Sebastiana, ponad dwa lata temu.

Kiedy odstawia Louboutiny na miejsce, jej wzrok pada na papierek leżący koło półki na buty. Jest częściowo zgnieciony, jakby wypadł komuś z kieszeni. Marin go podnosi.

To paragon za przejazd taksówką firmy Sunshine Cab Co. Pewnie Dereka. On często jeździ taksówkami, twierdząc, że woli je od Ubera, co jest komiczne, bo nigdy z Ubera nie korzystał. Potem jednak Marin dostrzega datę i godzinę wydrukowane na paragonie.

Jest sprzed dwóch dni, kiedy byli z Derekiem w Whistler. Marin wpatruje się w karteczkę tak niewinnie, że omal nie wyrzuciła jej bez oglądania. Chwilę trwa, zanim dociera do niej, co to oznacza.

Ktoś był w domu pod ich nieobecność.

24

W poniedziałkowy wieczór w Barze Sala jest duży ruch. Marinersi grają dziś na własnym boisku, dlatego wszyscy goście są w klubowych koszulkach.

Marin rzadko przychodzi tu wieczorami. Nie przywykła do przeciskania się przez tłum klientów wrzeszczących przed ekranami telewizorów i grupki mężczyzn oglądających się za nią, gdy ich mija. Dziwnie się czuje, przychodząc samotnie do zatłoczonego baru, odrzuciła jednak propozycję Dereka, który chciał jej towarzyszyć.

Właśnie wychodziła z domu, kiedy wrócił z pracy, a gdy powiedziała mu, dokąd się wybiera, zaskoczył ją swoją reakcją.

– Pójdę z tobą – zaproponował, a to był kolejny znak, że ich relacja się zmieniła. Tydzień wcześniej nic by nie powiedział.

– Idę tylko do baru Sala na piwo – odparła, wstrzymując oddech. – Powiedziałam mu, że wpadnę. Jego matka nie czuje się najlepiej.

Marin wie, że Derek nie lubi Sala, chociaż nigdy nie powiedział tego głośno. Sal bywa irytująco nieokrzesany, co dla Dereka jest niepojęte, ponieważ sądzi, że Sal dorastał w uprzywilejowanych warunkach. Wytwórnia win jego ojca cieszyła się niezłą renomą, a rodzina Sala miała i pieniądze, i dziedzictwo. Sal jednak nigdy nie chciał jednego, ani drugiego, czego Derek nie może zrozumieć, bo on od swojej rodziny nie dostał nic.

– Jesteś dobrą przyjaciółką – stwierdził Derek. – Jasne, jedź. I tak mam trochę roboty do odwalenia.

– Niedługo wrócę – zapewniła z ulgą. Wspięła się na palce i pocałowała go w usta.

Przyciągnął ją do siebie na kolejny pocałunek.

– Będę czekał.

Derek się stara, to oczywiste, co jest cudowne, a jednocześnie wprawia ją w zakłopotanie. Rozpadlina, która powstała między nimi po zaginięciu Sebastiana, wciąż tam jest, choć może już nie tak szeroka. Miłość i oddanie mieszają się z gniewem i urazą, więc trochę potrwa, zanim nadrobią te

wszystkie miesiące oddalenia i ich małżeństwo znów stanie na solidnym gruncie. Po raz pierwszy jednak od bardzo dawna Marin chce, żeby tak się stało. Po raz pierwszy, odkąd Sebastian zaginał, ich małżeństwo wydaje się sprawą nadrzędną.

Przynajmniej dzisiaj. Nie sposób przewidzieć, jak będzie się czuła, kiedy odkryje, co spotkało McKenzie.

Idąc przez bar, dostrzega Ginny, kelnerkę, z którą sypia Sal. I choć ta myśl Marin nie zachwyca, jej przyjaciel ma przecież prawo robić, co chce i z kim chce. Ginny jedną ręką usiłuje utrzymać w równowadze tacę pełną piw, a na widok Marin jej twarz posępnieje. Dzieli je niecałe pół metra i z bliska Marin spostrzega, że kelnerka jest znacznie młodsza, niż sądziła. Dawała jej trzydzieści kilka lat, teraz jednak widzi, że ma raczej dwadzieścia kilka. Łaa! Serio, Sal?

Zmusza się do uśmiechu.

– Jest Sal?

– W biurze. Powiedział, żebym cię tam skierowała, kiedy przyjdiesz. – Ginny macha głową w stronę zaplecza baru, po czym idzie dalej.

Na boisku bejsbolowym wydarzyło się właśnie coś, co wywołało radosne wiwaty w zatłoczonym barze. Marin mija faceta, który unosi rękę, żeby przybić jej piątkę. Marin uderza w przelocie jego dłoń.

Przeciska się do drzwi w głębi baru, za którymi ciągnie się długi korytarz. Po lewej stronie są łazienki, a po prawej kuchnia i małe biuro. Jeśli w ogóle można tak nazwać tę kłitkę. Mieści się tam tylko biurko i dwa krzesła.

Kiedy Marin puka i zagłąda do środka, Sal podnosi głowę.

– Hej – odzywa się. – Zamknij drzwi. W tym hałasie nie słyszę własnych myśli.

Marin spełnia jego prośbę i zgiełk dobiegający z głównej sali cichnie o połowę. Sal gestem wskazuje jej wolne krzesło, omiatając ją wzrokiem, kiedy siada naprzeciwko niego.

– Już się za mną stęskniłaś? Zwykle nie widuję cię aż dwa razy w jednym tygodniu. Cholera, ostatnio nie widuję cię nawet dwa razy w miesiącu.

Sal wydaje się podminowany, lecz zanim Marin pojmuje, że to nerwy, mija kilka sekund. Mija kolejnych kilka, zanim przypomina sobie powód jego zdenerwowania. Nie wie, że przyszła porozmawiać o McKenzie i Julianie. Marin i jej najlepszy przyjaciel przespali się ze sobą kilka dni

temu i Sal pewnie się spodziewa, że Marin oznajmi, jaki to potworny błąd popełnili i że to już nigdy nie może się powtórzyć. I po części ma rację.

– Zanim powiem coś jeszcze, chcę, żebyś wiedział, że nie żałuję. – mówi Marin łagodnie i Sal ze zdziwienia otwiera szeroko oczy.

– Ja też nie – zapewnia.

– Ale to nie może się już nigdy powtórzyć. – Marin uśmiecha się, żeby złagodzić te słowa. – Sal, jestem żoną innego mężczyzny. Ty jesteś moim najlepszym przyjacielem. I w tej chwili nie chcę, żeby jedno i drugie się zmieniło.

– A więc odbudowujecie z Derekiem wasz związek? – Marin wyczuwa napięcie w jego głosie.

– Na razie tak – potwierdza.

Sal skinął energicznie głową. Jeden raz. Marin jest okropnie przykro, że to ona sprawiła, iż z jego twarzą dzieje się w tej chwili to, co zwykle, gdy Sal słyszy coś bolesnego. Próbuje to ukryć, lecz jest cały spięty, przyciska dłonie do biurka, jakby powstrzymywał się ze wszystkich sił, żeby w coś nie walnąć.

– Derek i ja jesteśmy razem od dwudziestu lat – przypomina Marin, jakby Sal o tym nie wiedział. – Oboje popełniliśmy straszne błędy.

– Ja znam cię jeszcze dłużej – zauważa Sal. – Ale jeśli tego właśnie chcesz, rozumiem. Nie oczekiwałem niczego więcej.

– A czy chciałeś czegoś więcej?

– Czy to ma jakiegokolwiek znaczenie? – Zapada między nimi cisza. Po kilku sekundach Sal macha ręką. – Nie przejmuj się tym. Rozumiem. W porządku, Mar. Chociaż to nie jest zbyt fajne, być rzuconym dwa razy dla tego samego faceta.

Oboje wiedzą, że Marin go nie rzuciła. Ani na studiach, ani teraz. Pozwala mu jednak mieć ostatnie słowo, bo chociaż tyle może dla niego zrobić.

– I to wszystko? – Sal przechyla głowę. – Mogłaś mi to powiedzieć przez telefon. Nie obraziłbym się.

– Tak naprawdę to nie dlatego tu przyszedłam. – Marin pochyla się do przodu i zniża głos, chociaż są w biurze i nie ma mowy, żeby ktoś ich usłyszał w całym tym barowym rejuwach. – Chcę, żebyś potwierdził, że porozumiałeś się z Julianem po moim wczorajszym esemesie.

– Z Julianem? Tak, zrobiłem to. – Sal mruży ciemne oczy. – Bo co?

– McKenzie zaginała.

Sal mruga.

– Kto?

– Ta dziewczyna, z którą Derek... się spotykał. – Marin uświadamia sobie nagle, że chyba nigdy nie podała Salowi jej imienia. Pokazała mu tylko zdjęcie McKenzie, nagie selfie, które na jakiś czas ustawiła jako tapetę w telefonie. Teraz zmieniła je na zdjęcie swoje i Dereka z Whistler. – Zniknęła.

Teraz Sal nachyla się do niej przez biurko.

– Jak to zniknęła?

– Od wczoraj nie ma jej w domu. Jej współlokator zamieścił post na Facebooku. – Marin wyjmuje telefon i pokazuje mu facebookowy status Tylera.

– To teraz śledzisz też jej współlokatora? – Sal łypie na wyświetlacz. Potrzebuje okularów do czytania, podobnie jak ona, lecz żadne z nich jeszcze nie chce ich nosić.

– Jasne. – Marin kręci głową. – Poprosiłam detektyw, żeby zajęła się tym romanssem, chociaż pewnie nie powinnam była, zważywszy, że omal nie zatrudniłam Juliana, by... – Marin urywa i odchrząkuje. – Zwróciła uwagę na to, że teraz zaginęły już dwie osoby z bliskiego otoczenia Dereka. Twierdzi, że Derek stanowi wspólny mianownik tych zaginięć.

Sal zamiera.

– To ona nadal prowadzi śledztwo w sprawie dziewczyny Dereka?

– Ona nie jest już jego dziewczyną! – wybucha Marin.

– Dziewczyną, kochanką, wszystko jedno. – Sal głośno wypuszcza powietrze. – Jezu Chryste, Mar, miałaś ją odwołać. Jeszcze tego nam, kurwa, brakuje, żeby zaczęła węszyć wokół Juliana. – Krzywi się. – To się nigdy dobrze nie kończyło. Możesz mi wierzyć.

– Odwołałam ją. Ale ona powiedziała, że już zaczęła kopać.

– I wysnuła teorię, że za oboma porwaniami stoi ta sama osoba? Z powodu czegoś, co ma związek z Derekiem?

– No a co niby miała pomyśleć? – Marin jest zdenerwowana i jej głos brzmi ostrzej, niż zamierzała. Oddycha głęboko i łagodni ton. – Ale bez obaw. To znaczy, jeśli chodzi o Juliana. Przecież ona nic o nim nie wie. Nie wie, co próbowałam zrobić.

– Niczego nie próbowałaś robić – mówi Sal z naciskiem. – Słyszysz mnie? Spotkałaś się w knajpie z moim znajomym. Zjedliście kolację. Następnego dnia w przypiływie hojności, zupełnie niezwiązanej z tym spotkaniem,

przekazałaś sporą kwotę pewnej organizacji charytatywnej. To wszystko, co zrobiłaś, jasne? W każdym razie to wszystko, co ktokolwiek ma prawo wiedzieć o twoich działaniach.

– A co z tym, co wie Julian?

– Ten koleś nic, kurwa, nikomu nie powie – zapewnia Sal. – Posrałabyś się, gdybym ci powiedział, dla ilu osób prał pieniądze. I to znanych osób. On nigdy nie puści pary z gęby. Tacy jak on mają swój kodeks honorowy.

– Tacy jak on? To ilu ty znasz takich jak on?

– Kilku.

– Chryste, Sal.

Sal sięga przez biurko i bierze ją za rękę.

– Marin, niczego nie zrobiłaś, słyszysz? Cokolwiek przydarzyło się dziewczynie Dereka, to nie twoja wina. – Zastanawia się chwilę. – Kiedy poszłaś wtedy ją namierzyć w barze kawowym, płaciłaś kartą czy gotówką?

– Mmm... – Marin musi sobie przypomnieć. – Gotówką. Wrzuciłam resztę do słoika na napiwki. A co? Myślisz, że policja będzie mnie przesłuchiwać?

– Tylko jeśli się dowiedzą, że tam byłaś. Ale się nie dowiedzą. Poza tym współlokatorem kto w ogóle będzie jej szukać?

Mózg Marin pracuje na najwyższych obrotach.

– Jesteś pewny, że powiedziałeś Julianowi, że zmieniałam zdanie?

– Jestem pewny.

– A jesteś całkowicie pewny, że otrzymał twoją wiadomość?

– Mar, nie było żadnej wiadomości. Rozmawiałem z nim. – Sal przewraca oczami, wyraźnie rozdrażniony, że musi jej się tłumaczyć. – Powiedziałem mu jasno i wyraźnie, że nie chcesz realizacji zlecenia. Nie będę cię oszukiwał, był wkurzony, powiedział, że już puścił sprawy w ruch. Kazałem mu odkręcić, cokolwiek zaczął. Zgodził się, ale przypomniał, że nie dostaniesz z powrotem pieniędzy. Powiedziałem mu, że będziesz czekała na pokwitowanie darowizny.

Marin wzdycha przeciągle, bardzo jej ulżyło.

– To o co tu chodzi? Czy to może być zwykły zbieg okoliczności, że zaginęła?

– Nie wiem. – Sal wzrusza ramionami. – I szczerze mówiąc, gównu mnie to obchodzi. I dziwię się, że ty się tak przejmujesz. Jest młoda i pewnie nieźle szajbnięta. Może spiknęła się z jakiś innym koleśkiem, nie wróciła na noc, zapomniała powiedzieć współlokatorowi? To wszystko nie ma żadnego związku z tobą, więc czym tu się martwić? Chciałaś, żeby

zniknęła. I zniknęła. Znowu jesteś z Derekiem, więc to tak, jakby ona nigdy nie istniała. – Milknie i przygryza dolną wargę. – Jakby to się w ogóle nie wydarzyło.

– Mówisz o nich czy o nas?

Sal nie odpowiada. Jest wściekły. Marin teraz to widzi.

– Sal, jesteś na mnie zły?

– Nie jestem na ciebie zły. – Na kilka sekund odwraca wzrok, patrzy w ścianę, po czym wzdycha. – No dobra. Może trochę. A może po prostu czuję się zraniony. I pewnie trochę wykorzystany.

– Sal! – Marin prawie się śmieje. To ostatnia rzecz, jaką spodziewała się usłyszeć z jego ust. – Wykorzystany? Serio?

– Trochę tak. – Sal unosi brew. – Co, tak trudno w to uwierzyć? Jakby facet nie mógł czuć się wykorzystany i wyrzucony niczym wczorajsza gazeta?

– Przy tych wszystkich twoich przygodnych randkach? – Marin unosi brew, naśladując jego mimikę i próbując obrócić to w żart.

– Z tobą to nigdy nie mogłoby być przygodne – mówi Sal cicho. – I wiem, że zdajesz sobie z tego sprawę i że właśnie dlatego to zrobiłaś. Bo wiedziałaś, że nie potrafiłbym ci odmówić. Bo dla mnie jesteś przeciwieństwem przygodności, Marin. Wykorzystałaś to. I mnie. Ale rozumiem. Jak ty mi to kiedyś powiedziałaś po śmierci mojego ojca? Że ludzie zranieni... ranią innych ludzi.

Patrzą na siebie przez kilka sekund, tak długo, jak on na to pozwala. Sal ma całą swoją udrękę wypisaną na twarzy.

– No tak, jestem pewna, że widziałam to w programie Oprah Winfrey – rzuca Marin i oboje wybuchają śmiechem. Ten śmiech rozładowuje napięcie i oddychają z ulgą.

– Masz rację – przyznaje Marin. – We wszystkim, co powiedziałaś. Zdawałam sobie z tego sprawę. Potrzebowałam być z kimś blisko. Chciałam poczuć się pożądana, piękna i dostrzeżona. A ty zawsze sprawiasz, że taka się czuję. I zawsze będę cię za to kochała.

– Jak przyjaciela – precyzuje Sal.

– Bardziej niż przyjaciela. – Marin chce, żeby wiedział, że to prawda, bo tak jest. – O wiele, wiele bardziej. Tyle że... nie jak męża.

Sal kiwa powoli głową.

– No tak. W porządku. Rozumiem.

– Zawsze będę chciała, żebyś był w moim życiu. Nie zostawiaj mnie, Sal. Możesz się na mnie wściekać, ile tylko chcesz, ale proszę, nie zostawiaj mnie. Nie przeżyłabym tego.

– Nigdy. – Nie patrzy Marin w oczy, ale ściska jej dłoń.

– Już dobrze między nami?

Wreszcie spogląda na nią z nikłym uśmiechem, choć jego oczy pozostają smutne.

– Kobieto, daj spokój. Między nami nigdy nie było dobrze.

– A możesz wyświadczyć mi przysługę? – pyta Marin. – Mógłbyś po moim wyjściu raz jeszcze skontaktować się z Julianem i upewnić się, że naprawdę nic jej nie zrobił? Proszę.

– Mówiłem ci już... – zaczyna Sal, lecz urywa. – Wiesz co, oczywiście, że mogę to zrobić. Jeśli dzięki temu będziesz spała spokojnie. – Milknie na chwilę. – Co jeszcze mówiła ta detektyw? Coś nowego w sprawie Sebastiana?

– Zupełnie nic. – Teraz Marin wzdycha z frustracją. – Nawet o nim nie rozmawialiśmy. Ale kiedy zadzwoniła, omal nie zemdlałam. Zwykle przysyła e-maile. Byłam przekonana, że ma dla mnie złe wieści.

Przez chwilę siedzą w milczeniu, aż nagle telefon Marin pika. To esemes od Dereka:

Kiedy wracasz? Robię popcorn i nie chcę oglądać Stranger Things bez Ciebie.

Ta wiadomość wywołuje uśmiech na jej twarzy.

– Powinnam już iść – mówi do Sala.

Sal wychodzi z biurka, żeby ją uściskać. Ona obejmuje go mocniej niż on ją i wygląda na to, że po raz drugi w ciągu dwunastu lat złamała mu serce. Marin cofa to, co powiedziała tuż po przyjściu tutaj. Jednak żałuje. Ale nie dlatego, że zrobili, co zrobili. Dlatego, że tak to na niego podziałało.

Zamyka za sobą drzwi i na korytarzu wpada na Ginny, która wychodzi z damskiej toalety. Chyba właśnie pociągnęła usta szminką, jej włosy też wydają się bardziej lśniące. I musiała spryskać się perfumami, bo Marin czuje jej zapach z pół metra. Na widok Marin Ginny natychmiast rzędzie miną.

– Hej, Sal nadal w biurze? – pyta.

– Tak, nadal. – Marin mija ją w wąskim korytarzu. Są tak blisko, że ocierają się ramionami. – Jest cały twój.

– Jesteś przezabawna – stwierdza kelnerka, a Marin przystaje i się za nią ogląda. Ginny ma głos jak lód, a oczy jak sztylety. – Przez ciebie Sal nigdy nie będzie czyjkolwiek.

25

Pogrzeb Thomasa Payne'a odbywa się w kościele pod wezwaniem świętego Augustyna, w tym samym miejscu, w którym Marin po raz pierwszy spotkała Frances, Simona i Lilę. Wnętrze jest przestronne i z łatwością może pomieścić w ławkach czterystu wiernych, jednak w ten deszczowy wtorkowy poranek zaledwie około trzydziestu osób zajmuje pierwsze trzy rzędy.

Nie bardzo wiadomo, co powiedziec Frances. Nieoficjalna przywódczyni ich grupy wita się z Marin, Lilą i Simonem, gdy kolejno do niej podchodzą. Umówili się we trójkę przed kościołem, żeby stawić czoło temu dniu jako drużyna. Frances jest blada, ale spojrzenie ma przytomne. Ubrana jest w luźną czarną sukienkę, czarny szal i czarne chodaki, a jej długie, kędzierzawe, siwiejące włosy sterczą na wszystkie strony. Marin po raz pierwszy, odkąd ją zna, widzi szminkę na jej wargach, w jaskraworóżowym odcieniu rozświetlającym całą jej twarz. Frances przytula każde z nich przez całą minutę, pozwalając im powiedziec to, co muszą powiedziec, przyjmując ich kondolencje z uśmiechem, który daje im do zrozumienia, że cieszy się z ich obecności.

Marin idzie za Simonem i Lilą do ławki w drugim rzędzie. Trudno nie gapić się na lakierowaną, brązową, drewnianą trumnę przy ołtarzu ozdobioną białymi kwiatami. Po obu jej stronach stoją powiększone, oprawione w ramki zdjęcia Thomasa.

– Frances doskonale to znosi – szepcze Lila, gryząc kciuk. – Myślałam, że będzie w rozsypce.

– Co ty nie powiesz? – Marin miała dokładnie takie same myśli. Spodziewała się, że zobaczy Frances otumanioną i ledwie trzymającą się na nogach, tymczasem jest w niezłej formie.

Patrzą we troje na zamkniętą trumnę. Fotografie stojące przy lśniącym drewnie ukazują dwa bardzo różne oblicza Thomasa Payne'a. Zdjęcie po lewej Marin widziała już wcześniej. To to samo, które Frances zawsze pokazuje, kiedy mówi o swoim synu, to samo, które co roku zamieszcza na Facebooku w dzień jego urodzin. Na nim Thomas ma piętnaście lat,

balansuje niezdarnie na krawędzi męskości, prezentując ładne zęby i kilka pryszczu na brodzie. Jego rude włosy – w takim samym odcieniu, jak kiedyś włosy jego matki – schowane są pod sfatygowaną czapkę Marinersów, której daszek idealnie obramowuje kontur jego czoła.

Na zdjęciu po prawej Thomas jest mężczyzną. To zdjęcie Marin widzi po raz pierwszy i nie ma pojęcia, gdzie Frances je zdobyła ani jak dawno zostało zrobione. Thomas jest już dorosły, twarz ma ładnie rzeźbioną, lecz zapadniętą, włosy ostrzyżone niemal przy skórze. Opiera się o ceglana ścianę jakiegoś budynku ubrany w brudne dżinsy i czarny T-shirt, przeraźliwie chudy, ma zniszczoną skórę, z jego spierzchniętych warg zwisa papieros. Spojrzenie ma znękanę. Łatwo można by go było wziąć za trzydziestocztero-, a nie dwudziestoczterolatka. Chociaż można się domyślać, jaki mógłby być przystojny, gdyby przez ostatnich dziewięć lat nie był bezdomny i uzależniony od narkotyków, trudno patrzeć na to zdjęcie. Może dlatego właśnie Frances zdecydowała się je wystawić. Marin jeszcze nigdy nie spotkała osoby tak niezdolnej do koloryzowania rzeczywistości i potrafi zrozumieć, że Frances nie chce udawać, że jej syn umarł, wyglądając tak samo jak nastolatek, którym był, kiedy opuścił dom.

– Mogę z wami usiąść?

Ten głos wyrywa Marin z zamyślenia. Obok ławki stoi Jamie, najnowszą członkini ich grupy. Marin prawie jej nie poznała. Ma na sobie dopasowaną czarną sukienkę i buty na ośmiocentymetrowym obcasie, jej starannie uczesane rozpuszczone włosy w niczym nie przypominają wilgotnej płataniny strąków z ich pierwszego spotkania. Marin nie kontaktowała się z Jamie w sprawie pogrzebu – szczerze mówiąc, zupełnie o niej zapomniała – więc albo Frances do niej zadzwoniła, albo Jamie znalazła informację na facebookowej stronie grupy.

– Oczywiście. – Marin ukrywa zaskoczenie i odwraca się do Lili i Simona.
– Jest Jamie. Posuńcie się.

Wszyscy przesuwają się o jedno miejsce i Jamie wciska się między Marin a rzeźbiony brzeg ławki.

– Jak się masz? – pyta ją Marin.

– Wiesz, nigdy nie wiem, jak odpowiadać na to pytanie. – Jamie mówi cicho, wychylając się przed Marin, żeby dyskretnie pomachać Lili i Simonowi. – Mam poczucie, że jeśli powiem „dobrze”, to ludzie pomyślą: Jak to dobrze? Twoje dziecko zaginęło. A jeśli powiem, że okropnie, to wszyscy czują się podle i niezręcznie, i żałują, że w ogóle mnie o to pytali.

– Ja lubię odpowiadać: „Jakoś sobie radzę” – mówi Marin i uśmiecha się nieznacznie do Jamie. Doskonale rozumie, co ona czuje. – To im przypomina, że przeżywam coś trudnego, ale nie określa jednoznacznie, czy mam się dobrze, czy źle.

– „Jakoś sobie radzę”. – Jamie wypróbujecie te słowa. – Podoba mi się. – Siedzą przez chwilę w milczeniu, po czym Jamie wyznaje: – Niewiele brakowało, a bym nie przyszła.

– Frances by zrozumiała.

– Musiałam jednak zobaczyć to na własne oczy. – Marin ma wrażenie, że Jamie mówi bardziej do siebie niż do niej. – W przypadku naszych dzieci są tylko trzy możliwości: na zawsze pozostaną zaginione, odnajdą się całe i zdrowe albo odnajdą się martwe. Musiałam się przekonać, jak wygląda jedna z tych możliwości. Żeby być... przygotowaną.

Organista zaczyna grać pierwsze takty Amazing Grace i wśród żałobników zapada cisza. Wszyscy mogą otworzyć śpiewniki, żeby śpiewać, ale Marin nie musi. Zna słowa.

– Okropność – szepcze Lila do jej ucha, kiedy pastor podchodzi do mównicy. – Wiem, że to egoizm, ale to najdosłowniej ostatnie miejsce na świecie, w jakim kiedykolwiek chciałabym się znaleźć. Nie chcę tutaj być.

– Wiem – odszeptuje Marin. – Ale to Frances. Przynajmniej tyle możemy dla niej zrobić.

Stypa odbywa się w Big Holes, i chociaż frontowe drzwi nie są zamknięte, wywieszka informuje klientów, że pączkarnia jest nieczynna z powodu prywatnej uroczystości rodzinnej. Frances zamówiła kanapki i wegetariańskie przekąski, które nie są tak smaczne, jak pączki i kawa, ale prawie wszyscy je jedzą. Marin rozpoznaje garstkę osób, które przychodziły na grupę, gdy do niej dołączyła. Nie licząc jednak krótkiego powitania i zdawkowej wymiany zdań, dawni członkowie nie zadają się z aktualnymi. Bez względu na to, z jakiego powodu przestali przychodzić, taką podjęli decyzję i nikt z nich nie czuje się tutaj swobodnie. Siedzą po przeciwnej stronie sali.

Były mąż Frances – Marin widziała go tylko na zdjęciach, na których był młodszy i chudszy – teraz jest łysy, brodaty i kluchowaty. Kuli się w kącie z drugą żoną i ich synem, cichym, mniej więcej dwunastoletnim chłopcem niesamowicie przypominającym piętnastoletniego Thomasa, tylko bez rudych włosów. Były mąż Frances większość poranka przepłakał,

szlochając szczeniście i rozdzierając, a jego żona najwyraźniej nie ma pojęcia, jak go pocieszyć.

Marin siedzi w rogu z Lila, Simonem i Jamie. Wysłała esemesa do Sadie, informując ją, dokąd się wybiera, ale Derekowi nic nie powiedziała. On wie, kim jest Frances, jednak nigdy się nie poznali. Derek nie brał udziału w spotkaniach grupy i Marin uznała, że nie ma sensu dzielić się z nim tą straszną wiadomością.

Stypa trwa zaledwie od pół godziny, a Marin już straciła rachubę, ile pączków zjadł Simon. Jamie zasięga jego rady w sprawie samochodów – rozważa kupno highlandera – a Lila szpieguje na Facebooku kobietę, z którą, jak podejrzewa, sypia jej mąż. Marin nadal nie zna historii Jamie, ale może podzielić się nią ze wszystkimi na kolejnym spotkaniu grupy.

Jeśli w ogóle będzie kolejne spotkanie, co nie jest oczywiste, biorąc pod uwagę powód ich dzisiejszej obecności w Big Holes.

– A w ogóle to ona nawet nie jest ładna. – Lila powtarza to już po raz trzeci i pokazuje Marin kolejne zdjęcie domniemanej kochanki swojego męża. Marin się z nią zgadza, chociaż gdyby było inaczej, i tak by jej tego nie powiedziała. Tamta kobieta z całą pewnością nie wygląda jak supermodelka, ale przecież nie musi. Jest zwyczajną osobą z okropnym gustem. – No sama powiedz. Co ten Kyle w ogóle w niej widzi?

To, że nie jest tobą, myśli Marin, ale oczywiście nie mówi tego głośno. Lila nie to chce usłyszeć.

– Ty jesteś o wiele bardziej atrakcyjna.

– Możesz uwierzyć, że on wciąż się wypiera? – Lila w dalszym ciągu wpatruje się w telefon. – „Tylko się przyjaźnimy, kotku, wyluzuj”. Ale nie chodzi się po nocy na drinki i na tańce z kobietą, która jest tylko przyjaciółką. Wiem, że on ją posuwa. Wiem to. Czuję.

– Doprowadź do konfrontacji z tą kobietą – proponuje Simon, jedząc pączka z syropem klonowym. – Jeśli on nie chce się przyznać, może ona to zrobić.

– To okropny pomysł. Co to niby jej da? – Marin rzuca Simonowi karcące spojrzenie, a on wzrusza ramionami, jakby chciał powiedzieć: „No co?”. Marin znowu zwraca się do Lili: – Kyle wcale nie musi się przyznawać. Twoja intuicja nie kłamie, a nikt nie zna go lepiej niż ty. Ale pamiętaj, że cokolwiek robi, tu nie chodzi o nią, tylko o niego. To, co musicie przepracować, dotyczy tylko was dwojga. Ona mogłaby być kimkolwiek. Ta kobieta w ogóle się nie liczy.

Powinna była posłuchać swojej własnej rady. Ale z niej hipokrytka, doskonale wie, co czuje Lila. Na litość boską, szpiegowała kochankę Dereka w jej miejscu pracy, a potem o północy wylądowała w jakiejś knajpie z obcym facetem, z którym planowała morderstwo. Tonący brzytwy się chytyła i na nic nie zważa. Kiedy idziesz pod wodę, łapiesz się wszystkiego, czego tylko się da, jeśli wierzysz, że dzięki temu jeszcze choć raz zaczerpniesz powietrza. Bez względu na romans Dereka liczba okropnych decyzji, jakie podejmowała Marin, odkąd straciła synka, napędza ją zgrozą i wstydem. McKenzie Li jest w wieku Thomasa. Gdyby Marin się nie opamiętała, to McKenzie mogłaby leżeć dziś w trumnie.

W pączkarni nagle robi się gorąco i Marin uświadamia sobie, że jest spocona. Wstaje tak gwałtownie, że omal nie przewraca krzesła.

– Dokąd idziesz? – pyta Lila, odrywając wzrok od telefonu. – Wszystko w porządku?

– Muszę tylko zaczerpnąć powietrza. – Marin stara się, żeby zabrzmiało to normalnie, lecz jest jej coraz bardziej gorąco. Ma wrażenie, że ściany na nią napierają. Jeśli natychmiast stąd nie wyjdzie, dostanie jakiegoś ataku. Thomas nie żyje, Sebastiana wciąż nie odnaleziono, zaginęła McKenzie, a ona siedzi tu z dwojgiem przyjaciół, i może z jedną nową przyjaciółką, których dzieci także zaginęły. To dla niej za dużo. – Wrócę za kilka minut.

Marin idzie na zaplecze małej pączkarni i obiema rękami pcha prowadzące na zewnątrz drzwi. Owiewa ją rześkie poranne powietrze. Ten chłód na jej skórze jest boleśnie ożywczy, niczym bardzo potrzebne uderzenie w twarz.

Na drewnianym ogrodowym stole stojącym przy tylnych drzwiach siedzi Frances i pali. Ich spojrzenia się spotykają i Marin widzi, że to nie zwykły papieros. Nos Marin przenika dusząca słodycz marihuany.

– Przepraszam – mówi do Frances, a to słowo wydobywa się z jej ust ledwie słyszalnie. Ulga, jaką poczuła, wyrwawszy się z klaustrofobicznego wnętrza, przemienia się w poczucie winy, że zakłóciła rozpaczającej matce spokojną chwilę samotności. – Nie wiedziałam, że tu jesteś. Mogę wrócić do środka.

– Nie przepraszaj. – Głos Frances brzmi nieco bardziej chrapliwie niż zwykle. Frances przesuwając się kawałek na blacie stołu. – Chcesz usiąść?

– Naprawdę nie chcę ci przeszkadzać...

– Marin, w niczym mi nie przeszkadzasz. – By podkreślić swoje słowa, Frances klepie stół. Zaciąga się jointem. – Usiądź obok mnie. Przyda mi się

odrobina ciepła. Trochę tu zmarzłam.

Marin siada obok przyjaciółki. Drewno ziębi w tyłek i przechodzi ją dreszcz, ale po chwili blat rozgrzewa się pod wpływem jej ciepła. Rozważa, czy nie wrócić do środka po płaszcz, lecz atmosfera w pączkarni jest zbyt przytłaczająca.

– Jak się czujesz? – pyta łagodnie.

Frances nie odpowiada, a Marin przypomina się krótka rozmowa, jaką odbyła w kościele z Jamie. „Jak się masz?” to dla nich wszystkich trudne pytanie w normalny dzień, a w dzień pogrzebu syna jakiej niby odpowiedzi może udzielić Frances? Kiedy w ubiegłym tygodniu widziały się na grupie, były w takiej samej sytuacji. Obie miały zaginione dzieci.

Dziś wszystko jest inaczej. Thomas nie jest już zaginiony.

– Możesz mi wierzyć albo nie, ale tej nocy właściwie nieźle spałam – mówi Frances. – No wiesz, naprawdę spałam. Padłam koło jedenastej, a dziś rano obudziłam się w dokładnie takiej samej pozycji, w jakiej zasnęłam.

– To chyba dobrze. To był dla ciebie stresujący czas. Potrzebowałaś odpoczynku.

– Nie miałam żadnych snów. – Frances po raz kolejny wydmuchuje kącikiem ust długą smugę dymu, która wije się w chłodnym powietrzu i znika. Proponuje Marin macha, lecz ta kręci z uśmiechem głową. Nie paliła trawki od czasu studiów. – A nawet jeśli coś mi się śniło, to nic nie pamiętam. Wiem tylko, że kiedy otworzyłam oczy, była siódma, a ja umierałam z głodu. Więc zesłam na dół, wyciągnęłam żeliwną patelnię i usmażyłam sobie omlet z czterech jajek, z grzybami, szynką i serem. I pochłonęłam całe to cholerstwo.

– Z czterech jajek? Myślałam, że nie jadasz śniadań.

– Zazwyczaj nie. Ale byłam potwornie głodna. A później wróciłam na górę, wzięłam długi prysznic i łkałam jak dziecko. Płakałam naprawdę straszliwie, a sami wiecie, że nie jestem z tych płaczliwych. Stałam pod prysznicem tak długo, aż woda zaczęła robić się zimna.

– Och, Frances... – szepcze Marin, jednak przyjaciółka na nią nie patrzy. Patrzy na skręta, którego wypaliła niemal do końca. – Straciłaś syna. Co niby miałaś zrobić? Jak niby miałaś się czuć?

Frances podnosi głowę.

– Chodzi o to, Marin, że nie płakałam, dlatego że było mi smutno. Nie żeby nie było – dodaje natychmiast, wypatrując na twarzy Marin

jakichkolwiek oznak potępienia. Nie znajduje żadnych. – Oczywiście, że jest mi smutno. Jestem zdruzgotana. Ale płakałam, bo... miałam poczucie winy.

– Z jakiego powodu?

– Że poczułam taką cholerną ulgę. – Opuszcza głowę. – Bo już jest po wszystkim. Nareszcie wiem, gdzie jest mój syn. Czy to nie okropne? Czy to nie najgorsza rzecz, jaką może powiedzieć matka? Mój syn leży w trumnie, a ja czuję ulgę, bo wiem, że on tam jest. To znaczy, jasna cholera, Marin! Czy to nie potworne? Jutro mam go pochować. Złożyć mego syna do grobu. Jak mogę czuć cokolwiek innego niż rozpacz?

Marin ujmuje dłoń Frances. Jest równie zimna jak jej, a skóra na kanciastych knykciach wydaje się cienka niczym papier.

– Ale już jest po wszystkim. I może nie uzyskałam odpowiedzi na każde pytanie, ale przynajmniej nie muszę już czekać, aż wróci do domu. Przez ostatnią dekadę miałam takie straszne bóle w krzyżu...

– Wiem, chodziłaś nawet do kręgarza.

– ...a dziś rano, kiedy się obudziłam, nie potrzebowałam środka przeciwbólowego. Chciało mi się tylko jeść. Dawno się tak dobrze nie czułam. Bo już wreszcie nie muszę się niczego bać. Odkąd Thomas zniknął, cały czas czekałam na ten telefon, na pukanie do drzwi, na to, że ktoś mi powie, że mój syn nie żyje. Śniło mi się to i drżałam przed tym, i byłam przerażona, jakby ta wiadomość była takim złym duchem, który w każdej chwili mógł skądś wyskoczyć i mnie dopaść. Ale w tym strachu jest także nadzieja. – Marin kiwa głową. Doskonale to rozumie. – I właśnie ta nadzieja sprawia, że nie możesz przed tym uciec. Ta nadzieja sprawia, że tkwisz w tej emocjonalnej próżni czekania, z której nie możesz się wyrwać, ani żeby pójść do przodu, ani do tyłu. Możesz tylko wirować w miejscu, bo nie masz żadnego wyczucia kierunku, bo po prostu nie wiesz...

Frances urywa, bo głos więźnie jej w gardle i Marin spostrzega, że przyjaciółka ma mokre oczy. Widok łez Frances jest porażający.

– A teraz jest już po wszystkim – podejmuje Frances. – Nie takiej odpowiedzi pragnęłam, ale i tak zawsze wiedziałam, że taką właśnie dostanę.

To ostre słowa i Marin się wzdryga.

– Przepraszam cię, Marin. – Głos Frances jest ochryply. Ciska niedopałek skręta na ziemię i bierze Marin za rękę. – Wiem, że to z mojej strony strasznie niedelikatne powiedzieć coś takiego. Szczególnie tobie. Nie

sugeruję, broń Boże, że tego właśnie możesz się spodziewać w związku z Sebastianem, po prostu... tak to w tej chwili czuję. Dla mnie takie to właśnie jest.

– Ani mi się waż przepraszać – obrusza się Marin, nie chcąc zwiększać cierpienia przyjaciółki przyznaniem się, że ona też cierpi. – Czujesz to, co czujesz, i powinnaś mieć możliwość wyrażenia swoich uczuć. Bóg jeden wie, jak dużo przeszłaś.

Frances ściska jej dłonie.

– Nie życzę tego tobie, rozumiesz? – Głos ma natarczywy, czym zmusza Marin, żeby spojrzała jej prosto w oczy. – Nie życzę tego tobie, Simonowi czy Lili ani komukolwiek w tym pomieszczeniu – skinieniem głowy wskazuje tylne drzwi pączkarni – czyje dziecko wciąż jest zaginione. Nie o takie rozwiązanie się modliłam.

– Wiem. Wiem, Frances.

– Ale, Marin, jestem wdzięczna. – Marin oddycha głęboko. – Ogromnie wdzięczna, że ten koszmar niewiedzy się skończył. I teraz czuję się... czuję się...

Frances znowu zaczyna szlochać, opiera się o Marin, a Marin obejmuje ją i też zaczyna płakać, opłakuje stratę przyjaciółki, jej ból i poczucie winy, a także swoją stratę, swój ból i swoje poczucie winy, płacze, ponieważ kocha Frances, czuje jej cierpienie, współczuje jej.

– Jak się czujesz? – szepcze Marin, obejmując ją mocno i głaszcząc po włosach. – Powiedz mi.

– Wolna. – Frances z trudem wykrztusza to słowo, szlochając. – Czuję się wolna.

Marin przytula ją jeszcze przez chwilę, a potem Simon przychodzi po nie i pora wracać do środka. Ale patrząc, jak jej przyjaciółka krąży po maleńkiej pączkarni, częstując gości kanapkami, warzywami, pączkami i kawą, Marin myśli tylko o tym, że ma do niej żal z powodu tego, co powiedziała. Marin ma do niej żal, że tak się czuje, że się do tego przyznała i że to prawda.

Frances jest wolna.

Marin jej zazdrości i nienawidzi się za to.

26

Przez jakieś cztery, pięć sekund z samego rana Marin nie pamięta. Wszystko wydaje się normalne, takie, jakie byłoby dla każdej innej osoby budzącej się ze snu.

A potem nagle to ją uderza. Zupełnie jakby traciła go na nowo. Ból jest intensywny, paraliżujący, uciska pierś, grozi, że połamie jej kości, zmiążdży mięśnie i wycisnie z niej życie, ponieważ ośmieliła się zrobić coś tak prostego i naturalnego, jak przebudzenie się ze snu.

Otwiera oczy i wbija wzrok w punkt na suficie. Wdech, wydech. Wdech, wydech... Po kilkunastu oddechach ból w jej piersi słabnie.

Minęły czterysta dziewięćdziesiąt trzy dni.

Marin przekręca się na bok i sięga po telefon, żeby sprawdzić, co to za eemes ją obudził. Żyjesz?

Odpisuje Salowi zdrętwiałymi od snu palcami Dzień dobry, po czym odkłada telefon na szafkę.

Nie rozumie, jak Sal może prowadzić bar i budzić się wcześniej od niej, ale on nigdy nie potrzebował dużo snu. Na studiach często kładli się spać o drugiej nad ranem, napaleni i podpici, a alkohol, który wypił, nie miał wpływu na jego wydolność seksualną. Następnego ranka Marin budził zapach smażonego bekonu i jajek, bo Sal szykował dla nich śniadanie. Odwrotnie niż Marin, która najlepiej funkcjonuje po pełnych ośmiu – a najlepiej dziewięciu – godzinach snu i która od czterystu dziewięćdziesięciu trzech dni ani razu nie zasnęła bez tabletki.

Po pogrzebie Thomasa wyszła z Big Holes razem z Jamie. Przystanąły przy swoich samochodach, żeby chwilę pogadać, bo znowu tak się złożyło, że zaparkowały obok siebie. Może to pogrzeb miał takie oczyszczające działanie, pozwolił im przecież kilkakrotnie w ciągu całego dnia porządnie sobie popłakać, w każdym razie Jamie wreszcie wyjawiała Marin swoją historię. Jej córka zaginęła nieco ponad dwa miesiące temu, uprowadzona przez byłego męża Jamie, którego określiła jako narcystycznego. Marin знаła to słowo, ale nie w klinicznym sensie, więc Jamie jej wyjaśniła:

– Aaron cierpi na przerost ego i nie znosi wszystkiego, co nie potwierdza jego poczucia własnej wyjątkowości. Wszystko zawsze musiało być idealne. Chciał mieć idealny dom, idealną pracę, idealną żonę i idealne dziecko. Był wobec mnie szalenie krytyczny, czepiał się o to, co jadłam, co nosiłam, jak się czesałam. Potrafił zdominować każdą rozmowę, ponizając tego, kto się z nim nie zgadzał. Traciliśmy kolejnych przyjaciół z powodu jego skandalicznego zachowania. Tajną bronią Aarona było perfidne manipulowanie. Potrafił sprawić, że człowiek wątpił we własną pocztytalność. Przez lata żyłam w przekonaniu, że jestem przewrażliwiona na punkcie wielu spraw, ale teraz już wiem, że to on z premedytacją mącił mi w głowie. Ostatecznie mnie zdradził. – Jamie wzrusza ramionami. – I miał jeszcze czelność wmawiać mi, że to moja wina, że gdybym lepiej o siebie dbała i lepiej dbała o niego, nie czułby takiej potrzeby.

– Skurwiel – skwitowała Marin od serca.

– Prawdę powiedziawszy, kiedy się dowiedziałam, poczułam ulgę. Wreszcie miałam konkretny powód, żeby go zostawić, coś, co mogłam wyjaśnić jednym zdaniem, kiedy ktoś mnie pytał. Tłumaczenie, że rozwodzisz się z mężem, bo jest wyniszczającym psychicznie, okrutnym manipulatorem i kłamcą, to zbyt wiele. – Jamie uśmiechnęła się z goryczą. – Walka o opiekę nad Olivią była nieprzyjemna. Ja chciałam wyłącznej opieki i on też. Zmieszał mnie z błotem, ale sąd ostatecznie opowiedział się po mojej stronie. Kilka tygodni później ją porwał. Czekał na nią pod domem jej przyjaciółki dwie godziny wcześniej, niż miałam po nią przyjechać. Matki tej dziewczynki, która wiedziała, jaka jest sytuacja, nie było akurat w domu. Była tylko babcia, która zobaczyła, że moja córka biegnie do ojca i nie przyszło jej do głowy, żeby sprawdzić, czy ten przystojny, czarujący tata w ogóle powinien tam być. Nie wiedziałam, że Olivia została uprowadzona, dopóki tam nie przyjechałam dwie godziny później. Dwie godziny – powtórzyła drżącym głosem.

– Ile lat ma twoja córka?

– Jedenaście.

– Ogłosili Child Alert?

Jamie kiwnęła głową.

– Tak. Sądząc po tym, co wygadywał podczas batalii o opiekę, miałam powody przypuszczać, że zamierza ją wywieźć gdzieś daleko i nigdy mi jej nie oddać. Znaleźli jego samochód półtora kilometra dalej na parkingu

przed centrum handlowym. Nie sposób było stwierdzić, czym pojechali potem, ani tym bardziej dokąd.

– Bardzo mi przykro – powiedziała Marin.

Jamie spojrzała na nią.

– Mnie też jest przykro. Wiem, że każde z nas ma własną niepowtarzalną historię, ale mam poczucie, że kiedy spotkałyśmy się w zeszłym tygodniu, powiedziałam coś niewłaściwego. Że po tym spotkaniu czuję się lepiej, a to nie było fair.

– Naprawdę nic się nie stało...

– Właśnie że tak – przerwała jej Jamie. – To było nie fair wobec ciebie, wobec was wszystkich. Bez względu na wszystkie problemy, jakie ma ze sobą mój były mąż – a możesz mi wierzyć, ma ich całe mnóstwo – uwielbia Olivię. Gdziekolwiek są i gdziekolwiek się znajdują, wiem, że nie zrobi jej krzywdy. W przeciwieństwie do ciebie, Simona, Lili i Frances, dopóki nie dowiedziała się o Thomasie, ja nie żyję w nieustającym strachu, że Olivia nie przeżyje. Boję się tylko o to, że już nigdy jej nie zobaczę. Nie dlatego, że ona umrze, ale dlatego że on nastawi ją przeciwko mnie. Bo na pewno to zrobi, przedstawi mnie w jak najczarniejszych barwach, żeby nigdy nie chciała wrócić do domu. – Jamie spogląda na jaskrawożółty szyld Big Holes, po czym opuszcza wzrok na swoje buty. – Dlatego właśnie po tamtym spotkaniu poczułam się lepiej. Co czyni mnie potworem. Przepraszam.

– Nie jesteś potworem. Jesteś matką. – Marin dotyka łokcia Jamie. – Nauczyłam się już z nikim nie porównywać. Piekło to piekło, we wszystkich odsłonach.

Inaczej niż w przypadku córki Jamie, po porwaniu Sebastiana nie ogłoszono Child Alertu. Policja wyjaśniła Marin i Derekowi, że – co wydawało się niedorzeczne – zabrakło danych, które wprowadza się do systemu w celu ogłoszenia alertu. Międzynarodowy system alarmowy Child Alert stosuje się w przypadku porwań dzieci, a nikt nie kwestionował tego, że Sebastian został porwany. Materiał wideo z kamery jednoznacznie na to wskazywał. Nie było jednak żadnego pojazdu, w którym jacykolwiek świadkowie mogliby zobaczyć Sebastiana. Nie podano tożsamości ani nawet opisu porywacza, poza tym, że nosił kostium Mikołaja. Żeby wprowadzić Child Alert, władze muszą być przekonane, że istnieją wystarczające informacje umożliwiające poszukiwania porwanego dziecka.

Decyzja zapada dla każdego przypadku z osobna, a przypadek Sebastiana nie kwalifikował się do ogłoszenia Child Alertu.

Mogli natomiast robić inne rzeczy. Nagranie z kamery ochrony na Pike Place Market rozpowszechniano w całym kraju. Każdy, kto miał telewizor, mógł zobaczyć zdjęcie Sebastiana w wiadomościach w ciągu kilku dni po porwaniu. Plakat z jego zdjęciem i napisem ZAGINEŁO DZIECKO udostępniono na Twitterze i Facebooku w sumie prawie milion razy. Wiadomość, że to „Mikołaj” porwał dziecko trzy dni przed świętami była sensacyjna i cała historia w ciągu kilku godzin zrobiła furorę w internecie. Wieczorem w dniu porwania Derek i Marin zostali sfilmowani przed swoim domem przez lokalne stacje telewizyjne, zwrócili się do widzów z prośbą o jakiegokolwiek informacje na temat ich synka. Pod koniec tygodnia wystąpili w CNN z błaganiem o oddanie im chłopca.

Brak informacji na temat zniknięcia synka był dla Marin zarazem niepojęty i frustrujący. Na samym początku śledztwa usłyszała, jak jeden policjant mówi do drugiego: „Albo porywacz starannie to zaplanował, albo się skurwielowi niebyswale poszczęściło... Nie wiadomo”.

Łatwo było założyć, że Sebastian i jego porywacz weszli na podziemny parking, biorąc pod uwagę wyjście wybrane przez porywacza. Nie było jednak żadnych konkretnych dowodów, które by to potwierdziły. Mogli skręcić w boczną uliczkę i tam wsiąść do samochodu osobowego, pick-upa albo vana. A może ktoś po nich podjechał. Mogli też wejść na podziemny parking i być w jednym z pięćdziesięciu czterech samochodów, które opuściły to miejsce w ciągu następnej godziny. Kąt, pod jakim ustawiono jedyną działającą kamerę monitorującą po drugiej stronie ulicy, uniemożliwiał dostrzeżenie tablic rejestracyjnych tych pojazdów.

Derek wykorzystał swoje kontakty, żeby sprawa została maksymalnie nagłośniona. Podobnie Marin. Bogata, znana w Seattle para, której dziecko porwano w biały dzień? Policja założyła, że chodzi o okup. Żądania okupu pojawiają się jednak zazwyczaj w ciągu pierwszych dwudziestu czterech godzin, góra czterdziestu ośmiu. Ani z Derekiem, ani z Marin nikt się nie skontaktował. Nie było żadnych liścików znalezionych pod drzwiami, żadnych esemesów ani dziwnych telefonów z nieznanymi numerów.

Lizak za pięć dolarów skłonił Marin do uznania, że porywacz znał Sebastiana. Wtedy wydawało jej się, że to bardzo specyficzna rzecz, coś, co Sebastian uwielbiał, a tamtego dnia w La Douceur Parisienne sprzedano tylko siedem takich lizaków. Jednak za pięć z tych siedmiu zapłacono kartą

debetową albo kredytową, więc łatwo było do tych klientów dotrzeć. Wszystkich wykluczono. Za ostatnie dwa zapłacono gotówką, a panie pracujące w sklepie ze słodyczami zapewniały, że doskonale pamiętają tę klientkę, babcię, która kupiła dwa takie same lizaki dla swoich wnuczek bliźniaczek.

Tak czy owak, lizaki z Douceur Parisienne były duże i kolorowe i prawdopodobnie przyciągnęłyby każde dziecko poniżej dziesięciu lat. Ten lizak mógł zostać kupiony kiedykolwiek, zawczasu, i schowany do kieszeni kurtki albo do torby z zakupami, żeby później, we właściwym momencie, posłużył jako przynęta. W ramach śledztwa każda osoba z otoczenia Marin i Dereka znająca Sebastiana została przesłuchana. Policja rozmawiała także ze wszystkimi sprzedawcami obecnymi tamtego dnia na targu. I wyglądało na to, że nikt nic nie wie.

Sebastian po prostu zniknął. Bez śladu. A szesnaście miesięcy później Marin wciąż nie zna odpowiedzi.

Dawno temu był taki film, który potwornie ją przeraził. Chodziła jeszcze do liceum i spędzała sobotni wieczór z grupką przyjaciół. Ktoś przyniósł kasetę wideo z filmem Zaginiona bez śladu, thrillerem z Jeffem Bridgesem i Kieferem Sutherlandem. Para młodych ludzi podróżuje samochodem i podczas krótkiego postoju na stacji benzynowej Jeff Bridges (Barney) porywa dziewczynę Kiefera Sutherlanda Diane (którą gra młodzieńca Sandra Bullock).

Mija kilka lat, a bohater grany przez Kiefera, Jeff, nadal nie wie, co się stało z jego dziewczyną. Obsesyjnie pragnie się tego dowiedzieć, doprowadza go to prawie do obłędu. Nancy Travis gra jego nowy obiekt uczuć, Ritę, i w pewnym momencie wspólnie odkrywają, że Barney był na stacji benzynowej w dniu, w którym zaginęła Diane, i z pewnością coś wie. Doprowadzają do konfrontacji, a Barney mówi do Jeffa: „Jeśli chcesz się dowiedzieć, co się z nią stało, musisz przejść przez to samo, co ona...”.

Jeff się zgadza i dobrowolnie wypija coś, co powoduje, że traci przytomność, tak jak wcześniej Diane. Budzi się w drewnianej skrzyni zakopanej w lesie. Po kilku sekundach uświadamia sobie, że jest uwięziony i że umrze tak jak Diane, dusząc się w ciasnej trumnie w ciemnym lesie, i nikt nie usłyszy jego krzyków ani nie będzie wiedział, co się z nim stało.

To był trzymający w napięciu, przyprawiający o gęś skórki film, po którym Marin przez tydzień miała koszmary.

A teraz to ona jest Jeffem. I gdyby ten Mikołaj pojawił się w drzwiach jej domu i zaproponował, że będzie mogła poznać ostateczne odpowiedzi dotyczące swojego dziecka, jeśli wypije herbatę ze środkiem nasennym, po którym z pewnością straci przytomność, wychyliłaby to świństwo w jednej chwili. Przełknęłaby wszystko do ostatniej kropli.

Bo wszystko jest lepsze niż niepewność.

Zaginione dziecko to otwarta zakażona rana. Są dni, kiedy możesz zażyć środek przeciwbólowy, nakleić plaster i jakoś przetrwać do wieczora, lecz ta rana nigdy się nie goi, ciągle się jątrzy, a nawet po najlżejszym muśnięciu krwawi.

Marin wciąż leży w łóżku, musi jednak wstać i zacząć się zbierać. Spogląda na łóżko po stronie Dereka. Jest puste, ale wgniecenie na poduszce w miejscu, gdzie w nocy spoczywała jego głowa, przypomina Marin, że wcześniej rano wyjechał do Portland. Podjął tę decyzję tuż przed zaśnięciem, żeby uspokoić niecierpliwych inwestorów.

– Tylko na jeden dzień – zapewnił ją, a ona natychmiast pomyślała: McKenzie. – Jest lot o ósmej rano, więc muszę wyjść z domu o szóstej. Wrócę na kolację. Chcesz jechać ze mną? Przez cały dzień będę tkwił na zebraniach i będę musiał zaprosić inwestorów na lunch, ale mogłabyś do nas dołączyć, a potem wyskoczyć na zakupy. W Oregonie nie ma podatku obrotowego, pamiętaj.

Zachichotała.

– Trzeba nastawić budzik na piątą. Wolę pospać dłużej i zapłacić podatek obrotowy.

To spontaniczne zaproszenie sprawiło, że poczuła się lepiej. Ile czasu musi jeszcze minąć, zanim przestanie się zastanawiać, co Derek naprawdę robi, kiedy nie jest z nią? I ile, zanim McKenzie całkowicie zniknie z ich małżeństwa.

Właśnie ma wstać, kiedy dzwoni telefon. Sprawdza kto to i odbiera.

– Jeszcze w łóżku? – pyta Sal.

– Tak.

– Co masz na sobie?

– Przymknij się, świntuchu.

Śmiech.

– Jak pogrzeb?

Pewnie powinna zadać sobie pytanie, dlaczego o synu Frances powiedziała przyjacielowi, a nie mężowi, ale jest za wcześnie na tak

zaawansowaną emocjonalną autoanalizę.

– Smutny oczywiście – mówi, wstając z łóżka i drepzcząc do łazienki. – Ale miałam wrażenie, że Frances... czuje się dobrze. A nawet lepiej.

– Jak to lepiej?

Marin przegląda się w lustrze i przeczesuje palcami splątane włosy.

– Myślę, że poczuła ulgę, że zna już odpowiedź. Że może go oplakiwać, pochować i starać się żyć dalej. Jej udręka wreszcie się skończyła.

Po drugiej stronie cisza.

– Nie wiem, co na to powiedzieć – mówi wreszcie Sal. – To znaczy cieszę się przez wzgląd na nią, równocześnie jednak to jest...

– Tak.

Zapada między nimi swobodne milczenie. Marin słyszy, że Sal jedzie samochodem, zanim jednak zdąży zapytać, dokąd się wybiera o tak wczesnej porze, on odzywa się pierwszy.

– Myślisz, że gdybyś otrzymała taką samą wiadomość, poczułabyś się tak jak ona?

– Nie – odpowiada Marin natychmiast. – Mogę sobie wyobrazić, co czuje Frances, ale nie sądzę, że ja czułabym to samo. Może dlatego że Sebastian wciąż jest taki mały... – Urywa na sekundę, uświadamiając sobie, że wciąż mówi o swoim synku w czasie teraźniejszym. – A może dlatego że wiem, że to moja wina, że to z powodu tego, co wtedy zrobiłam, nie ma go teraz ze mną.

– Musisz przestać się obwiniać, Mar. Czasami żałuję...

– Że co? Powiedz.

– Czasami żałuję, że nie możesz zyskać pewności w tę czy w tamtą stronę. Żebyś mogła żyć dalej. Jak Frances.

– Ale ja nie jestem Frances. Chcę się dowiedzieć, co spotkało Basha, ale jeśli kiedykolwiek będę wiedziała na pewno, że mój synek nie żyje, to i mnie możesz uznać za martwą.

– Nadal? – W głosie Sala słychać udrękę. – Nadal tak do tego podchodzisz?

Marin nie ma pojęcia, jak to się stało, że poruszyli ten temat, ani dlaczego w ogóle prowadzą tę rozmowę. Nawet nie wypila porannej kawy. Ale jeśli on chce znać prawdę, nie będzie mu jej szczędzić.

– Nie chcę oglądać mojego syna leżącego w trumnie, Sal. Nie chcę wyprawiać mu pogrzebu. Chcę się dowiedzieć, co się z nim stało, bo życie

z tą niewiedzą to piekło. Ale jeśli się dowiem, że nie żyje, natychmiast skoczę z mostu.

– Właściwie już i tak to wiedziałem. – Głos Sala brzmi smętnie. – Ale pomyślałem, że spytam. Sądziłem, że może wczorajszy dzień coś w tej kwestii zmienił.

– A tak w ogóle to dokąd jedziesz?

– Do Prosser.

– Znowu? – Marin siada na sedesie i sika. Jeśli nawet Sal to słyszy, nie komentuje tego. – Jak to, trzeci raz w tym tygodniu? Co się stało Lornie tym razem?

Marin dokonuje w myślach obliczeń, podczas gdy Sal wymienia aktualne dolegliwości matki. Prosser dzieli od Seattle trzy godziny jazdy. To oznacza duży przebieg i zużycie dla jego samochodu.

– Ostatnio skarży się na drugie biodro. Pamiętasz, jak długo dochodziła do siebie po operacji pierwszego?

– Tak, pamiętam. – Marin spuszcza wodę. – Miała wstawianą endoprotezę tuż przed tym, kiedy Sebastian...

– Właśnie.

– Powinam ją odwiedzić. Głupio mi, że nie byłam tam, odkąd on... Odkąd to wszystko się stało.

Tu następuje dłuższa przerwa.

– Ona to rozumie. Ale zaufaj mi, nie sądzę, że powinnaś przyjeżdżać. To przygnębiające. Ona cały dzień siedzi i ogląda opery mydlane.

– Wiesz co, zdecydowanie muszę ją odwiedzić – oznajmia Marin. – Kiedy będzie dobry moment? Jak długo zamierzasz tam zostać?

– Pewnie do jutra. Ale naprawdę, Mar, to nie jest...

– Sal, nie bądź taki cholernie uparty. Chcę pomóc. Mogłabym tym razem zostać dłużej. Zmiana scenerii dobrze mi robi. Chętnie wyrwę się na trochę z miasta.

Marin zaczyna się zapalać do tego pomysłu, już widzi rzędy winorośli ciągnące się kilometrami w każdą stronę. A kiedy już tam będzie, może mogliby się wybrać na degustację win, coś, co Marin kiedyś uwielbiała, a do wyboru jest tam ze trzydzieści winnic. Kiedy jest z Salem, nigdy nie musi płacić za degustację. Bycie dziedzicem dawnej Winiarni Palermo ma swoje zalety. Ojciec Sala może i był tyranem, ale jego nazwisko wciąż cieszy się w Prosser szacunkiem.

– Dam ci znać, dobrze? – mówi Sal. – Nie wiem, kiedy będzie dobry moment...

– Może zadzwonię do Lorny i sama ją spytam? – Marin tylko trochę żartuje. Sal nie jest najlepszy w robieniu planów i jeśli zostawi jemu ustalenie daty, może się tego nigdy nie doczekać. – Ostatnim razem była zachwycona moimi odwiedzinami. Przywiozę jej trochę tych romansideł, które tak lubi...

– Teraz ma Kindle'a.

– I zabiorę ją do Yakimy na film...

– Nie wysiedzi w kinie tyle czasu, jej biodro...

– To przywiozę jej trochę filmów na DVD. Potrzebuję kogoś, kto poogląda ze mną babskie kino. Widziała już Pamiętnik? Mogłabym...

– Do kurwy nędzy, powiedziałem: nie! – krzyczy Sal i Marin milknie. – Ona nie chce cię widzieć, jasne? Nie licząc mojego ojca, jesteś, kurwa, największym rozczarowaniem w życiu mojej matki. Jesteś dziewczyną, z którą powinienem się ożenić, ale tak się nie stało. Cierpi, kiedy cię widzi i kiedy widzi, że przez ciebie nie mogę ułożyć sobie życia. Uważa, że nieładnie ze mną pogrywasz, i nie rozumie, dlaczego po tylu latach wciąż się przyjaźnimy. Za każdym razem, kiedy cię widzi, robi sobie nowe nadzieje, a ja nie mogę znieść tych jej ciągłych rozczarowań.

Jego oddech staje się coraz szybszy. Marin ma tylko nadzieję, że trzyma obie ręce na kierownicy i patrzy, co się dzieje na drodze. Nie może uwierzyć w to, co usłyszała. Nigdy wcześniej nie mówił jej takich rzeczy, a już z całą pewnością nigdy ich nie wykrzykiwał. Marin zawsze była miła dla Lorny, a Lorna dla niej. Nie miała pojęcia, co ta kobieta naprawdę czuła... ani co naprawdę czuł Sal.

– Zostaw moją matkę w spokoju, dobra, Marin?

– Dobra! – Nie jest pewna, czy jest bardziej wściekła czy urażona. – Nie musisz zachowywać się jak dupek. Chciałam tylko pomóc.

– Komu? – Mówi ciszej, lecz jego ton jest lodowaty. – Zawsze wszystko ma być na twoich warunkach, Marin, a to, kurwa, nie fair. Chcesz pozostać żoną swojego męża, ale bez przerwy go odpychasz. Chcesz, żebym był twoim najlepszym przyjacielem, ale uprawiasz ze mną seks, kiedy jesteś w dołku. Chcesz być znana jako prężna bizneswoman, ale wciąż zachowujesz się jak cholerna żona trofeum. Twierdzisz, że nie możesz dłużej żyć, nie wiedząc, co się stało z Sebastianem, ale jeśli kiedykolwiek się dowiesz, że on nie żyje, skoczysz z pieprzonego mostu.

– Jak śmiesz mieszać w to...

– To taki, kurwa, egoizm. – Salowi łamie się głos. Jezu Chryste, czy on płacze? – Bo nie żyjesz sama w tej martwocie. Ciągniesz wszystkich, którzy cię kochają, za sobą na dno, i bierzesz nas na zakładników, grożąc, że się zabijesz, jeśli kiedykolwiek usłyszysz to, czego nie chcesz usłyszeć. I wiesz co, Marin? Pieprz się. Mam dość.

Marin zamiera z otwartymi ustami. Nie ma pojęcia, jak zareagować, a kiedy się nad tym zastanawia, Sal kończy rozmowę, nie dając jej szansy na żadną ripostę ani obronę.

Lorna powiedziała jej kiedyś, że swego czasu ojciec Sala często kończył w ten sposób rozmowy telefoniczne. Zawsze musiał mieć ostatnie słowo i był w Prosser znany z tego, że rzucał słuchawką, trząsał drzwiami albo bez słowa wychodził z pokoju. Sal Palermo senior był dupkiem. Pod pewnymi względami jabłko nie padło daleko od jabłoni. Sal Palermo junior, kiedy jest wzburzony, potrafi zachowywać się dokładnie tak samo.

– Jego ojciec był taki porywczy – powiedziała Lorna podczas ostatniej wizyty Marin. Staruszka uśmiechała się, jakby to wspomnienie było zabawne, jakby słowo „porywczy” nie oznaczało tego, że przez całe małżeństwo mąż bił ją i terroryzował wszystkich wokół. – A J.R. jest dokładnie taki sam jak jego ojciec, jeśli coś idzie nie po jego myśli.

– J.R.? – spytała Marin zdezorientowana.

Potem jednak sobie przypomniała.

Na studiach Sal zaczął używać swojego prawdziwego imienia, ale w Prosser, jego rodzinnym miasteczku, kiedy dorastał, matka – i wszyscy inni – mówili na niego J.R. Tak było łatwiej dla Lorny i pracowników wytwórni win, gdy imiona jej męża i syna brzmiały inaczej.

J.R. to był skrót od „junior”.

McKenzie Li nadal nie daje znaku życia i wygląda na to, że jej współlokator zaczyna panikować.

Marin siedzi w swoim biurze w jednym z salonów, pogryzając bajgla przyniesionego z samego rana na zebranie pracowników. Po raz pierwszy od miesiąca nie dostała porannego esemesa od Sala z pytaniem, czy żyje. To okropne uczucie. Trudno jej sobie wyobrazić, że to koniec ich przyjaźni, ale nie bardzo wie, co mogłaby zrobić, żeby to naprawić... ani czy w ogóle ma energię, żeby chociaż próbować.

Już po raz trzeci odświeża stronę Tylera Jansena na Facebooku. Rano zamieścił nowy post na temat swojej współlokatorki i od paru godzin wciąż pojawiają się kolejne komentarze. Do postu dołączone jest zdjęcie McKenzie w Green Bean, z włosami świeżo ufarbowanymi na różowo, przewiązanej w pasie fartuchem i w T-shircie z napisem Ask Me About My Feminist Agenda. Jest tam także jakiś link:

Zgłosiłem oficjalnie zaginięcie McKenzie Li. Tutaj jest link do tego zgłoszenia. Jeśli ktoś ma jakieś informacje, proszę niezwłocznie zadzwonić na podany numer. A potem proszę zadzwonić do mnie. McKenzie jest już zaginiona od czterech dni, a zważywszy na stan jej matki, tylko ja jeden jej szukam.

Stan jej matki? Marin zjeżdża w dół, czytając komentarze i jedząc bajgla, ale nie czując jego smaku. Post został już udostępniony kilkanaście razy, a komentarzy jest ze sto i wciąż ich przybywa. Dwa z nich przykuwają jej uwagę, oba napisane przez kobietę o nazwisku Pearl Watts, która jest, jak się wydaje, była sąsiadką rodziny Li.

Pierwszy komentarz jest odpowiedzią na czyjeś pytanie o to, czy matka McKenzie w ogóle wie o zaginięciu córki. Pearl napisała: Niestety nawet gdyby została powiadomiona, wątpię, czy Sharon skojarzyłaby, o co chodzi. Jej alzheimer jest b. zaawansowany. Odwiedzam ją w Yakimie co drugi tydzień w domu opieki i czasami mnie poznaje, a czasami nie. To b. smutne.

Yakima? We wschodnim Waszyngtonie? To niedaleko winnic.

Drugi komentarz jest niezależny od tamtego. Pearl napisała: Kenzie to urocza młoda dama i wszyscy w Prosser modlą się, żeby odnalazła się cała i zdrowa.

W Prosser? Kenzie pochodzi z rodzinnego miasteczka Sala? Co za zbieg okoliczności!

Marin zmienia pozycję w fotelu, bo nagle zrobiło jej się nieswojo. Coś tu nie gra. Marin pokazała Salowi zdjęcie McKenzie i nie sprawiał wrażenia, że ją rozpoznał. Co prawda podczas tamtej rozmowy Marin ostro piła, więc może wszystkiego nie pamiętać, lecz gdyby Sal rozpoznał dziewczynę z rodzinnych stron, na pewno coś by powiedział. Jest dziewiętnaście lat starszy od McKenzie i wyjechał z Prosser na studia, zanim się urodziła, ale to małe miasteczko.

Marin zastanawia się nad tym jeszcze przez chwilę i coś zaczyna jej świtać... ale ta myśl ucieka i skojarzenie się rozwiewa.

A jak dużo wie Derek? Czy on w ogóle zdaje sobie sprawę, że kochanka, z którą spotykał się od pół roku, zniknęła i zgłoszono jej zaginięcie? Wszystko wskazuje na to, że jego romans z McKenzie został oficjalnie zakończony, ale czy to możliwe, że on o niczym nie wie? Marin przypominają się słowa Vanessy Castro: „...zagięły już dwie osoby w taki czy inny sposób związane z Derekiem. A on staje się tu niejako wspólnym mianownikiem”.

Teraz, kiedy policja prowadzi śledztwo, to tylko kwestia czasu, gdy będą chcieli przesłuchać Dereka. Może powinna go uprzedzić, że policja może lada dzień zapukać do ich drzwi. Ale to by oznaczało przyznanie się mężowi, że wie o jego romansie.

Marin żałuje, że wie. Wolałaby nigdy się o tym nie dowiedzieć. Wolałaby nie być w to wszystko uwikłana.

Wchodzi w App Store, odnajduje aplikację Shadow i ponownie instaluje ją w telefonie. Musi teraz tylko raz jeszcze wprowadzić zapisane wcześniej login i hasło i potwierdzić numer telefonu Dereka. Tym razem jednak, kiedy aplikacja pyta ją, czy chce śledzić wszystkie kontakty Dereka, czy tylko konkretne numery, wybiera „wszystkie”. Jej mąż jest zajęтым człowiekiem i telefon Marin może dosłownie pękać od powiadomień, możliwe jednak, że McKenzie ma inny numer, z którego się z nim skontaktuje. A może ktoś inny będzie próbował dzwonić do niego w sprawie McKenzie?

Marin musi się dowiedzieć, jak dużo wie jej mąż. A w pewnym momencie będzie musiała się też dowiedzieć, jak dużo wie Sal.

Minutę później jest już po wszystkim. Tak jak za pierwszym razem Marin czeka, aż aplikacja zaskoczy, w głębi ducha spodziewając się zalewu esemesów przekierowanych z telefonu Dereka, mimo że aplikacja ściąga je tylko na bieżąco, w realnym czasie.

Nic.

Czyjaś dłoń na jej ramieniu sprawia, że Marin podskakuje i upuszcza telefon na talerz, gdzie ląduje z brzękiem obok niedojedzonego bajgla.

– Wybacz, Marin – mówi Veronique ze śmiechem. – Nie chciałam cię przestraszyć. Przyszłam ci tylko powiedzieć, że jest już twoja klientka z wpół do drugiej.

Marin sprawdza, która godzina. Jest dokładnie trzynasta trzydzieści. Cholera. Marin nie lubi kazać klientkom czekać, ale przydałoby jej się jeszcze z dziesięć minut na ogarnięcie tego wszystkiego, czego właśnie dowiedziała się o McKenzie. Niemożliwe, żeby Sal jej nie znał, choćby z widzenia. Liczba mieszkańców Prosser nie przekracza siedmiu tysięcy. Mogłaby od razu do niego zadzwonić.

Albo... może mogłaby wysłać wiadomość na Facebooku do Pearl Waters, która najwyraźniej zna McKenzie i jej matkę? Ta kobieta z całą pewnością zna też Salę i jego rodzinę, skoro nadal mieszka w Prosser. Sal bez przerwy tam jeździ.

Marin spostrzega, że Veronique wciąż czeka na jej reakcję.

– A co to za klientka? – pyta.

– Stephanie Rodgers. – Radosny ton recepcjonistki staje się żartobliwie złowrogi i Veronique unosi leciutko brew.

Cholera raz jeszcze. Stephanie nie lubi, kiedy każe jej się czekać. Żadna klientka tego nie lubi, ale niektóre wyrażają to w bardziej dobitny sposób.

Zrezygnowana Marin wylogowuje się z Facebooka i wstaje z fotela.

– Idę.

Wita się z długoletnią klientką i zmusza do rozmowy o niczym, na szczęście jednak Stephanie należy do szczebiotek, które potrafią same prowadzić rozmowę. Pochodzi z New Jersey (choć mówi wszystkim, że z Nowego Jorku) i niedawno rozwiodła się z mężczyzną starszym od niej o dwadzieścia lat. Ich małżeństwo nie przetrwało nawet pięciu. Stephanie i Marin obracają się w podobnych kręgach i pozostają w dobrych

stosunkach, chociaż poza galami charytatywnymi i wizytami Stephanie w salonie nie spędzają razem czasu.

Ukochany chihuahua Stephanie choruje i nie zamykają jej się usta, kiedy wyraża oburzenie, że jej były mąż nie chce pokryć rachunków za weterynarza. Marin to pasuje, może słuchać jednym uchem i myśleć o innych sprawach.

– To również jego pies, no wiesz, Mar. Ustaliliśmy, że będziemy dzielić wydatki weterynaryjne, mamy to na piśmie w ugodzie rozwodowej. Więc on sobie, kurwa, przepraszam za wyrażenie, w kulki leci. Facet w zeszłym roku zarobił osiem milionów i nie może, kurwa, zapłacić połowy z siedmiu tysięcy za usunięcie pieprzonych cyst pieprzonemu psu? – Stephanie mówi wszystko z takim naciskiem, że „psu” brzmi jak „bzu”. – Przepraszam za mój język. Czasami nie mogę uwierzyć, że w ogóle byłam żoną tego typu. Hej, a jak tam Derek? Masz szczęście, że trafiłaś na takiego faceta.

– Wybacz, Steph, ale wcale nie jest tak różowo – mamrocze Marin, a sekundę później w jej kieszeni pika telefon.

Jej ciało mimowolnie się napina. To dźwięk aplikacji Shadow. Przerywa strzyżenie i wolną ręką szybko wyciąga iphone’a. To nic takiego. Jeden z inwestorów w Portland spóźni się na spotkanie. Przepraszam, Derek, będę za pięć minut. Marin wciąż trzyma telefon w ręku, kiedy przychodzi odpowiedź jej męża. Bez pośpiechu, George, dopiero usiedliśmy.

– A jak się teraz czuje Salty? – pyta Marin, wracając do strzyżenia. Tłumi westchnienie ulgi. To obłęd, jak stresujące jest szpiegowanie kogoś.

– Och, w porządku. – Stephanie nawet nie zauważyła, że Marin przerwała na kilka sekund. Wpatruje się w swój własny telefon. – Znowu jest małym upierdliwym wiercipiętą. Typowy zepsuty chihuahua. Ostatnio wybiegł tylnymi drzwiami i już myślałam, że go straciłam. Tak sobie myślę, że to dobrze, że nigdy nie mieliśmy dzieci, no wiesz.

Stephanie zamiera, podnosi wzrok i spotyka w lustrze spojrzenie Marin.

– O mój Boże, Mar, nie mogę uwierzyć, że to powiedziałam. Ja i ta moja niewyparzona gęba. To było takie nietaktowne. Tak mi przykro. O mój Boże.

Marin ma to gdzieś. Ludzie mówili gorsze rzeczy rozpaczającym matkom, i to rozmyślnie. Słowa Stephanie puściła mimo uszu, zanim jednak może ją zapewnić, że nic się nie stało, telefon znów pika. Znowu Shadow. Może wybranie „wszystkie” przy ponownej instalacji to nie był najlepszy pomysł.

W każdym razie strzyżenie jest skończone. Widać, że Stephanie jest okropnie głupio i Marin postanawia wykorzystać jej gafę, żeby wyrwać się wcześniej.

– Nie przejmuj się, Steph. Posłuchaj, miałabyś coś przeciwko, żeby to Jackie cię uczesała? Muszę trochę wcześniej wyjść. Mamy nowy krem termoochronny, który powinien ci się spodobać, włosy są po nim takie delikatne.

– Oczywiście – odpowiada Stephanie natychmiast. Normalnie – jak zresztą każda klientka VIP Marin – nie zgodziłaby się, aby czesała ją inna stylistka, lecz po tym, co palnęła, nie bardzo może się spierać. – Leć pozałatwiać swoje sprawy.

Marin przywołuje gestem Jackie, po czym schyla się i szybko ściska klientkę na pożegnanie, zanim przejmie ją stylistka.

– Widzimy się za dwa miesiące.

– Wcześniej! – woła za nią Stephanie. – Zobaczymy się na Wiosennej Gali.

Marin wraca do biura, zamyka za sobą drzwi i sprawdza aplikację Shadow. Tym razem to wiadomość od McKenzie. Bez słów, samo zdjęcie. Miniaturka jest mała i bez okularów do czytania Marin nie zobaczy, co przedstawia zdjęcie, zanim go nie powiększy, ale jedno jest jasne: skoro przesyła mu zdjęcia, to znaczy, że Derek i jego kochanka nadal pozostają w kontakcie. Wcale ze sobą nie zerwali. Marin robi się ciemno przed oczami.

Jak mogła być taka głupia? Jak mogła mu zaufać? Zabrał ją w góry, twierdził, że chce zacząć wszystko od początku, najwyraźniej jednak wcale nie był szczery. Dla niego kłamstwa są jak oddychanie. Kiedyś widziała na Instagramie taki mem: Skąd wiadomo, że oszust kłamie? Otwiera usta.

Marin opiera się o ścianę, klika na miniaturkę zdjęcia i szykuje się na cios w podbrzusze. Aplikacja działa dość wolno i zanim zdjęcie się powiększy, mija kilka sekund. A kiedy już jest duże i wyraźne, Marin potrzebuje jeszcze chwili, żeby pojąć, na co właściwie patrzy.

Zdjęcie, owszem, przedstawia kochankę Dereka. Ale to nie jest selfie. McKenzie nie jest też naga. Nie uśmiecha się. Leży na łóżku, na boku, na kołdrze w kwiaty, w sypialni, która wydaje się staroświecka i skromna. Ma T-shirt i dżinsy, ręce związane za plecami, a nogi skrępowane w kostkach. Unosi twarz pod niewygodnym kątem, jakby osoba robiąca zdjęcie kazała jej patrzeć w obiektyw.

Co to ma być, u diabła? Jakaś perwersja? Czyżby Dereka podniecało krępowanie partnerki seksualnej? Naprawdę kręcą go teraz takie rzeczy?

Nagle jednak Marin dostrzega, że McKenzie ma włosy w strąkach. Różowe pukle są przyklepane i tłuste, a nie wilgotne. Poza tym coś jest nie tak z jej twarzą. Powiększa zdjęcie, żeby lepiej się przyjrzeć, i kiedy widzi z bliska twarz McKenzie, nie może oddychać.

Kochanka Dereka została pobita. To nie makijaż. Opuchlizna jest prawdziwa. Jedno oko fioletowe i obrzmiałe, dolna warga rozcięta, na brodzie widać zaschniętą krew. Widać też rozcięcie nad brwią. Marin powiększa zdjęcie jeszcze bardziej i widzi mokry ślad biegnący od kącika spuchniętego oka przez cały policzek.

Łzy. Ona płacze.

A potem na Shadow przychodzi kolejna wiadomość. Tym razem wyłącznie tekstowa:

Mamy twoją dziewczynę. 250000 \$ w gotówce, w banknotach o małych nominałach, dziś wieczorem. Jeśli nie zapłacisz, spotka ją to samo, co twojego syna. Chyba nie chcesz, żeby znowu to się stało, co, Derek? Później podamy ci adres.

Pod Marin uginają się kolana. Przytrzymuje się biurka, wiruje jej w głowie, tysiąc uczuć na raz domaga się ujścia, kiedy Marin usiłuje zrozumieć, co właśnie przeczytała. Zmusza się do oddychania, do zachowania spokoju, bo atak paniki nic tu nie pomoże.

– O, Boże, Derek – szepcze w pustym biurze. – O, mój Boże. Co ty zrobiłeś?

Jej telefon znów pika. Marin aż boi się spojrzeć.

W końcu jednak patrzy i widzi, że jej mąż odpowiedział na żądanie okupu. Tylko dwa słowa:

Dostarczę pieniądze.

Gdyby chodziło o kogoś innego, Marin sama zadzwoniłaby na policję. To żądanie okupu. Na szali jest ludzkie życie.

Tyle że to żądanie nie zostało wysłane do Marin. Zostało wysłane do jej męża, a osobą, której życie się waży, jest McKenzie Li. Jej śmierć w chwili słabości Marin, w najciemniejszej godzinie jej życia, warta była dwieście pięćdziesiąt tysięcy dolarów. Kwota, którą Marin zapłaciła za to, żeby odebrać jej życie, jest, dziwnym trafem, dokładnie taka sama, jaką ma zapłacić Derek, by jej życie ocalić.

Marin nie ma pojęcia, czy jej mąż kocha tę kobietę ani czy kiedykolwiek ją kochał. Kiedy zaginął Sebastian, FBI poinstruowało ich, co dokładnie mówić, gdyby pojawiło się żądanie okupu. A pierwszy punkt na tej liście głosił, że nie należy mówić ani robić nic, co mogłoby zrazić porywaczy. To, że Derek napisał, że dostarczy pieniądze, nie oznacza jeszcze, że to robi.

Tak czy inaczej, w tej chwili nie to interesuje Marin najbardziej. Chce się dowiedzieć, co mieli na myśli porywacze, pisząc: Chyba nie chcesz, żeby znowu to się stało?

Znowu? Czyżby Derek otrzymał żądanie okupu za ich synka i nic nie powiedział ani jej, ani FBI? Czy to ta sama osoba porwała Sebastiana, czy też jest to ktoś w ogóle niezwiązany z tamtą sprawą, kto żeruje na traumie Dereka związanej z porwaniem jego synka i liczy na to, że zapłaci, aby uniknąć kolejnej tragedii?

Marin przypomina sobie pierwsze dni po zniknięciu Sebastiana. Nie spuszczała z oczu swoich telefonów, pilnowali, żeby zawsze były naładowane. Przez cały czas czekali na telefon od porywaczy, a ten nigdy nie zadzwonił. A może jednak dzwonił? Dzisiejsze żądanie okupu można interpretować na dwa różne sposoby, a skoro Derek odpowiedział natychmiast i wyraził gotowość do zapłaty, jasne jest, że wiedział, jak ma to rozumieć.

Derek doskonale wie, o co im chodzi.

W ogólnym rozrachunku dwieście pięćdziesiąt tysięcy dolarów to dla nich kropla w morzu. Wystarczy telefon, kilka cyfr wstukanych

w komputer, przelew bankowy i e-mailowe potwierdzenie. To prawie w ogóle nie wpłynie na ich sytuację finansową i pewnie właśnie dlatego porywacze zażądali tak niskiej kwoty. To dla Dereka łatwo dostępna suma, rach, ciach i będzie po wszystkim.

Koniec z unikami. Dość udawania. Dość sekretów. Dość kłamstw. Nadszedł czas, żeby rozmówić się z jedyną osobą, która zna wszystkie odpowiedzi. Tą, która jest wspólnym mianownikiem.

Marin siedzi w kuchni, pije kawę i czeka na męża. Jego spotkanie skończyło się wcześniej, niż się spodziewał, i zdążył na wcześniejszy lot do Seattle. Pół godziny temu wysłał Marin esemesa z informacją, że właśnie wylądował, tak, jak to robił kiedyś, gdy byli szczęśliwi, zanim to wszystko się stało. Nie odprawiał bagażu, nie zostawił wozu na parkingu. Wsiądzie tylko z samolotu i przyjedzie taksówką do domu. Przy ruchu, jaki panuje o tej porze dnia, Marin ma jeszcze może około pół godziny, zanim Derek wejdzie do domu.

Wyjmuje małą białą karteczkę, którą trzy dni temu znalazła na podłodze garderoby, i wreszcie dzwoni pod widniejący na niej numer.

– Sunchine Cab – odzywa się dyspozytor, zanim wybrzmiał pierwszy sygnał. – Dokąd kurs? – pyta rzeczowo.

– Dzień dobry, parę dni temu jechałam waszą taksówką i chyba zostawiłam portfel. – Marin kłamie gładko, bez mrugnięcia okiem.

– Numer paragonu?

Marin podaje ośmiocyfrowy numer wydrukowany w prawym górnym rogu.

Słyszy stukot klawiatury komputera.

– Taksówka numer cztery-zero-dwa – mówi dyspozytor bardziej do siebie niż do niej. – Jedną sekundkę, sprawdzę, czy mamy odnotowane jakieś przedmioty znalezione tamtego wieczoru. – Znowu stuka w klawiaturę. – Nie, nic.

– Jestem na dziewięćdziesiąt dziewięć procent pewna, że portfel wciąż jest w taksówce – mówi Marin. – Czy jest jakaś możliwość skontaktowania się bezpośrednio z kierowcą?

– To niezgodne z protokołem – odpowiada jej rozmówca. – Mogę do niego zadzwonić i zapytać o pani zaginiony przedmiot, a panią poproszę o chwilę cierpliwości. Jak ma pani na imię? I jak wygląda ten portfel?

– Mam na imię, mmm, Sadie. – Marin podaje pierwsze imię, jakie przychodzi jej na myśl. – A portfel jest czerwony z, mmm... ze złotym

zapięciem. – To bez znaczenia, nie ma żadnego portfela, a nawet gdyby był, nie należy do Sadie.

– Jedną sekundkę. – W telefonie coś klika i Marin słucha soft rocka, dopóki dyspozytor znów się z nią nie połączy. – Proszę pani? Kierowca nie odbiera. GPS pokazuje, że obecnie jest w trasie. Czy mogę przesłać mu esemesem pani numer z prośbą, żeby oddzwonił, jak skończy kurs?

– Tak, proszę. – Marin powstrzymuje westchnienie frustracji. Nie można było od tego zacząć? – Ma pan coś do pisania?

Podaje mu numer swojej komórki i się rozłącza. Sama dokładnie nie wie, czego szuka, ale ktoś był w jej domu koło dziewiątej w sobotę wieczorem. Podejrzewa, kto to taki, a jeśli jej teoria jest słuszna, kochanka Dereka zaginęła niedługo po tym, gdy się do nich włamała. McKenzie nie było w mieszkaniu, kiedy jej współlokator wrócił z pracy o drugiej nad ranem, co oznacza, że zniknęła w ciągu tych pięciu godzin.

Pytanie tylko, dlaczego była w ich domu? I co stało się z nią potem?

Rozlega się dzwonek do drzwi.

Marin marszczy czoło, dopija kawę i idzie korytarzem. Patrzy przez judasza i wydaje cichy okrzyk na widok zniekształconego obrazu osoby stojącej po drugiej stronie. Powoli otwiera drzwi, krew odpływa jej z twarzy i Marin czuje, że się chwieje.

Zanim upadnie, Vanessa Castro łapie ją za łokieć.

– Nie znalazłam Sebastiana – mówi. – Już dobrze. Oddychaj.

Marin prostuje się, lecz wciąż dygocze i potrzebuje kilku sekund, żeby dojść do siebie. Już telefony są straszne – nazwisko Vanessy Castro na wyświetlaczu zawsze ją przeraża – ale widok Castro pod jej drzwiami jest o wiele gorszy, teraz Marin już to wie. Jezu Chryste, tęskni za czasami, kiedy wysyłała tylko e-maile.

– Co ty tu robisz?

– Zdobyłam nowe informacje. Uznałam, że powinnyśmy spotkać się osobiście. Nie mogłam czekać. – Zagląda w głąb korytarza. – Jesteś sama?

– Chwilowo. Wejdz.

Marin odsuwa się, żeby wpuścić Castro. Masuje sobie brzuch i krzywi się, czując kwaśny posmak w gardle. Cóż za osobliwa supermoc, wywoływać u ludzi niestrawność samym swoim widokiem. Vanessa rozgląda się po nieskazitelnym wnętrzu i widząc bosa stopy Marin, zdejmuje buty i ustawia je równo przy drzwiach.

Marin prowadzi ją do kuchni.

– Coś do picia? – pyta.

Wzrok Castro pada na ekspres do kawy.

– O rany! Czy to Breville Oracle? Zawsze chciałam sprawić sobie coś takiego do biura, ale musiałabym sprzedać nerkę.

Marin zdobywa się na nikły uśmiezek.

– Mogę ci zaparzyć, co tylko zechcesz.

Parę minut później siedzą na ławie pod oknem. Castro upija łyk mokaccino, kiwa z uznaniem głową i zaczyna mówić:

– Jak tylko zobaczyłam, że McKenzie Li zaginęła, coś zaczęło mi świtać. Nie dawało mi to spokoju, ale nie potrafiłam określić, o co chodzi. Miałam wrażenie, że nie dostrzegam czegoś ważnego, chociaż mam to jak na dłoni.

– Znam to uczucie.

– No więc zaczęłam szperać głębiej w jej przeszłości. Wiesz, że kiedy miała siedemnaście lat, utrzymywała stosunki seksualne z Salem Palermo?

Marin wpatruje się w nią z otwartymi ustami. To jest właśnie ten element układanki, którego jej brakowało... wreszcie. Zamyka usta i przetyka ślinę.

– Nie, nie wiedziałam. Jesteś pewna?

Castro wyjmuje z torebki telefon. Stuka w ekran kilka razy i podaje go Marin. Patrzy na zdjęcie młodszego Sala z o wiele młodszą McKenzie. Siedzą obok siebie na brzegu rzeki, za ich plecami płynie woda, a oni stykają się policzkami i mrużą oczy od słońca. To selfie. Nie najlepszej jakości, pewnie zrobione BlackBerry Curve czy jakimś innym tanim smartfonem, popularnym wśród licealistek siedem lat temu. Włosy McKenzie były wtedy ciemnobrązowe i spływały jedwabistą kaskadą prawie do pasa. Jej brwi też są inne – cieńsze, przesadnie wyskubane – i wygląda jak nastolatka, którą zresztą była, kiedy zrobiono to zdjęcie.

Ale to bez wątpienia ona.

– Jasna cholera. – Marin wpatruje się w zdjęcie. – Ja nie... nie rozumiem.

Usiłuje ogarnąć umysłem tę rewelację. Wiedziała, że Sal jest seryjnym podrywaczem i był nim, odkąd się rozstali, oraz że często spotykał się z kobietami znacznie młodszymi od siebie. Ginny z baru to klasyczny przykład.

Ale Marin pokazała mu zdjęcie McKenzie tamtego popołudnia w jego barze, kiedy upijała się amaretto sour. Sal dobrą chwilę patrzył na nagie ciało McKenzie i się śmiał. Śmiał! A potem razem z Marin ubolewał nad nedorzeczną młodością McKenzie, jej różowymi włosami, tatuażami i tym

wszystkim, co czyniło ją dokładnym przeciwieństwem Marin. I nie zdradził się ani słowem, że ją zna ani że w ogóle ją rozpoznaje. A przecież znał McKenzie przez cały czas. I to bardzo dobrze. Bo byli kochankami.

Marin otaczają sami kłamcy.

Castro cały czas coś mówi i Marin stara się skupić.

– Wygląda na to, że Sal i McKenzie pochodzą z tego samego miasteczka we wschodnim Waszyngtonie o nazwie...

– Prosser. – Marin ma mętlik w głowie.

– Właśnie. Prosser. Zadzwoiłam do jej byłej sąsiadki, niejakiej...

– Pearl Watts? Czytałam te same komentarze na Facebooku co ty.

Marin zamierzała wysłać wiadomość do tej kobiety, ale potem zapikowała aplikacja Shadow w związku z żądaniem okupu za McKenzie i zupełnie o tym zapomniała. Czy Vanessa wie o żądaniu okupu? Czy właśnie dlatego przyjechała?

– Dobra robota. – Detektyw posyła jej niewyraźny uśmiech. – Tak, Pearl Watts. Potwierdziła, że mieszkała obok rodziny Li, kiedy McKenzie dorastała. Matka McKenzie sprzątała w kilku lokalnych firmach, często pracowała po godzinach, więc McKenzie zajmowała się babcia. Jedną z firm, w których sprzątała, była winiarnia Palermo Wine Shoppe.

– Tam można było degustować i kupować wina Palermo Wine Estates. – Marin wzdycha. – Z rodzinnej winnicy Sala.

– Pearl okazała się bardzo pomocna, jeśli chodzi o przybliżenie osoby McKenzie. Podobno zawsze była miłą dziewczynką, chociaż trochę szaloną. Bardzo chciała wyrwać się z Prosser i zostać artystką. Kiedy zaczęła spotykać się z Salem, nie przeszkadzało jej, że jest od niej ponad dwa razy starszy, i nie przejmowała się, że ktoś ich razem zobaczy. Podobno to była niezła sensacja w miasteczku. A potem Pearl przekazała mi plotki, które słyszała od osób znających McKenzie na studiach. Podobno nabrała upodobania do starszych mężczyzn. Szczególnie tych bogatych.

– To akurat żadne zaskoczenie.

– No więc szperałam dalej, aż udało mi się skontaktować z jej dawną współlokatorką z Idaho. Ta dziewczyna, Isabel, powiedziała, że kiedy były na ostatnim roku, McKenzie spotykała się z żonatym mężczyzną, którego żona przyjechała do ich mieszkania, pijana i rozhisteryzowana, bo odkryła ich romans. Zrobiła się straszna afera, wezwano dozorcę, żonę trzeba było wyprowadzić z budynku, a wszystko to razem przeraziło Isabel. Powiedziała natomiast, że McKenzie w ogóle to nie obeszło. Nie

przejmowała się uczuciami żony. Zgodnie z tym, co mówiła Isabel, McKenzie bardziej martwiła się o to, że jej związek z Paulem, tym żonatym facetem, zakończy się, zanim dostanie zapłatę.

– Jaką zapłatę?

– Najwyraźniej na tym właśnie polegał proceder. Ta współlokatorka miała nawet na to nazwę: profesjonalna dziewczyna. Umawiały się z bogatymi facetami, a kiedy romans się kończył, żądały „odprawy”. – Palce Castro ułożyły się w cudzysłów.

– I ta współlokatorka ci to wszystko powiedziała? – Marin aż otworzyła usta ze zdumienia.

– O ile się zorientowałam, Isabel dawno zamknęła tamten rozdział. Teraz ma męża, przedstawiciela klasy średniej, w tym samym wieku co ona, mają też dziecko. – Castro na chwilę milknie. – McKenzie wyciągnęła od Paula pięćdziesiąt tysięcy dolarów. Wiem, bo do niego też dotarłam, i sam mi to powiedział.

Marin ukrywa twarz w dłoniach. To wszystko to dla niej za dużo.

– Marin... – Castro dotyka jej ręki i Marin podnosi wzrok. W tonie detektyw jest coś takiego, co sprawia, że zaczyna czuć się nieswojo. – Jak dużo wiesz o przeszłości Sala?

To pytanie zaskakuje Marin i zaczyna walić jej serce. Julian. Ona zaraz zapyta o Juliana. Poca jej się dłonie, kładzie ręce na kolanach, żeby przestały się trząść.

– To znaczy znam Sala od czasu studiów – zaczyna. – Chodziliśmy ze sobą przez rok. Przyjaźnimy się. Mam poczucie, że w większości spraw jest ze mną szczerzy.

Nie licząc McKenzie, podszeptuje jej umysł, a to dość istotna rzecz, którą przed nią ukrył.

Ponieważ Castro milczy, Marin dodaje:

– Bez względu na to, co myślisz o Salu, on nie miał nic wspólnego z porwaniem Sebastiana. Wiem na pewno, że kiedy to się stało, był w Prosser i opiekował się matką. – Wstrzymuje oddech.

– Tak, pierwotne śledztwo policyjne potwierdziło, że Sal bez wątplenia przebywał wtedy we wschodnim Waszyngtonie, a ja dodatkowo to zweryfikowałam – mówi Castro, a Marin wypuszcza powietrze. – Według Pearl Watts Sal często przyjeżdża do Prosser i pomaga matce. Ale podobnie robi McKenzie. Jej matka przebywa w domu opieki w Yakimie i kiedy tylko McKenzie jest w okolicy, ona i Sal spędzają razem czas. Nikt się tym tak

naprawdę nie przejmuję, ponieważ McKenzie jest teraz dorosła. Podobno ojciec Sala też był kobieciarzem. I w mieście mówi się, że...

– Niedaleko padło jabłko od jabłoni – dopowiada Marin i zamyka oczy.

Pieprzony kłamca. A więc Sal utrzymywał kiedyś stosunki seksualne z McKenzie i nadal je utrzymuje. Co za chorą grę prowadzi? Czy to Sal kazał jej uwieść Dereka? Czy to Sal zastawił pułapkę na męża Marin, żeby skłonić go do zdrady?

– Myślisz, że Sal pomaga McKenzie planować wymuszenia? – pyta Marin, kiedy odzyskuje głos. – Aranżować romanse z bogatymi facetami? Z Derekiem też?

– To możliwe.

– Ale dlaczego? – Wypowiada to płaczącym tonem, bo naprawdę nie rozumie. Wszystko, co Castro mówi jej o McKenzie, wydaje się wiarygodne, ale Sal? Marin zna Sala, naprawdę go zna i nic z tego, co mówi detektyw, nie ma sensu. Sal jest jej najlepszym przyjacielem. Sal ją kocha. Nie zrobiłby niczego, żeby ją skrzywdzić, w każdym razie nie świadomie. – Wiem, że Salowi zdarzały się różne wysoki, ale nigdy nie zależało mu na pieniądzach. Na litość boską, odrzucił rodzinny interes i kupił bar. To nie ma sensu.

– Zgadzam się, że był taki czas, kiedy nie zależało mu na pieniądzach. – W głosie Castro pobrzmiewa ostrożna nuta. – Ale to prawdopodobnie było wtedy, kiedy w gruncie rzeczy miał pieniądze. Teraz ich nie ma. Przyjrzałam się jego sytuacji finansowej. Z pozoru jego bar przynosi dochody, ale winiarnia, kiedy sprzedali ją dziesięć lat temu, była strasznie zadłużona. Ojciec Sala dobrze nią zarządzał, kiedy żył, jednak po jego śmierci firmę przejęła matka Sala. Nie dawała sobie rady. Kiedy wreszcie zdecydowali się ją sprzedać, długi wynosiły więcej, niż była warta. Mieli szczęście, że udało im się zatrzymać dom. Sal utrzymuje ich oboje. Taki rodzaj napięcia finansowego może człowieka pchnąć do różnych szalonych rzeczy.

I oto dotarły do sedna. Nadchodzi najgorsze, Marin to czuje. Poznaje to po głosie Castro łagodniejącym z każdym słowem. Zaraz pojawi się odpowiedź, której Marin tak szukała.

– Vanesso, powiedz mi, powiedz mi to, co próbujesz mi powiedzieć, odkąd tutaj weszłaś.

– Ty już to wiesz. Słyszę to w twoim głosie.

– Uważasz, że to Sal zabrał Sebastiana? Dla okupu?

– Tak sędzę, tak.

Marin zamyka oczy, powoli wdycha i wydycha powietrze. Ból przyjdzie później. W tej chwili musi pozostać skupiona. Obecna.

– A potem co z nim zrobił?

– Tego nie wiem. Ale minęło prawie półtora roku.

– On może wciąż żyć.

– Możliwe. – Głos Castro brzmi neutralnie. W jej zawodzie neutralność oznacza „nie”. – Musielibyśmy pogadać z Salem.

– A McKenzie też brała w tym udział? W porwaniu Sebastiana? I swoim własnym? Kto stoi za tym żądaniem okupu?

– Jakim żądaniem okupu? – Castro odstawia kubek z kawą. – Marin, jeśli coś wiesz, to teraz jest moment, żeby to wyjawić.

Trzęsącymi rękami Marin sięga po telefon, który cały czas leżał na stoliku między nimi ekranem do dołu. Klika na aplikację Shadow, a następnie na zdjęcie McKenzie, pobitej i związanej na łóżku, i podaje telefon Castro.

– Myślałam, że usunęłaś tę aplikację.

– Dzisiaj zainstalowałam ją ponownie. – Marin ruchem głowy wskazuje telefon. – Przyjrzyj się uważnie. Przeczytaj wiadomość. Moim zdaniem wygląda prawdziwie.

Castro powiększa zdjęcie i marszczy czoło.

– Bardzo możliwe. W tym momencie naprawdę trudno to stwierdzić. Derek dostał to dzisiaj?

– Tak.

– Powinnaś była od razu mi to przesłać. – Castro spogląda na Marin. Wydaje się zdumiona. – Dlaczego tego nie zrobiłaś?

– Chciałam najpierw porozmawiać z Derekiem. – Marin od łez pieką oczy. – Bo ten esemes może oznaczać, że już wcześniej otrzymał żądanie okupu. Chciałam się dowiedzieć, co Derek wie. – Przełyka ślinę. – Będzie w domu lada moment.

– A co z tym, co ty wiesz? – Łagodny ton zniknął. Głos Castro jest ostry i Marin wyobraża ją sobie jako policjantkę, jak bezlitośnie przyciska podejrzanych, dopóki nie dotrze do prawdy. – Co jeszcze wiesz, Marin?

Powiedz jej. Powiedz jej, co zrobiłaś. Powiedz jej o Julianie.

Nie może się jednak zmusić, by wypowiedzieć choć słowo. To było planowanie morderstwa. Trafi do więzienia.

– To wszystko, nic więcej nie wiem. Zawiadomisz policję? Aresztują Sala?

– Już to zrobiłam. – Głos Castro znowu brzmi normalnie. – Czekam na wiadomość z wydziału policji w Prosser, że został zatrzymany. W tej chwili nie pozostaje nam nic innego, jak czekać i przekonać się, co znajdą.

– Znajdą? – Marin mruga, nie do końca rozumiejąc, co detektyw ma na myśli. – Mówisz o Sebastianie?

– Marin, odkąd twój syn został porwany, minęło szesnaście miesięcy. To długo, jeśli chodzi o trzymanie kogoś w niewoli. Nie twierdzę, że znam odpowiedzi. Musimy czekać na to, co powie Sal. Ale chcę, żebyś była przygotowana, dobrze? Mówię ci to jak kobieta kobiecie, jak matka matce. Nie chcę, żebyś robiła sobie wielkie nadzieje. Musisz się nastawić na najgorsze. Dlatego właśnie przyjechałam. Pomyślałam, że będę mogła służyć ci...

Marin kręci gwałtownie głową.

– Nie, Sal by go nie skrzywdził.

– Może nie celowo. Nie umyślnie. Ale dorastał w bardzo dysfunkcyjnej rodzinie, gdzie agresja była na porządku dziennym.

– I dlatego właśnie nie skrzywdziłby dziecka. – Marin się upiera, bo chce, żeby to była prawda. To musi być prawda. – Nie skrzywdziłby mojego dziecka.

– Jak wyglądały jego relacje z twoim synem?

– On... – Marin musi się zastanowić. Sal właściwie nie miał żadnych relacji z Sebastianem. Nie to, że go nie lubił, po prostu... nie był nim specjalnie zainteresowany. – Nie łączyła ich tak naprawdę żadna więź. Ale bez względu na to, w jakie chore gierki się bawi, Sal nie jest zdolny do tego, żeby kogoś zabić.

– Czyżby? – podchwytuje Castro. – Jesteś pewna, że nie zabił swojego ojca?

Marin otwiera usta, by odpowiedzieć, lecz po sekundzie je zamyka. Nie powinna się dziwić, że Castro wie o przedwczesnej śmierci ojca Sala, ale musi być bardzo ostrożna w tym, co jej odpowie.

– To było dawno temu.

Castro unosi brew.

– To był wypadek – dodaje Marin szybko. – Ojciec Sala się upił. On...

– Zgodnie z policyjnym raportem byłaś u niego tamtej nocy. Czy widziałaś, co się stało?

– Nie.

Marin tego nie widziała. Wyszła na balkon o sekundę za późno.

I niemal natychmiast kazała Salowi skłamać. Powiedziała mu, co dokładnie ma zeznać, żeby nie poszedł do więzienia. Dlaczego miałyby to robić, gdyby na jakimś poziomie, w głębi ducha, nie sądziła, że Sal mógł zabić ojca celowo? Sal Senior był potwornym człowiekiem, a to jej wina, że w ogóle poszli na tę imprezę. Nie chciała, żeby jej chłopak spędził resztę życia za kratkami za zabicie człowieka, który omal nie zakatował jego matki i który równie łatwo mógłby zabić i jego.

– Osoby, z którymi zadaje się Sal, nie są dobrymi ludźmi – ciągnie Castro. – Czy kiedykolwiek spotkałaś jego znajomego, Juliana Blacka? – Marin zamiera. – Ponad dwadzieścia lat temu, kiedy Sal trafił do aresztu za handel narkotykami, byli przez krótki czas towarzyszami z więziennej celi. Kiedy sprawdzałam wszystkich bliżej związanych z tobą i Derekiem, początkowo imię Juliana się nie pojawiło. Przyznaję, że wtedy nie szperałam głębiej w życiu Sala, bo wcześniej wyeliminowałam go z grona podejrzanych. Ale kiedy odkryłam powiązania między McKenzie a Salem, przyjrzałam się uważniej jego znajomym. Julian Black, jak się okazało, ma bardzo burzliwą kryminalną przeszłość. Nie przypominasz sobie, żebyś go spotkała w którymś momencie? Sal nigdy was sobie nie przedstawił?

Dlaczego Castro o to pyta? Czy dlatego, że już zna odpowiedź i próbuje przyłapać Marin na kłamstwie?

– Spotkałam go. – Marin przełyka ślinę. Półprawda jest lepsza niż nic. – Sal nas umówił. Powiedział, że Julian stara się o pozyskanie funduszy na rzecz pewnej organizacji dobroczynnej, schroniska dla maltretowanych kobiet. Kiedy teraz o tym myślę, facet wydawał się trochę podejrzany, ale ta organizacja naprawdę istnieje, zresztą już wcześniej wpłacałam jakieś sumy na jej rzecz. Nie bardzo mogłam odmówić, więc przekazałam darowiznę.

Castro przez chwilę nic nie mówi. Jej milczenie jest ogłuszające. Z pewnością wie, że za tym wszystkim kryje się coś więcej. Niemożliwe, by szósty zmysł nie podpowiadał jej, że Marin ściemnia.

– Julian Black jest znany w pewnych podejrzanych kręgach jako człowiek od brudnej roboty. – Castro mówi to spokojnie, nie spuszczać oczu z twarzy Marin. – Zajmuje się praniem brudnych pieniędzy. Przekupstwami. Szantażem. Gdyby Sal chciał porwać twojego syna, nie pominęłabym takiego typu jak Julian w roli współnika. Cholera, może to

nawet on był tam wtedy w stroju Mikołaja. – Pochyla się nieznacznie do przodu. – Moje źródła podają, że morderstwo na zlecenie też nie jest w jego przypadku wykluczone. Chociaż chodzą słuchy, że bardzo dużo bierze.

O Boże, jeszcze chwila i Castro powie, że wie, iż Marin zapłaciła Julianowi za zabójstwo McKenzie. I nie będzie miało znaczenia, że próbowała to potem odwołać. Plany zostały poczynione. Pieniądze przekazane. Marin nie jest prawniczką, ale to musi oznaczać więzienie.

Zaraz wszystko się wyda. Wszystko, co zrobiła ona, wszystko, co zrobił Derek, wszystko, co zrobił Sal. Wszystkie sekrety. Wszystkie kłamstwa. Marin nie jest lepsza od tamtych dwóch.

I Vanessa Castro to wie. Sądząc po jej minie, dobrze wie, co Marin zrobiła.

– Zamierzasz mnie aresztować? – wypala Marin. Coś łaskocze ją w policzek. Dotyka twarzy, to ła.

– Oczywiście, że nie. Przede wszystkim nie jestem już gliną. Nie bez powodu tamto życie zostawiłam za sobą. A jeśli chodzi o twoje spotkanie z Julianem...

Patrzą sobie w oczy. Marin nie śmie odwrócić wzroku.

– Może rzeczywiście przekazałaś... „darowiznę”. – Znowu ten cudzysłów. – Nie oceniam tego, co wtedy wydawało ci się, że musisz zrobić. Nie po to mnie zatrudniłaś. Straciłaś dziecko. Każda matka wpadłaby w czarną rozpacz. To, w co wpakowała się McKenzie, to skutek jej relacji z Salem, nie twoich działań.

Marin tłumi szloch, czując, jak ulga przenika całe jej ciało. Na twarzy Castro widzi teraz tylko współczucie.

– Myślisz, że McKenzie była zamieszana w porwanie Sebastiana? – pyta.

– To możliwe. Ale to wymagałoby z jej strony naprawdę psychopatycznej manipulacji, żeby porwać facetowi dziecko, a kilka miesięcy później wdać się z nim w romans. Choć, szczerze mówiąc, kto wie? Jeśli zadaje się z Salem, odkąd była nastolatką, a Sal zna Juliana od lat, możliwe, że wszyscy troje w tym siedzą i planowali to od bardzo dawna. – Zastanawia się przez chwilę. – Intuicja mówi mi jednak, że mózgiem całej akcji jest Sal. Myślę, że wykorzystał McKenzie, żeby dotrzeć do Dereka, a Julian jak zawsze jest od brudnej roboty.

Marin coś się nagle przypomina i prostuje się na ławie.

– Tamtego dnia rozmawiałam z Salem przez telefon, pamiętasz? Na targu. Zadzwoił do mnie z Prosser. Nie mogłam z nim rozmawiać dłużej

niż jakieś dziesięć sekund, bo Sebastian mnie ciągnął i domagał się lizaka... O mój Boże. Zadzwoił pewnie po to, żeby potwierdzić moją dokładną lokalizację. Na pewno słyszał w tle Sebastiana.

– A Julian już wtedy był gdzieś na targu, może nawet w kostiumie Mikołaja. – Castro ma ponurą minę. – To dzięki temu wiedzieli, kiedy będzie właściwy moment. Sal musiał mu powiedzieć, w którym momencie ma wkroczyć do akcji.

– Jak mogłam się nie domyślać, że to Sal? – Udręka i poczucie winy są tak wielkie, że Marin nie może oddychać.

– A skąd niby miałabyś to wiedzieć? – Castro kręci głową. – Znałaś Sala dłużej niż męża. Był ostatnią osobą, którą byś podejrzała.

– Juliana też aresztują?

– Jeśli go znajdą, co jest mało prawdopodobne po tym, gdy Sal trafi do aresztu. Ale nawet jeśli do niego dotrą, Julian nic nie powie.

Marin nie może dłużej trzymać tego w tajemnicy. Ten sekret pali ją od środka.

– Vanesso, ja usiłowałam... Usiłowałam zatrudnić Juliana do... – Dławi się własnymi słowami, a Castro pochyla się i bierze ją za rękę.

– On nigdy nie zamierzał tego zrobić, Marin – mówi. – Nie rozumiesz tego? Sal jest związany z McKenzie i chodziło mu tylko o to, żebyś myślała, że zatrudniasz Juliana. Chcieli twoich pieniędzy. To wszystko było ukartowane.

– A jednak postąpiłam źle.

– Może i tak. Może straciłaś głowę, a co za tym idzie, zdolność trzeźwej oceny sytuacji. Ale ja jestem po twojej stronie – zapewnia Vanessa. – Jeszcze tego nie wiesz? Od początku byłam. I mogę powiedzieć z całą stanowczością, że zważywszy na wszystko, przez co przeszłaś, można ci to wybaczyć.

Z piersi Marin wyrywa się szloch. Po raz pierwszy, odkąd się poznały, płacze otwarcie przy tej kobiecie, aż nagle dźwięk podnoszących się drzwi garażu sprawia, że obie podskakują.

Derek wrócił do domu.

Twarz dokucza Kenzie jak skurwysyn, tam, gdzie Julian ją uderzył. Jej oko i szczęka zdają się żyć własnym życiem, pulsują, każda zmiana wyrazu twarzy wywołuje ból. Patrzy w lustro, przesuwając palcem po opuchliznie i krzywi się, kiedy natrafia na szczególnie bolesne miejsce.

Po drodze wszystko się spierdoliło.

Nigdy nie lubiła domu J.R. wśród winnic. Już przed laty, kiedy zobaczyła go po raz pierwszy, był stary i zniszczony, a teraz jest w jeszcze gorszym stanie. Nienawidzi unoszącego się w nim zapachu wilgoci i pleśni. Nienawidzi przestarzałego wystroju, a zwłaszcza wyblakłych tapet z lat osiemdziesiątych i kwiecistej tapicerki. W dawnej sypialni J.R. materac jest tak stary, że Kenzie czuje każdą spiralę każdej sprężyny wbijającej się w jej plecy. J.R. mówił, że kiedyś ten dom był piękny, ale to musiało być na długo przed jej urodzeniem.

Teren dookoła wygląda niewiele lepiej. Trzy akry winorośli otaczające dom, które nadal należą do matki J.R., są wyschnięte i bezużyteczne. Huśtawka na drzewie za domem zaczyna murszeć. Nawet piwnica na wino o kontrolowanej temperaturze pod dawną salą degustacji, kiedyś od podłogi do sufitu wypełniona kolekcją najlepszych win z rodzinnej winiarni i z całego świata, teraz jest prawie pusta. Przed laty ta piwnica była doskonałym miejscem do uprawiania seksu. Teraz jest po prostu przygnębiająca.

Na domiar złego Lorna nigdy jej nie lubiła. Matka J.R. uważa ją za dziwkę, która usiłuje zdeprawować jej syna, co jest przekomiczne i dowodzi, że nie ma pojęcia, jakim człowiekiem stał się jej syn. Gwoli sprawiedliwości, Kenzie też nie lubi Lorny, ale przynajmniej tym razem staruszka okazuje jej gościnność. J.R. powiedział matce, że Kenzie ukrywa się przed agresywnym chłopakiem, co złagodziło nieco wrogość Lorny wobec niej. Dała nawet Kenzie woreczek z lodem i przyniosła talerz zupy.

– Przez jakiś czas będzie ci trudno gryźć – uprzedziła. – Zupę łatwiej przełknąć.

Z tego, co opowiadał jej J.R, jego matka wiedziała, co mówi.

– Jeszcze boli? – odzywa się głos z łóżka za jej plecami.

Kenzie nie wiedziała, że już się obudził. J.R. zasnął po seksie, ale teraz siedzi na łóżku, odrzucił kołdrę, odsłaniając swój nagi tors. Sięga po wypalonego do połowy jointa leżącego w popielniczce i go zapala. Kenzie nie znosi, kiedy za dużo pali. Trawka wpędza go w paranoję.

– Jest już trochę lepiej, ale ten dupek nie musiał walić mnie aż tak mocno. – Kenzie zdaje sobie sprawę, że mówi jak nadąsane dziecko, ale ma do tego prawo. Nadal jest wkurzona.

– Chcesz dostać forszę, prawda? – J.R. zdążył już się znudzić tą rozmową. Przegląda coś w telefonie, joint zwisa mu niebezpiecznie z kącika ust. – Chodziło o to, żeby to wyglądało realistycznie na zdjęciu.

– Chcę, ale nie tak. – Odwraca się i piorunuje go wzrokiem, uświadamia sobie jednak, że boli ją, gdy marszczy czoło, więc rozluźnia mięśnie twarzy. – Kiedy powiedziałaś, że znajdziemy inny sposób, żeby zakończyć tę sprawę, nie wiedziałam, że chodzi ci o coś takiego.

– Hej – mówi J.R., wpatrując się w ekran telefonu – chodź tutaj.

Zgina palec i przyzywa ją gestem. Kenzie siada na łóżku, sprężyny zapadają się pod jej ciężarem, a J.R. wskazuje ekran telefonu. Widać na nim otwartą stronę Tylera na Facebooku.

– Od kiedy masz Facebooka? – pyta Kenzie.

Zamiast odpowiedzieć J.R. stuka palcem w najnowszy status Tylera. Współlokator Kenzie zamieścił coś o niej, post jest popularny, ma ponad tysiąc lajków i ponad trzysta komentarzy.

– O cholera! – wykrzykuje Kenzie, czytając cały post. – Tyler myśli, że zaginęłam. Zgłosił oficjalnie moje zaginięcie.

– Miałaś mu wysłać esemesa i zawiadomić, że nic ci nie jest – warknął J.R.

– Zupełnie zapomniałam. Pewnie przypomniałoby mi się po przyjeździe tutaj, ale wczoraj za bardzo mnie bolało. Julian wyłączył mój telefon po tym, jak wysłał wiadomość Derekowi, żeby nie dało się wysledzić lokalizacji.

– Kurwa mać, czy ja muszę o wszystkim myśleć? – J.R. głowi się nad tym przez chwilę, po czym sięga po jej telefon leżący na nocnej szafce i go włącza. – Wstaw coś na Instagrama. Tylko bez twarzy. I niczego, co pozwoli ustalić, gdzie jesteś.

Kenzie przewraca oczami. Niesamowite, że on uważa ją za idiotkę.

– Po prostu coś, żeby wszyscy wiedzieli, że nie umarłaś – dodaje J.R. – A potem wyślij esemesa do tego twojego pieprzonego współlokatora. Napisz mu, że żyjesz i że chcesz, żeby zostawiono cię w spokoju.

Kenzie wzdycha i podchodzi do okna. Kieruje obiektyw telefonu w górę i robi zdjęcie swojej ręki z palcami ułożonymi w V, znak pokoju, na tle błękitnego nieba i chmur. Ładuje fotkę na Instagrama, wybiera filtr i podpisuje zdjęcie: Czuję spokój. Dodaje jeszcze hashtagi: #unplugged i #czasdlasiebie. Przed zamieszczeniem posta pokazuje go jeszcze J.R.

Ten kiwa głową na znak aprobaty i Kenzie wciska „udostępnij”.

Potem pisze esemesa do Tylera: Widziałam Twój post na FB. Bardzo mi przykro, że się martwiłeś! Nic mi nie jest, potrzebowałam tylko trochę czasu dla siebie. Niedługo wrócę. Opiekuj się Bufordem.

Nie mija nawet minuta, kiedy przychodzi odpowiedź Tylera: Serio??? OMG ale z ciebie pizda. Naprawdę się o ciebie martwiłem. Po powrocie możesz sobie szukać nowego mieszkania. Gnojowo.

I jeszcze ostatni esemes, pięć sekund później: Masz, kurwa, szczęście, że kocham Twojego kota.

– No to załatwione – stwierdza Kenzie kwaśno. – Tyler wykopał mnie z mieszkania, co oznacza, że dzięki tobie oficjalnie spaliłam za sobą wszystkie mosty. – Wyłącza telefon i z trudem powstrzymuje się, żeby nie cisnąć nim w twarz J.R. – Wiesz, że to wszystko wcale nie było konieczne, prawda?

– Wyluzuj. Znajdziesz nowego współlokatora. Wszystko się ułoży. – J.R. nie mógłby mniej się tym przejąć, choćby nawet się starał. – Dobra, w porządku. Tyler właśnie zaktualizował swój status. Aj, chyba już nie jesteście znajomymi na Facebooku. Chcesz przeczytać?

Kenzie wpatruje się w niego. Pogodziła się z tym, że kocha J.R. i zawsze będzie kochała – są osoby, które, gdy już raz wnikną w twoje serce, zostają tam na zawsze. Ale zdarzają się chwile, takie jak ta, kiedy nie bardzo pamięta, dlaczego go kocha.

– Czy ty rozumiesz, że to naprawdę nie musiało się zdarzyć? Mogłam wyciągnąć pieniądze od Dereka w inny sposób.

– Ile razy mam ci to powtarzać? Derek by ci nie zapłacił. Nie musiałyby. Przestał być zainteresowany. A Marin się o tobie dowiedziała, a mimo to mu wybaczyła, tak jak wybacza mu za każdym pierdolonym razem. – J.R. odkłada swój telefon i krzyżuje ręce na piersi. – No dobra, zrób mi tę przyjemność i wyjaw, jaki to niby miałaś plan.

– Bardzo prosty. Zamierzałam czekać, aż zaproponuje mi pieniądze.

– Zaproponuje? Chyba żartujesz!

– Derek i ja spotykaliśmy się przez pół roku. Rozpracowałam go. W zeszłym tygodniu dał mi już pięć kawałków, z poczucia winy, że ze mną zrywa. Mogłam dostać pięćdziesiąt, może nawet sto, gdybym grała kartą „jest mi smutno/kocham cię/proszę nie zostawiaj mnie”. On łykał takie rzeczy, niczego nie podejrzewając. Facet jest chodzącym wyrzutem sumienia i lubił się o mnie troszczyć. To, że wrócił do Marin, było idealnym zrzędzeniem losu, zapłaciłby mi bez mrugnięcia okiem.

Derek i Marin. To, że Derek wrócił do żony, nie powinno jej boleć, ale boli. Sięga po butelkę z wodą stojącą na komodzie i pije, żeby łatwiej przełknąć urazę.

– No, ale teraz dostaniemy dwieście pięćdziesiąt – mówi J.R. – Sto dla ciebie, sto dla mnie, pięćdziesiąt dla Juliana.

– Nie wiedziałam, że jesteśmy drużyną – burczy Kenzie. – Mogłeś rozesać okólnik, byłoby miło.

– Nie bądź jędzą.

– Tak? Ten twój wspólnik rozkwasił mi gębę. – Kenzie poklepuje siniec na szczęce, delikatnie, żeby się nie urazić.

– Przestań biadolić. Pierwszy cios cię ogłuszył. Drugiego nawet nie poczułaś.

– Cieszę się, że to uspokaja twoje sumienie. I sądzisz, że Derek wam zapłaci?

– Zapłaci. – J.R. znów ma ponurą minę. – Z całą pewnością.

– To nie jest tego warte. Za coś takiego można trafić do pudła. To wymuszenie.

J.R. śmieje się szczekliwie.

– A to, co ty robiłaś z Paulem i z Seanem, i z jeszcze jednym koleśm... Nie pamiętam, jak on miał na imię...

– Erik.

– Z Erikiem. Nie uważasz, że to też było wymuszenie?

– Nie, bo oni sami proponowali mi pieniądze. Dlatego to takie piękne. Zwykła transakcja biznesowa, nie trzeba nikogo krzywdzić ani żądać okupu, a już na pewno nikt nie zostaje pobity. Zrobiłeś to wszystko po nic.

J.R. rzuca jej ostre spojrzenie.

– To nigdy nie jest po nic.

– Derek coś do mnie czuł. Wiem o tym. Miałam go aż do tego wyjazdu z Marin...

J.R. pochyła się i kładzie dłoń dokładnie na bolesnym miejscu na jej twarzy. Kenzie odsuwa się odruchowo, ale on znów to robi, zaciska dłoń jeszcze mocniej i zmusza ją, żeby na niego spojrzała. Kenzie stara się nie ruszać, wiedząc, że jeśli będzie próbowała się wyrwać, on ściśnie jeszcze mocniej.

– Przestań. – Kenzie aż zatyka. Strasznie ją boli i łzy napływają jej do oczu. – Robisz mi krzywdę.

– Nigdy go nie miałaś – cedzi J.R., a ona krzyczy z bólu, kiedy ściska ją po raz ostatni i zabiera rękę. – On jej nigdy nie zostawi. Nigdy nie byłby twój.

Kenzie zsuwa się z łóżka, zanim on znów będzie mógł ją chwycić. Może uciec pod prysznic w nadziei, że kiedy wyjdzie z łazienki, J.R. będzie w lepszym nastroju. Nagle jednak, gdy sięga po ręcznik wiszący na drzwiach sypialni, nachodzi ją pewna myśl.

– Hej, skąd wiesz, że Marin zawsze przyjmuje Dereka z powrotem?

J.R. znowu wpatruje się w telefon.

– O czym ty, kurwa, mówisz?

– Przed chwilą powiedziałeś, że ona zawsze mu wybacza. Skąd możesz to wiedzieć?

J.R. nie odpowiada.

– J.R. – Kenzie mówi trochę głośniej, żeby wiedział, że oczekuje odpowiedzi, ale nie na tyle głośno, by uznał, że podnosi na niego głos. – Serio, skąd to wiesz?

J.R. podnosi wzrok i wzdycha.

– Pamiętasz, jak ci kiedyś mówiłem o mojej dziewczynie ze studiów? I o tym, że wciąż się przyjaźnimy?

– Tak – burczy Kenzie, rozdrażniona tą nagłą zmianą tematu. – Powiedziałeś, że rzuciła cię dla... – Urywa i otwiera szeroko oczy. – To była Marin?

– Chryste, ale ty wolno myślisz. – Znów wbija wzrok w telefon.

Gdyby to był ktokolwiek inny, Kenzie rzuciłaby się przez pokój i wyrwałaby mu z ręki tę pieprzoną komórkę, żeby skupił się na rozmowie.

– Jak mogłeś mi o tym nie powiedzieć? Czy ty od początku wiedziałeś, kim on jest, kiedy ci o nim powiedziałam? Czy ty... – Urywa. – Czy ty to wszystko ukartowałeś?

– Kiedy powiedziałaś, że ma na imię Derek i jeździ czarnym metalicznym maserati, od razu się zorientowałem. W Seattle nie ma aż tylu nadzianych palantów o imieniu Derek i z taką bryką. Spotykałaś się z nim wtedy już od miesiąca, więc jak mogłem to ukartować? – J.R. kręci z odrazą głową. – Rusz łepetyną, M.K.

– Ale i tak mnie okłamałeś. – Kenzie nie może uwierzyć w to, co usłyszała. Opowiadała mu o Dereku od miesięcy, a J.R. ani słowem nie zdradził, że jej żonaty chłopak jest mężem jego byłej dziewczyny, która złamała mu serce. Nawet Lorna wyrażała żal, że jej syn nie ożenił się ze swoją studencką ukochaną.

To wyjaśnia, dlaczego J.R. zawsze tak się interesował jej romanssem z Derekiem. A także to, dlaczego był wobec niej taki zdystansowany. Chciał, żeby się z tym facetem związała.

Żeby on mógł mieć Marin.

– Nie okłamywałem cię. Zataiłem tylko pewne informacje. A teraz już wszystko wiesz.

– Więc tak naprawdę wcale nie chodzi ci o pieniądze, co? – Kenzie przeszywa dreszcz. – To sprawa osobista. Co to ma być, jakaś chora gra, w której chodzi o to, żeby doprowadzić do ich rozstania? Żeby co? Ukarać ją za to, że ośmieliła się od ciebie odejść do faceta, za którego wyszła i z którym ma dziecko? – Nagle nachodzi ją kolejna myśl i słowa same cisną jej się na usta, zanim zdąży je powstrzymać: – Jasna cholera, J.R., czy ty porwałś ich dziecko?

J.R. wyskakuje z łóżka tak szybko, że Kenzie nie ma czasu zareagować. Z całej siły popycha ją na ścianę i Kenzie uderza się boleśnie w tył głowy. Znowu chwyta ją za szczękę i zaciska dłoń dwa razy mocniej niż poprzednio, wbijając w nią spojrzenie ciemnych oczu. Kenzie nie może się poruszyć. Nie może odwrócić wzroku. Może najwyżej zamknąć oczy, a wtedy czuje na posiniaczonym policzku jego gorący oddech.

– Jeśli jeszcze kiedyś powiesz coś o tym dziecku – cedzi J.R. – to cię, kurwa, zabiję. Rozumiesz, McKenzie?

Nigdy nie zwraca się do niej jej pełnym imieniem.

Kenzie przytaknęłaby, gdyby mogła poruszyć głową, a tak może tylko zaskomleć, żeby dać mu do zrozumienia, że rozumie.

Marin nie ma pojęcia, jak zainicjować tę rozmowę. Nie może się zdecydować, od czego zacząć. W ciągu minionych czterystu dziewięćdziesięciu czterech dni tyłu rzeczy sobie nie mówili, że teraz trudno tak nagle wyskoczyć z dramatycznym pytaniem. Ostatecznie jednak to Derek odzywa się pierwszy.

– Ktoś tutaj był? – Kładzie torbę z laptopem na blacie kuchennej wyspy i się rozgląda. – Widziałem samochód zaparkowany przy krawężniku.

Marin poprosiła Castro, żeby wyszła, zanim pojawi się Derek, i ta opuściła dom frontowymi drzwiami, tak samo jak weszła. Derek skorzystał z wejścia od strony garażu, więc się nie spotkali.

– Tak, był.

Derek czeka. Marin patrzy mu w oczy niemal wyzywająco, chce, żeby poprosił ją o wyjaśnienie. Potem jednak dostrzega worki pod jego oczami, zapadnięte policzki i bladość skóry. Wygląda tak od dawna czy dopiero od dziś?

– Powiesz mi, kto to był?

– Prywatna detektyw, którą zatrudniłam w ubiegłym roku, żeby odszukała naszego syna. – Derek aż podskakuje. – Ta sama – ciągnie Marin spokojnie – która poinformowała mnie o twoim romansie z McKenzie Li. Pół roku, Derek. Rany...

Derek otwiera usta, po czym zaraz je zamyka. Najwyraźniej nie wie, co powiedzieć, a Marin może sobie tylko wyobrazać natłok różnych emocji, które walczą o pierwszeństwo w jego głowie, gdy zastanawia się, jak zareagować. Będzie szedł w zaparte czy raczej się przyzna? Jeśli się przyzna, czy wyjawi jej całą historię, czy tylko część? A jeśli będzie wszystkiemu zaprzeczał, jak się wytłumaczy?

To ciekawe, obserwować kłamcę, kiedy się wie, że kłamie. Ledwie dostrzegalne tiki twarzy, przerywany kontakt wzrokowy, drobne drganie różnych części ciała. Takie rzeczy, na które można nie zwrócić uwagi, jeśli się nie wie, że ta osoba kłamie. Takie, o których nigdy się nie pomyśli, że są istotne, jeśli komuś się ufa, ponieważ wtedy można założyć, że wszystko,

co ten ktoś mówi, jest prawdą. Jeśli ktoś kocha, nie powinien okłamywać ukochanej osoby.

Marin i Derek stoją po przeciwnych stronach wielkiej granitowej wyspy w odległości półtora metra od siebie. Równie dobrze mogłoby ich dzielić piętnaście kilometrów. Mija cała minuta, a on nadal milczy. To absurd, ale Marin znów przypomina się scena z Narzeczonej dla księcia. Człowiek w czerni rzuca wyzwanie Vizziniemu, mające przesądzić o tym, który z nich dostanie śliczną Buttercup: „W którym kielichu jest trucizna? Wskazujesz i pijemy obaj”.

Wreszcie Derek szepcze:

– Przepraszam. – Głos ma ochrypy, spuszcza głowę i opiera obie dłonie na blacie. – Ona nic dla mnie nie znaczyła... Nie Kocham jej.

Marin bierze telefon i otwiera aplikację Shadow. Przesuwa aparat po zimnym granicie, żeby Derek mógł zobaczyć zbliżenie pobitej twarzy McKenzie. Na widok tego zdjęcia omal się nie przewraca.

– No więc? – pyta Marin. – Zamierzasz zapłacić?

– O Boże. – Głos więźnie mu w gardle. – O mój Boże, nigdy nie chciałem, żebyś się dowiedziała. Marin, tak mi przykro. Tak bardzo mi przykro.

Marin ignoruje słowa Dereka, jest nieczuła na jego udrękę.

– Żądają dwustu pięćdziesięciu tysięcy. Wiem, że tyle mamy, więc to akurat nie problem. Co zamierzasz zrobić? Zapłacisz? A może myślisz, że to zdjęcie to oszustwo i ona chce tylko wyłudzić pieniądze, tak jak to robiła ze swoimi innymi nadzianymi kochankami? Słyszałam, że ostatni dał jej pięćdziesiąt tysięcy. W twoim przypadku stawka najwyraźniej wzrosła.

Derek znowu patrzy na zdjęcie, po czym kieruje na Marin zdumione spojrzenie.

– O czym ty mówisz? Z jakimi innymi kochankami?

– Och... – Marin po raz pierwszy tego dnia się uśmiecha. Ale bynajmniej nie jest to miły uśmiech. To uśmiech złośliwej satysfakcji, bo dokładnie to w tej chwili czuje. – Nie wiedziałeś? Więc pozwól, że cię uświadomię. Twoja młoda ukochana jest profesjonalistką. Uwodzi nadzianych żonatych frajerów, a kiedy próbują z nią zerwać, żąda zapłaty. A co, może sądziłeś, że ona naprawdę cię kocha? – Derek nie odpowiada, co prawdopodobnie jest mądrym posunięciem. – Jednak te sińce, więzy i żądanie okupu to coś nowego w jej karierze – ciągnie Marin. – Więc jak myślisz? Prawdziwe czy reżyserowane?

Marin jeszcze nigdy nie widziała, żeby jej mąż był tak blady i roztrzęsiony.

– Powiedziałem im, że zapłacę. Mam te pieniądze. Są w torbie w samochodzie. Czekam na kolejnego esemesa.

– Czy tak samo zrobiłeś, kiedy zażądali okupu za Sebastiana?

Derek zamiera. I w tym momencie Marin już wie.

– Ty cholerny sukinsynu! Jak mogłeś mi nie powiedzieć?! – Jej krzyk rozbrzmiewa jak grzmot w ich ogromnej kuchni, odbijając się echem od designerskich szafek.

Na dźwięk jej głosu Derek, chłop metr dziewięćdziesiąt trzy, kuli się tak, że sprawia wrażenie niższego od Marin.

– Przepraszam – łka, a szloch wstrząsa całym jego ciałem. – Przepraszam. Tak bardzo, bardzo cię przepraszam.

To było dokładnie miesiąc po porwaniu Sebastiana. Trzydzieści jeden dni. Tyle czasu trwał ich koszmar na jawie, choć nadal trudno było im uwierzyć, że tak teraz wygląda ich życie.

Śledztwo w sprawie zniknięcia Sebastiana – mimo że jego zdjęcie i nagranie z kamery monitoringu pokazywano w wiadomościach w całym kraju – utknęło w martwym punkcie. Nie było żadnych tropów, nikt nie żądał okupu, nie pojawili się nowi świadkowie, którzy nagle przypomnieli sobie coś, co umknęło im miesiąc wcześniej, tuż po zaginięciu chłopca. Kiedy Derek zadzwonił do FBI z pytaniem, co jeszcze można zrobić, agent prowadzący ich sprawę poinformował go, że chociaż śledztwo nadal pozostanie „w toku”, ich ludzie muszą się zajmować setkami innych przypadków zaginionych dzieci, które zdarzają się w każdym tygodniu na terenie całego kraju.

Wtedy Marin się załamała. Już i tak była w fatalnym stanie, głowę miała pełną pedofilskich potworności, handlu żywym towarem i wszystkiego tego, czym torturowała ją wyobraźnia. Ale kiedy Derek przekazał jej przez telefon stanowisko FBI, samopoczucie Marin sięgnęło dna.

To Derek ją znalazł. Wrócił do domu z arcyważnego spotkania w pracy, spotkania, którego prowadzenia nie mógł powierzyć nikomu innemu, i zastał żonę leżącą w wannie, nieprzytomną. Nie było go zaledwie trzy godziny. Zadzwonił na 911 i aż do przyjazdu karetki próbował ją reanimować. Udało im się sprawić, że odzyskała przytomność, i zabrali ją do szpitala na dalsze leczenie.

– Prawie wtedy umarłaś. – Derek mówi monotonnym głosem, a po jego twarzy wciąż płyną łzy. – Kiedy otworzyłem drzwi łazienki i cię zobaczyłem, myślałem, że nie żyjesz.

Marin milczy. Przepraszała go już setki razy za to, że tak go przestraszyła. Przepraszała też Sala i Sadie, i wszystkich innych, którym na niej zależało. Nie miała już siły więcej przeproszać.

– Kiedy pięć dni później wypisano cię z oddziału psychiatrycznego, bałem się zostawić cię samą. Jakiś tydzień później dostałem e-mail z nieznanego adresu. Przyszedł na moje służbowe konto. Bez tematu. Kiedy go otworzyłem, zobaczyłem zdjęcie Sebastiana. Był cały i zdrowy, przestraszony, ale poza tym nic mu nie dolegało. Trzymał egzemplarz „New York Timesa” z widoczną datą. To zdjęcie zostało zrobione tamtego dnia. W e-mailu zawarto ostrzeżenie, żebym nie dzwonił na policję. Napisali, że jeśli to zrobię, już nigdy nie zobaczę syna. Napisali też, że ktoś do mnie zadzwoni dokładnie za pół godziny. Jeśli nie odbiorę albo jeśli stwierdzą, że telefon jest na podsłuchu, zabiją go.

Marin zamyka oczy. Nie może tego słuchać, takie to potworne, a umysł podsuwa jej sto różnych możliwych rozwiązań tamtej sytuacji.

– Powinienem być zadzwonić do FBI, ale po prostu... nie mogłem. Byłem taki wściekły. Śledztwo utknęło w martwym punkcie i miałem poczucie, że wszyscy nas zostawili. A ty dopiero co... – Derek kręci głową. – Nie zadzwoniłem do nich. Myślałem tylko o tym, że odkąd po raz ostatni widziałem mojego synka, minęło pięć tygodni. Pięć tygodni! I jeśli w ciągu pół godziny ktoś miał zadzwonić i zapewnić, że naprawdę nic mu nie jest, to chciałem to usłyszeć. Musiałem.

Tak, Marin to rozumie. Ale nie chce dać Derekowi tej satysfakcji i przyznać, że miał prawo tak czuć, więc nic nie mówi.

– Poszedłem do garażu i siedziałem w samochodzie. Telefon zadzwonił dokładnie tak, jak powiedzieli. Kiedy odebrałem, usłyszałem Basha.

– Co? – Pod Marin uginają się kolana, teraz ona musi przytrzymać się krawędzi blatu, żeby nie runąć na podłogę. – Rozmawiałeś z nim?

Derek kiwa głową, jego twarz wygląda jak maska przedstawiająca straszną udrękę i przejmujący ból.

– Powiedział: „Cześć, tatusiu, tu Bash. Tęsknię za tobą i za mamusią. Kiedy po mnie przyjedziecie?”

– O Boże. – Marin nie może oddychać. – O Boże...

– A ja odparłem: „Już niedługo, misiaczku. Już niedługo”. I spytałem, czy nic mu nie jest, a on powiedział: „Nie. Tu jest telewizor i jem pizzę i dużo słodczy”. A potem znowu zapytał, kiedy po niego przyjadę.

Marin płacze tak bardzo, że nie może mówić, ale kiwa głową.

– Po chwili ktoś przejął telefon. Mężczyzna. Nie rozpoznałem głosu. Powiedział: „Jeśli chcesz odzyskać syna, do wieczora mamy dostać ten milion. Esemesem podamy numer konta”.

Marin spogląda na męża.

– Wtedy właśnie podnieśliśmy do miliona nagrodę za odnalezienie Sebastiana.

Derek kiwa głową.

– Tak. Tuż przed tym. Powiedziałem mu, że mogę zdobyć te pieniądze, ale to potrwa co najmniej trzy dni. Były przeznaczone na nagrodę i nie mogłem ich ruszyć bez zaalarmowania FBI, na pewno śledzili wszystkie moje przelewy. Powiedziałem, że mam dwieście pięćdziesiąt tysięcy dostępne od ręki, na koncie osobistym, i mogę im je przekazać w ciągu paru godzin. Ku mojemu zaskoczeniu facet się zgodził.

– Dlaczego wtedy nie zadzwoniłeś do FBI?

– Ty byś tak zrobiła? – Nie pyta z przekazem. On naprawdę chce wiedzieć, co zrobiłaby Marin, i czeka przerażony na jej odpowiedź.

Marin zastanawia się przez chwilę.

– Nie – mówi wreszcie, a wtedy uświadamia sobie, że to prawda. – Nie, nie zrobiłabym tego. Nie wtedy, nie po pięciu tygodniach. Nie, gdybym wierzyła, że zdołam wykupić synka.

Derek oddycha z ulgą.

– Zgromadziłem pieniądze, władowałem je do torby i czekałem. Cały dzień. I w końcu przyszedł kolejny e-mail. Z adresem. To był dom w North Bend. Powiedzieli, że Sebastian będzie czekał w środku, sam. Miałem tam wejść, zostawić pieniądze, zabrać go i odjechać. Ktoś będzie mnie obserwował. Jeśli zobaczą, że coś jest nie tak, wysadzą dom z nami w środku.

– Jezu Chryste, Derek...

– Wszedłem do tego domu. Od frontu była tabliczka „Na sprzedaż”, a w środku pusto, prawie żadnych mebli, tylko kanapa, telewizor i małe łóżeczko w jednym z pokoi w głębi. Ale na podłodze leżała zabawka. Taka tania plastikowa, jaką dodają do Happy Meala. Pokemon. Nie wiem który, złoty. Leżał tam, jakby chciał powiedzieć: „Ktoś tutaj był. Było tu dziecko”.

Usiadłem na kanapie. Koło północy zadzwonił telefon. Facet kazał mi zostawić pieniądze i odjechać. Zapytałem, gdzie jest mój synek, dlaczego go nie przywieźli, a wtedy usłyszałem w tle płacz Sebastiana. Zacząłem krzyczeć, on coś odkrzyknął i połączenie zostało przerwane. A minutę później dostałem e-mail, w którym...

– Co? Co było w tym e-mailu?

– Napisali: „Za późno. Spieprzyłeś sprawę. Dzieciak nie żyje”.

Marin zakrywa usta dłonią, żeby zdusić krzyk.

– Nie wiem, co poszło nie tak, Marin. Zrobiłem wszystko, czego żądali, miałem pieniądze, byłem we wskazanym miejscu, nie rozumiem, dlaczego... dlaczego oni... – Nie jest w stanie dokończyć.

O Boże, o Boże, o Boże, Boże...

– Nie – mówi Marin. To słowo wydobywa się z jej ust niczym lament. – Niiieeee! Boże, proszę, nie!

– Próbowałem oddzwonić, ale nikt nie odbierał. Godzinę później odezwało się powiadomienie, że nie ma takiego numeru. Wysyłałem e-maile na tamten adres, ale wszystkie do mnie wracały.

Derek z trudem łapie powietrze i cały dygocze, a Marin patrzy na niego przerażona. Z jednej strony pragnie go pocieszyć, powiedzieć mu, że ona zrobiłaby dokładnie to samo, z drugiej jednak ma ochotę złapać go za gardło i zaciskać dłonie tak długo i tak mocno, aż jego grdyka pęknie i z tchawicy znikną wszystkie cząsteczki powietrza.

– Nie wiem, co zrobiłem źle, ale zabiłem go, Marin – mówi Derek zduszonym głosem, jakby jej palce naprawdę zaciskały się na jego szyi. – Zabiłem naszego synka. I nie mogłem ci o tym powiedzieć. Nie mogłem ci powiedzieć, bo gdybym to zrobił, ciebie też bym zabił.

Znów zaczyna szlochać. Marin nie może tego znieść i wyciąga do niego rękę. Przywierają do siebie przy zrobionej na zamówienie granitowej wyspie w designerskiej kuchni ich wymarzonego domu na miarę ich idealnego życia, i oboje płaczą.

– Muszę ci coś powiedzieć – mówi Marin dziesięć minut później, kiedy szloch ustaje. Zawsze tak się dzieje, bo nie można przecież szlochać w nieskończoność. To fizycznie niemożliwe. W pewnym momencie przychodzi odrętwienie. W ten sposób ciało radzi sobie z cierpieniem.

Derek wygląda lepiej, niż Marin się czuje, lecz on na przeżycie żałoby miał szesnaście miesięcy bez pięciu tygodni, dla niego to nie jest takie świeże, jak dla niej. Później, w pewnym momencie – Marin nie wie jeszcze

kiedy, ale później – przemyśli swój następny krok. Ostateczny. Teraz jednak ma do powiedzenia kilka rzeczy.

– Co takiego? – Całe ciało Dereka wydaje się skurczone. To dziwny widok. Fizyczność jej męża zawsze stanowiła ważną część tego, kim jest. Jego wzrost, chód, postawa, kiedy wchodzi do jakiegoś pomieszczenia – to wszystko składa się na to, że zawsze wydaje się taki władczy, stanowczy.

– To Sal go porwał. Dla pieniędzy.

Marin przekazuje mu wszystko, czego dowiedziała się od Castro, pomijając jedynie szczegóły związane z Julianem. Wspomina o nim tylko enigmatycznie jako o wspólniku Sala od czarnej roboty. Bardzo wstydzi się tego, co zamierzała zrobić z pomocą Juliana, i nie potrafi powiedzieć o tym Derekowi ani teraz, ani być może nigdy.

– Myślę, że Sal zrobił to również dlatego, że chciał nas zranić. Bo wiedział, że to zniszczy nasz związek. Jak mogłoby być inaczej, kiedy stało się coś takiego? Jestem pewna, że liczył na nasze rozstanie. Sądzę, że próbował nas rozdzielić już wcześniej.

Derek milczy, lecz Marin czuje, że wściekłość dosłownie z niego bucha, podobnie zresztą jak z niej.

– Za pierwszym razem, kiedy mnie zdradziłeś, to on mi doniósł, że was widział. – To obłąd, że teraz Marin wydaje się to takie oczywiste, podczas gdy wtedy w ogóle się nie zorientowała. – Powiedział, że siedział przy oknie w restauracji, kiedy ty i ta ekspedientka z Nordstroma akurat przechodziliście. Nie uwierzyłam mu, a on strasznie się na mnie wściekł, zarzucając mi, że udaję naiwną. Ale potem ona zadzwoniła, pamiętasz? Zostawiła przez pomyłkę wiadomość w mojej poczcie głosowej. Nie miałam innego wyjścia, musiałam doprowadzić do konfrontacji. Kiedy teraz o tym myślę, sądzę, że on to wszystko zaaranżował i zadbał, żebym się dowiedziała. Chciał między nami namącić.

– Jezu Chryste.

– Ale zostaliśmy razem. Byłam wtedy w ciąży, o czym Sal nie wiedział. Kiedy kilka tygodni później powiedziałam mu o dziecku, wydawał się... przybity. Przegrany. Pokonany. W grze, o której w ogóle nie miałam pojęcia. A graliśmy w nią wszyscy.

– Zabiję go. – Derek mówi cicho, ale jego gniew jest łatwo wyczuwalny. – Wyrwę mu, kurwa, serce z piersi.

Telefon Marin pika. Esemes od Castro: Wszystko w porządku?

Powinna wiedzieć i nie zadawać jej takich pytań. Już od dawna nic nie jest porządku. Marin nie odpowiada, ale czuje wzbierający ból, który usuwa w cień wcześniejsze otepienie. Ma poczucie, że balansuje na cieniutkiej jak ostrze noża granicy pomiędzy normalnością a otchłanią obłądu. Jeśli zaraz czegoś nie zrobi, będzie stracona na zawsze.

Jej stan nie jest porządku. Jest bardzo nie w porządku.

Czyni ostatni wysiłek, żeby wziąć się w garść i to dokończyć, zanim zatraci się w rozpacz.

– Jadę do Prosser – oznajmia Derekowi, prostując się. – Muszę go zobaczyć. Gdziekolwiek się teraz znajduje, jest gdzieś na terenie winnicy. Wiem to. Czuję.

Oboje wiedzą, że nie mówi o Salu.

– Marin, proszę. – Derek jest wstrząśnięty. – Nie możesz narażać się na coś takiego. Minęło za dużo czasu i nie wiemy, co Sal...

– Muszę. Zobaczyć. Syna. – Marin nie krzyczy. Przeciwnie, mówi bardzo cicho. Spokojnym głosem. Ale pod spodem dosłownie kipi. To go przeraża, Marin widzi to w jego oczach. – Możesz jechać ze mną albo zostać tutaj. Gównu mnie to obchodzi. Tak czy owak, to już koniec.

Oboje wiedzą, że nie mówi o tej rozmowie.

Marin bierze torebkę, przepycha się obok niego do przedsionka, wkłada płaszczy, buty, bierze kluczyki do samochodu. Kiedy otwiera od środka drzwi garażu, zaskoczona widzi wóz Castro zaparkowany na samym środku podjazdu i blokujący wyjazd. Marin podchodzi i puka w okno. Castro opuszcza szybę.

– Wybierasz się dokądś? – pyta.

– Do Prosser. Będę musiała cię prosić, żebyś przestawiła samochód, dobrze, Vanesso?

– Wsiadajcie oboje – mówi Castro, spoglądając ponad ramieniem Marin w głąb garażu. Marin odwraca się i widzi za sobą Dereka. – Ja poprowadzę.

31

Przy kolacji starają się udawać, że wszystko jest normalnie, ale nie jest, z powodów, których Kenzie woli się nawet nie domyślać.

Lorna, nawet w najlepsze dni zdziwaczała staruszka, jest wzburzona, mamrocze coś pod nosem, rozgrzebując widelcem zapiekanekę z tuńczykiem i co kilka minut zerkając na zegar na kuchence. Z piekarnika bucha gorąco, zresztą wieczór w ogóle jest ciepły, ale Lorna ma na sobie pikowany szlafrok, a pod spodem luźne spodnie, jakby był środek zimy.

Talerz J.R. jest pusty, ale nie dlatego że wszystko zjadł. Dlatego że nic nie je. W tej chwili chodzi tam i z powrotem w pokoju obok, paląc trawkę, pijąc piwo i rozpaczliwie próbując dodzwonić się do Juliana, który nie odbiera.

Mały przedpotopowy telewizorek, który Lorna trzyma na blacie w kuchni, jest nastawiony na teleturniej Jeopardy!, który właśnie się zaczął. „Poproszę pytanie za sześćset, Alex. »Co dzisiaj, kurwa, wszystkich ugryzło?«”.

– Skurwiel! – dobiega nagle wrzask J.R. z salonu.

Na dźwięk butelki po piwie uderzającej o ścianę Kenzie podskakuje i upuszcza widelec do zapiekanki. Butelka się tłucze, kawałki szkła rozsypują po drewnianej podłodze.

Naprzeciwko niej Lorna siedzi sztywno, nastawia uszu i łypie w stronę przyległego salonu. Kilka sekund później odpręża się nieznacznie, kiedy stwierdza, że złość syna nie jest wymierzona w nią. Na stole stoi otwarty plastikowy pojemnik z czekoladowymi ciasteczkami, Lorna bierze jedno i chrupie pospiesznie, chociaż na talerzu wciąż ma połowę niedojedzonej porcji klusek z tuńczykiem. Mamrocze pod nosem jakieś sylaby przypominające słowa, ale Kenzie nie może zrozumieć, o co jej chodzi.

Czy ona naprawdę nie zamierza spytać ukochanego synalka, dlaczego właśnie rozbił butelkę po piwie o ścianę salonu? Oboje mają nierówno pod sufitem.

J.R. ją woła, więc Kenzie zostawia Lornę przy stole. Wchodzi do salonu, uważając, żeby nie nastąpić na rozbite szkło.

- Julian nie odbiera.
- Mmm, tak, zorientowałam się.

J.R. zagląda do kuchni ponad jej ramieniem, by sprawdzić, czy matka słucha. Nie słucha. Lorna nałożyła porcję zapiekanki na talerz J.R. i teraz pieczołowicie smaruje masłem przekrojoną na pół bułeczkę. Kenzie przewraca oczami. Kurwa mać, babo, powiedział przecież, że nie jest głodny.

J.R. łapie Kenzie za łokieć mocniej, niż to konieczne, i odciąga ją kilka kroków dalej od kuchni.

- W telefonie Juliana od razu włącza się poczta głosowa – mówi.
- Może mu się rozładował?

– Ma ładowarkę w samochodzie. – J.R. znowu wybiera jego numer. – Jeśli mnie wyroluje z tej forsy, to klnę się na Boga...

– Dlaczego miałyby to zrobić? – Kenzie rozciera rękę w miejscu, gdzie jego palce wbiły się w jej ciało. – Nie ma żadnego powodu. Masz paranoję.

J.R. znowu zaczyna chodzić tam i z powrotem.

– Derek powiedział, że zapłaci. Julian miał mu wysłać esemesa, kiedy dotrze do Seattle, z miejscem i godziną spotkania, a potem dać mi znać, jak się umówili. Nie odezwał się.

- Może jeszcze jedzie?

– Miał dotrzeć do miasta najpóźniej godzinę temu. O tej porze powinni się już spotkać.

- Może się spotkali i za chwilę przyjdzie esemes?

- To dlaczego ma wyłączony telefon?

- Może są w miejscu, gdzie nie ma zasięgu.

– Nie wybrałyby takiego miejsca, skoro spotyka się z gościem, który ma mu dostarczyć forszę. M.K., do kurwy nędzy, myśl!

- Właśnie myślę. Może po prostu... zapomniał do ciebie napisać.

– Julian o niczym nie zapomina. – J.R. patrzy na nią. – On chce mnie wyjechać, czuję to.

– No, jeśli to prawda, to znaczy, że wyjebie i mnie. – Kenzie opada na kanapę. – I wiesz co, w tym momencie to mi już zwisa. Mam tego dość. Gdybyś pozwolił mi to załatwić po swojemu, miałabym teraz w kieszeni sto tysięcy i byłoby po wszystkim.

- Taaa, a ja zostałbym z niczym.

– A niby coś ci się należy? – Kenzie piorunuje go wzrokiem. – Derek był moim bogatym chłopakiem, nie twoim. Moim. To w ogóle nie tak miało

być. Ci faceci byli moim źródłem utrzymania, kapujesz? Byłam jedynie dodatkiem do ich życia i tak też mnie traktowali, ale co tam, oni stanowili mój dodatkowy zarobek, więc jesteśmy kwita. A ty w ogóle nie miałeś się do tego mieszać. Nie jesteś moim alfonssem.

– To mi się należy – mówi J.R. – Potrzebuję tych pieniędzy, M.K. Myślisz, że łatwo jest prowadzić bar, utrzymywać matkę i siebie? Jak już spłaciliśmy wierzycieli, ze sprzedaży winiarni nic nam nie zostało, a mama nadal ma długi. Ale jeśli Julian zrobił to, co myślę, to on ma wszystko. Całe pięćset kawałków. A teraz, kurwa, zniknął.

Kenzie podnosi głowę.

– Pięćset kawałków? O czym ty mówisz?

J.R. przestaje chodzić tam i z powrotem i na nią patrzy.

– Nieważne.

Wyraźnie niechcący mu się coś wymknęło i teraz zamierza iść w zaparte.

– J.R., jakie pięćset kawałków?

J.R. wykręca szyję, żeby znowu sprawdzić, co z matką, ale Lorny nie ma w kuchni. Talerz J.R. z zapiekanką też zniknął, podobnie jak pojemnik z ciasteczkami. Jej sypialnia jest na końcu korytarza. Żeby tam dotrzeć, musiałyby przejść koło nich, przez salon. Czyżby wyszła z jedzeniem na dwór?

Ta baba to kompletna świruska.

– J.R., będę tak długo cię o to pytała, aż mi powiesz, co, do diabła, miałeś na myśli – mówi Kenzie. – Przed chwilą powiedziałeś „pięćset kawałków”, podczas gdy spodziewamy się jedynie dwustu pięćdziesięciu, które ma zapłacić Derek, z czego stowa jest moja. Nie jestem geniuszem matematycznym, ale coś mi tu nie gra.

J.R. pociera twarz dłońmi i wzdycha przeciągle.

– Marin zapłaciła Julianowi dwieście pięćdziesiąt tysięcy, żeby cię zabił. Kiedy się o tobie dowiedziała, chciała, żebyś przestała istnieć, a ja powiedziałem, że znam właściwego faceta.

– Co proszę? – Kenzie musi to przetrwać. A więc intuicja jej nie zawiodła, Marin wiedziała o niej i o Dereku. Zjawić się w pijackiej furii i narobić jej obciachu przed sąsiadami, jak żona Paula, to jedno, ale zapłacić komuś za jej zamordowanie, to zupełnie inny poziom szaleństwa, znacznie przekraczający wszelkie zrozumiałe w swej gwałtowności reakcje na niewierność małżeńską. – I naprawdę dała mu tę forszę?

– Wyluzuj – mówi J.R. – Twoje życie ani przez chwilę nie było zagrożone. Ale, owszem, wynajęła go, a w każdym razie tak jej się zdawało. Julian i ja mieliśmy się podzielić tą forszą.

– A zamierzałeś mi o tym w ogóle powiedzieć? – Kenzie nie może w to uwierzyć. – Albo zaproponować działkę z tej forsy za... moją głowę?

J.R. nie odpowiada, co mówi samo za siebie.

– A więc mnie wykorzystałeś – stwierdza Kenzie. – Kiedy powiedziałam ci o Dereku, myślałeś tylko o forsie i o tym, żeby odzyskać Marin. Ty sukinsynu! – Śmieje się z goryczą. – Nie mogę uwierzyć, że wykiwałeś smutną, pogrążoną w rozpacz kobietę na ćwierć miliona. I ty niby jesteś jej przyjacielem?! Wiesz co, mam nadzieję, że Julian zwieje z forszą i nie dostaniesz złamanego centa. Bo sama nie wiem, kto jest większą pijawką, ty czy ja.

J.R. rusza w jej stronę z podniesioną pięścią, ale tym razem ona ani drgnie. Siedzi nieporuszona i patrzy na niego, jakby widziała go – naprawdę widziała – po raz pierwszy. Sal Palermo Junior wcale nie jest intrygującym starszym mężczyzną, za jakiego go uważała – twardym, bystrym, niezależnym. To duże dziecko o osobowości wypaczonej przez ojca tyrana, zmuszone do opieki nad równie zaburzoną matką i zakochane w kobiecie, która nigdy nie odwzajemni jego uczucia. Jest tylko żalonym drobnym przestępcą. Zmarnowała na niego siedem lat. Siedem!

Ale już dość.

– Śmiało, uderz mnie – mówi. – Tylko do tego się nadajesz.

Słyszy syreny, zanim jeszcze dostrzega światła, i zrywa się od stołu, przy którym siedziała z Lorną, oglądając końcówkę Jeopardy! J.R. jest na górze w swoim pokoju. Kiedy wcześniej jak burza wypadł z salonu, usłyszała trzaśnięcie drzwi, co oznaczało, że przez resztę wieczoru będzie siedział u siebie.

Lorna wróciła do domu kilka minut po ich kłótni. Jej twarz była zaróżowiona z wysiłku po tym, cokolwiek robiła i dokądkolwiek polazła. Matka J.R. porusza się całkiem swobodnie jak na kogoś, kogo rzekomo czeka wymiana drugiego biodra. Potem jednak zasiadła przed telewizorem, żeby zobaczyć, jakie będzie ostatnie pytanie teleturnieju, na które oczywiście znała odpowiedź.

Popieprzony dom. I jego popieprzeni mieszkańcy.

Kenzie idzie do salonu i wygląda przez okno. Na drodze widać migające niebieskie i czerwone światła i chociaż są jeszcze dość daleko, jasne jest, że

jadą tutaj.

Cholera. Gliny oczywiście przyjechały po nią. Tyler pewnie nie wycofał w porę zgłoszenia jej zaginięcia. Nie jest tajemnicą, że rodzinną miejscowością Kenzie jest Prosser, ani to, że pozostaje w bliskich stosunkach z J.R., więc to sensowne, że policja chce sprawdzić dom jego matki. Jak ona, u diabła, to wszystko wyjaśni? Chyba policja nie aresztuje jej za to, że współlokator myślał, iż zaginęła? Może powie po prostu, zgodnie z prawdą, że to jedno wielkie nieporozumienie.

Chyba że wcale nie chodzi o jej zniknięcie jako takie. Może szukają jej z powodu żądania okupu? Może Derek zawiadomił policję, że Kenzie jest przetrzymywana wbrew swojej woli, a porywacze żądają pieniędzy za jej życie. Jeśli gliny jadą tu dlatego, to Kenzie ma przesrane. Podobnie jak J.R.

W całej tej sieci kłamstw naprawdę nie sposób się zorientować, o co właściwie chodzi.

Kenzie czuje za sobą jakiś ruch, a kiedy się odwraca, widzi, że to Lorna miota się po pokoju z obłędem w oczach. Na górze słysząc kroki J.R. przemierzającego pokój. Nagle, bez ostrzeżenia, Lorna z zaskakującą siłą chwyta Kenzie za ramiona.

– Piwnica na wino – syczy, a J.R. już zbiega po schodach.

Zanim Lorna zdąży powiedzieć coś więcej, jej syn wpada do salonu, twarz ma czerwoną, wygląda jak dzikie zwierzę. Lorna biegnie do niego, kładzie mu rękę na piersi, ale on ją odpycha. Staruszka chwieje się i pada na kanapę.

– Uspokój się, synku, proszę – mówi, jednak jej słowa nie robią na nim wrażenia.

J.R. nie jest spokojny. Chodzi tam i z powrotem po salonie tak jak przedtem, lecz jego kroki są teraz bardziej zamasytyste, wzburzony pociera twarz dłońmi i targa sobie włosy. Zalatuje od niego marihuaną. Źrenice ma rozszerzone, jego brązowe zazwyczaj oczy są czarne.

– Co ja zrobię? – zwraca się do nich. – Co ja, kurwa, zrobię?

– Musimy zobaczyć, czego oni chcą – mówi Kenzie, starając się zachować spokój. To nie jest łatwe. Negatywna energia J.R. udziela się i jej. – Cokolwiek myślą gliny, powiem im po prostu, że to był głupi żart...

– To ty ich wezwałaś?! – ryczy J.R.

– Oczywiście, że nie. Po co niby miałabym donosić glinom na samą siebie?

– Jezu Chryste, ale ty jesteś głupia. – J.R. nadal przemierza pokój, a syreny wyją coraz głośniej. Przez zasłony przenikają światła. – Oni nie przyjechali po ciebie, M.K., tylko po mnie. – Odwraca się do matki. – Aresztują mnie, mamó. Wrócę do więzienia. Tym razem na zawsze. – Jest na krawędzi płaczu, wodzi oczami po pokoju, jakby szukał drogi ucieczki. – To Julian, wiem o tym. Skurwiel musiał mnie podkablować.

– Jakoś się z tego wyłgasz. – Kenzie chyba jeszcze nigdy nie widziała J.R. tak roztrzęsionego. – Wszystkiego się wyprzesz i powiesz, że to Julian zaplanował całą tę akcję. Zabrał forsę Marin, a potem porwał mnie i zażądał okupu. Zwał winę na niego. Ja cię poprę.

Uświadamia sobie, że Lorna wszystko słyszy i w ogóle nie wydaje się tym zdziwiona. Jakby przez cały czas o wszystkim wiedziała.

– Mamó, nadal masz tę spluwę taty? – pyta J.R.

– W sypialni – odpowiada Lorna. To pytanie też jej nie dziwi. – Jest w sejfie ściennym w garderobie. Szyfr to data urodzin ojca.

Jaka spluwa? Kenzie nie wiedziała, że w domu jest broń.

Gdy tylko J.R. wychodzi z pokoju, Lorna znowu chwyta Kenzie za ramiona.

– Do piwnicy – szepcze jej przenikliwie do ucha. – Idź. Zamknij drzwi od środka. I żeby nie wiem co, nie wpuszczaj tam mojego syna, cokolwiek by mówił. Rozumiesz mnie?

Lorna jest śmiertelnie poważna i w tym momencie bynajmniej nie jest stukniętą, znikowaną staruszką, do której Kenzie przywykła. Dlaczego jednak matka J.R. każe jej się schować w piwnicy przed synem? To nie ma sensu.

Światła za oknem są coraz jaśniejsze, syreny wyją coraz głośniej. Droga prowadząca do domu jest długa i stosunkowo prosta. Gliny są już prawie na miejscu.

– Mamó! W sejfie nie ma spluwy! – krzyczy J.R. przez korytarz.

Lorna rozchyła szlafrok. Spluwa – ta, po którą wysłała syna do sypialni, ta, która miała być niby zamknięta w sejfie, a o którego istnieniu Kenzie też nie miała pojęcia – jest zatknięta za pasek jej spodni.

– McKenzie – mówi Lorna, być może po raz pierwszy zwracając się do niej po imieniu – do piwnicy. Już!

Kenzie odwraca się i biegnie.

Drzwi do piwnicy na wino znajdują się pod dawną salą degustacji, ta zaś mieści się w budynku na lewo od domu, w odległości równej mniej więcej

długości boiska do futbolu. Kenzie pędzi przez podwórze, wystarczająco przestraszona wyrazem oczu Lorny, by robić, co ta jej kazała. J.R. jest rozchwiany emocjonalnie i szuka broni, którą Lorna trzyma za paskiem spodni. Gliny będą tu lada chwila. To sporo powodów, by ukryć się w piwnicy.

Kenzie dobiega do budynku winiarni, wchodzi do środka przez stare podwójne drzwi, pędem przemierza pustą teraz salę, mija pokryte kurzem beczki na wino i długi bar. W głębi znajdują się drugie drzwi, które prowadzą do piwnicy. Nie są zamknięte na klucz, a na schodach pali się światło. Kenzie zatrzaskuje je za sobą i zamyka na zasuwkę, po czym staje na chwilę u szczytu schodów, żeby wyrównać oddech. Przykłada ucho do drzwi, nasłuchując ewentualnych kroków. Lorna kazała jej nie wpuszczać J.R.

Zaczyna schodzić na dół, gdzie w pomieszczeniu o kontrolowanej temperaturze trzymane są wina. J.R. powiedział jej kiedyś, że idealna temperatura to dwanaście-czternaście stopni i musi być przez cały czas utrzymywana, żeby nie zaburzyć struktury biochemicznej wina.

Kiedy Kenzie jest już prawie na samym dole, uświadamia sobie, że tu na pewno nie ma czternastu stopni. Gdyby tak było, czułaby chłód, tymczasem z każdym kolejnym stopniem robi jej się coraz cieplej. Panuje tu raczej zwykła temperatura pokojowa – dwadzieścia dwa, może nawet dwadzieścia cztery stopnie. Kiedy staje na ostatnim schodku, słyszy odgłosy telewizora.

Telewizor w piwnicy na wino. W ciepłej piwnicy na wino? Kenzie zamiera. Co tu jest grane, do cholery?

Jeszcze kilka kroków i nagle widzi.

Jej mózg ogarnia wszystko na raz. Ogromny pokój, puste półki na wino, łóżko, biureczko, lampa, stół, talerz z niedojedzoną zapiekanką, pojemnik z ciasteczkami, kiść dojrzałych bananów, butelka wody i mnóstwo najróżniejszych zabawek rozrzuconych na podłodze.

A pośrodku tego wszystkiego stoi mały chłopczyk z krzywo ostrzyżonymi włosami, w niebieskiej piżamce, która jest na niego za mała, i w kapciach w kształcie szczeniaczków, które są dla niego za duże, przytulający pluszowego misia prawie tak samo dużego jak on. Miś ma na sobie brązowy sweterek z głową jakiegoś zwierzęcia.

Sweterek z reniferem.

Kenzie przykłada dłoń do ust. Nie może się poruszyć. Nie może mówić. Może tylko wpatrywać się w tego chłopca. A on spogląda na nią szeroko

otwartymi brązowymi oczami, na jego buzi maluje się mieszanina strachu i nadziei.

– Jesteś moją mamusią? – pyta, wyraźnie zdezorientowany. Głosik ma cienki, słodki i drżący. Bardzo stara się nie rozpłakać. – Babcia Lorna mówi, że przyjedzie po mnie mamusia.

Zanim Kenzie zdoła powiedzieć cokolwiek, żeby go uspokoić – a bardzo chce to zrobić, bo ten biedny dzieciaczek na to zasługuje – tuż nad ich głowami słyszy syreny.

Policja już tu jest.

Vanessa Castro jest tak dobrym kierowcą, jak twierdzi, i docierają do Prosser w rekordowym czasie dwóch i pół godziny. Kiedy podjeżdżają pod dom Sala, na podwórzu stoi już kilka radiowozów, a budynek został otoczony taśmą policyjną. Zupełnie jak w filmach.

Siedząc ściśnięta na tylnym siedzeniu samochodu Castro przez ponad dwie godziny, z czego większość w milczeniu, Marin miała dużo czasu na rozmyślanie o tym, co odkryją na miejscu. Nie ma poczucia, że jej syn nie żyje. Zawsze wydawało jej się, że jeśli jednak umarł, poczuje to, rozpozna po drzeniu swoich kości i przeszywającym bólu w sercu, albo obudzi się któregoś dnia i po prostu będzie wiedziała. Frances na przykład wiedziała. Śniło jej się to.

Ale może w przypadku Frances to był tylko zbieg okoliczności, może intuicja matki nie sięga aż tak daleko? Castro przestrzegła Marin, żeby nie oczekiwała zbyt wiele, i Marin nie oczekuje, ale ten maleńki promyk nadziei, którego wciąż nie straciła – choć odkąd Sebastian został porwany, jej nadzieja z każdym dniem malała – nadal tkwi w głębi jej serca.

Castro parkuje samochód i wszyscy troje wysiadają. Natychmiast podchodzą do nich dwaj policjanci, a detektyw ściska Marin za łokieć.

– Pozwól, że się dowiem, jak wygląda sytuacja – mówi. – Na razie tu zostańcie.

Marin się rozgląda. Sceneria ją przytłacza. Na miejscu jest zarówno policja, jak i FBI, na podwórzu panuje ożywiony ruch, a ogólny chaos wzmagają jeszcze migające światła radiowozów. Marin nie rozpoznaje żadnego z agentów i zakłada, że ten, który wcześniej prowadził ich sprawę, jeszcze nie przyjechał. Jeden z agentów odłącza się od reszty grupy i podchodzi do Castro i dwóch policjantów. Detektyw musiała coś o niej wspomnieć, ponieważ wszyscy równocześnie spoglądają na Marin. Z tej odległości nie słyszy, co mówią.

Nocą dom rodzinny Sala wygląda inaczej. W blasku księżyca wydaje się jeszcze bardziej zrujnowany, niż Marin zapamiętała, brudne okna i łuszcząca się farba. Za dnia rozpościerające się dookoła winnice tworzą

malownicze tło, nadając budynkowi rustykalny urok, którego teraz trudno się dopatrzeć.

Nie jest zimno, lecz Marin przechodzi dreszcz. Gdzieś na terenie tej posiadłości znajduje się jej synek. Czuje mrowienie na całym ciele, jest pewna, że on tu jest. Bez względu na to, ile czasu to zajmie, będą go szukali. Bez względu na to, co odkryją, bez względu na to, w jakim on będzie stanie, Marin nie odjedzie stąd, dopóki nie będzie mogła zabrać Sebastiana do domu. Jakby czując, co myśli, Derek dotyka jej ramienia. Marin się odsuwa.

Wraca Castro i staje naprzeciwko Marin i Dereka. Bez zbędnych wstępów oznajmia:

– Sal jest uzbrojony. Postrzelił matkę.

– Sal strzelał do Lorny?! – Marin nie może w to uwierzyć. Lorna była zupełnie nieszkodliwa, nie skrzywdziłaby muchy, a syna wprost uwielbiała. Poza tym z tego, co opowiadał Sal, ona ledwie się rusza. Dlaczego, na Boga, miałby strzelać do matki? – To niemożliwe.

– Postrzelił ją w ramię, a ona powiedziała policji, że to był wypadek – wyjaśnia Castro. – Szukał pistoletu ojca, a kiedy zorientował się, że to Lorna go ma, próbował go jej wyrwać. Zaczęli się szarpać i broń wypaliła.

Marin spogląda na Dereka. Jeśli nawet słyszał to wszystko, w żaden sposób nie zareagował. Stoi tylko bez ruchu, zagubiony w całym tym zamęcie. Odrętwiały. Marin go nie wini. Ona też popadnie w odrętwienie, kiedy to wszystko już się skończy. Jeszcze tylko trochę.

– Gdzie oni są teraz? – zwraca się do Castro.

– Lorna jest w szpitalu. Próbowali ją pytać, czy wie coś o Sebastianie, ale nie potrafiła im nic powiedzieć. Kiedy siłowała się z Salem i wyrywali sobie broń, uderzyła się w głowę i odnowił się dawny uraz. Jest w kiepskim stanie. Niewiele kojarzy.

– Skoro Lorna jest w szpitalu, to gdzie jest Sal?

– Nadal w domu. Pozwolił sanitariuszom zabrać matkę, ale sam nie chce wyjść. Marin... – Castro się waha. – Sal mówi, że będzie rozmawiał tylko z tobą.

– Nie ma mowy – odzywa się Derek, wracając do życia. To pierwsze słowa, które wypowiedział w ciągu ostatniej godziny. – To niemożliwe.

– Chcę z nim porozmawiać – mówi Marin. – Muszę wiedzieć, gdzie jest Sebastian, a tylko on to wie.

Derek chwytą ją pod rękę i patrzy na nią z niedowierzaniem.

– Marin, nie. On jest niebezpieczny. Nie możesz tam wejść...

– Marin nie musi nigdzie wchodzić. – Castro odwraca się do agenta FBI i przywołuje go gestem. – Może skorzysta z telefonu.

Ustawiają ją w takim miejscu, z którego będzie mogła go zobaczyć.

Sal jest na górze w swojej dawnej sypialni i wygląda przez okno, Marin przy huśtawce, około piętnastu metrów od niego, siedzi w radiowozie od strony pasażera. Poprosiła o prywatność i pozwolili jej wsiąść do wozu samej, chociaż dwóch funkcjonariuszy trzyma straż tuż obok. Nie zgodzili się, by użyła własnego telefonu, ponieważ chcą nagrywać tę rozmowę, więc korzysta z komórki, którą przed chwilą wręczył jej agent FBI.

Widzi przez okno, jak Sal chodzi tam i z powrotem po pokoju, przykładając sobie lufę do głowy. Wolną ręką odbiera połączenie po pierwszym sygnale.

– Żyjesz? – pyta Marin.

Sal zatrzymuje się i wygląda przez okno, usiłując dojrzeć ją przez szybę samochodu. Marin nie widzi jego twarzy. W pokoju jest ciemno. Dostrzega jednak sylwetkę i macha z wnętrza wozu. On też macha.

– Chwilowo – odpowiada, śmiejąc się posępnie.

– Dlaczego, Sal? – pyta Marin cicho.

– To nie miało tak wyjść, Marin, przysięgam. – Głos Sala drży. – Potrzebowałem pieniędzy. Plan był taki, że mieliśmy zatrzymać Sebastiana na dzień, może dwa, dopóki Derek nie zapłaci okupu, ale wszędzie roiło się od glin i FBI, więc nie miałem innego wyjścia, jak tylko się przyczaić. Przywiozłem go tutaj, żeby mama mogła się nim zaopiekować. Powiedziałem jej, że Derek jest agresywny, tak jak mój tata, i że musimy chronić Sebastiana. Uwierzyła mi. Postanowiliśmy...

– My? Ty i Julian?

– Tak. Postanowiliśmy zaczekać, aż sprawa przycichnie. I tak się stało. Po miesiącu, gdy wyszłaś ze szpitala, wysłaliśmy do Dereka żądanie okupu. Ale coś nas zatrzymało i spóźniliśmy się na wyznaczone miejsce spotkania. A kiedy Julian rozmawiał z Derekiem, usłyszałem, jak Derek coś krzyczy. A Sebastian płakał. I po prostu... się wściekłem. Twój mąż zawsze był takim zadufanym bucem i pewnie chciałem go zranić. Rozłączyliśmy się, a kilka minut później powiedziałem Derekowi, że jego syn nie żyje.

Marin nie może mówić. Po jej twarzy płyną łzy. Sal znowu się śmieje, to najbardziej gorzki śmiech na świecie.

– Obłąd polega na tym, że on ci nic nie powiedział – ciągnie Sal. – Rozwazałem to na wszystkie możliwe sposoby, ale nigdy bym nie pomyślał, że on ci nie powie, że zachowa to w tajemnicy. Nie puścił pary z gęby. Nie powiedział o niczym ani tobie, ani w ogóle nikomu.

– Myślał, że znowu będę próbowała się zabić. – Marin szykuje się wewnętrznie na następne pytanie. Najtrudniejsze. – Sal, gdzie jest mój synek?

– Chcę, żebyś wiedziała, że cię kocham – mówi Sal i głos mu się łamie. – Kocham cię od chwili, kiedy się poznaliśmy...

– Sal, proszę, gdzie jest mój synek?

– Jest w piwnicy na wino.

Marin łapie gwałtownie powietrze.

– Żywy czy martwy?

Chwila ciszy. Pięć sekund, dziesięć... Marin nie wie, ale ma wrażenie, że to cała wieczność. I wreszcie cztery słowa wypowiedziane tak cicho, że Marin ledwie je słyszy:

– Nic mu nie jest.

Marin otwiera drzwi radiowozu i krzyczy na całe gardło: „Piwnica na wino!”, ale oni już wiedzą, bo słyszeli ich rozmowę, i już tam biegną.

– Najsmutniejsze jest to, Sal, że dałabym ci te pieniądze – mówi Marin do telefonu. – Jeśli miałeś kłopoty, pomogłabym ci. Nawet bym się nie zastanawiała. Byłeś moim najlepszym przyjacielem. Wystarczyło, żebyś poprosił.

Patrzy w górę, gdzie Sal znów uniósł rękę, i nagle przychodzi jej do głowy, że na pożegnanie macha się dokładnie tak samo, jak na powitanie.

– Kocham cię, Marin – mówi Sal i się rozłącza.

Marin słyszy huk i widzi błysk, ale może jedynie wyobrazić sobie dźwięk, jaki się rozległ, kiedy ciało Sala upadło na podłogę.

Nie wolno im wejść do piwnicy ani nawet do sali degustacji, więc Marin i Derek czekają na zewnątrz. Sekundy mijają jak minuty. Minuty trwają godzinami.

I wreszcie podwójne drzwi zostają otwarte. Najpierw wychodzi McKenzie prowadzona przez policjanta. Nie jest skuta. Na widok Dereka jej twarz się rozjaśnia, dosłownie na sekundę, ale potem chyba sobie przypomina, że nie są razem, nigdy tak naprawdę nie byli i nigdy nie będą. Na Marin nie patrzy wcale. Mija ich oboje bez słowa.

Upływa chwila i drzwi znów się otwierają. A w nich, trzymając za rękę agentkę FBI, stoi jej synek.

Wychodzą powoli. Chłopczyk boi się migających świateł i zamieszania na podwórzu, wolną rączką przytula gigantycznego pluszowego misia, szeroko otwartymi oczami przepatruje wszystkie twarze, aż wreszcie zatrzymuje wzrok na twarzy Marin. A ona ostrożnie podnosi rękę, boi się, że go wystraszy, a jeszcze bardziej boi się, że to wszystko nie jest rzeczywiste, że jeśli zrobi krok w jego stronę, on rozwieje się niczym mgła, tak jak to się zawsze dzieje w jej snach. Jego twarzyczka – ta jego doskonała, piękna, okrągła, słodka twarzyczka o oczach będących lustrzanym odbiciem jej oczu – jest dokładnie taka, jak ją pamiętała, lecz jego wzrost się zmienił, ponieważ urósł. Gdzieś obok niej rozlega się szloch Dereka.

Synek patrzy jej w oczy jeszcze przez kilka sekund, niepewny, a potem jego buzia się rozpromienia, kiedy dociera do niego, kim ona jest. Marin stoi za daleko, żeby to usłyszeć, ale widzi, jak jego usta wypowiadają to słowo: „mama”.

Sebastian.

Marin pędzi do niego, a on upuszcza misia i biegnie w jej stronę, wyciągając maleńkie rączki, i naprawdę jest tak jak w jej snach, tylko tym razem mogą się dotknąć, bo on tu jest, rzeczywisty, żywy, cały i zdrowy.

I serce Marin – które zabrano jej czterysta dziewięćdziesiąt cztery dni temu – do niej wraca.

CZEŚĆ CZWARTA

miesiąc później

Każdy nowy początek bierze się
z końca jakiegoś innego początku.

SEMISONIC

Kiedy Marin wchodzi do środka, kolejka w Green Bean jest długa, ale ona nie przysłała tu na kawę. Poprawia na ramieniu czarną sportową torbę i się rozgląda. Torba należy do Dereka, Marin wyciągnęła ją z bagażnika jego samochodu, ale on nie potrzebuje tego, co w niej jest. Podobnie jak Marin.

Chwilę trwa, zanim ją zauważy. Nie pracuje za barem, wyciera stół w głębi sali i kiedy Marin do niej podchodzi, podnosi głowę. Różowe włosy wyblakły i zmieniły odcień na rudawy blond, przy którym cera McKenzie wydaje się ziemista. Zabawne, że kiedy Marin zobaczyła ją po raz pierwszy, była w jej oczach taka energiczna, taka piękna, tak onieśmielająco młoda i pełna życia. Teraz wygląda jak każda inna przemęczona studentka – wycieńczona, zestresowana, w sumie nic specjalnego.

McKenzie blednie i robi krok do tyłu. Marin podnosi rękę.

– Nie przysłałam tu robić scen – mówi i dziewczyna oddycha z ulgą. – Możemy pogadać?

Stół w rogu jest wolny i Marin przypomina sobie, że przy nim właśnie siedziała, kiedy przysłała szpiegować McKenzie. Czyżby to było zaledwie pięć tygodni temu? Marin ma poczucie, jakby od tamtej pory minęła cała epoka wypełniona spotkaniami z terapeutką Sebastiana i z jej terapeutą, a także ustanawianą na nowo codzienną rutyną, której jej pięcioletni już synek tak bardzo potrzebuje.

Radzi sobie doskonale. Psycholożka dziecięca uspokaja Marin, że dzieci są odporne, doktor Chen powiedział to samo. Okazuje się, że Lorna była dla niego dobra, na ile to możliwe w tych okolicznościach. Na samym początku Sal ją okłamał, wmawiając jej, że musi mu pomóc chronić synka Marin przed Derekiem, rzekomym mężem brutalem, i Lorna oczywiście go posłuchała. Wierzyła we wszystko, co Sal jej mówił... Aż wreszcie przestała.

W ciągu tych szesnastu miesięcy, kiedy miała Sebastiana, dobrze się nim opiekowała. Karmiła go. Kąpała. Czytała mu książeczki. Kupowała zabawki. Codziennie, o ile tylko było to możliwe, wyprowadzała go na dwór, żeby pobiegał sobie na świeżym powietrzu i na słońcu. Codziennie

opowiadała mu o Marin, o tym, jak bardzo mamusia go kocha i za nim tęskni, i że przyjedzie po niego najszybciej, jak będzie mogła. O Dereku nie mówiła prawie nic, ponieważ wierzyła, że jest łajdakiem, ale też nie przedstawiała go w złym świetle.

Biodro Lorny sprawowało się doskonale. Staruszka szybko doszła do siebie po operacji wstawienia endoprotezy w ubiegłym roku i okazało się, że wszelkie jej dodatkowe niedomagania były kolejnymi kłamstwami Sala, wymyślanymi, by usprawiedliwiać ciągłe wyjazdy do Prosser, których prawdziwym powodem było sprawdzanie, co z Sebastianem. Rana postrzałowa ramienia okazała się jedynie draśnięciem, lecz uraz głowy, którego doznała, siłując się z synem, był dość poważny. Przeszła kolejną operację i wciąż przebywała w szpitalu.

Marin siada przy stoliku, torbę stawia na podłodze obok swojego krzesła. Nie jest może bardzo ciężka, ale niewygodna, i Marin cieszy się, że nie będzie musiała dłużej jej taszczyć. McKenzie siada naprzeciwko niej i kładzie mokrą szmatkę, którą wycierała blaty, pomiędzy nimi, niczym barierę z mikrofibry.

– Wyglądasz okropnie – stwierdza Marin.

– Yyy, dzięki – odpowiada McKenzie, po czym wzrusza ramionami. – Pewnie na to zasłużyłam. Odkąd straciłam mieszkanie, tułam się po znajomych. Zeszłej nocy nocowałam u osoby, której pies nie znosi mojego kota, więc nikt z nas zbyt długo nie pospał. – Opuszcza wzrok i zdejmuje z koszulki koci włos. – Jak twój synek?

– Wspaniale – odpowiada Marin. – To właściwie z jego powodu tu jestem.

McKenzie zamiera.

– Nie rozumiem.

– Może słyszałaś od Sala, przepraszam, od J.R., że wynajęłam kogoś, żeby cię zabił. – Marin mówi cicho. Te słowa, wypowiedziane na głos, są jednocześnie śmieszne i straszne. – Oczywiście teraz już wiem, że on nigdy nie zamierzał wykonać tego zlecenia. Zostałam oszukana przez oszusta. Ale tak między nami, bo czuję, że mogę ci to powiedzieć, naprawdę chciałam twojej śmierci. Straciłam już synka i miałam poczucie, że próbujesz mi odebrać jedyną osobę, która mi pozostała. Do reszty zniszczyć moją rodzinę. Byłam, łagodnie rzecz ujmując, w nie najlepszej formie.

McKenzie kiwa głową. Niemal niedostrzegalnie, lecz Marin to odnotowuje.

– Miałaś jakieś wieści do Juliana? – pyta.

McKenzie kręci głową.

– Żadnych od tamtego dnia, kiedy zrobił mi zdjęcie, by wymusić okup. J.R. podejrzewał, że zamierzał go wykiwać, zgarnąć forszę, którą mu zapłaciłaś, i zniknąć. I wygląda na to, że dokładnie tak zrobił. – Uśmiecha się lekko. – Dobrze, że nie okantował was na kolejne dwieście pięćdziesiąt tysięcy kawałków.

Marin popycha stopą torbę w stronę nóg McKenzie.

– Tak, bardzo dobrze. Bo inaczej nie przysłałabym tu, żeby ci je dać.

McKenzie ściąga brwi. Zerka pod stół na torbę, po czym przenosi wzrok na Marin.

– O czym ty mówisz? – Rozgląda się niespokojnie. – Czy to jakiś podstęp?

– Żaden podstęp – zapewnia Marin. – Zapłaciłam komuś, żeby cię zabił, i bez względu na to, czy to było prawdziwe zlecenie, czy też nie, szczerze życzyłam ci śmierci. Zmieniłam potem zdanie i to odwołałam. Mimo wszystko to było złe i nie potrafię z tym żyć. Zwłaszcza teraz, kiedy odzyskałam synka.

McKenzie otwiera usta, żeby coś powiedzieć, ale nie może wydobyć słowa. Więc je zamyka.

Marin wstaje.

– Niniejszym się poprawiam. Mogliśmy oskarżyć cię o próbę wyłudzenia, ale Derek powiedział policji, że jego zdaniem ty też byłaś w tym wszystkim ofiarą. Osobiście w to nie wierzę, sądzę, że przemawia przez niego poczucie winy. Uważam, że jesteś sprytną młodą kobietą i doskonale wiesz, co robisz z tymi bogatymi facetami, których skubiesz. Pod wieloma względami to tak, jakbym nagradzała cię za to, że jesteś zdziwą, która próbowała zrujnować mi życie. Ale chcę kłaść się spać z czystym sumieniem, wiedząc, że przynajmniej próbowałam naprawić zło, które wyrządziłam. Zapłaciłam komuś ćwierć miliona dolarów, żeby odebrał ci życie, a teraz płacę tobie ćwierć miliona, żeby ci to wynagrodzić. Zatrzymaj je, oddaj komuś, spal, gównu mnie to obchodzi.

McKenzie wpatruje się w nią osłupiała, czekając na puentę, która nie nadchodzi.

– Poza tym – dodaje Marin – byłaś miła dla mojego synka. Bash opowiedział mi, że zostałaś z nim w piwnicy. Trzymałaś go za rękę i przytuliłaś, kiedy się bał. Zapewniałaś, że wszystko będzie dobrze. Polubił

cię. Mówi o tobie „pani w różowych włosach”. Nazywa cię swoją przyjaciółką. Więc dołożyłam jeszcze coś ekstra.

McKenzie przełyka ślinę.

– To naprawdę słodki dzieciak – mówi, wreszcie odzyskując głos. – I... dziękuję. Za to. Moja mama jest chora. To mi... To mi bardzo pomoże.

– Bardzo proszę. A swoją drogą, powinnaś wrócić do różu. Pasował ci.

Marin zostawia torbę na podłodze i wychodzi, wyobrażając sobie minę tej dziewczyny, kiedy rozepnie suwak i zobaczy na stosie banknotów szpilki Christiana Louboutina, które podziwiała, kiedy włamała się do domu Marin.

No, dobra, karmo. Jesteśmy kwita.

Jest pierwszy wtorek miesiąca.

Marin wjeżdża na parking przy Big Holes. Nie pamięta, kiedy ostatnio denerwowała się przed spotkaniem grupy – pewnie zdarzyło się to, gdy przyjechała tu po raz pierwszy, ale wtedy ból i szok łagodziły nerwy. Po wozach na parkingu widzi, że są już Simon i Lila. I oczywiście Frances, a także Jamie, ta nowa. Marin parkuje obok jej samochodu.

Gdy miesiąc wcześniej rozeszły się pomyślne wieści, Marin kontaktowała się z nimi wszystkimi indywidualnie. Oboje z Derekiem odmówili udzielania jakichkolwiek wywiadów, wydali natomiast oświadczenie, w którym wyrazili wdzięczność z powodu bezpiecznego powrotu synka. Marin nie wie, czy grupa ma ochotę ją tu dzisiaj widzieć. To był pomysł Frances, ale Frances pozostaje w innym emocjonalnym wymiarze niż reszta.

A teraz to samo można powiedzieć o Marin.

Patrzy na Sebastiana we wstecznym lusterku. Mały siedzi w foteliku. Uśmiecha się promiennie do jej odbicia, a ona odwzajemnia uśmiech.

– Gotowy, misiaczku?

– Chcę pączka z tęczową posypką – oznajmia. – A będą tam zabawki?

– Och, nie wiem. – Marin rozpina pas i wysiada. – Może zabawki nie, ale pączki na pewno. Wszystkie rodzaje pączków. Nie zostaniemy tam długo, dobrze? Tylko się przywitamy. Zazwyczaj to są spotkania dla dorosłych, ale Frances chce cię poznać.

– Kto to Frances?

– Moja przyjaciółka. To naprawdę bardzo miła pani, która prowadzi pączkarnię. – Marin wypina Sebastiana z fotelika i wyjmuje go z samochodu. Kiedy idą przez parking, ich dłonie odruchowo się łączą. To niesamowite, że po szesnastu miesiącach rozłąki ich dłonie nadal wiedzą, co robić i jak się odnaleźć.

– Ta pani ma dzieci? – pyta Sebastian z nadzieją.

– Miała – odpowiada Marin, a on nie drąży tematu.

Marin otwiera drzwi do Big Holes. Za kontuarem nikogo nie ma, jak zwykle po południu o tej porze, z przodu siedzi tylko kilka osób, sami stali klienci. Oglądają się i uśmiechają, kiedy Marin przechodzi z Sebastianem przez salę, a ona serdecznie odwzajemnia ich uśmiechy. Kiedy stają przed drzwiami prowadzącymi na zaplecze, Marin oddycha głęboko i je otwiera.

Ma nadzieję, że to dobry pomysł. Ma nadzieję, że nikogo nie urazi.

– Niespodzianka! – słyszy, a Sebastian podskakuje i puszcza jej rękę.

Marin spogląda na niego zaniepokojona, jednak niepotrzebnie. Jej synek jest zachwycony, klaszcze i śmieje się na widok kilkunastu wypełnionych helem balonów, które podskakują pod sufitem, a ich kolorowe wstążeczki sięgają aż do ziemi. Na stole pośrodku pomieszczenia znajduje się stos najróżniejszych pączków i tort z Psim Patrolem z niebiesko-białym lukrem. Ogromny napis wiszący nad nim głosi po prostu: SEBASTIAN.

Frances pierwsza do nich podchodzi, przytula i zasypuje pocałunkami. Następny jest Simon, cały zapłakany, za nim Jamie z nieśmiałym uśmiechem, a na końcu Lila, która przyprowadziła dwoje młodszych dzieci. Jest muzyka i prezenty – „Tyle prezentów, mamusiu!” – i Sebastian pędzi po pączka z posypką leżącego na samym wierzchu stosu, którego od razu podaje jednemu z chłopców Lili.

Marin martwiła się, że widok jej synka, całego, zdrowego i tryskającego energią, będzie trudny do zniesienia, chociaż wszyscy zapewniali ją wcześniej przez telefon, że to dla nich radość. I teraz widzi, że naprawdę tak jest. Oni wszyscy są rodzicami. I bez względu na to, czy ich dzieci są z nimi, czy też nie, szczerze się cieszą, mogąc przebywać z chłopcem, o którym tak dużo rozmawiali, którego odnalezieniu kibicowali i za którego się modlili.

Frances ściska jej dłoń.

– Derek nie mógł przyjść?

– Nieee – odpowiada Marin. – Grupowe spotkania to nie dla niego. Czeka na nas w domu. Dziś mamy wieczór filmowy. Król lew.

– Jak wam się układa?

– W porządku. Musimy się starać, dla Basha. Oboje jesteśmy w domu i w tym momencie to dobrze robi nam wszystkim. Nie wiem, co będzie dalej, ale mamy czas, żeby to sobie przemyśleć. Nadal się kochamy. Jesteśmy przyjaciółmi. A jeśli chodzi o naszego syna, jedziemy na tym samym wózku. W tej chwili niczego więcej nie jestem pewna.

Frances jeszcze raz ją przytula.

Marin patrzy, jak Sebastian bawi się z chłopcami Lili. Śmieje się tak serdecznie, że jego umazane lukrem policzki robią się różowe. Marin wciąż budzi się w środku nocy i musi sprawdzać, czy Sebastian śpi bezpiecznie w swoim pokoju, ale doktor Chen mówi, że te lęki z czasem znikną. Przynajmniej nie potrzebuje już leków nasennych.

Brzęczy jej komórka i Marin sprawdza, kto to. Esemes od Dereka:

Daj mi znać, jak już będziecie wracać, to zamówię pizzę. Bez pośpiechu. Kocham Was i tęsknię.

Marin nie wie, jak zareagować, kiedy on robi takie wyznania, więc odpowiada w jedyny sposób, który wydaje jej się naturalny: wysyła serduszko.

Sebastian jest zajęty zabawą, a wszyscy inni pochłonięci rozmową, więc Marin siada w kącie i przegląda swój telefon. Liczba esemesów i wiadomości głosowych, które otrzymała od przyjaciół, rodziny i klientów w ciągu ostatnich kilku tygodni, jest przytłaczająca. Nie zdążyła jeszcze wszystkiego przeczytać i odsłuchać.

Na samym dole listy znajdują się stare esemesy od Sala. Marin nie może na razie zdobyć się na to, żeby je usunąć. Trudno jej połączyć człowieka, którego, jak jej się wydawało, dobrze знаła, z tym, kim się okazał. Zafundował jej prawdziwe piekło, ale również pomógł jej przetrwać ten koszmar. Przez ponad dwadzieścia lat byli najlepszymi przyjaciółmi i z wyjątkiem ostatniego półtora roku to były w większości dobre lata. Trudno pojąć, że miłość i nienawiść mogą współistnieć, tak ściśle splecione i pogmatwane, w jednej osobie, że nawet po jej śmierci wciąż dochodzą do głosu i budzą zdumienie.

Esesemy Sala są jedynym konkretem przypominającym jej, że gdzieś w głębi serca był dobry. Że ją kochał. Już nigdy do niej nie napisze.

Patrzy na ostatni esemes, który jej przysłał, taki sam, jakie wysyłał każdego ranka przez tych kilkanaście miesięcy:

Żyjesz?

W drugim końcu pokoju pęka balonik i Sebastian aż piszczy z uciechy. Serce Marin rośnie na ten dźwięk.

Żyje, do cholery, i to jak!

OD AUTORKI

Pisanie powieści zawsze jest trudne, ale to prawdopodobnie najtrudniejsza książka, jaką kiedykolwiek napisałam. Nie planuję moich historii zawczasu, więc często jestem zaskoczona – i przerażona – tym, jak rozwija się opowieść. Zgłębianie nasilającej się depresji Marin po zaginięciu jej synka było nieprzyjemne i bolesne. Ja także mam małego synka i moim największym lękiem jest to, że go stracę. Wnikanie w sposób myślenia Marin nie było łatwe, a starając się pozostać wierną jej postaci, nie chciałam robić uników ani upiększać jej dramatycznych zmagania. Pragnę, byście wiedzieli, że rozumiem, iż niektóre jej myśli i działania dla części czytelników mogą okazać się niepokojące i trudne.

Jeśli kiedykolwiek najdą Was myśli o samookaleczeniu czy samobójstwie, proszę, szukajcie pomocy. Nie jesteście sami.

PODZIĘKOWANIA

Jednym z najwspanialszych dni mojego pisarskiego życia był ten, kiedy Victoria Skurnick wyłuskała mój maszynopis ze sterty innych niewykorzystanych. Dziesięć lat i sześć wydanych książek później nadal pracujemy razem i każdy pisarz powinien mieć to szczęście i trafić na taką agentkę. Ona gasi wszystkie moje pożary i uśmierca wszystkie moje smoki. Victorio, nie wyobrażam sobie, by to wszystko wydarzyło się bez Ciebie, i codziennie jestem za Ciebie wdzięczna losowi.

Nie ma nic bardziej przerażającego od chwili, kiedy pisarz klika „wyślij” pod e-mailem, do którego załączył swój nowy maszynopis. Jeśli człowiek ma szczęście, redaktor po drugiej stronie będzie życzliwy. Keith Kahla – praca z Tobą to przyjemność. Nigdy nie próbujesz zmieniać moich pomysłów, tylko z zaangażowaniem pomagasz mi je realizować, a moje książki są dzięki temu o wiele lepsze. Dziękuję Ci za Twoją ciężką pracę, Twoje rady i za to, że zawsze wierzysz w moją wizję.

Nie ma dość słów, by wyrazić moją wdzięczność zespołowi Minotaur Books i St. Martin’s Press. Andrew Martin, Kelley Ragland, Jennifer Enderlin, Martin Quinn, Sarah Melnyk i Alice Pfeifer – to wymarzona ekipa dla pisarza. Bardzo Wam dziękuję za wszystko, co dla mnie zrobiliście i nadal robicie.

Wielkie dzięki dla stowarzyszeń International Thriller Writers, Crime Writers of Color oraz portalu The Thrill Begins za to, że zapewniacie poczucie wspólnoty i wsparcie w branży, która bywa naprawdę wymagająca.

Specjalne podziękowanie dla Eda Aymara, który mnie rozśmiesza (a przynajmniej sprawia, że przewracam oczami) prawie codziennie. Każdy pisarz potrzebuje najlepszego przyjaciela, a ty niestety/stety trafiłeś na mnie.

Chevy Stevens, ogromnie Ci dziękuję za Twoją przyjaźń i rady. Nie wiem, czy chciałaś zostać moją mentorką, ale byłaś nią w minionym roku i czuję się szczęściarą, że mam w Tobie przyjaciółkę.

Dziękuję Gabino Iglesias, Hannah Mary McKinnon i Caroline Bertaud za hiszpańskie i francuskie tłumaczenia – jestem Wam bardzo wdzięczna.

Blogerzy książkowi i bookstagramerzy, jesteście słoneczkiem, które sprawia, że świat moich mediów społecznościowych się kręci. Dziękuję za waszą pasję, kreatywność i szczodrość.

Mamo, Timie, tato, Johnie i wszyscy Pestano, Perezowie i Blohowiakowie w Kanadzie, na Filipinach i w Stanach, dziękuję, jak zawsze, za Waszą miłość i wsparcie. Mahal kita, salamat.

Annie, Dawn, Lori i Shell, jesteście moimi najwspanialszymi powierniczkami, towarzyszkami podróży, kumpelami od zakupów, współbiedniczkami, krótko mówiąc, współniczkami zbrodni, o jakich tylko może marzyć dziewczyna. Kocham Was i dziękuję, że zawsze przy mnie jesteście.

Moxie Poo, jak to w ogóle możliwe, że był kiedyś czas, gdy nie istniałeś? Darrenie, dałeś mi wszystko to, czego zawsze pragnęłam, nawet nie zdając sobie z tego sprawy. Musiałam zrobić coś dobrego dla świata, skoro podarował mi Was dwóch. Wy, chłopcy Blohowiakowie, jesteście moją największą miłością. Może i piszę thrillery, ale to nasza historia miłosna jest zdecydowanie moją ulubioną. Kocham Was.

Spis treści

Dedykacja

1

CZEŚĆ PIERWSZA

2

3

4

5

6

7

8

9

10

11

12

13

14

CZEŚĆ DRUGA

15

16

17

18

19

20

CZEŚĆ TRZECIA

21

22

23

24

25

26

27

28

29

30

31

32

CZEŚĆ CZWARTA

33

34

OD AUTORKI

PODZIĘKOWANIA